

ŁOWCA

ALISON BELSHAM

TATUAŻY



ALISON
BELSHAM

ŁOWCA TATUAŻY

Przełożyła Dorota Konowrocka-Sawa



Tytuł oryginału: *The Tattoo Thief*
Copyright © Alison Belsham 2018

All rights reserved

First published by Trapeze, an imprint of The Orion Publishing Group Ltd., London

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXX

Copyright © for the Polish translation by Dorota Konowrocka-Sawa, MMXX

Wydanie I

Warszawa MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Motto

I

1

2

3

4

5

6

7

II

8

9

III

10

11

12

IV

13

V

14

15

VI

16

17

18

19

20

21

22

VII

23

24

25

VIII

26

IX

27

28

29

X

30

31

32

33

34

XI

35

36

37

XII

38

39

XIII

40

41

42

XIV

43

44

XV

45

46

XVI

47

XVII

48

49

50

51

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Dla moich promiennych chłopców, Ruperta i Tima

*Raz i dwa, tatuaż już ma
Trzy i cztery, obedrę ze skóry,
Pięć i sześć, jak zdoła to znieść,
Siedem i osiem, zarżnę jak prosię.*

I

Nieprzytomnemu mężczyźnie zdieram przesiąkniętą krwią koszulkę i odstąniam fantastyczny tatuaż. Zdjęcie, które wyjmuję z kieszeni, jest pogniecione, lecz wystarczająco czytelne, by dało się je porównać z wizerunkiem na jego skórze. Na szczęście latarnia świeci wystarczająco jasno, by można było zyskać pewność, że wzory są identyczne. Lewe ramię mężczyzny zdobi okrągły tatuaż z wysp Polinezji grubo wykonturowany czarnym tuszem. Z wnętrza okręgu patrzy na mnie wilkiem kunsztowna plemienna maska, po bokach rozpościera się para stylizowanych skrzydeł: jedno schodzi mężczyźnie na łopatkę, drugie sięga lewej piersi. Wszystko to spryskane jest krwią.

Rysunki pasują. Mam właściwego człowieka.

Na jego szyi wciąż jeszcze daje się wyczuć puls, lecz na tyle słaby, że nie spodziewam się żadnych problemów. Ważne, by wykonać pracę, gdy ciało jest jeszcze ciepłe. Kiedy trup stygnie, skóra sztywnieje, mięśnie pod nią robią się twarde. To utrudnia zadanie, a ja nie mogę sobie pozwolić na błędy. Oczywiście, obdzieranie ze skóry żywcem jest zabawą znacznie krwawszą, ale mnie tam krew nie przeszkadza.

Mój plecak leży w pobliżu, rzucony, gdy mężczyznę trzeba było wciągnąć w krzaki. Prosta sprawa, bo o tej porze w parku nie ma żywego ducha. Jeden cios w tył głowy i facet zwałił się na kolana. Bezgłośnie. Bezszelestnie. Bez świadków. Wiadomo było, że po wyjściu z nocnego klubu wybierze właśnie tę drogę. Wystarczyło poobserwować, którędy chodził wcześniej. Ludzie są tacy głupi. Nic nie podejrzewał, a przecież widział, że idę w jego stronę z kluczem w garści. Kilka sekund później leżał już rozciągnięty na ziemi, brocząc krwią z rany na skroni. Pierwszy etap wykonany bez zarzutu.

Jak już padł, wystarczyło chwycić go pod pachy, możliwie szybko ściągnąć z płyt chodnika i ukryć w krzakach, by nikt nas nie zobaczył. Ciężki był, ale i ja nie chuchro, więc udało mi się przeciągnąć go między dwoma krzakami wawrzynu.

Aż mnie złapała zadyszka. Wyciągam dłonie przed siebie grzbietami do góry i dostrzegam lekkie drżenie. Zaciskam pięści i rozprostowuję palce. Ręce mi drżą jak ćmy, serce tłucze się w piersi. Przeklinam pod nosem. Pewność prawej ręki jest warunkiem poprawnego wykonania planu. Rozwiązanie znajduje się w bocznej kieszeni plecaka. Blister tabletek, butelka wody. Propranolol – beta-bloker pierwszego wyboru dla graczy w snookera. Łykam dwie tabletki i zamykam oczy. Czekam, aż zaczną działać. Gdy sprawdzam kolejny raz, po drżeniu nie ma śladu.

Mogę zaczynać.

Wziąwszy głęboki wdech, sięgam do plecaka i wymacuję zawiniątko z nożami. Dotykam miękkiej skóry, wyczuwam rysujący się pod nią metal. Co za przyjemność. Zeszłego wieczoru noże zostały przeze mnie naostrzone z największą starannością. Czyżby intuicja podszeptała mi, że to będzie dziś?

Kładę etui na plecach mężczyzny i rozwiązuję sznurki. Skóra rozwija się z cichym brzęknięciem metalu, czuję pod palcami chłód ostrzy. Wybieram nóż z krótką klingą. Wykonam nim pierwsze cięcia, wyznaczając zarysy obszaru skóry, którą będzie trzeba usunąć. Do zdjęcia skóry użyję dłuższego, zakrzywionego noża. Kupuję je w Japonii i płacę jak za zboże, ale warto. Wykonuje się je tą samą techniką co samurajskie miecze. Hartowana stal umożliwia szybkie, precyzyjne cięcia, zupełnie jakby rzeźbiło się w maśle.

Kładę na ziemi obok ciała pozostałe noże i ponownie sprawdzam puls. Słabszy niż poprzednio, ale gość jeszcze żyje. Krew z rany na głowie sączy się coraz wolniej. Czas na szybkie i głębokie kontrolne dźgnięcie w udo. Nie zatchnął się, nawet nie drgnął. Ciemna śliska krew płynie nieprzerwanie. Dobrze. Nie mogę pozwolić, by się ruszał, gdy będę pracować.

To ten moment. Naciągając skórę, wykonuję pierwsze cięcie. Obrysowując wzór, zręcznie przeciągam ostrzem od góry przez sterczącą łopatkę. W ślad za ostrzem wykwita czerwona wstążka, spływająca mi ciepłem na palce. Wstrzymuję oddech, gdy nóż kreśli swą ścieżkę. Rozkoszuję się dreszczem, który wędruje mi po kręgosłupie i tętni gorącą krwią w łędźwiach.

Zanim skończę, ten facet będzie trupem.

Nie jest pierwszy. I nie będzie ostatni.

Marni

Igły nakłuwały skórę tak szybko, że oko nie nadążało za ich ruchem. Pozostawiały w skórze ciemny tusz i wykwitające na powierzchni krwawe różyczki. Marni Mullins co kilka sekund ścierała kropelki złożonym papierowym ręcznikiem, by nie tracić z oczu konturów na ramieniu klienta. Odrobina wazeliny i znów ostre igły zagłębiały się w ciało, rysując nową czarną linię, która zostanie na zawsze. Alchemia skóry i tuszu.

Marni zapamiętywała się w pracy, zahipnotyzowana szumem i delikatną wibracją maszynki do tatuażu. Dzięki niej mogła choć na chwilę odsunąć od siebie niedające spokoju wspomnienia, których nie mogła wymazać.

Czerń i czerwień. Wzór, którym piętnowała ustępliwą skórę. Jej klient wiercił się i podrygiwał pod naciskiem igieł nawet wtedy, gdy Marni przytrzymywała mu ramię. Ból, którego doświadczał, znała aż za dobrze. Czy sama nie wysiedziała aż nazbyt wielu godzin pod ostrym końcem maszynki do tatuażu? Mogła mu współczuć, lecz taka była cena – krótkie cierpienie za coś, co weźmiemy ze sobą do grobu. Coś, czego nikt nie zdoła nam odebrać.

Ramieniem odsunęła z czoła kosmyk ciemnych włosów i zakłęła pod nosem, gdy wpadł jej z powrotem do oczu. Skrzywiła usta, by zdmuchnąć go na bok, i zanurzyła w pojemniczku z wodą siedmioigłowy zestaw, by zmienić tusz z czarnego na grafitowy.

– Marni?

– Co tam, Steve? Jak samopoczucie?

Leżał na kozetce na brzuchu. Obrócił głowę w jej stronę, skrzywił się i zamrugął.

– Może byśmy zrobili przerwę?

Marni zerknęła na zegarek. Pracowała nad nim już od trzech godzin i nagle uświadomiła sobie, jakie ma zeszywniałe barki.

– Jasne. – Trzy godziny to długo nawet jak na takiego stałego klienta jak Steve. – Trzymasz się jak stary – dodała, odkładając maszynkę na stojak obok taboretu.

Powtarzała to klientom niezależnie od tego, czy pękali, czy nie, a Steve z tym swoim wierceniem się i jękami zdecydowanie pękał.

Ale i ona potrzebowała przerwy, bo zaczynała ją męczyć klaustrofobia. Na

konwentach tak było zawsze – tłum, zgiełk, duchota, sztuczne oświetlenie. Hale nie miały okien, więc nie sposób było odgadnąć, czy na zewnątrz jest jasno, czy ciemno, a Marni widoku nieba potrzebowała jak powietrza. Tyle że w hali powietrze było ciężkie i rozgrzane, a wszędzie roiło się od tatuowanych ciał i gapiów pchających się jeden przez drugiego, żeby dojrzeć pracę igieł. Do tego ogłuszający akompaniament rocka i wibrujących maszynek nieustrudzenie nakłuwających skrwawioną skórę.

Wzięła głęboki wdech i dla rozluźnienia mięśni karku zrobiła krążenie głową. Wszystko wokół przesycone było ostrym zapachem farby zmieszanej z krwią i środkiem dezynfekującym. Zdarła czarne lateksowe rękawiczki i wrzuciła je do worka na śmieci. Steve zginał i prostował ramię, na przemian zaciskając i rozluźniając pięść, by przywrócić krążenie. Był zdecydowanie bledszy niż na początku.

– Idź coś przekąsić. I wróć za pół godziny.

Szybko owinęła krwawy wzór samoprzylepną folią dla ochrony przed zanieczyszczeniem i wysłała Steve'a do kafeterii. Jak tylko zniknął jej z oczu, przepchnęła się przez tłum na schodach, przedostała na parter i przez podwójne drzwi ewakuacyjne wypadła na zewnątrz. Wciągnęła w płuca haust chłodnego powietrza, uzmysławiając sobie, że ewakuowała się w ostatniej chwili. Oparła się o zimną betonową ścianę i zamknęła oczy, starając się odprężyć i strząsnąć z siebie przytłaczającą atmosferę hali pełnej ludzi i hałasu.

Otworzyła oczy i zamrugnęła. Sztuczne światło ustąpiło słonecznemu. Nad jej głową kołowały rozkrzyczane mewy, a na końcu nieuczęszczanej bocznej uliczki skrzył się zapraszająco skrawek morza. Z rozkoszą smakując słone powietrze, Marni przeciągnęła się tak, że aż zabolęło. Zrobiła krążenie barkami, nasłuchując trzeszczenia w stawach. Przeszło jej przez myśl, czy nie jest już za stara na tatuowanie. Sęk w tym, że nie potrafiła nic innego i w gruncie rzeczy nie chciała nic innego robić. Tatuowała, odkąd skończyła osiemnaście lat, a od tamtej pory minęło ich już dziewiętnaście. Tysiące metrów kwadratowych wytatuowanej skóry.

Wcisnęła rękę do torby i sprawdziła, czy nie ma w niej paczki papierosów, po czym zagłębiła się w labirynt wąskich uliczek ze sklepikami tworzących dzielnicę The Lanes. W ten weekend przypadało święto państwowe i na ulicach Brighton roiło się od turystów, którzy jak sroki łase na błyskotki zaglądali do sklepów ze staromodną biżuterią i antykami albo wstępowali do zwykownych butików w poszukiwaniu idealnej kreacji na wesele czy perfekcyjnie wyprofilowanych pantofli. Wszystkie jej ulubione kawiarnie były

nabite do ostatniego miejsca, co akurat wcale jej nie obeszło. Dziś wolała sobie zaserwować kofeinę na świeżym powietrzu, więc wydoszła się z The Lanes na North Street i przecięła ją, kierując się do kawiarenki w parku Pavilion Gardens.

Przy ladzie stała długa kolejka, co oznaczało, że Marni prawdopodobnie spóźni się na umówioną godzinę, ale warto było dla tych kilku dodatkowych minut na świeżym powietrzu. Spojrzała w niebo. Błady błękit. Nie jaskrawy lazur letniego dnia, lecz nijaki niebieski, wypłowiwały i rozmyty pasmami chmur, przechodzący w mgliście szary horyzont zlewający się z morzem. Idealny na wiosenny długi weekend.

– Co dla ciebie, skarbie?

– Czarne americano. Podwójne.

– Podwójne americano!

– I muffinkę – dodała po namyśle. Niski poziom cukru. Nie było to może najlepsze jedzenie dla cukrzyka, ale wyrówna to sobie później odpowiednią dawką insuliny.

Z budynku Royal Pavilion wysypali się rozgadani turyści, wciąż jeszcze zdumieni tym, co zobaczyli w środku. To był disnejowski pałac zbudowany w czasach regencji, tort weselny z kremową sztukaterią zwieńczony cebulastymi kopułami i ostrymi wieżyczkami, który zawsze przywodził Marni na myśl Szeherezadę i jej baśnie z tysiąca i jednej nocy. Zakochała się w tej królewskiej rezydencji od pierwszej wizyty w Brighton. Westchnęła i rozejrzała się, gdzie by tu usiąść. Wszystkie ławki były zajęte i ludzie porozkładali się na trawnikach, gdzie jedli, pili, śmiali się i wylegiwali na słońcu.

I wtedy go zobaczyła. Aż ją ścisnęło w dołku. Odwróciła się momentalnie ku stoisku z nadzieją, że jej nie zauważy. Tego ranka nie była w nastroju na spotkanie z mężem. Byłm mężem, dla ścisłości, nieprzewidywalnym nawet przy najlepszych wiatrach i nieodmiennie wywołującym w niej mieszane uczucia. Razem od ślubu, który wzięła jako osiemnastolatka, oddzielnie od dwunastu lat – a jednak nie było dnia, żeby o nim nie myślała. Wspólne wychowywanie dziecka komplikowało związek, który i bez tego był modelowym przykładem splotu miłości i nienawiści.

Zaryzykowała szybkie spojrzenie i przyglądała się przez chwilę, jak Thierry Mullins z mrocznym wyrazem twarzy szybko przemierza trawnik. Zerkał na boki i oglądał się nieufnie za siebie. Co on tu robił? Powinien być w hali konwentu, był w końcu jednym z organizatorów.

– Dwa czterdzieści poproszę.

Zapłaciła za kawę, chwyciła papierowy kubek i chcąc uniknąć wzroku Thierry'ego, oddaliła się ukradkiem w najdalszy kąt kawiarnianego ogródka. Ręce jej się trzęsły, gdy zapalała papierosa. Jak to możliwe, że on wciąż tak na nią działa – ich małżeństwo trwało przecież krócej niż okres po rozwodzie. Thierry wyglądał wciąż tak samo jak wówczas, gdy się poznali: wysoki, szczupły, przystojny, o czarnej skórze pociemniałej od tatuży, które zapoczątkowały jej niesłabnącą fascynację tą żywą sztuką. Unikała go, nieodmiennie czując magnetyczne przyciąganie. Kilkakrotnie prawie się zeszli, ale za każdym razem instynkt samozachowawczy niemal w ostatniej chwili wciskał hamulec. Zostawić tę relację za sobą? Marni porzuciła już wszelką nadzieję. Zaciągnęła się papierosem. Nikotyna, kofeina, głębokie wdechy. Zamknęła oczy i czekała, aż chemia zacznie działać.

Wrzuciła niedopałek do kubka z resztką kawy i rozejrzała się za koszem na śmieci. Dostrzegła stojący na tyłach kawiarni zielony plastikowy kontener. Kiedy uniosła pokrywę, by wyrzucić kubek, ze środka buchnął odór zgnilizny, znacznie gorszy od zwykłego zapachu kosza na śmieci w pogodny dzień. Czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła, wbiła wzrok w ciemne wnętrze kontenera. I natychmiast tego pożałowała.

Wśród zgniecionych puszek po coli, zmiętych gazet i opakowań po jedzeniu na wynos dostrzegła... coś. Blade, błyszczące formy szybko przybierające w jej oczach kształty ręki, nogi, tułowia. Ciało człowieka, bez wątpienia nieżywego. Jakiś ruch – to szczur wgryzał się w brzeg ciemnej rany. Wystraszony nagłym blaskiem, czmychnął z piskiem w głąb pojemnika.

Marni cofnęła się o krok, pozwalając pokrywie opaść z łoskotem.

I uciekła.

Francis

Francis Sullivan zamknął oczy i poczuł, jak komunikant przywiera mu do podniebienia. Spróbował skupić się na szeptach celebransów i wiernych, ale myślami był gdzie indziej.

„Komisarz Francis Sullivan”.

Pozwolił, by słowa przetoczyły mu się bezgłośnie po języku. To będzie on, jutro, pierwszego dnia pracy. Wstrząsający awans wywindował go w wieku dwudziestu dziewięciu lat do roli najmłodszego komisarza w siłach policyjnych hrabstwa Sussex. Denerwował się bardziej niż w pierwszym dniu nauki w szkole średniej. To była wspaniała, lecz jednocześnie przerażająca wiadomość, ogromny kredyt zaufania ze strony zwierzchników. Jasne, egzamin zdał śpiewająco, świetnie się spisał przed komisją, ale skąd tak wczesna promocja przy niewielkim doświadczeniu? Stąd, że ojciec był znanym członkiem palestry? Nieznośne było samo podejrzenie.

Nowy przełożony, nadkomisarz Martin Bradshaw, przekazał mu tę rewelację bez zachwyty i nawet mu nie pogratulował, co kazało się Francisowi zastanowić, czy Bradshaw popiera jego promocję bez zastrzeżeń, czy też komisja przepchnęła jego kandydaturę kolanem.

Aż go skreśliło, gdy pomyślał o Rorym Mackayu. Sierżancie Rorym Mackayu. Pominiętym przy awansie i skazanym na rolę zastępcy. Poznali się w zeszłym tygodniu. Formalna prezentacja w gabinecie zwierzchnika, podczas której nieskończenie bardziej doświadczony sierżant dał mu jasno do zrozumienia, że Francis absolutnie mu nie imponuje. Miał minę człowieka, który w nadgryzionym przed chwilą jabłku znalazł połówkę robaka. Francis, świadomy zagrożeń, jakie pociągało za sobą spoufalanie się z zespołem, zachował uprzejmy dystans, ale już czuł, że współpraca będzie szła jak po grudzie. Facet tylko czekał, aż mu się noga powinie. I Francis wiedział, że nie on jeden.

– Krew Chrystusa.

Raptownie otworzył oczy i uniósł głowę, by zamoczyć usta w kielichu wina.

– Amen – wyszeptał.

Klamka zapadła.

Lecz czy aby na pewno był to awans zbyt wczesny? Na etapie selekcji

Francis zachował spokój i pewność siebie, egzaminy zawsze zdawał śpiewająco, ale czy sukces na papierze nie rozbudził oczekiwań, które trudno mu będzie spełnić? W policji krążyły legendy o przetrąconych karierach; w stołówce słyszał niejedną taką historię, apokryficzną czy nie. O bieganiu, zanim człowiek nauczy się chodzić. O braku wyników. Nie trzeba było katastrofalnej pomyłki, wystarczyło kilka zawikłanych spraw prowadzących donikąd, by znaleźć się na bocznym torze.

Niepokój stłumił satysfakcję. Komisarz Francis Sullivan. Od otrzymania wiadomości o awansie kiepsko spał. Zniknęło tak niezbędne skupienie umysłu. Jasna cholera! Miał może mleko pod nosem, ale nie był durniem. Zespół, którym będzie kierować, wątpił w jego kompetencje. Uważał, że jest niegotowy. Od pierwszego dnia, od pierwszej sprawy Francis musiał przeciągnąć ich na swoją stronę, inaczej zyskają dowód, że mieli rację, bo proszę: nawalił. Już oni się o to postarają. Tymczasem Bradshaw i Mackay będą się przyglądać z boku. Znajdą sposób, by podstawić mu nogę.

Podniósł wzrok na rzeźbioną postać Chrystusa na krzyżu nad prezbiterium. Syn Boży obrzucił go krytycznym spojrzeniem i Francis szybko spuścił wzrok. Wymamrotał konwencjonalną modlitwę, przeżegnał się, wstał i wrócił do swojej ławki w poczuciu winy z powodu braku skupienia.

Pieśń na zakończenie odśpiewał mechanicznie i kompletnie bez zrozumienia, po czym ukląkł do modlitwy. Na kilka minut zdołał się skupić na tym, po co przyszedł. Poświęcił kilka myśli matce, poprosił o wstawiennictwo za siostrę i błogosławieństwo dla ich opiekunów. O ojcu nie wspomniał.

Wibracja w kieszeni spodni ustała tak szybko, że nie zdążył wyjąć telefonu, a już odezwał się dźwięk powiadomienia. Krótki sygnał, lecz w cichym kościele wydał się długi i głośny. Odwróciły się głowy, jakaś kobieta syknęła z dezaprobatą. Francis gorączkowo wyciszył urządzenie, zerkając na księdza Williama. Przepraszająco pochylił głowę, po czym ukradkiem odczytał esemesa.

Od sierżanta Mackaya.

Początek pracy dzień wcześniej. Znalezione zwłoki. Pavilion Gardens Cafe.

Odczekawszy chwilę dla przyzwoitości, Francis wyszedł z ławki i ruszył ku otwartym drzwiom kościoła. Stojący w kruchcie ojciec William zacisnął usta.

– Francis.

– Najmocniej przepraszam. Myślałem, że jest wyłączony.

– Ja nie o tym. Przez całą mszę sprawiałeś wrażenie zmartwionego. Chciałbyś o tym porozmawiać?

– Chciałbym – odparł Francis szczerze. – Ale muszę iść. Znalaziono zwłoki.

Ksiądz William przeżegnał się, mamrocząc coś z cicha, po czym położył dłoń na rękę Francisa.

– Tyle wokół zła. Martwię się z powodu tej twojej pracy, Francis. Zawsze poruszasz się na krawędzi rozpacz.

– Lecz po stronie sprawiedliwości.

– Pamiętaj, że najwyższym sędzią jest Bóg.

Kobieta w średnim wieku trąciła Francisa łokciem. Zajął księdzu zbyt wiele czasu.

„Najwyższy sędzia”. Francis przeżuł tę frazę. Może w niebie. Tu, na ziemi, ściganie zła popełnianego przez innych spadało na ludzi takich jak on. To do niego należało wyśledzenie zabójcy i postawienie go przed obliczem sprawiedliwości. Dostał właśnie pierwsze zadanie i był zdecydowany osiągnąć sukces. Tak mu dopomóż Bóg.

A gdyby pomoc z góry nie nadeszła, to sam sobie, do cholery, poradzi.

Francis

Jechał New Road w żółtym tempie. Nawet błękitne błyski włączonego koguta nie zdołały skłonić rozleniwionych świętowaniem tłumów do ustąpienia mu miejsca na drodze. Cholerna przestrzeń wspólna – oznacza to tylko tyle, że nikt nie wie, komu należy się konkretny kawałek jezdni, więc każdy zakłada, że ma pierwszeństwo. Włączył na sekundę syrenę, by przegonić jakąś rozlazłą rodzinę, i uniósł brwi, gdy popatrzyli na niego z dezaprobatą.

Zaparkował obok ławek stojących przed Pavilion Gardens Cafe, zajeżdżając przy tym drogę jakiejś kobiecie karmiącej dzieci lodami. Spojrzała na niego wilkiem, ale większość ludzi zbitych w tłumek przy ogrodzeniu, zajęta podpatrywaniem działań policji, w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Spostrzegł z ulgą, że cały teren ogrodzono taśmą, a kilkoro mundurowych pilnowało, by nikt przez nią nie przechodził.

Pokazał legitymację służbową i został szybko przepuszczony. Natychmiast spostrzegł go Rory Mackay, który podszedł od stóp do głów w biały papierowy kombinezon, jaki zwykle nosili technicy.

– Sierżancie Mackay – Francis skinął mu głową – proszę o krótki raport. Co my tu mamy?

– Proponowałbym najpierw się ubrać – odparł jego podwładny, obrzucając go krytycznym spojrzeniem. – W bagażniku mam zapasowy kombinezon.

Francis poszedł za Mackayem do srebrnego mitsubishi zaparkowanego wraz z kilkoma innymi pojazdami tuż przy bramie północnej, po drugiej stronie ogrodów. Zrugął się w duchu, że nie zatroszczył się wcześniej o odzież ochronną potrzebną na miejscu zbrodni. I że nie pomyślał, by przyjechać od strony, z której łatwiej byłoby mu zaparkować.

– Myślałem, szefie, że dojedzie pan trochę szybciej, zważywszy, że to pana pierwsza sprawa.

Francis poczuł, jak napinają mu się mięśnie barków.

– Byłem w kościele, Mackay. W ogóle nie powinienem był odbierać tej wiadomości. W każdym razie nie przed zakończeniem mszy.

– Słusznie, słusznie.

Dostrzegł szyderczy uśmiezek, który przemknął przez twarz sierżanta.

Mackay otworzył bagażnik i rzucił Francisowi kombinezon. Naciągając go,

Francis odnotował w pamięci zawartość bagażnika. Trzy kartony stelli artois w butelkach i dwa kartony heinekena w puszkach. Węgiel na grilla. Nietrudno było zgadnąć, jak Mackay zamierzał spędzić niedzielę.

– Powinien pasować. Uwaga przy nakładaniu, bo łatwo się dra.

– Już je nosiłem – odparł Francis.

Kombinezon był o rozmiar za mały, nogawki spodni za krótkie. Rory oparł się wyczekująco o bok samochodu i zaciągnął elektronicznym papierosem.

– Chodźmy – powiedział Francis, nie przestając poprawiać rękawów, które jakoś nie chciały dobrze leżeć.

Mackay zatrzasnął bagażnik i ruszyli z powrotem w stronę kawiarnianego ogródka.

– O godzinie jedenastej czterdzieści siedem oficer dyżurny przyjął zgłoszenie o znalezieniu zwłok w kontenerze na śmieci za Pavilion Gardens Cafe. W tym momencie nie mamy więcej szczegółów.

– Zidentyfikowano zgłaszającego?

– Kobięcy głos. Rozłączyła się, zanim oficer zdążył ją zapytać o nazwisko.

– Ale mamy numer?

– Telefon na kartę.

Pierwsze, co należało sprawdzić.

– Ciało? – ciągnął Francis.

– Mężczyzna, nagi. Wyraźnie widoczna rana tłuczona głowy oraz rozległa rana na lewym ramieniu i torsie. Nie zdążyliśmy go jeszcze zidentyfikować, ale ma sporo tatuaży, co powinno ułatwić sprawę.

– Mamy coś jeszcze?

– Przeszukamy kontener, jak wyjmą z niego denata. Czekamy tylko na Rose.

Rose Lewis, doświadczona lekarka medycyny sądowej. Francis miał okazję pracować z nią kilkakrotnie, gdy tyrał jeszcze jako szeregowy funkcjonariusz dochodzeniówki.

– Dobra, to może sam rzucę okiem – powiedział.

W drodze do kawiarni Rory odebrał telefon.

– Tak, idzie obok mnie... Zabezpieczyłem teren i kazałem technikom wziąć się do roboty. Tak, jest w kontakcie z lekarzem medycyny sądowej... – Zamilkł na chwilę, kiwając głową. – Tak, chyba ma już włączony. Był w kościele.

Z tonu Rory'ego Francis szybko wywnioskował, co jego podwładny o tym wszystkim sądzi. Przyspieszył kroku. Nie tak wyobrażał sobie początek pierwszej sprawy.

Rory poprowadził go przez trawnik, bokiem obchodząc kawiarenkę. Na tyłach budynku stał zielony plastikowy kontener. Gdy podeszli bliżej, Francis poczuł wydobywający się z niego smród i odruchowo zaczął oddychać ustami. Ścisnęło go w gardle i ślina napłynęła mu do ust, ale zwalczył odruch wymiotny. Na miejscu roіło się od ubranych na biało techników, którzy badali wytyczony obszar, mierząc odległości i robiąc zdjęcia.

– Proszę otworzyć – polecił Rory.

Kontenera pilnował funkcjonariusz Tony Hitchins. Kiedy Francis i Rory podeszli, podniósł pokrywę pedałem, starając się nie patrzeć do środka. Francis naciągnął lateksowe rękawiczki i postąpił krok naprzód.

Hitchins, biały jak prześcieradło, mocniej zacisnął wargi. Z bliska Francis zobaczył, jak spazmatycznie przetyka ślinę.

– Jak macie rzygać, Hitchins, to przynajmniej wynieście mi się z miejsca zbrodni – powiedział i złapał pokrywę kontenera w chwili, w której Hitchins rzucił się na oślep przez trawnik. Ledwie zdążył przeleźć pod niebiesko-zieloną taśmą, zgiał się wpół i zwrócił niestrawione resztki niedzielного śniadania. – Na miłość boską – mruknął Francis, a Rory tylko pokręcił głową.

Niemniej nie spojrzeli na siebie. Nie było w jednostce policjanta, który przy tej czy innej okazji nie zwymiotowałby na widok zwłok, i to całkiem niedawno, do czego żaden by się w życiu nie przyznał.

Francis zwrócił się w stronę kontenera i mężnie zajrzał do środka, mając rozpaczliwą nadzieję, że nie powtórzy nietaktu Hitchinsa. Nie dziś.

No i były tam. Jego zwłoki. Pierwsza ofiara, z którą zetknął się jako starszy rangą funkcjonariusz wydziału dochodzeniowo-śledczego. To pierwsze spotkanie było czymś w rodzaju randki w ciemno – z kimś, kogo w nadchodzących tygodniach i miesiącach miał poznać od podszewki. O denacie dowie się więcej, niż wiedział o członkach własnej rodziny – i zapewne odkryje sekrety, które mogą zatrzeć w posadach rodziną denata. Na razie mężczyzna był obcym: szarawym, oślizgłym, gnijącym jak śmieci, w których leżał. Jednak Francis wraz z zespołem sprawdzi, co ten człowiek miał za uszami, dowie się, co go kręciło i kto mógłby sobie życzyć jego śmierci.

Zarejestrował w pamięci wstrząsający obraz: powykręcane członki, skóra w kolorze szpachli, czerwono-czarne mięso odsłonięte na tych fragmentach torsu i twarzy, do których dobrały się szczury. Nie rozpoznałaby go własna matka. Ten obraz miał podsycać gniew Francis a i podtrzymywać jego skupienie.

– Sierzancie Mackay? Sierzancie Mackay?

Słyszając głos za plecami, Francis się odwrócił. Rory szedł już w kierunku taśmy, za którą stał mężczyzna z aparatem na szyi. Prasa.

– Cześć, Tom. – Rory skinął głową. – Tak myślałem, że wcześniej czy później się zjawisz.

– Jak zły duch. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Co tam masz, Mackay?

– Dla ciebie nic. We właściwym momencie wydamy komunikat dla prasy. A póki co spierdalaj.

Obrócił się na pięcie i podszedł z powrotem do Francis.

– Na tego to lepiej uważać. Tom Fitz z „Argusa”. Lgnie do krwawych zbrodni jak ćma.

– Skąd się tu wziął tak szybko?

Rory wzruszył ramionami.

– Monitoruje policyjne częstotliwości, stawia posterunkowym piwo.

Sprawiał wrażenie, jakby to była normalka.

– No, ja bym go chyba nie drażnił – powiedział Francis. – Prasa może się przydać, nigdy nie wia...

– Jest Rose – przerwał mu Rory. Najwyraźniej nie interesowało go przypochlebianie się dziennikarzom.

– Proszę, proszę, komisarz Sullivan – dobiegł ich przyjazny głos.

Francis odwrócił się i zobaczył Rose Lewis, jak dyryguje Hitchinsem, który doszedł już trochę do siebie, każąc mu rozstawić nieopodal rozmaite torby ze sprzętem. Była tak drobniutka, że ginęła nawet w najmniejszym kombinezonie, a po to, żeby zajrzeć do kontenera, musiała stanąć na palcach.

– Uuu, paskudnie – orzekła, po czym odwróciła się do Hitchinsa. – Mógłbyś mi znaleźć jakiś stołek, drabinkę czy cokolwiek, żebym mogła zrobić zdjęcia?

– Tak, oczywiście.

– Rozumiem, że powinnam ci pogratulować? – powiedziała do Sullivana, gdy Hitchins oddalił się z powierzoną mu misją.

– Tak, dzięki – odparł Francis. – Miło spędzasz długi weekend?

– Już tak. To pierwsze zwłoki, którymi dowodzisz?

Francis skinął głową.

– Zatem należałoby tego nie spać, co?

Tego akurat był doskonale świadom.

Jak również konsekwencji porażki.

Marni

Wiele ją kosztował telefon na policję. Świadomość, że ma na linii funkcjonariusza, rozstroiła ją prawie tak samo jak odkrycie zwłok. Mówiła krótko, nie podała nazwiska. Wciąż jeszcze wytrącało ją z równowagi wszystko, co miało jakikolwiek związek z wymiarem sprawiedliwości. Przenosiło z powrotem do czasów, o których wolałaby zapomnieć. Przyrzekła sobie nigdy więcej nie mieć z nim do czynienia.

Gdy wróciła na konwent, Steve czekał już od pół godziny, a minęło kolejne pół, zanim ręce przestały jej drżeć na tyle, by mogła dalej tatuować. Kiedy wreszcie zdradziła mu niechętnie, co się wydarzyło, wcale nie wyglądał na wstrząśniętego, lecz wykazał niezdrowe zainteresowanie jej odkryciem. W czym ostatecznie nie było może nic zaskakującego.

– Nigdy nie widziałem trupa. Naprawdę tak śmierdzi, jak mówią? A policja przyjechała od razu?

Marni tak rozbolała głowa, że odwołała ostatniego klienta. Rozdygotana i wyżęta emocjonalnie obserwowała, jak uczestnicy konwentu opuszczają budynek. Raz po raz stawały jej przed oczami zwłoki, w nozdrzach czuła nadal trupi fetor. Trzeba było tam w ogóle nie chodzić. Rozmowa z policją rozstroiła ją jeszcze bardziej. Znowu wypływały wspomnienia, które z takim trudem tłumiła.

Uporządkowawszy miejsce pracy przed kolejnym dniem, ruszyła samotnie brzegiem morza, chcąc sobie przewietrzyć głowę. Nie potrafiła przestać myśleć o tym, co zobaczyła. Jak zalsniła mokra skóra mężczyzny, gdy padło na nią światło. I te ciemne plamy. Początkowo wzięła je za siniaki, lecz teraz uzmysłowiła sobie, że to tatuaże. Obraz trwał przed jej oczami jak stop-klatka i Marni coraz wyraźniej dostrzegała szczegóły. Tatuaż po prawej stronie torsu: dłonie złożone do modlitwy. Na łydce studium świętego Sebastiana w czerniach i szarościach, z którymi kontrastowały czerwienią rany od strzał.

Próbowała odsunąć od siebie myśli o zwłokach i skupić się na tym, dokąd idzie. Na nabrzeżu roiło się od ludzi i pojazdów. Z każdą chwilą potężniał przenikliwy warkot za jej plecami, aż wreszcie odwróciła się i zobaczyła dwadzieścia czy trzydzieści skuterów jadących ulicą jeden za drugim, każdy przystrojony lusterkami, wisiorami, proporczykami i lisimi kitami. Na długi

weekend zjechali do miasta modsi, przy czym kierowcy wyróżniali się chyba jeszcze bardziej niż ich pojazdy, poubierani w parki, pasiaste swetry, buty Hush Puppies i pamiątki związane z The Who. Huk wymijających ją skuterów jeszcze bardziej zszargał jej nerwy.

Zapadał zmrok. Sodowe latarnie oblały wszystko kojącym bursztynowym blaskiem, ale Marni tęskniła za jakimś mroczniejszym, spokojniejszym miejscem. Rozkoszując się chłodnym powietrzem, które aż drapało w gardle, zeszła cicho po kamiennych schodkach na plażę.

Trwał odpływ. Po chrzęszczących pod stopami kamykach podeszła do skraju wody. Było zimno i ciemno, miejską kakofonię zagłuszył huk i szelest fal, dźwięk, równie hipnotyzujący jak rozwibrowany zgrzyt głowicy do tatuażu. Marni wciągnęła głęboko słone powietrze i ruszyła dalej, rozmasowując nadwerężone mięśnie prawego ramienia. Jutro czekał ją kolejny długi dzień tatuowania.

Przesunęła wzrokiem po opustoszałej plaży i zatrzymała go na niszczącym molu jakieś sto metrów od brzegu. To wszystko, co zostało z West Pier. Wyraźne na tle ciemnego morza, strawione przez pożar, sterczało z wody pozostawione morzu na pożarcie. Niezwiązane już z brzegiem pępowiną, przeobraziło się w wyspę nawiedzaną przez duchy dawno zapomnianych wczasowiczów i miejscowych oprychów.

Wróciła myślami do chwili odkrycia zwłok. Co by się stało z człowiekiem z kontenera, gdyby go nie znalazła? Czy wylądowałyby na jakimś wysypisku, gdzie rozkładałby się powoli, tatuaze znikalyby na pożeronym ciele, dopóki nie pozostałoby z niego nic oprócz plomb? Czy szczerom podgryzającym trupa wytatuowane mięso smakuje inaczej? A wijącym się czerwiom, białym i tłustym, wgryzającym się w odsłonięte czerwone mięso? Wzdrygnęła się na tę myśl.

Ktokolwiek go tam wrzucił, musiał być sprawcą jego śmierci. Miała szczerą nadzieję, że policja go wyśledzi i dopadnie. Niepokojąca była myśl, że takie rzeczy dzieją się dosłownie za rogiem.

Zadrzała. Przyszła tu oczyścić i uspokoić umysł przed snem. Nie wyszło. Otuliła się mocniej swetrem i ruszyła z powrotem ku światłom Palace Pier, mola tak tętniącego życiem, jak West Pier było martwe. Wiatr zelżał i przez dłuższą chwilę słyszała tylko chrzęst własnych kroków na kamienistej pochyłości. O tej godzinie plaża, na której za dnia roiło się od ludzi, była całkiem pusta.

I wtedy usłyszała krzyk kobiety.

Dreszcz przeleciał jej po plecach jak wiatr po powierzchni stawu. Coś

ścisnęło ją boleśnie w piersi. Obróciła się na pięcie i wbiła wzrok w ciemność.

Sekundę później dobiegł ją wybuch śmiechu: ten sam kobiecy głos, a po chwili również męski. Wzięła głęboki wdech i spróbowała się uspokoić, ale serce waliło jej jak młotem. Najkrótszą drogą ruszyła ku kamiennym schodkom prowadzącym na promenadę, nie dostrzegając już nikogo po drodze.

Zerknęła w kierunku Palace Pier. Między solidnymi stalowymi słupami mocującymi molo kręciły się jakieś niewyraźne postaci. Wilgotne powietrze przyniosło męski głos.

– Sama jesteś, kotku?

Odwróciła się. Jak dla niej wszyscy mogli sobie zgnić w piekle.

– Chodź, chodź! Zabawimy się! – Inny głos, tym razem bliżej.

Marni zignorowała go i w mgnieniu oka znalazła się na promenadzie.

Kiedy szła do domu przez śpiące o tej porze Kemptown, jej myśli wracały uparcie na ten sam tor. Tatuaż ze świętym Sebastianem na nodze mężczyzny. Wiedziała czemu. Przypominał jej prace Thierry'ego, zwłaszcza te wyróżnione czerwienią rany od strzał. Thierry. Co robił Thierry w ogrodach, skoro powinien być na konwencji?

„Boże, błagam, niech nic się z tego nie urodzi”.

Czy tatuaż na ciele ofiary mógł być jedną z prac Thierry'ego? Mało prawdopodobne, a nawet jeśli, to zapewne bez znaczenia. Oczywiście, że bez znaczenia. Dopatrywała się związków z przeszłością, które nie miały racjonalnych podstaw. Tyle że przy Thierryem wszelka racjonalność brała w łeb. Wikłał ją emocjonalnie i choćby nie wiedzieć jak się starała od niego odcinać, to uwikłanie stawało się coraz silniejsze. Jasne, że nie istniał żaden związek między Thierryem a zwłokami z kontenera. To tylko jej obsesja na punkcie człowieka pakującego się we wszystko, co się jej przytrafiało.

Skrećiwszy w Great College Street, dostrzegła światło zapalone w dużym pokoju. Alex był w domu. Osiemnastoletni chłopak nie powinien oglądać matki w takim stanie. Wzięła głęboki wdech dla uspokojenia i wyciągnęła z kieszeni telefon. Choć zwykle starała się unikać Thierry'ego i tłumić swoje uczucia do niego, w chwilach kryzysu to chyba właśnie jego potrzebowała najbardziej. Wybrała numer i z nadzieją na słowa otuchy czekała, aż odbierze.

– Thierry?

Słyszała tylko biały szum. A potem odgłosy baru.

– Marni? – Jego francuska wymowa zmieniała brzmienie jej imienia.

– No a kto?

– Marni! Siedzę w barze z chłopakami. Wpadnij! Charlie i Noa chętnie się

z tobą zobaczą.

Charlie i Noa byli kumplami Thierry'ego z Tatouage Gris, jedyne­go wyłącznie francuskiego studia tatuazu w Brighton. Słyszała w tle ich głosy i śmiech jakichś kobiet. Zapewne fanek tatuazu, które zjechały do miasta na konwent. Thierry chyba upadł na głowę, sądząc, że Marni chciałyby się do nich przyłączyć.

– Nie. Ty przyjdź do mnie. Muszę z tobą porozmawiać.

Poczuła nagle dojmującą potrzebę zobaczenia go i w jednej chwili zdążyła się za nią znienawidzić. Był nałogiem, z którego nie potrafiła się wyzwolić.

– O czym?

– Miałam fatalny dzień.

Usłyszała, jak Thierry wzdycha.

– Thierry, znalazłam zwłoki. – Głos miała o oktawę wyższy niż zwykle. – Boję się...

– Chwileczkę: że co?! Dzwoniłaś na policję?

– No pewnie. Ale muszę porozmawiać z tobą o czymś innym.

– Nie. Jestem zmęczony, *chérie*, i zwłoki mnie nie interesują.

– Thierry, daj spokój. A gdyby to był któryś z naszych znajomych? Albo Alex?

– Ale nie był. Z Alexem rozmawiałem godzinę temu. Karcił Pieprza. Skończyła ci się karma, tak swoją drogą.

Pieprz. Jej buldog.

– Thierry. Proszę.

Thierry wydał z siebie wokalny odpowiednik galijskiego wzruszenia ramionami, nonszalanckie burknięcie, które tak kiedyś uwielbiała.

– Jeśli to jest intryga, która pozwoli ci zaciągnąć mnie do łóżka...

– Pierdol się.

Rozłączyła się i weszła do środka.

– Mama! – Alex wyszedł do drzwi i przytulił ją na powitanie. – Jak dzień?

Marni wyprostowała się i uśmiechnęła.

– Świetnie. Kawał dobrej roboty przy jednym ze stałych klientów i kilka nowych osób. A twój?

Alex wzruszył ramionami.

– Powtórka materiału. Nuda.

Talerz makaronu i kieliszek wina później Marni opadła na kanapę, by posłuchać wiadomości. Alex miał ochotę obejrzeć mecz, ale to ona trzymała pilota. Już po chwili pożałowała, że się go natychmiast nie pozbyła.

...policja apeluje do anonimowego informatora, który odkrył zwłoki w parku Pavilion Gardens w Brighton, o zgłoszenie się w celu udzielenia pomocy w śledztwie. Znalezione w kontenerze na śmieci zwłoki mężczyzny nie zostały jeszcze zidentyfikowane...

– No dobra, Alex, zobaczmy, czy już coś strzelili.

Rzuciła mu pilota, próbując ukryć nagłe drżenie rąk.

– Nie, poczekaj... Kogoś zamordowano, u nas, w Brighton. A tu się nigdy nic nie dzieje.

Ale Marni nie chciała dłużej słuchać.

– Przegapisz bramkę – powiedziała.

Wobec skromnych rozmiarów materiału do zrelacjonowania prenter szybko przeszedł do kolejnej wiadomości i Alex zmienił kanał. Nie było żadnego gola, a mecz okazał się tak kiepski, że chłopak wreszcie się znudził.

– A jak dzisiejszy pokaz?

– W porządku. Twój ojciec robi naprawdę świetną robotę... Brighton zawsze wypada najlepiej ze wszystkich konwentów.

– Mamo... myślisz, że jeszcze kiedykolwiek się zejdziecie?

Marni wino poleciało nie w tę dziurkę. Rozkaszała się i pokręciła głową.

– Skąd ta myśl? – wykrztusiła po chwili.

– Nadal nieźle się dogadujecie.

– Jasne.

Tylko komuś w jego wieku wszystko mogło się wydawać takie proste.

– I wiem, że tata by tego chciał.

Naprawdę? A może jednak świetnie się bawi jako samotny mężczyzna pracujący w zawodzie, w którym jest tyle okazji do flirtu? Marni westchnęła.

– Problem z twoim ojcem nie polega na tym, że nie odpowiada mu *idea* małżeństwa. Po prostu nieszczególnie mu wychodzi jej realizacja w praktyce.

– Nikt nie jest bez wad, mamo. Nawet ty.

Marni Mullins nie śniła. Nie mogła sobie na to pozwolić. Sny były zbyt bolesne. Leżała teraz w mrocznej pustce z szeroko otwartymi oczami; już dawno zarzuciła próby zaśnięcia i teraz jej myśli wędrowały bez celu i punktu zaczepienia. W uszach zadźwięczały jej słowa Alexa. „Tu się nigdy nic nie dzieje”.

Tyle że teraz akurat się zadziało, a ona została w to wciągnięta. Zginął mężczyzna. Było w nim coś, co nie dawało jej spokoju, coś znajomego, ale co? Jeśli był stąd i tu się tatuował, mogła go znać, ale to mało prawdopodobne.

Tysiące ludzi w Brighton miało tatuaże. A nawet gdyby tatuował go Thierry, to co? Dlaczego miałyby to znaczyć, że jest w to w jakikolwiek sposób zamieszany?

Marni włączyła nocną lampkę, na moment się oślepiając, i zacisnęła powieki, walcząc z wzbierającym w piersiach szlochem. Nie było żadnego związku, to tylko jej umysł dryfujący między jawą a snem. Usiadła i pokój się zakołysał. Żółć zaszczypała ją w gardle.

Pobiegła do łazienki i zgięła się nad muszlą, zaciskając zęby i czując napływającą do ust ślinę. Pokonując odruch wymiotny, wzięła kilka głębokich wdechów i wreszcie odzyskała panowanie nad sobą. Z załzawionymi oczami osunęła się na podłogę. Zamrugła. Krew rozprysnięta na białych kaflach, w oddali nieprzyjemny zgrzyt zamykanych metalowych drzwi. Ceglana ściana pomalowana na kolor urzędowej szarości. Napięty brzuch i piersi, ostatni trymestr ciąży. Kroki na korytarzu, stygnąca krew, eksplozja bólu. Klęczała na podłodze, krwawiąca, targana skurczami, wołająca o pomoc. Dostała tylko kolejny kopniak w zebra...

Otworzyła oczy i krew zniknęła. Przywołały ją zwłoki mężczyzny i tatuaż ze świętym Sebastianem. Musiała się dowiedzieć, czy był dziełem Thierry'ego. Miała nadzieję, że nie i że będzie mogła o wszystkim zapomnieć.

Wróciwszy do pokoju, rozejrzała się za telefonem, po czym wygooglowała numer infolinii pozwalającej złożyć anonimowo zawiadomienie o przestępstwie.

Sygnał. Sygnał. Sygnał.

Marni czekała. Nie wiedziała na co. Była druga czterdzieści w nocy i po tamtej stronie nie było nikogo, kto mógłby odebrać telefon.

Poddała się wreszcie. Odrzuciła komórkę i położyła się na plecach, czekając, aż znów osaczą ją lęki.

Rory

Gdy tylko uchyliły się drzwi do prosektorium, nozdrza Rory'ego zaatakował zjełczały odór śmierci, który w ciągu kilku sekund wywołał paskudny posmak w ustach. Rory rozkasłał się i najkrótszą drogą ruszył ku szafce, w której Rose Lewis, o czym dobrze wiedział, trzymała maść mentolową. W tej samej chwili uderzyła w niego ogłuszająca muzyka chóralna. Prosektorium Rose Lewis zdecydowanie nie było przystanią dla skacowanych, o czym zdążył się przekonać na własnej skórze.

– Dobry! – zawołała Rose, przekrzykując hałas. Ze skalpelem w dłoni pochylała się nad zwłokami młodego mężczyzny.

Rory skinął głową, rozsmarowując sobie nad górną wargą przezroczysty żel, który miał zagłuszyć zapach zgniłych jabłek płynu do balsamowania zwłok i przenikliwą octową woń formaliny.

– *Membra Jesu Nostri* – powiedział Francis, który wszedł za Rorym i teraz czekał, aż ten upora się z maścią.

Rory nie miał pojęcia, do czego Francis pije.

– Dobry jesteś, Sullivan, niech cię! – wykrzyknęła Rose, podchodząc do wieży i ścisząc. – Kompozytor?

– Buxtehude.

– Naturalnie. Znakomity do pracy. Libretto opisuje poszczególne części ciała cierpiącego Chrystusa. Ale to zapewne wiesz.

Rory bez komentarza wręczył Francisowi pojemniczek żelu. Inteligenckie popisy. Chyba bawiły ich te rozgrywki, to sprawdzanie, które z nich wykaże się większą erudycją. Nie prowadziło to jednak do rozwiązania sprawy i jeśli Sullivan sądził, że mu zaimponuje, to się mylił.

Rory nie przepadał za prosektorium i starał się skrócić do minimum spędzany tam czas. Nie to, żeby nie lubił Rose, która zawsze odnosiła się do niego bardzo uprzejmie, choć może nieco protekcyjnie, ale pewność, z jaką poruszała się w tej wszechobecnej polarnej bieli, czasem go onieśmiała. Oczywiście jej praca miała ogromną wartość, ale ślady DNA i zaschnięta krew były jedynie fragmentami większej układanki. Coraz wyraźniej rysowała się skłonność do redukcji spraw do obszaru technik kryminalistycznych, tymczasem były to przecież jedynie narzędzia wspierające porządną robotę

dochodzeniową.

Naciągnął lateksowe rękawiczki i podszedł za Francisem do stołu, przy którym pracowała Rose.

W polu widzenia mieli tylko jedne zwłoki, choć znacznie więcej kryło się w stojących pod ścianą stalowych szufladach. Rose wraz z zespołem opracowywała ciała zmarłych metodycznie, składając z odprysków opowieść o ich życiu, wyciągając sekrety z krwi, kości, zębów i mięśni. Rory zastanawiał się, co lekarka zdoła im opowiedzieć o mężczyźnie z kontenera na śmieci.

Ciało leżące przed nią na stole prosektoryjnym częściowo przykryto białym gumowanym prześcieradłem. Denat leżał płasko na plecach, rozcięty od mostka do kości łonowej, a Rose zaczęła już usuwać organy wewnętrzne do dalszych badań. Rory przyjrzał mu się uważnie. Zniekształcona twarz. Szczury nierównomiernie objadły ją z części skóry i mięsa: brakowało fragmentów wargi, nosa i policzków. Podobnie zmasakrowana była część torsu. Skóra na pozostałej części ciała była szara. Przez lata Rory widział dość ciał, żeby nie czuć zmieszania, lecz mimo to spojrzął kątem oka na Francisca. Nie dało się stwierdzić, by widok wytrącił go z równowagi. Sprawiał raczej wrażenie zaintrygowanego. Niemniej w linii szczęki rysowało się jakieś napięcie, którego tam wcześniej nie było.

Rose już obfotografowała i zmierzyła ciało. Wydobyła osad spod paznokci mężczyzny i zarejestrowała na taśmie opis jego wszystkich ran i tatuaży, wyłączając za każdym razem muzykę, by odnotować dany szczegół. W tym momencie palcami obciążniętymi lateksem badała wewnątrz jamy ustnej denata. W następnej kolejności – i było to ostateczne poniżenie, na jakie skazywała ofiarę niewyjaśniona śmierć – zamierzała obejrzeć odbyt w poszukiwaniu śladów niedawnego stosunku bądź napaści seksualnej.

Dwóch policjantów obserwowało ją w milczeniu, póki nie wyłączyła wreszcie dyktafonu i nie podniosła wzroku.

– No i jakie wnioski, Rose? – zapytał Francis.

Wreszcie na dobre wyłączyła muzykę. Bogu niech będą dzięki. Rory'emu działało to na nerwy.

– Wniosek numer jeden: Mike mi nie daruje, że pracuję w poniedziałek w długi weekend.

Francis wzruszył ramionami.

– Gdyby to ode mnie zależało, zabójcy mordowaliby wyłącznie od poniedziałku do piątku od dziewiętej do siedemnastej.

Rose się roześmiała.

– Pomyśl o nadgodzinach – rzucił Rory. – Jak się miewa Laurie?

– Pomyślę. I pięć punktów za to, że pytasz. Dobrze się miewa, właśnie poszedł do pierwszej klasy i jest zachwycony.

– A wracając do tego? – Francis kiwnął głową w stronę ciała.

Rose w mgnieniu oka przywdziała maskę profesjonalizmu.

– No więc tak: oto, co udało się ustalić. Zgon musiał nastąpić od czterdziestu ośmiu do dwudziestu czterech godzin temu, aczkolwiek nie potrafię stwierdzić z całą pewnością, czy po wrzuceniu do śmietnika ofiara jeszcze żyła. Zakładam, że twój zespół będzie sprawdzał, kiedy te kontenery ostatnio opróżniano.

– Hollins nad tym pracuje – wtrącił Rory.

– Kamera monitoringu na New Road?

– Hitchins.

– Uważaj na tych geniuszy, czasem wolno kojarzą – zauważyła Rose.

– Jakbym nie wiedział.

Tarabim i Tarabom: pod takimi przydomkami znano Hitchinsa i Hollinsa w komisariacie. Niesamowicie do siebie podobni, obaj mieli wiecznie potargane brązowe włosy i sylwetki, które w nierównej walce o fizyczną sprawność zapuściły się o jeden pączek za daleko.

Rose popatrzyła na Francis, po czym przeniosła wzrok na Rory'ego.

– Masz szczęście, Francis, że trafił ci się taki zastępca.

Francis skinął głową, ale nic nie powiedział.

„Nie stać go nawet na to, żeby przyznać jej rację” – pomyślał Rory.

– Rory jest jednym z naszych najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy – ciągnęła Rose. – Wie, co robi, więc korzystaj z jego wiedzy.

Francis spochmurniał, a Rory powściągnął szydery uśmiezek. Ze strony Rose nie było to wotum zaufania wobec Sullivana.

– Rory na pewno da mi znać, gdybym się kiedykolwiek pomylił – powiedział Francis i w jego głosie zabrzmiał jakiś ostry ton.

Rory pociągnął nosem. Wobec takiego obrotu rozmowy poczuł się nagle tak samo niezręcznie jak Francis. Dlaczego Rose ich antagonizowała? Jaki miała w tym cel?

– Przyczyną śmierci nie był cios w głowę – powiedziała lekarka, ku jego uldze kierując uwagę z powrotem na zwłoki.

– Jesteś pewna?

Francis zerknął na częściowo ogoloną czaszkę, a Rose obróciła głowę denata lekko na bok, by obaj mogli zobaczyć krwawe zagłębienie.

– Absolutnie. To nie była rana śmiertelna, choć doszło do pęknięcia czaszki

i utraty przytomności, czego efektem mogłoby być trwałe uszkodzenie mózgu.

– Więc co go zabiło? – zapytał Rory.

– Połączenie kilku czynników. – Jej głos pobrzmiewał pewnością siebie. – Po otrzymaniu ciosu stracił przytomność i mam podejrzenie, że jeszcze żył, kiedy zabójca się oddalał. Doszło do znacznej utraty krwi, co w połączeniu z długotrwałą ekspozycją na warunki atmosferyczne spowodowało zgon.

– Utrata krwi wskutek ciosu w głowę? Ta rana nie wygląda na aż tak rozległą – zaoponował Francis.

– Bo nie jest. Chodzi głównie o tę ranę tutaj.

Rose wskazała wielki krwawy obszar zdartej skóry na ramieniu i torsie mężczyzny.

– Myślałem, że to szczury. Post mortem – powiedział Rory.

– Nie do końca. To jest właśnie interesujące i dlatego wezwałam was obu tak szybko.

Rory pochylił się nad krwawą miazgą.

– Przyjrzyj się uważniej – poleciła Rose, po czym odwróciła się i ze stojącego za sobą stołu wzięła lupę. Podała ją Francisowi. – Widzisz? Ślady cięcia. O ile jestem w stanie się zorientować, wykonanego krótkim, bardzo ostrym narzędziem.

Francis pochylił się i obmacał wskazany fragment dłonią w lateksowej rękawiczce.

– Faktycznie.

Podał lupę Rory'emu i cofnął się o krok. Rory uważnie obejrzał ranę. Rose miała rację: takich cięć nie mogło zrobić żadne zwierzę.

– Jeezu!

Zauważył, że Francis się skrzywił. Że też trafił mu się zwierzchnik przewrażliwiony na punkcie wymawiania niektórych imion nadaremno!

– Myślicie, że zrobiono mu to przed czy po tym, jak dostał w łeb? – zapytał.

– Mogę się tylko domyślać, ale raczej po – odpowiedziała Rose. – Taka precyzja byłaby raczej niemożliwa, gdyby ofiara się szarpała. Ale cięcie nie jest głębokie. Nie miało go uśmiercić. Wygląda raczej na to, że ktoś celowo oddzielił skórę od tkanek pod spodem. Ale pewności nie ma. Śladów po ugryzieniach jest tyle samo co cięć.

Rory wciąż patrzył na odsłonięte mięso.

– Cięcia występują wyłącznie na krawędzi rany.

– Te wykonane pionowo owszem – sprostowała Rose. – Ale tu i tu, w środku, widać kilka cięć wykonanych równolegle do skóry.

Rory zamrugał i spojrzał jeszcze raz. W brudnej, poszarpanej miazdze,

w którą zmienił się ten fragment ciała, dostrzegł kilka drobnych, prostych linii wchodzących mocniej w głąb. Aż go ścisnęło w żołądku i musiał na dłuższą chwilę zacisnąć zęby, żeby minął odruch wymiotny.

– Pozwól, że spojrzę.

Rory z ulgą oddał Francisowi szkło powiększające.

– Ale co konkretnie z tego wynika? – zapytał Sullivan, pochylając się nad ciałem.

– Wynika tyle, Francis, że twoją ofiarę obdarto ze skóry. Sądząc z upływu krwi, prawdopodobnie żywcem.

Francis

Czarne dzinsy, czarne koszulki, dredy albo łyse czaszki. Skóra: naga i wytatuowana. Całe litry tuszu wsączonego w żywe mięso omijały i okręzały Francisca tak szybko, że nie nadążał się orientować, jakie przedstawiają obrazy. Czerń, przydymiony błękit, jaskrawe rozbłyski. Co, u diabła, robił na konwencie tatuażystów w poniedziałek w długi weekend? Burkliwego Mackaya wysłał z powrotem na miejsce znalezienia zwłok, by po raz kolejny przeszukał teren z nosem przy ziemi, wypatrując skrawków ciała, które mogły zostać odcięte. On tymczasem zamierzał wyśledzić tajemniczą informatorkę. Telefon, z którego dzwoniono, należał do miejscowej tatuażystki. Z jej strony internetowej dowiedzieli się, że jest na konwencie. Istniała szansa, że będzie miała dla nich więcej informacji. Chciał się dowiedzieć, czemu się tak ukrywa.

Natychmiast po wejściu do hali centrum konferencyjnego Brighton poczuł się boleśnie nie na miejscu. Był chyba jedyną w tym budynku osobą bez tatuażu. A już na pewno jedyną w garniturze.

Wziąwszy głęboki, ale ostrożny wdech, wmieszał się w tłum.

Zaroiło się wokół niego od ludzi przepychających się i wpadających na siebie, wyciągających szyje, by zajrzeć do poszczególnych stoisk. I jeszcze ten łoskot! Z każdego boksu dudnił heavy metal, mieszając się z muzyką nadawaną przez sąsiada.

Ponad wszystko to wybijał się nieprzerwany elektroniczny skowyt. Francis nie umiał zlokalizować jego źródła, dopóki jego wzrok nie spoczął na nagich plecach mężczyzny tatuowanego przez kobietę; z wyrysowywanych przez nią czarnych linii sączyła się krew. Wysoki dźwięk okazał się połączeniem warkotu i bzyczenia wszystkich pracujących maszynek do tatuażu. Francis kręciło w nosie od zapachu miedzi. Poczul obrzydzenie.

W hali było duszno i zdecydowanie za ciepło. Przepchnął się na koniec alejki, marząc o tym, by wyjść na otwartą przestrzeń. Nigdy nie pojął, na czym polega urok tatuażu, a przy takim nagromadzeniu jego amatorów już w ogóle nie umiał sobie tego wyobrazić. Przecież ci wszyscy ludzie musieli wyglądać znacznie lepiej, zanim trwale oznakowali swoje ciała. Było w tym coś plemiennego. Ale o jakie plemię chodziło, jakie znaczenie za tym stało?

– Przepraszam...

Złapał za ramię przechodzącego mężczyznę. Tamten odwrócił głowę i spojrzał. Na lewej skroni miał wytatuowaną niebieską pajęczynę znikającą pod linią włosów.

– Tak?

– Szukam tatuażystki Marni Mullins.

Z tylnej kieszeni dżinsów chłopak wyciągnął złożoną kartkę: plan hali z numerami stoisk. Odwrócił go i przestudiował znajdującą się po drugiej stronie listę wystawców.

– Marni...?

– Mullins.

Chłopak pochylił głowę i Francis dostrzegł resztę pajęczej sieci i wyraźny zarys słowa wytatuowanego pod krótkimi blond włosami. Zmrużył oczy, ale nie potrafił go odczytać.

– Stoisko numer dwadzieścia osiem.

– Dziękuję.

– Spoko.

I chłopak zniknął w rozgorączkowanym tłumie, nim Francis zdążył rzucić okiem na plan, by zorientować się, gdzie dokładnie znajduje się stoisko numer dwadzieścia osiem. Wszystko jedno. Zapewne numery były uporządkowane rosnąco. Z westchnieniem zanurkował z powrotem w tłum.

Trzy dziewczyny w sukienkach bez ramiączek z lat pięćdziesiątych i fryzurami à la Marilyn Monroe popchnęły go naprzód w chmurze duszących perfum. Ramiona, ręce i dekolty miały upstrzone jaskrawymi tatuażami kwiatusków, rozświetlonych błękitników i serduszek przebitych strzałami. Chcąc umknąć przed ich trajkotaniem, Francis został nieco z tyłu i natychmiast wpadł w sam środek stada o całkiem innym charakterze: gotów z atramentowoczarnymi włosami. Sprawdził numery stoisk i precyzyjnie przeszedł do sąsiedniego rzędu.

Przepychał się w tłumie łokciami, rozglądając na prawo i lewo. Na jakiejś kozetce leżała prawie naga dziewczyna, a dwaj mocno wytatuowani mężczyźni pracowali jednocześnie nad efektywnym chińskim tatużem na jej plecach. Jakiś facet siedział w milczeniu, z zamkniętymi oczami i łzami spływającymi po policzkach, a tymczasem tatuażystka zręcznymi ruchami wyrysowywała mu na przedramieniu geometryczne wzory. Na tym samym stoisku jakiś mężczyzna tatuował klientowi czubek głowy. „Boże, przecież to musi boleć”. Tatuowany gość nawet się nie skrzywił.

Wreszcie Francis dotarł do numeru dwadzieścia osiem, gdzie nad klientką

na pierwszy rzut oka o wiele za młodą na tatuaż pracowała jakaś kobieta. Czy to do niej należał zidentyfikowany przez nich telefon? Drobna i muskularna, skuliła się na taborecie, bez reszty skupiona na tatuowaniu na nodze dziewczyny wielkiej szkarłatno-różowej chryzantemy. Rozwichrzone włosy ściągnęła w przekrzywiony kucyk, ale więcej się ich wymknęło, niż dało uwięzić gumką. Ubrana w spłowiełe dżinsowe ogrodniczki i biały podkoszulek, prezentowała silne ramiona pokryte od góry do dołu tatuażami eksplodującymi zielenią i błękitem.

Francis przyglądał się jej przez chwilę. Pomoże mu czy ma coś na sumieniu? Istniał pewien gatunek ludzi, którzy zdawali się czerpać przyjemność z bycia zamieszani w morderstwo, ale ta kobieta do nich nie należała. Wolą pozostać anonimowa.

Odkaszlnął głośno, by zwrócić na siebie uwagę.

– Pani Marni Mullins?

Kobieta pracowała nad wzorem wysoko na udzie klientki, niemal w pachwinie. Dziewczyna poruszała niespokojnie drugą nogą, a wyrwijące się jej ciche jęki zabrzmiały w uszach Francisa tak, jakby przynajmniej po części płynęły z rozkoszy. Nieporuszona Marni Mullins nie przestawała wypełniać płatków kwiatu ciemnoróżowym tuszem.

Powtórzył pytanie. Tym razem kobieta odjęła igłę od gładkiej skóry i podniosła głowę, by zobaczyć, kto do niej mówi.

– Słucham.

Zauważył teraz, że jest starsza, niż się spodziewał, dobrze po trzydziestce. W kącikach oczu rysowały się już drobne kurze łapki.

– Mam zarezerwowane wszystko aż do wieczora – powiedziała, wracając spojrzeniem do swojej pracy.

– Ja nie w sprawie tatuażu.

Znów uniosła wzrok, tym razem obdarzając go baczniejszą uwagą. Pokręciła głową, jakby uzmysławiając sobie, że się pomyliła.

– No nie. Jasne, że nie. Czego pan chce?

– Komisarz Francis Sullivan. Prowadzę dochodzenie w sprawie zdarzenia, do którego doszło wczoraj w Pavilion Gardens. Byłbym wdzięczny, gdyby odłożyła pani swój pistolet do tatuażu i ze mną porozmawiała.

– Maszynkę.

– Co?

– To jest maszynka do tatuażu. Nie nazywamy tego pistoletem do tatuażu.

– Maszynkę do tatuażu, wszystko jedno. Muszę z panią porozmawiać.

– Niby czemu? – To nie był przyjazny ton.

– Mam powody przypuszczać, że znalazła pani wczoraj zwłoki i powiadomiła anonimowo posterunek w Brighton. Zgadza się?

Tatuowana dziewczyna, zainteresowawszy się nagle, podniosła głowę, żeby sprawdzić, z kim Marni rozmawia.

– Snała pani kogoś, kto został samordowany? – zapytała. Francis zauważył, że sepleni.

– Nie – odparła Marni. – To długa historia.

– Wolałbym porozmawiać na osobności.

Marni Mullins zmarszczyła brwi.

– Jeśli zależy panu na rozmowie na osobności, to proszę dać mi godzinę. Nie mogę przerwać w połowie.

– Utrudnia pani dochodzenie.

– A pan nadweręza mój budżet i zawodową reputację. Za godzinę będę wolna, a jeśli to pana nie satysfakcjonuje, będzie mnie pan musiał aresztować.

To nie była dobra metoda zachęcenia świadka do współpracy, więc przybrał bardziej pojednawczy ton.

– No dobrze, porozmawiajmy za godzinę. Gdzie?

– Proszę na mnie czekać w biurze organizacyjnym konwentu, na parterze. Z kawą.

Tatuowana dziewczyna uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Ma pan szas, żeby też sobie zrobić tatuasz.

Francis ją zignorował.

– Do zobaczenia za godzinę – powiedział do Marni.

– Sztywniak – wymamrotała dziewczyna, układając się z powrotem na kozetce.

– Policjant – odparła Marni Mullins, najwyraźniej mając w nosie, że Francis może ją usłyszeć. – Nigdy nic nie kumają. Człowiek stara się im pomóc, a ci od razu uważają, że mogą się po nim przejechać. Pieprzone gnoje.

Marni

Dwie godziny później Marni pchnęła drzwi do maleńkiego biura konwentu, zastanawiając się, czy to nie był błąd, że zadzwoniła na policję. Wizyta tyczkowatego młodego komisarza na jej stoisku wytrąciła ją z równowagi i wcale nie cieszyła jej perspektywa przechodzenia przez to wszystko jeszcze raz. Gdy weszła do środka, pomieszczenie, w którym Francis Sullivan zdołał wcisnąć swoje długie kończyny pod biurko Thierry'ego, wydało jej się jeszcze mniejsze niż zwykle.

Wypchane teczki, sterty papierów, chybotliwe wieże pudełek z programami konwentu, kubki niedopitej kawy, śmieci wysypujące się z kosza – to wszystko знаła aż nazbyt dobrze. Zdjęła stertę dokumentów z krzesła stojącego naprzeciw biurka i usiadła na nim, nie spuszczać czujnego spojrzenia z Francisa. Jak na komisarza wyglądał bardzo młodo i jakoś kompletnie nie na miejscu. Na konwent tatuażu nikt nie zakłada garnituru. Nigdy. W jej świecie mężczyźni w garniturach nie byli posłańcami dobrej nowiny.

Ale nie umknął jej pewien chłopięcy urok tego młodego człowieka. Wyglądał interesująco: sterczące jasnorude włosy, lekko niesymetryczne usta, haczykowany nos. Czekanie na nią chyba nie poprawiło mu nastroju. Spiorunował ją wzrokiem zza biurka.

– Przepraszam, że tak pana przetrzymałam.

Była prawie pewna, że nie zabrzmiało to szczerze.

Skwitował to nieznacznym skinieniem głowy, po czym wskazał jej jeden z dwóch papierowych kubków.

– To pani znalazła zwłoki, prawda? – Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że to nie jest pytanie.

Pociągnęła łyk kawy. Zimnej.

– Zgłosiłam to.

– Nie podała pani nazwiska.

– Ale i tak najwyraźniej wie pan, kim jestem. Jakim cudem?

Komisarz Sullivan zmarszczył brwi.

– Mógłbym panią oskarżyć o marnowanie czasu i zasobów policji. Pół dnia spędziłem na namierzaniu pani numeru komórki.

Typowe. Nie przyszedł jej, naturalnie, podziękować za spełnienie obywatelskiego obowiązku. Ten sam kanał co zwykle: ona nabroiła, zaś jego zadaniem jest udzielenie jej reprimendy. Traciła czas, a klienci czekali.

– Przykro mi – powiedziała, po czym odsunęła krzesło i wstała, żeby wyjść.

Sullivan poderwał się i zastąpił jej drogę.

– Jeszcze nie skończyliśmy. Muszę się dowiedzieć, co dokładnie zdarzyło się w chwili, w której znalazła pani ciało. Może mi to pani opowiedzieć tutaj albo w komisariacie.

Marni usiadła. Jasna cholera! Nie cierpiała komisariatów. Po jaką ciężką poszła wczoraj do parku?!

– Czego chciałby się pan dowiedzieć?

Sullivan również usiadł.

– Wszystkiego od samego początku. Proszę niczego nie pomijać.

Z kieszeni na piersi wyjął smartfona i odczepił od niego rysik, gotów notować.

Marni wzięła łyk kawy, skrzywiła się na brak cukru, po czym opisała szczegółowo okoliczności znalezienia zwłok. Zajęło jej to zaledwie trzy minuty – tyle trwało odebranie kawy, wypalenie papierosa i otwarcie kontenera – ale Sullivan spisał jej zeznania co do słowa. Nie powiedziała mu, że przyczała się w kącie, żeby uniknąć spotkania z Thierryem.

– Czy zauważyła pani na zwłokach jakieś tatuaże?

– Tak... Niezbyt wyraźnie. Nie pamiętam, co przedstawiały.

Policjant położył dłoń na brązowej kopercie spoczywającej na biurku.

– Miał całkiem sporo tatuaży i muszę wiedzieć, kto je zrobił.

– A po co panu ta wiedza?

Serce waliło jej jak młotem.

Sullivan podniósł kopertę. Na zawalonym papierami biurku położył plik zdjęć dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Wszystkie przedstawiały powiększenia tatuaży: święty Sebastian, złożone do modlitwy dłonie, orzeł siedzący na czaszce, drut kolczasty owinięty wokół bicepsa. Marni pochyliła się i przyjrzała uważnie.

– Wygląda na to, że facet był kolekcjonerem.

– Kolekcjonerem?

– Kolekcjonerem tatuaży – wyjaśniła. – Proszę spojrzeć, każdy został wykonany przez innego tatuażystę.

– Skąd pani to wie?

Teraz z kolei ona zmiażdżyła go wzrokiem.

– Zupełnie inne style. Na ogół porządnie zrobione, ale każdy z innej parafii.

Przyjrzała się im wszystkim po kolei. Ręce złożone do modlitwy były dobre, naprawdę dobre. Musiał za nie nieźle wybulić. Odłożyła zdjęcie i wzięła następne. Uderzona jak obuchem, upuściła je, uzmysławiając sobie, że prawie na pewno patrzy na tatuaż wykonany przez jej byłego męża. Tak jak podejrzewała, święty Sebastian ze zdjęcia miał wszystkie charakterystyczne cechy prac Thierry'ego.

– Rozpoznaje go pani?

Szybko, zbyt gwałtownie pokręciła głową.

– Pani Mullins... Proszę. To może mieć znaczenie dla sprawy.

Niepokój Marni rósł. Nie chciała mieć znów do czynienia z policją, a to mogłoby się jej przytrafić, gdyby Thierry był w jakikolwiek sposób zamieszany w tę sprawę. Nie chciała się wikłać. Pokręciła w milczeniu głową, marząc, by Sullivan dał jej spokój.

– Jeśli nie powie pani czegoś, co pani wie, a co może mieć znaczenie dla sprawy, będę panią musiał aresztować za utrudnianie śledztwa. Jeśli zatem wie pani, kto wykonał ten tatuaż, w pani interesie jest podzielenie się ze mną tą informacją.

Marni zamknęła oczy i zacisnęła usta. Czy to naprawdę mogło mieć związek ze śmiercią tamtego faceta?

– Wygląda na jedną z prac mojego byłego męża.

Jej głos był zaledwie szeptem.

– Co pani powiedziała?

Marni zaschło w ustach. Przełknęła ślinę.

– Mojego byłego męża.

Tym razem głośniej.

– Nazwisko?

– Thierry Mullins. Ale nie oznacza to chyba, pana zdaniem, że łączy go coś z tą sprawą? Ten człowiek miał mnóstwo tatuażu innych projektantów.

Sullivan zignorował jej pytanie.

– Powie mi pani, gdzie mogę znaleźć pana Mullinsa? Muszę zamienić z nim dwa słowa... Może pomoże mi zidentyfikować tego człowieka.

– Siedzi pan w jego biurze – odpowiedziała odruchowo.

Kilka minut później rozległ się odgłos stopy uderzającej o dolną część drzwi i w wejściu stanął Thierry Mullins, najwyraźniej niezbyt uszczęśliwiony wezwaniem do własnego biura. Powiódł oskarżycielskim spojrzeniem od Marni do komisarza Sullivana, po czym wyzywająco złożył ręce na piersi.

– Nie wiem, o co chodzi, ale nie mam czasu.

Marni pierwszy raz od miesiąca widziała go z bliska. Choć wychowywali

wspólnie nastolatka, zwykle ze wszystkich sił starała się unikać kontaktów z byłym mężem; niedzielny wieczór był wyjątkiem. Ale skoro już przed nią stał, napawała się jego widokiem, wciągając w nozdrza zapach potu zmieszanego z wodą kolońską. Thierry sprawiał wrażenie zmęczonego i miał więcej siwych włosów niż wówczas, gdy byli jeszcze razem. Prześliznęła spojrzeniem po ciemnych tatuażach na jego muskularnych ramionach, po czym opanowała się wreszcie i odwróciła wzrok.

Był, przynajmniej przez chwilę, fantastycznym mężem. W chaosie pierwszych lat ich związku zawsze stał u jej boku. Poślubił ją, gdy okazało się, że jest w ciąży, pomagał jej przetrwać traumę, zajmował się Alexem, kiedy nie dawała rady... Ale to było dawno temu. Ich małżeństwo przetrwało zaledwie siedem lat, nim zaczął się rozglądać na boki.

Dla Alexa był oczywiście nadal wspaniałym ojcem, nigdy nie twierdziła inaczej. I w ogóle miał sporo miłych cech. Niebieski ptak, dusza towarzystwa, serdeczny, życzliwy, z poczuciem humoru, szczerze rozdający wyrazy uznania, choć może zbyt popędliwy. Znakomicie tatuował ikonografię religijną i wykazywał się nieprzeciętnym talentem organizacyjnym przy okazji tego konwentu. A przecież go nienawidziła. Tak sobie w każdym razie wmawiała dla własnego bezpieczeństwa. W ich wspólnej przeszłości było zbyt wiele mrocznych spraw. Chociaż samo słuchanie jego francuskiej wymowy przywodziło jej na myśl rzeczy, które nawet w trakcie ich małżeństwa można by uznać za nieprzyzwoite.

– Marni? – Thierry spojrzał na nią z góry z wyrazem niepokoju na twarzy.

Sullivan przejął inicjatywę, wyciągając ku niemu zdjęcie.

– Czy to pan zrobił ten tatuaż?

Thierry zerknął na fotografię i popatrzył na Marni.

– Co jest grane?

Pytanie było bez wątpienia skierowane do niej.

– Panie Mullins...

– Pan jest z policji, tak?

– Tak.

– Jeśli przyszedł pan napastować moją żonę, to na pana miejscu dobrze bym się zastanowił. – I odwrócił się, chcąc wyjść z biura.

– Thierry. – Marni dotknęła jego ramienia. – Poczekaj.

– Chodź, Marni, zabieramy się stąd.

– Panie Mullins, jeśli pan to zrobi, przyjdę po pana z nakazem aresztowania. Proszę mi tylko odpowiedzieć na pytanie, czy wykonał pan ten tatuaż. – Sullivan nie opuścił wyciągniętej ręki z fotografią.

Thierry postąpił krok w jego stronę. Był kilkanaście centymetrów wyższy i znacznie lepiej umięśniony niż policjant.

– A jeśli tak, to co? – niemal warknął.

– Staramy się zidentyfikować zwłoki. Czy może nam pan pomóc?

W głosie Francisa pojawił się nieobecny wcześniej ton znużenia.

Thierry spojrzął na Marni.

– Ktoś gdzieś musi wiedzieć, co się stało z tym mężczyzną – powiedziała, na nowo wstrząśnięta grozą tego, co zobaczyła.

Kiwnęła głową, ponagłając Thierry'ego do obejrzenia zdjęcia.

Przyjrzał mu się uważnie.

– Możliwe – odparł.

Wskazała jego laptopa, który leżał na końcu biurka.

– No to może sprawdź? Jeśli to twoja robota, to będziesz miał ją w plikach.

Thierry pochylił się nad biurkiem i uruchomił komputer. Wszyscy troje wpatrzyli się w ekran. Thierry kliknął folder „Tatuaze tematycznie” i wyświetlił listę plików o nazwach w stylu „Maryja P”, „Anioły zemsty”, „Lucyfer”. Wybrał plik „Święty S” i na ekranie pojawiła się seria tatuazy przedstawiających świętego Sebastiana. Thierry przewinął kilka z nich, ale każdy znacznie różnił się od tego na zdjęciu: inne rozmieszczenie strzał w torsie, głowa przechylona na drugą stronę.

– Poczekaj – rzuciła Marni. – To ten. Cofnij.

Thierry przewinął z powrotem.

– Masz rację – przyznał. – Są takie same.

– Nazwisko klienta? – zapytał Sullivan.

– Nie pamiętam nazwiska każdego człowieka, którego zdarzyło mi się tatuować. To były setki ludzi.

– A po dacie? – podsunęła Marni. – W pliku ze zdjęciem będziesz miał datę. A potem możesz sprawdzić w kalendarzu, z kim byłeś na ten dzień umówiony.

Thierry kliknął właściwości pliku.

– Czwarty maja 2010.

Marni i Francis czekali w milczeniu, aż ściągnie sobie kalendarz. Słysząc było tylko uderzenia palców na klawiaturze.

– Evan Armstrong. Już sobie przypominam. Wielki facet. Skurwiel zwał bez płacenia.

– Owszem, był raczej rośły – potwierdził Francis.

– Miał już kilka prac, kiedy go robiłem.

Francis skorzystał ze sposobności, by wcisnąć Thierry'emu resztę zdjęć.

– To jego pozostałe tatuaze. Czy zrobił pan którykolwiek z nich?

Marni pokręciła głową, ale Thierry zaczął przeglądać zdjęcia bez pośpiechu.

– Nie. Miał już ten drut kolczasty. Co za gówno... – Przeszedł do złożonych dłoni. – O, to znacznie lepsze...

Przejrzał wszystkie zdjęcia. Marni zerknęła mu przez ramię. Przy ostatnim aż się zatchnęła. Thierry zaklął cicho po francusku. Gapili się na kolorowe zdjęcie torsu. Cały lewy bark był jedną krwawą miazgą. Rana rozciągała się na plecy i piersi. Francis pospiesznie chwycił zdjęcie.

– Przepraszam. Tego nie miałem państwu pokazywać.

– Szczury? – zapytał Thierry.

– Tak, ale... – Francis wziął głęboki wdech. – Sądzymy, że ktoś wyciął z tego obszaru fragment skóry.

Marni poderwała głowę i wbiła w niego wzrok.

– Proszę mi to pokazać jeszcze raz.

Podał jej zdjęcie, a ona przestudiowała je, tym razem uważniej, czując, jak krew odpływa jej z twarzy. Powiodła palcem po brzegach rany, po czym przesunęła dłonią po twarzy, jakby chciała wymazać ten obraz sprzed oczu.

– Wiem, co to jest – powiedziała powoli, wskazując ranę palcem. – Spójrzcie na kształt: jest symetryczny. Ktoś zdjął z jego ciała tatuaż.

II

Lubię pracować na żywym organizmie.

Cichy szmer ostrza przecinającego skórę. Miedziany zapach szkarłatu. Ciepło świeżej krwi spływającej mi kaskadą między palcami.

Tęsknię za tym.

Zdjęta z ciała skóra umiera, jednak jeszcze przez chwilę jest ciepła i ustępliwa. Lepka po tej stronie, na której krzepnie krew. Druga strona może być naga albo owłosiona. Gładka, jeśli to skóra kobiety, bardziej szorstka, jeśli mężczyzny. Chociaż nie zawsze. Niektórzy mają bardzo miękką skórę.

Czas znaleźć kolejną ofiarę. Czas naostrzyć noże. Czas wrócić do pracy. Lista jest wciąż długa.

Francis

Otwierając drzwi do swojego gabinetu, Francis zastanawiał się, czy może sobie pogratulować startu. Szybka identyfikacja ofiary mogła przesądzić o rozwiązaniu zagadki; większość morderców miała jakieś związki ze swoimi ofiarami.

– Rory! – zawołał, siadając na krześle.

Sierżant stanął w drzwiach.

– Mamy jakieś potwierdzenie, że nasze zwłoki faktycznie należą do człowieka, którego wskazał Mullins?

– I owszem – powiedział Rory, podając Francisowi plik zdjęć. – Wyciągnąłem je z Facebooka, z profilu Evana Armstronga. To bez dwóch zdań nasza ofiara. Tatuaze, którymi się chwalił na profilu, odpowiadają tym na ciele denata.

Francis przyjrzał się uważnie fotkom z wakacji przedstawiającym Evana Armstronga w szortach i koszulce z krótkim rękawem.

– Mimo to i tak potrzebujemy formalnej identyfikacji ciała przez członka rodziny – dodał Rory.

– Dziękuję, Rory. Jestem tego świadomy.

Na tym właśnie polegał minus odkrycia tożsamości zamordowanego. Najgorsza część tej roboty – i nie było to zadanie, które mógłby zwalić na kogoś z członków zespołu, bo to jego obowiązkiem było przekazanie wiadomości rodzinie. Nie można tego spać, bo prośba o identyfikację ciała jest najgorszym koszmarem, jaki może spotkać pogrążonego w żałobie rodzica czy małżonka.

Francis widział kobietę, która poproszona o identyfikację ofiary gwałtu i morderstwa, omyłkowo uznanej za jej córkę, zemdląca na widok twarzy nieżyjącej obcej dziewczyny. Przygotowała się na spotkanie z dzieckiem, a odmówiono jej nawet tej marnej pociechy, rzucając ją na powrót w otchłań niewiedzy. Nie chciał tego oglądać nigdy więcej.

I nie zobaczy. Nie tym razem. Evan Armstrong nie żył, a jego rodzina miała prawo o tym wiedzieć. Do ich domu w Worthing jechał z poczuciem, że ciągnie za sobą czarną chmurę – całun cierpienia, z którego w dającej się przewidzieć przyszłości nie zdołają się otrząsnąć. I marną namiastkę pociechy,

którą być może zdoła im zapewnić, o ile postawi zabójcę Evana przed sądem.

– Jeszcze o niczym nie wiedzą? – zapytała Angie Burton, towarzysząca mu w roli koordynatorki współpracy z rodziną.

– Nie wpłynęło do nas zawiadomienie o zaginięciu, więc trudno powiedzieć, czy w ogóle zorientowali się, że zniknął. Nie figurował w kartotece, nie mamy nic na temat żadnego z pozostałych członków jego rodziny. Prawdopodobnie będzie to dla nich grom z jasnego nieba.

Angie milczała, nie okazując zdenerwowania. Miała ładną, szczerą buzię i miły sposób bycia. Jej rola polegała na tym, by w chwili ogromnego stresu zapewnić wsparcie członkom rodziny, niezdającym sobie sprawy, że jej prawdziwym zadaniem jest wydobyć z nich informacji na temat ofiary i jej życia.

– No to jesteście – powiedział Francis, zajeżdżając pod bliźniak z lat trzydziestych z imitacją belek z czasów Tudorów i nałożonymi na szyby ołowianymi szprosami.

Gdy stanęli na schodkach i nacisnęli dzwonek, Angie smutno pokręciła głową.

– Evan, tak? – upewniła się.

Francis skinął głową. Zza drzwi dobiegły odgłosy zbliżających się kroków.

Usiedli z filiżankami mocnej herbaty z mlekiem i Francis nie mógł już dłużej zwlekać. Rodzice Evana, oboje na emeryturze, wpatrywali się w niego z niespokojnym wyczekiwaniem. Matka wyglądała, jakby się miała rozplakać, choć nic jeszcze nie zostało powiedziane. Milczenie się przeciągało.

– Mówiłaś, że są z policji, tak? – Ojciec Evana zwrócił się do żony.

– Tak, to prawda – powiedział Francis. – Komisarz Francis Sullivan. A to funkcjonariusz Angela Burton.

– Angie – dodała Angela.

Francis urwał, patrząc przez okno na działki rozciągające się za ogrodem rodziców Evana. Jakaś starsza kobieta nieporadnie dłubała w ziemi widłami, co na moment go zahipnotyzowało.

„Nie każ im dłużej czekać. Nie, daj im jeszcze kilka sekund, nim wysadzisz ich życie w powietrze...”

Przełknął ślinę i wreszcie się odezwał.

– Szanowni państwo, kiedy ostatnio widzieli się państwo z Evanem albo z nim rozmawiali?

To wystarczyło. Matka Evana gwałtownie wciągnęła powietrze, położyła dłoń na dekolcie i skłęsa w fotelu jak przekłuty balon.

– Nie zadzwonił w weekend. Mówiłam, że coś jest nie tak – powiedziała do

męża, który natychmiast otoczył ją ramieniem.

– Poczekaj, Sharon. Pozwól panu dokończyć. – Twarz mu spopieląła i Francis usłyszał drzenie w jego głosie.

– W niedzielę rano w parku Pavilion Gardens w Brighton znaleziono zwłoki. Mamy powody przypuszczać, że to może być Evan.

Nie chciał im mówić, że znaleziono je w śmietniku.

– To dlatego nie dzwonił... – wyszeptała Sharon Armstrong. – Musiał już nie żyć, kiedy próbowałam się do niego dodzwonić. – W jej głosie pojawiły się wysokie, histeryczne tony, spojrzenie błędziło niespokojnie po pokoju, nie ogniskując się na nikim i na niczym.

Angie podeszła, uklękła przy niej i otoczyła ją ramieniem w talii, drugą ręką nakrywając jej dłonie.

– Macie pewność, że to on? – zapytał ojciec Evana łamiącym się głosem.

To była najtrudniejsza część. Francis wyjaśnił najłagodniej, jak potrafił, że rysy twarzy są w tym momencie dość zniekształcone. Nie wspomniał o sznurach. Powiedział też, że tożsamość ofiary pozwoliły określić tatuaże na jej ciele. Zapytał o brakujący tatuaż z ramienia.

Potem, choć pamiętał fakty, które podawał, nie umiał sobie przypomnieć przebiegu konwersacji. Ktoś rozlał herbatę, Angie przyniosła szklankę wody dla Sharon, która w pewnym momencie prawie zemdląła, Dave po obejrzeniu zdjęć tatuaży skamieniał w milczeniu.

– Wiedziałam, że te tatuaże to błąd – powiedziała Sharon, ściskając szklankę pobielającymi palcami. – To one go zabiły, prawda?

– Nie wiesz tego – powiedział jej mąż i zwrócił twarz ku Francisowi. – Prawda?

– Na tym etapie trudno nam snuć przypuszczenia co do motywu, nie wiemy też dokładnie, co się wydarzyło. Ale wiedzą państwo o tym, że miał tatuaż na lewym ramieniu, prawda?

Dave skinął głową.

– Jakieś plemienne wzory. Na ramieniu, na plecach i na klatce piersiowej. Ostatni, jaki sobie zrobił, chyba zaledwie kilka miesięcy temu. Wysłał nam zdjęcie.

Francisowi serce zabiło mocniej na widok fotografii. Przedstawiała Evana Armstronga bez koszulki; zrobiono ją z tyłu, by pokazać kunsztowny geometryczny wzór wytatuowany na lewym ramieniu i rozlewający się na plecy i żebra. Nie widzieli go w jego galerii zdjęć na Facebooku. Francis natychmiast zorientował się, że odpowiada mniej więcej kształtowi rany na ciele ofiary. Musiał przekazać to zdjęcie Rose Lewis, a potem dowiedzieć się,

co za potwór to zrobił i dlaczego. Co zaszło w życiu Evana Armstronga, że skończył w śmietniku jako ofiara morderstwa? W mediach społecznościowych nie było nic, co wskazywałoby na uwikłanie Evana w działalność przestępczą, co nie oznaczało, oczywiście, że był czysty jak łąza. Tymczasem Francis miał nadzieję, że Armstrongowie odnajdą pociechę w troskliwości Angie, w Bogu albo w jakichś nieodkrytych dotąd pokładach wewnętrznej siły.

Po wyjściu na zewnątrz zerknął na telefon. Kilka nieodebranych połączeń i wiadomość wysłana z nieznanego numeru. Wybrał numer poczty głosowej i słuchał.

Witam, komisarzu Sullivan. Nazywam się Tom Fitz, pracuję dla „Argusa”. Zastanawiam się, czy nie miałby pan dla mnie jakichś informacji o zwłokach znalezionych w Pavilion Gardens. Rozumiem, że to pan prowadzi tę sprawę. Mamy zamiar puścić jutro artykuł na ten temat, więc chciałbym się dowiedzieć, kim była ofiara i co, zdaniem policji, właściwie się wydarzyło. Proszę do mnie dzwonić na numer...

Francis się rozłączył. Mowy nie ma.

Wrócił do biura w posepnym nastroju, dręczony natrętnymi pytaniami. Czemu Bóg stworzył świat, w którym obecne jest takie zło? Czemu ktoś miałby wycinać człowiekowi tatuaż i pozostawić go na pewną śmierć? Czy to była kara albo zemsta? Jakiś rytuał? Może wzór tatuażu niósł ze sobą sekretne przesłanie? Nie miał pojęcia. Zanim zaparkował pod komisariatem, przed oczami migotała mu już aura zwiastująca początek migreny. Gdzie, do diabła, miał szukać odpowiedzi?

Francis

Nadkomisarz Bradshaw zwołał zebranie zespołu, by omówić dotychczasowe postępy sprawy. Zebranie, na które Francis się spóźnił. Niepunktualność była cechą, której nie znosił u innych, więc potwornie go zirytowało, że sam zaliczył taką wpadkę, zwłaszcza w obecności nowego szefa. Spiał się, by wśliznąć się do biura niezauważenie i bezgłośnie.

– Miło, że pan wpadł, komisarzu Sullivan. – Głos nadkomisarza Bradshawa odbił się echem od ścian przestronnego biura i zawibrował Francisowi w piersi. – Rozumiem, że spóźnił się pan nie bez powodu?

Ktoś westchnął teatralnie i Francis usłyszał, jak jeden z szeregowych funkcjonariuszy szepce do drugiego: „Nam nie uszłoby to płazem”.

Jeszcze długa droga dzieliła go od zdobycia szacunku zespołu.

– Przekazywałem wiadomość rodzinie ofiary, panie nadkomisarzu.

Czuł się tak, jakby znów był w szkole.

– Cóż, mam nadzieję, że udało się panu uzyskać jakieś przydatne informacje. – Wykrzywiona szyderczym uśmiechem twarz Bradshawa sprawiała wrażenie jeszcze brzydszej niż zwykle.

– Sądzę, że tak. – Francis bardzo się starał, by w jego głosie nie słyhać było sarkazmu. – Mamy już kilka informacji na temat ofiary.

– Za chwilę do tego dojdziemy, komisarzu Sullivan. Mów dalej, Rory.

A zatem spóźnienie oznaczało, że Francis scedował swoje uprawnienia na zastępcę. Nie mógł do tego dopuścić.

– Może ja... – przerwał, wysuwając się zza Hitchinsa, żeby szef mógł go zobaczyć w całej okazałości.

– A wie pan, na czym skończył Rory?

Francis pokręcił głową.

Bradshaw uniósł brwi i skinął głową na Mackaya.

– Rose Lewis przeprowadziła autopsję, wyniki badań powinniśmy dostać jutro po południu – podjął Rory. – Analiza miejsca zdarzenia sugeruje, że ofiarę uderzono tępym narzędziem w głowę na ścieżce w pobliżu kawiarni, a następnie wciągnięto w krzaki.

– Mamy przybliżoną godzinę zgonu?

– Między północą a szóstą rano w niedzielę. Wyniki autopsji powinny

pozwoić Rose określić to z większą dokładnością.

– Właśnie przed chwilą rozmawiałem z Rose – wtrącił Francis.

Bradshaw skinął na niego, by mówił dalej.

– Wnioskując z temperatury ciała i stopnia stężenia pośmiertnego, oszacowała, że zgon nastąpił pomiędzy drugą piętnaście a drugą czterdzieści pięć. Ciepło panujące w śmietniku skróciło czas stężenia pośmiertnego i podtrzymało ciepłotę ciała. Rose natrafiła na wczesne objawy rozkładu przyspieszonego temperaturą.

– Coś jeszcze?

– Plamy opadowe powstały przed wyjęciem ciała z kontenera. Krew spłynęła do najniższej położonych partii ciała w pozycji, w której znaleźliśmy zwłoki, co oznacza, że ofiarę wrzucono tam albo jeszcze za życia, albo najwyżej godzinę po śmierci.

Skończywszy mówić, Francis rozejrzał się po sali. Nikt z zespołu na niego nie patrzył.

– No dobrze, porozmawiajmy teraz o ofierze – powiedział Bradshaw. – Rory?

– Mężczyzna nazywał się Evan Armstrong.

– Dobrze, dobrze, to już wiemy. Dlaczego został zabity i kto mógł to zrobić? Francis wykorzystał sposobność. W końcu to było jego śledztwo.

– Kształt rany na ramieniu sugeruje, że z ciała zdjęto tatuaż. Od rodziców ofiary otrzymałem zdjęcie potwierdzające tę teorię.

– Mamy jakieś przypuszczenia, czemu ktoś mógłby coś takiego zrobić?

Francis pokręcił głową.

– Na razie nic.

– Ta kobieta, tatuażystka, nie potrafiła wam nic powiedzieć?

– To dość świeża teoria, panie nadkomisarzu. Właśnie miałem włączyć do tego zespół.

– Sullivan, niech pan, do cholery, nie kisi takich informacji, tylko przekazuje je dalej. Musimy wiedzieć na temat Armstronga wszystko: adres, praca, przyjaciele, sposób spędzania wolnego czasu. No dalej, przecież wie pan, co robić.

Oczywiście, że wiedział, do cholery, i robiłby to właśnie w tej chwili, gdyby nie musiał tracić czasu na zebranie.

– Tak, panie nadkomisarzu. Burton pracuje obecnie z rodziną. Wydobędzie z nich, co się da.

– A co z kamerami monitoringu na New Road i w parku? Wyszło tam coś ciekawego?

– Hollins? – przynaglił Francis, zdecydowany dowieść, że zlecił zespołowi jakieś zadania.

– Hitchins – odparł Hollins.

Posterunkowy Hitchins przeniósł wzrok z Francisa na Bradshawa.

– Nic, co miałyby oczywisty związek ze zbrodnią – zaczął. – W sobotni wieczór było sporo ludzi. Mnóstwo przyjezdnych z okazji konwentu tatuażu. Kluby pękały w szwach. Na ulicach pijanych na kopy, masa lujów w kapturach...

– To za mało – powiedział Francis. – Dowiedz się od znajomych Armstronga, co robił tamtego wieczoru, i przyjrzyj się jeszcze raz.

– Czy ktokolwiek zgłosił zaginięcie? – zapytał Bradshaw.

– Jak dotąd nikt – odparł Rory.

– Czemu mnie to, kurna, nie dziwi? – mruknął Bradshaw. – No dobra, działajcie. Jutro przed lunchem chcę mieć podejrzanych na tablicy. – Dobitnie popukał w nią palcem. – I jeszcze jedno: kto gadał z prasą? Dziś rano pojawił się artykuł w „Argusie”. Same, kurna, domysły, ale macie to zdusić w zarodku. – Po czym wycelował palec wskazujący we Francisa. – A pana, Sullivan, chcę widzieć za sekundę w moim gabinecie.

– Tak jest.

Poszedł za Bradshawem korytarzem i po schodach na górę, aż wreszcie dotarli do gabinetu na najwyższym piętrze. Czuł, że znów zostanie objechany, jakby nie dość było upokorzeń w centrum koordynacyjnym. Nadkomisarz niecierpliwym gestem zaprosił go do środka, ale nie zaproponował mu krzesła, choć sam z głośnym westchnieniem usiadł w swoim fotelu. Francis stanął przed biurkiem na baczność i czekał na nieuniknione.

– Słuchaj, chłopcze, nie chcę cię obsztorcowywać w obecności twojego zespołu, ale musisz się bardziej postarać. Rekomendowałem cię na to stanowisko, bo uważałem, że poradzisz sobie z robotą. To było ogromne ryzyko.

– Wiem, panie nadkomisarzu, i jestem ogromnie wdzięczny...

– W dupie mam twoją wdzięczność. Zaufałem ci, a na razie nie dostaję nic w zamian. Za dużo pytań bez odpowiedzi. Jaki jest motyw? Rozbój, który poszedł niezgodnie z planem? Zakładam, że nie znalazłeś przy zwłokach portfela, bo inaczej szybciej ustalibyś tożsamość denata. Rozmawiałeś z mundurowymi, którzy w niedzielę pełnili służbę na mieście? Skontaktuj się z oficerem dyżurnym, który pracował tamtej nocy, i poproś go o listę zgłoszeń.

Bradshaw był człowiekiem, który rozkoszował się brzmieniem własnego

głosu, a Francis wiedział z doświadczenia, że najlepsze, co może zrobić, to dać mu się wygadać.

– Czego jeszcze dowiedziałeś się od kobiety, która znalazła zwłoki? To wszystko, co ci powiedziała? No dalej, słucham: co masz dla mnie?

– Bardzo niechętnie odpowiadała na pytania. Przy zwłokach nie znaleziono portfela, jednak w kieszeni dżinsów była znaczna suma pieniędzy, więc nie wydaje mi się, żebyśmy mogli mówić o motywie rabunkowym. Hitchens sprawdza mundurowych, a Angie Burton przesłuchuje rodzinę.

– Na czym polega problem z tym twoim świadkiem? Dlaczego od razu nie podała nazwiska?

– Chyba jest negatywnie usposobiona do policji.

Bradshaw przewrócił oczami.

– No to się dowiedz dlaczego. To może mieć znaczenie dla sprawy. Ludzie zwykle nie są nastawieni do nas wrogo bez powodu!

Francis zawahał się, czy nie wspomnieć jeszcze raz o swojej teorii zdartego z ciała tatuażu, ale Bradshaw zdążył już poczerwieniec i Francis nie miał pewności, czy zaraz go krew nie zaleje.

– Jej mąż. Miał w ogóle coś sensownego do powiedzenia?

– W sumie nie, jeśli nie liczyć tego, że ofiara nie zapłaciła mu za tatuaż, ale to stara sprawa.

Jeszcze nie skończył zdania, a już Bradshaw zjeżył się i wyprostował na krześle.

– Denat był winny człowiekowi pieniądze, po czym ktoś go wykończył? A zatem to jest, do cholery, pierwszy podejrzany, którego powinienes przypiąć na tablicy! Wezwij go i przesłuchaj! I nie trać więcej, kurwa, mojego cennego czasu na odwalanie za ciebie roboty, bo za moment tym statkiem będzie dowodził Rory, a ty do emerytury będziesz zaiwaniał w drogówce!

III

Trzeźwa ocena sytuacji zajmuje mi zaledwie kilka sekund. Żeby nic mi nie zakłócało dalszej pracy, najlepiej będzie obciąć mu głowę. Skalpowanie to niewiarygodnie delikatna robota. Obcięcie głowy będzie wymagało piły i okaże się zapewne nadprogramowo krwawe. Nie odzyskał przytomności, oddech ma urywany, ale to pocieszający dźwięk, kiedy tak sobie rozmyślam o logistyce.

Nie tu, nie na tym podziemnym parkingu, gdzie udało mi się zająć go od tyłu ze szmatką nasączoną chloroformem. Nie w mojej anonimowej białej furgonetce. I nie w gospodarstwie, bo nie chcę zamieszania z zacieraniem śladów i wywożeniem ciała. A jednak mam ochotę zostawić swojemu ulubionemu miastu kolejny bilecik wizytowy. Za pierwszym razem to był park otaczający Royal Pavilion. Może tego należałoby ukryć gdzieś na nabrzeżu? Tam są takie ciemne zakamarki, w których dałoby się schować ciało, a morze do świtu zmyje całą krew. Doskonała anonimowość. Nim go znajdą w jakiejś czarnej dziurze, zniknie wszystko, co mogłoby łączyć z tą zbrodnią furgonetkę, gospodarstwo albo mnie.

Cichy jęk chłopaka – bo to w sumie jeszcze chłopak – ostrzega mnie, że chloroform przestaje działać. Szybko odkręcam brązową szklaną butelkę i nasączam szmatkę. Chłopak wciąga opar z westchnieniem, jakim mógłby przywitać starego znajomego, a ja spokojnie planuję dalej.

W samochodzie mam piłę masarską, dzięki której szybko uporam się z jego karkiem. Zerkam na zegarek: dochodzi druga. Mnóstwo czasu. Przed świtem dojadę do pracowni i jeśli głowa będzie jeszcze ciepła, łatwo ściągnę tatuaż, zanim skóra zeszywnieje. Z pozbyciem się tego, co zostanie z głowy, już nie trzeba się będzie spieszyć.

Plan opracowany, zatem czas brać się do roboty. Spinam mu nadgarstki i kostki trytytką – zanim skończę, na bank odzyska przytomność. Obwiązuję mu głowę ręcznikiem kąpielowym, wiążąc na potylicy wielki supeł. Nie mogę uszkodzić skóry – martwa się nie goi i byle draśnięcie może zeszpecił tatuaż na zawsze.

Czterdzieści minut później przejeżdżam Madeira Drive obok mola i kieruję się w stronę Kemptown. Nie mija mnie po drodze ani jeden samochód. Na szczęście noc jest bezksiężycowa – gdy tylko zjedziemy na plażę, połknie nas aksamitna czerń. Wjeżdżam na opustoszały parking i zatrzymuję samochód. Czekam kilka minut, lecz wszędzie panuje martwa cisza. O tej godzinie nikt nie wyprowadza psa. Muszę wierzyć w to, że nikogo tu nie ma.

Chłopak z tyłu zaczyna wić się i jęczeć. Jest przerażony. Smród jego strachu

i szczytn sprawia mi przyjemność, bawi mnie myśl, by nie odbierać mu przytomności, póki ostrze piły nie sprowadzi go z powrotem w ciemność, ale nie ma sensu ryzykować szamotaniny, w której jego cenna główka mogłaby się roztrzaskać na kamieniach. Minutę później, gdy chloroform na powrót zmusza go do posłuszeństwa, otwieram tylne drzwi furgonetki. Nikt nie widzi, jak wywlekam go na drogę i ciągnę na brzeg morza. Nikt nie widzi, jak przykucam na skraju wody i zabieram się do cięcia. Nikt nie słyszy, jak ząbkowane ostrze rozdziera z szelestem skórę i zgrzyta na kości. Zatrzaszczyły się o to zajadłe fale. Jesteśmy całkiem sami, gdy ciało chłopaka osuwa się na płyciznę. Nikt nie widzi wstęg krwi rozplywających się w ciemnej wodzie. Nikt poza samotną mewą wypatrującą rozbieganym spojrzeniem resztek jedzenia. I oczywiście poza mną.

Po powrocie do pracowni stoję twarzą w twarz z obciętą głową. Otwarte brązowe oczy wyglądają jak szklane. Na lewej skroni całkiem dobrze widoczna pajęczyna, lecz odrastający język zaciera kształt gigantycznego pajaka siedzącego na czubku głowy. Pieszczę wypukłość czaszki, rozkoszując się szorstkością włosów na miękkich opuszkach moich palców. To już nie potrwa długo – włosy zostaną usunięte chemicznie w procesie garbowania. Głowa jest jeszcze ciepła, skóra miękka i ustepliwa. Odwracam ją i czytam legendę wpisaną we włókna sieci rozchodzącej się spod pajęczego brzucha.

Beliar

Potylicę otacza imię Szatana wypisane ozdobną gotycką kaligrafią.

„Albo jakaż jest wspólnota Chrystusa z Beliarem lub wierzącego z niewiernym?” – szepczę, wyjmując nóż. Mój ulubiony wers z Drugiego Listu do Koryntian. Pokażę temu skurwielowi, który we mnie nie wierzył. Pokażę mu, co potrafię. Kiedy własna rodzina cię odrzuca, płomień ambicji rozpala się jeszcze żywiej, prawda? Pragniesz osiągnąć sukces, by dokonać zemsty.

Pozostaje mi tylko powoli zacząć oddzielać skórę od kości.

Rory

Rory Mackay z rozkoszą obserwował, jak szef miota się na zebraniu. Pierwszą wpadką było samo spóźnienie, a każda kolejna wypowiedź jeszcze bardziej go pogrążała. Tymczasem Rory zatroszczył się o to, by zaliczono mu na plus najmniejsze kiwnięcie palcem, co oznaczało, że przy odrobinie szczęścia kariera Sullivana zakończy się wraz z jego pierwszą sprawą.

Zespół miał jednak zadanie do wykonania i należało się cieszyć, że tym razem ofiarą nie było dziecko ani zgwałcona dziewczyna. Ta sprawa nie powinna nastęrczać problemów. Wykluczyli motyw rabunkowy, więc odpadli wszyscy złodzieje, a większość złoczyńców w Brighton Rory miał rozpracowanych. Gotów był się założyć, że zabójstwo to efekt gangsterskich porachunków. Kiedy już jego kompletnie zielony szef wszystko koncertowo spieprzy, Rory przejmie pałeczkę i odbierze mu stanowisko komisarza, bez dwóch zdań.

Bradshaw rzędził, ale jak na trzydzieści sześć godzin śledztwa tablica w centrum koordynacyjnym nie wyglądała wcale tak źle. Umieścili na niej zdjęcia ciała i miejsca zbrodni, zidentyfikowali ofiarę; Rory był przekonany, że jak trochę pogrzebią w przeszłości Armstronga, to będą mieli listę podejrzanych.

– Mackay. Na słówko.

Rory podniósł wzrok znad biurka i zobaczył stojącego w drzwiach Sullivana.

– Jasne, szefie – odparł, podnosząc się z krzesła.

Poszedł za Sullivanem do kanciapy, szumnie zwanej gabinetem, którą przydzielono mu razem z awansem. W przetartym chodniku wciąż jeszcze znać było dziury wypalone papierosami w czasach, gdy w pracy można było palić, lecz najmłodszy komisarz w hrabstwie nie mógł przecież liczyć na narożny pokój z widokiem.

„Ale ten powinien być mój”.

Francis usiadł po jednej stronie biurka, Rory po drugiej. Milczał, patrząc, jak szef mości się w fotelu i dotyka rogu beżowej koperty leżącej na tacce z przychodzącą korespondencją. Wyglądał jak obsztorcowany uczeń. Na policzki wystąpiły mu czerwone plamy.

– Dobra, wzywamy Marni i Thierry’ego Mullinsów na formalne przesłuchanie. Zagon zespół do roboty. Chciałbym widzieć ich oboje jeszcze dziś wieczór, nim zdążą sobie omówić alibi.

„Oni? Mówi poważnie?”

– Jasne, szefie. Czyli co, są w to jakoś wplątani? Oboje? Sądziłem, że są rozwiedzeni.

– Są. Podobno. Ale w biurze konwentu nie sposób było nie zauważyć łączącego ich porozumienia.

Rory spojrział na komisarza pytająco.

– Myślę, że jest mało prawdopodobne, by którekolwiek z nich miało z tym cokolwiek wspólnego – powiedział Francis. – Niemniej musimy odhaczyć wszystkie rubryczki. Armstrongowi wycięto z ciała tatuaż, więc prasa stanie na głowie, by dowiedzieć się o tej sprawie czegoś więcej. Nie stać nas na przeoczenie oczywistego tropu.

Rory miał wrażenie, jakby słuchał Bradshawa.

– Znaczący wpływamy na połów?

Sullivan westchnął i przekrzywił głowę.

– Policzą nam za to nadgodziny, szefie? – zapytał Rory. Wiedział doskonale, że nie.

– Zmiataj i bierz się do roboty, a o ustalenie nadgodzin z Bradshawem już ja się zatroszczę.

Ciekawe. Chłopak miał tupet i wyglądało na to, że nie boi się sprzeciwić kierownictwu.

– I nie chlap na prawo i lewo jęzorem... Nie chcę czytać doniesień z przebiegu śledztwa w „Argusie”.

Zabrzmiało to jak oskarżenie. Nowy ton zwiastował kres cackania się z prasą.

Było już po dziesiątej wieczorem, gdy Rory zerknął przez prostokątne okienko w drzwiach, by przyjrzeć się świadkowi. Celowa taktyka: przesłuchiwanie świadków, gdy byli już zmęczeni, skutecznie ich rozmiękczało. Przy stole siedziała drobna ciemnowłosa kobieta i nerwowo skręcała w palcach rękaw swetra. Na jej twarzy malowało się poczucie winy kogoś, kto mógł być tylko niewinny.

Rory chwycił za klamkę i wszedł do pokoju.

– Pani Marni Mullins, prawda?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Chciałbym zadać pani kilka pytań dotyczących wydarzeń, do których

doszło w niedzielę w Pavilion Gardens.

– Rozmawiałam już z pana przełożonym. W tej sprawie nie mam nic więcej do dodania.

– Nawet gdyby faktycznie tak było, muszę przyjąć od pani formalne zeznanie.

Wyciągnął notes i zwilżył językiem koniec ołówka.

– Zatem pani Mullins, proszę mi dokładnie opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, gdy poszła pani w niedzielę do Pavilion Gardens.

– Nie zapomniał pan o czymś?

– O czym?

– Nie odczytał mi pan moich praw.

– Bo nie jest pani aresztowana. Jest pani tutaj, by złożyć zeznanie jako świadek.

Kobieta wstała, odsuwając krzesło.

– A zatem mogę wyjść.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

Rory również wstał.

– Pani Mullins, obojgu nam ułatwi życie, jeśli po prostu złoży pani zeznania i dobrowolnie odpowie na kilka pytań. Potrzebujemy na nie odpowiedzi i jeśli ich pani nie udzieli, postaramy się o nakaz aresztowania.

– Sierzancie, proszę mi powiedzieć szczerze: czy jestem podejrzana?

Może i nie była podejrzana, ale najwyraźniej nie zamierzała palcem kiwnąć, żeby mu pomóc. Abstrahując od tego, że chyba rzeczywiście nie miała dla niego żadnej wartościowej informacji.

– Nie jest pani, ale zamordowano człowieka, a pani znalazła zwłoki. To, co nam pani powie, nawet jeśli wyda się pani bez znaczenia, może rzucić światło na osobę mordercy. Proszę usiąść. Miejmy to już za sobą.

Marni Mullins niechętnie usiadła. Coś mówiło Rory'emu, że wie, jak się zachowywać podczas przesłuchania, i że musiała się już zetknąć z policyjnymi procedurami. W sumie nic nadzwyczajnego, biorąc pod uwagę środowisko, w jakim się obracała.

– A teraz proszę mi opowiedzieć, co wydarzyło się w niedzielę.

– Poszłam do parku na kawę. Znalazłam ciało w śmietniku. Zadzwoiłam na policję.

Rundę pierwszą wygrywa Marni Mullins.

Rory poprawił się na krześle.

– Wersja skrócona. Bardzo ładnie. A teraz proszę zrelacjonować mi porządnie i z przypisami, co wydarzyło się w niedzielne przedpołudnie.

Dopiero za szóstym podejściem uzyskał wymagany stopień szczegółowości i poczucie, że wydobył z tej kobiety wszystkie fakty, które mogły okazać się w jakikolwiek sposób przydatne w śledztwie. Pod koniec sprawiała wrażenie wyczerpanej.

– Dziękuję pani za współpracę, pani Mullins. Może pani iść.

Wstała, nie patrząc mu w oczy.

Podszedł do drzwi, żeby ją wyprowadzić. Położył rękę na klamce, przystanął i odwrócił się w jej stronę.

– Jeszcze tylko jedno... Gdzie była pani w niedzielę między pierwszą w nocy a piątą rano?

Marni cofnęła się o krok i oparła o stół.

– Nie może mnie pan o to pytać.

– Ależ mogę. Gdzie była pani w niedzielę między pierwszą a piątą rano?

– Nie jestem podejrzana.

Nie ruszył się spod drzwi. Słyszał jej oddech, płytki i przyspieszony. Była wystraszona.

– Spałam w domu. We własnym łóżku.

– Z mężem?

– Nie mam męża. Jestem ostatnią osobą, z którą mój były miałby ochotę spać.

Głos jej się załamał. Sięgnęła po papierowy kubek stojący na stole. Gdy podnosiła go do ust, ręka drżała jej tak, że większość wody rozlała się na laminowany blat.

Rory był usatysfakcjonowany. Miał nadzieję, że Sullivan obserwujący przesłuchanie na monitorze w sąsiednim pokoju podpatrzy kilka z jego trików. Wyprowadzając Marni Mullins z pokoju i kierując ją do recepcji, minął w korytarzu jej męża odprowadzanego na oddzielne przesłuchanie. Było już po pierwszej w nocy i kilkugodzinne oczekiwanie nie poprawiło mu nastroju.

– *Merde!* – zaklął, piorunując Marni wzrokiem.

Bez słowa odwróciła oczy.

– Miłe małżeńskie powitanie – powiedział Rory. – Nic dziwnego, że puściła go pani kantem.

Spojrzenie, jakim go obrzuciła, było równie wrogie jak to, którym Thierry przed chwilą smagnął ją. Widać było, że oboje grają przeciw policji, a nie ona przeciw niemu. Rory odprowadził ją do drzwi wejściowych, zastanawiając się nad charakterem ich relacji.

– Mogę już iść? – zapytała.

– Tak. Ale być może będziemy jeszcze chcieli z panią porozmawiać.

Oczywiście w zależności od tego, co zezna Thierry Mullins, ale tego już nie zamierzał wyjaśniać.

Kiedy Sullivan wszedł do pokoju przesłuchać Thierry'ego, Rory zastąpił go w punkcie obserwacyjnym.

– Gdzie był pan w niedzielę między pierwszą w nocy a piątą rano? – zapytał Sullivan bez wstępów.

Bam! Prosto z mostu, bez ogródek. Żadnego wzbudzania w podejrzanym złudnego poczucia bezpieczeństwa. Idiota.

– Głównie spałem.

Sullivan zmierzył go spojrzeniem. Mullins miał słuszne pretensje o to, że ściągnęli go tu po tym, jak pomógł zidentyfikować ofiarę, ale szef nie przewidział dla niego żadnej taryfy ulgowej.

– Głównie pan spał? A gdy akurat pan nie spał?

– Przez cały czas byłem w łóżku.

Thierry Mullins ewidentnie chciał zamknąć ten wątek.

– Gdzie?

Zapadła długa cisza. Przynajmniej chłopak miał dość przytomności, by nie przynaglać podejrzanego.

– Wyrwałem laskę. Poszliśmy do niej. Nie pamiętam dokładnie, gdzie to było.

– Gdzie ją pan poznał?

– W Heart and Hand.

Syfiasty pub na North Road. Rory go znał, chociaż w nim nie pijał. W miejscu takim jak to policjanci nie byli mile widziani.

– Imię i nazwisko dziewczyny.

Mullins spojrzał beznamiętnie i wzruszył ramionami.

– Linny? Lizzy? Coś takiego.

– Panie Mullins, czy rozpoznałby ją pan?

– Jasne, miała wytatuowaną na łądźwiach syrenę. W sumie nie ma o czym mówić. Byłem pijany, więc tak szczegółowo to nie pamiętam.

– Obawiam się, że będziemy musieli przyrzeć się temu bardziej szczegółowo.

– Czemu? Myślicie, że miałem cokolwiek wspólnego ze śmiercią Armstronga? Jestem podejrzany? – Mullins dosłownie wypluł z siebie te słowa.

– Był panu winny pieniądze, tak?

Tatuażysta burknął coś, po czym obrócił się na krześle bokiem, by nie

musieć patrzeć na Sullivana. Francis pokpił sprawę. Zniszczył wątłą chęć współpracy i teraz już nie wydobędzie z Thierry'ego Mullinsa nic użytecznego.

– Chcę rozmawiać z prawnikiem. Nie odpowiem na żadne pytanie.

W ekspresowym tempie zabrnęli w ślepy zaułek, więc kiedy Rory'emu zabręczał telefon, odebrał go bez skrępułów.

To był oficer dyżurny. Aż zasapany z wrażenia.

– Mackay? Mamy nowe zwłoki. Przed chwilą wpłynęło zgłoszenie. Na plaży, pod Palace Pier.

Francis

Nikła szansa, że tej nocy choćby się zdrzemnie, stopniała do zera, co Francis uświadomił sobie, gdy pędem zjeżdżali z Old Steine. Rory przejechał na wprost przez puste rondo i po tym nielegalnym manewrze zaparkował samochód na szerokim chodniku przy wejściu na molo. Stały tam już dwa policyjne wozy i karetka z włączonym silnikiem, która ustawiła się na zygzakach przed przejściem dla pieszych na Madeira Drive.

– Ci to już mogli sobie darować – rzucił Rory, kiedy truchtali do kamiennych stopni prowadzących z promenady na plażę.

Francis kiwnął głową. Karetka nie miała tu nic do roboty. Czynności na miejscu zabiorą kilka godzin, po czym zwłoki pojedą prosto do kostnicy.

– Chyba że trzeba będzie hospitalizować Hitchensa, jak zwróci własne flaki.

Ruszyli po kamienistej plaży w kierunku miejsca, gdzie znaleziono ciało.

– Proszę o raport, sierżancie – powiedział Francis, gdy podszedł do nich ogromny umundurowany mężczyzna.

– Ciało znaleziono pod mołem, zawiadomienie złożyło dwoje młodych ludzi jakąś godzinę temu.

– Rozumiem, że kiedy go... czy ją?... znaleźli, był już bezsprzecznie martwy?

– Go. Nie ma głowy.

„No tak. Bezsprzecznie martwy”.

– No to rzućmy okiem.

Sierżant powiódł ich w atramentową ciemność pod mołem. Kilko mundurowych rozwijało białą-niebieską taśmę wokół ogromnych filarów podtrzymujących stalowo-drewnianą konstrukcję.

– A ta para to co tu robiła? – zapytał Francis.

Rory zarechotał.

– Wracali do domu z klubu nocnego – odparł sierżant z kamienną twarzą.

Do Francisa wreszcie dotarło. Poczuł, jak pąsowieją mu policzki.

Rory się nie odezwał. Nie musiał. Gdy szli po kamykach, wyjął z kieszeni czarnego e-papierosa i zaciągnął się chciwie.

Zwłoki leżały na brzuchu tuż nad wodą. Widoczny w mdłym świetle latarki sierżanta kikut szyi był jedną krwawą miazgą. Ofiara była naga od pasa

w górę, ale miała na sobie zakrwawione dżinsy i adidasy. W tylnej kieszeni spodni odznaczało się wybrzuszenie w kształcie portfela. Fale niemal lizały stopę zmarłego.

– Przyływ czy odpływ? – zapytał Francis.

Rory przez dłuższą chwilę omiatał plażę wzrokiem.

– Przyływ, ale chyba lada moment zacznie się cofać.

– Jakby woda miała podejść wyżej, to zaleje nam ślady. Musimy się pospieszyć. – Francis się rozejrzał. – No dobra, nikt tu nie podchodzi, o ile nie ma konkretnej sprawy. Rory, potrzebne nam kombinezony. Sierżancie, proszę się zorientować, kiedy tu dotrą technicy, i rozstawić tu, do cholery, jakieś światła.

Rory ruszył kamienistą plażą z powrotem do samochodu.

– I weźcie się do szukania głowy!

Kiedy dziesięć minut później przyjechała Rose Lewis, Francis zdążył już włożyć kombinezon i rękawiczki. Technicy rozstawili swoje wielkie lampy, pozwalając Francisowi i Rose lepiej przyjrzeć się ciału. W snopach światła skóra mężczyzny nabrała zielonkawego odcienia, a czerń kikuta szyi zmieniła się w głęboką połyskującą czerwień. Drżące skrzczone wisały na zmaltretowanych tkankach jak wielkie galaretowate krople. Brzeg skóry był nierówny i poszarpany, jakby przeżuty czymś, czym wykonano cięcie. Tors był mocno wytatuowany, tatuaże znajdowały się też na ramionach – czarne jak atrament kształty oglądane pod niewłaściwym kątem wydawały się Francisowi całkiem bezsensowne. Rose poleciła jednemu z techników zrobić zdjęcia, tymczasem sama zmierzyła temperaturę ciała, podłóża i powietrza, by określić czas zgonu.

Francis za pomocą jednorazowych szczypców z zestawu do zbierania dowodów wyjął ofierze portfel z kieszeni spodni: składany, z brązowej skóry, ciężki i przemoczony. Przejrzał go pobieżnie w poszukiwaniu dowodu tożsamości. Znalazł pieniądze i zwitek paragonów, lecz nie natrafił na żaden dokument. Wrzucił portfel do plastikowej torebki na dowody. Jeśli paragony całkiem nie rozmiękły, może da się z nich coś wyczytać.

Razem z Rorym kontemplowali ciało.

– Tatuaże – stwierdził Rory.

– Nienaruszone – dorzuciła Rose, podążając za jego tokiem rozumowania.

– No dobra, ale to oznacza, że raczej był notowany. Część wygląda na gangsterskie.

W wyobrażeniach Rory'ego tatuaże równały się powiązaniom przestępczym. Francis do niedawna mógłby zarzucić sobie ten sam schemat

rozumowania, ale teraz nie był już taki pewien. Armstronga prześwietlili na wylot – bez efektów.

– W prosektorium pobiorę mu odciski palców. Tutaj strasznie szybko zmieniają się warunki i wolałabym go stąd zabrać, jak tylko skończymy.

– Zabito go tutaj czy tylko porzucono? – zapytał Francis.

– Za wcześnie, żeby wyrokować. Dekapitacja to morze krwi, chyba że wykonano ją pośmiertnie.

– A wykonano?

Rose poświeciła małą ręczną latarką na kikut. Milczała przez chwilę. Francisowi nagle zaszumiały w uszach fale rozplywające się na kamyczkach i wszystko zakołysało. Aż musiał się cofnąć o pół kroku. Człowiek sobie myśli, że panuje nad własnym życiem, a tu w każdej chwili może go pociągnąć prąd powrotny...

– Nie. Naszemu chłopcu obcięto głowę, gdy miał w sobie jeszcze mnóstwo życia... To jasne, że stracił masę krwi, do czego by nie doszło, gdyby w chwili obcinania głowy już nie żył.

Thierry

Gdyby do końca życia miał nie oglądać policji, to i tak byłoby aż nadto. Ruszył spod komisariatu John Street, mamrocząc wściekle pod nosem. *Merde!* Skrecił w Edward Street i prawie staranował jakąś staruszkę z wózkiem na zakupy, ale był zbyt wkurzony, żeby się zatrzymać i przeproszać. Miał przed sobą robotę i jeśli ktokolwiek powinien za cokolwiek przeproszać, to na pewno nie on! Cholerna eks. *Putain!* Dobrego ciągle człowiekowi za mało, za to od błędów nie sposób uciec.

Szesnaście godzin w areszcie. Zerknął na zegarek zwrócony mu za ledwie przed chwilą przez oficera dyżurnego. Zero kontaktu telefonicznego, zero kontaktu z adwokatem. Ale przecież nie jest aresztowany, więc po co mu adwokat? Tak mu powiedzieli. A on znał, do cholery, swoje prawa i wiedział, że zostały naruszone! Jebane psy.

Napływający z piekarni zapach gorących ciastek kazał mu się zatrzymać. Normalnie go zagłodzili. Kanapki z czerstwego białego chleba ze śmierdzącym tuńczykiem, które proponowali mu co parę godzin, absolutnie nie nadawały się do jedzenia. Za każdym razem odsuwał od siebie papierowy talerzyk. Całą dobę przetrwał na tej ich lurowatej kawie.

A jak już wiedzieli, że muszą go wypuścić albo postawić mu zarzuty, do pokoju przesłuchań wszedł oficer dyżurny i powiedział, że potwierdzili jego alibi. Znaleźli dziewczynę z wytatuowaną syreną, Lisę, która przyznała niechętnie, że w sobotni wieczór sprowadziła sobie do domu faceta z pubu, a ten został u niej do jakiejś dziewiątej rano. Sierżant uważał chyba, że to strasznie zabawne, bo dziewczyna też jakoś nie potrafiła sobie przypomnieć imienia Thierry'ego.

Z piekarni wyszedł z pasztecikiem. Było już prawie południe, zmarnował cały ranek. Przepadły mu dwie umówione wizyty w studiu, a razem z nimi pieniądze, na których stratę nie mógł sobie pozwolić. Może klienci mieli szczęście i Thierry'ego zastąpił Charlie lub Noa, ale jemu akurat nic to nie załatwiało.

Edward Street przeszła w Eastern Road. Mijając Brighton College, Thierry zaciekał się, czy to właśnie w tych murach zdobywał wykształcenie ten głupkowaty komisarzyk. Przeszedł przez ulicę, skrecił w prawo w College

Place, a potem w lewo w Great College Street. Dom Marni – a ujmując precyzyjniej: jego dom – stał w połowie ulicy po prawej stronie. Załomotał do drzwi, powstrzymując się od zerknięcia przez okno. W ogóle nie powinien jej oddawać kluczy, chociaż wtedy wydawało się to właściwe. Teraz Marni miała dom i Alexa, a on mieszkał w nędznym dwupokojowym mieszkanku z grzybem w łazience.

Wbił wściekłe spojrzenie w drzwi do domu, który niegdyś należał do niego. Z każdą sekundą płonął coraz większym gniewem. Dopiero gdy kopnął je i wrzasnął, wreszcie się otworzyły.

Marni zamrugała i po twarzy przemknął jej wyraz paniki. Cofnęła się o krok, oszołomiona.

– Marni?

Jego gniew na chwilę wyparował, ustępując miejsca dawnym odruchom opiekuńczym. Przez wiele lat działał w tym trybie.

– Thierry.

Spróbowała zamknąć mu drzwi przed nosem.

– Moment, pozwolisz?

Wcisnął stopę w zwięzającą się szparę.

– Boję się ciebie.

– Za to przez ciebie zgarnęła mnie policja.

Domyślał się, co ją przeraziło. Kiedy wreszcie uwolni się od przeszłości?

– Wpuść mnie. – Naparł na drzwi i chwilę się przepychali, wreszcie wygrał i przecisnął się obok niej do przedpokoju. Przez moment dyszał ciężko. – Powiedz, co cię przeraziło, Marni.

– Nic. Zszargane nerwy. To wszystko... przywodzi mi na myśl przeszłość.

Dobrze się domyślił. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Znał to spojrzenie: oznaczało, że nie śpi i prawdopodobnie kiepsko się odżywia. Nie radziła sobie. Ale czy to oznaczało, że potrzebowała jego pomocy? I czy on gotów był na powrót się zaangażować?

– Wiesz, że Paul jest nadal w pudle. Nie masz się czego obawiać.

W jego głosie zabrzmiał łagodniejszy ton.

– Może i siedzi, ale zawsze znajdzie sposób, żeby mnie dopaść.

Nie po to przyszedł. Nie zamierzał odgrzebywać spraw, o których lepiej było nie pamiętać.

– Nie powinnaś się w to mieszać, Marni. Nie stać mnie na kolejne scysje z policją.

Westchnęła.

– Wiem. Przepraszam.

– Trzymali mnie całą noc.

Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Wina? – spytała. Przynajmniej tyle mogła zrobić.

– A co masz otwarte?

– Côtes de Blaye.

Thierry zmarszczył nos. Akurat to nie należało do jego ulubionych.

– Najpierw przeprosiny – powiedział, przekrzywiając głowę.

– Za co?

– *Merde!* Przez ciebie właśnie spędziłem szesnaście godzin w komisariacie!

– Dopiero teraz cię wypuścili?

– *Oui.* Dzięki za troskę.

Wzruszyła ramionami.

– Skąd miałam wiedzieć, że cię tam ciągle trzymają?

– Chyba są zdania, że skoro zamordowany gość wisiał mi kasę, to mogę być mordercą. – Westchnął. – Naprawdę musiałaś im mówić, że ten tatuaż na nodze to była moja robota?

– Daj spokój, Thierry. – Pokręciła głowę z uporem. – Ja tylko anonimowo zadzwoniłam na policję. Chryste, znalazłam zwłoki! Twoim zdaniem miałam je zignorować?

– No pewnie. Znalazłby je ktoś inny.

Poszedł za nią do kuchni. Ich kuchni, którą kiedyś sam zaprojektował i którą razem z Charliem zmontowali. To był najlepszy okres ich małżeństwa. Francuskie kłopoty zostawili za sobą i rozpoczęli nowe życie w Brighton. Rany Marni opiekującej się ich malutkim dzieckiem powoli się zabiźniały i przez krótki czas Thierry miał nadzieję, że przyszłość będzie rysować się w jasnych barwach.

Odkorkowała opróżnioną do połowy butelkę czerwonego wina i rozlała je do kieliszków.

– Pamiętaj – powiedziała, podając mu jeden z nich – muszę być wzorem dla mojego syna. Ty sobie możesz uważać, że to w porządku, tak uciec od odpowiedzialności, ale ktoś tutaj musi być dorosły.

– Jakiej odpowiedzialności?

Marni przewróciła oczami.

– Za łożenie na dziecko, tak przykładowo.

Thierry zachnął się. Ciągle ta sama śpiewka! Za często ją słyszał. Nie miał już nic do powiedzenia.

– Wypij wino i idź sobie, Thierry. Nie mam siły z tobą rozmawiać.

Powąchał kieliszek.

– Zwiertzałe – mruknął, wzruszając ramionami. – I przestań się zadrećzać myślami o Paulu. Musisz odespać.

Spojrzenie Marni było ostre jak profesjonalne noże, które Thierry zostawił jej w kuchennej szufladzie.

– Dostałam od niego list.

– Kiedy?

– Kilka miesięcy temu.

Wcześniej nie zająknęła się słowem, co jednak trochę go ubodło.

– I co ci napisał?

– Nie wiem, nie otwierałam. – Na jej twarzy znów odmalował się strach i nagle Thierry zapragnął przywrócić w jej świecie porządek.

– Skarbie, wiesz, że to nic nie znaczy. On się z tobą bawi. Jest zamknięty i na pewno cię nie dorwie.

– List jakoś do mnie doszedł.

Thierry rozłożył ręce.

– Masz go jeszcze? Mogę zobaczyć?

– Wyrzuciłam.

Widział, że kłamie, ale nie miał siły z nią walczyć.

– Dobra. Nic tu po mnie.

Gdy szedł do drzwi wyjściowych, na schodach pojawił się Alex. Jeszcze w piżamie, powieki miał ciężkie od snu.

Merde.

– Tata? Co ty tu robisz?

– Twój ojciec właśnie wychodzi – powiedziała Marni.

Dogoniła Thierry'ego i lekko pchnęła go w stronę drzwi.

– Zostaw mnie w spokoju. Nie przychodź tu więcej. Za bardzo przypominasz mi Paula.

Jeśli miała w arsenale słowa, którymi naprawdę mogła go zranić, to właśnie te. Jeśli rzeczywiście tak myślała, nic się między nimi nie poprawi. Ścisnęło go w gardle. Odwrócił się, by nie widziała jego twarzy.

Otworzyła drzwi i wypchnęła go za próg.

– Kim jest Paul? – zapytał Alex ze schodów.

Drzwi się zatrzasnęły i Thierry został sam.

IV

To proces. Zdejmowanie skóry. Solenie. Namaczanie. Wapnowanie. Mizdrowanie. Odwapnianie. Bejcowanie. Wytrawianie. Odtłuszczenie. Garbowanie. Zobojętnianie. Natłuszczanie. Walcowanie. Rozkładanie. Suszenie. Każdy krok jest ważny, a wszystkie razem pozwalają uzyskać najmniejszą, najelastyczniejszą skórę.

Ludzie nie widzą w ludzkiej skórze materiału do garbowania, ale trzeba wiedzieć, że uzyskuje się z niej arcyprzyjemne wyroby. Zwłaszcza ze skóry tatuowanej. Nieodmiennie zdumiewa mnie, że nie tatuuje się zwierząt zabijanych z myślą o pozyskiwaniu ich skór. Tak uzyskany produkt byłby piękny i unikalny.

Ten skalp ze swoją poskręcaną pajęczyną stanie się wyjątkowym eksponatem. Skalpowanie jest operacją niewiarygodnie precyzyjną. Należy pracować ostrożnie, by nie rozedrzeć skóry (przed garbowaniem jest bardzo delikatna), lecz jednocześnie szybko. Ciepła skóra jest elastyczna, ustępliwa – zimna staje się sztywna, co poważnie utrudnia pracę. Delikatne oddzielenie skalpu od czaszki chłopaka zajęło mi dwie godziny odcinania i zdejmowania skóry centymetr po centymetrze.

Teraz moczy się w solance, która ją konserwuje. To zaledwie pierwszy etap tej podróży, na której końcu znajduje się wygarbowana skóra. Sól wyciąga wilgoć i zabija bakterie. Oddzielony skalp wije się pod powierzchnią wody jak tłusty karp koi.

Mam wyjątkową pracę. To prawdziwy przywilej. Kolekcjoner pozwala mi przygotowywać dla niego eksponaty, bo rozumie, że posiadam wyjątkowy talent.

Tylko mój CHOLERNY OJCZULEK nigdy tego nie pojął.

Czemu nagle przyszło mi to do głowy? Nie mogę dopuszczać myśli o ojcu w trakcie pracy. Kiedy siedzi mi w głowie, ręce mi się trzęsą, zaczynam się dekoncentrować. Im bardziej te myśli odpycham, tym bardziej on daje mi odczuć swoją obecność: podważa mnie, pomniejsza, potwierdza najgorsze domysły.

Zamykam oczy i biorę kilka głębokich wdechów. Wracam myślami do Kolekcjonera.

Kolekcjoner wynagrodził mi wady mojego prawdziwego ojca. Człowieka, który tyle razy, tak często mnie zawodził. Ojciec widział we mnie porażkę – Kolekcjoner widzi we mnie dobro. Wyznaczył mi cel pracy. Gładzenie skóry. Zmiękczenie jej. Pieszczenie. Przekształcenie w coś znacznie piękniejszego niż to, czym była za życia. Zdejmuję ją z żywego stworzenia i zamieniam w dzieło sztuki. Sztuka jest

ważniejsza niż życie.

Moja praca to prawdziwa terapia.

Francis

Francis przekonał się, że dotarł pod właściwy adres, gdy zobaczył szyld nad witryną zakładu. „Niebiańskie Tatuaze” – czarną kursywą w poprzek eksplozji czerwonych i różowych chryzantem, dokładnie takich, jakie Marni Mullins tatuowała dziewczynie na konwencie. A więc to tu rezydowała... Zajrzał przez okno do nieoświetlonego wnętrza. Wyłowił wzrokiem z ciemności niewielki kontuar i stojące pod ścianą krzesła, każde z innej parafii. Jak można się było spodziewać, ściany pokrywały wzory tatuazy. Za kontuarem znajdowała się półka, a na niej rzędy świeczek, kilka książek i jakieś przedmioty, które w półmroku trudno było rozpoznać.

Choć na drzwiach wisiała tabliczka „Otwarte”, przybytek wydawał się nieczynny. Francis wetknął sobie pod ramię sfatygowaną teczkę i przyłożył dłonie do szyby, by zyskać lepszy ogląd wnętrza. W głębi znajdowały się drzwi. Przez szpary przebłyskiwało światło. Może była właśnie tam?

Zastukał do drzwi wejściowych i nacisnął klamkę. Otworzyły się, skrzypiąc głośno nieoliwionymi zawiasami.

– Halo?

Wszedł do środka. W tym samym momencie zza drzwi w głębi pomieszczenia wypadł warczący kłęb futra i kłapiących zębów i skoczył na Sullivana, trafiając blisko jego środka ciężkości. Francis runął plecami na szybę, która pękła pod jego ciężarem, poczuł smród gorącego oddechu mięsożercy i zobaczył zachłanne szczęki próbujące mu się dobrać do ramienia. Zęby bestii zacisnęły się na rękawie i rozdarły tkaninę. Francis złapał oddech i zaczął machać rękami, próbując się oswobodzić.

– Kto to?

Nad jego głową rozbłysło światło.

– Kto tu jest?!

W głosie Marni Mullins zabrzmiał ton hysterii.

– Francis Sullivan.

– Kto?!

– Komisarz Francis Sullivan!

– Chryste. Pieprz! Pieprz, do nogi!

Zaśliniony pies zignorował właścicielkę i dalej szarpał rękaw.

Zadyszany Francis podniósł wzrok i zobaczył Marni stojącą w drzwiach w głębi zakładu.

– Nie ma pani, do cholery, żadnej kontroli nad tym psem? – wysapał, próbując wyrwać ramię.

– Pieprz!

Francis usiadł z wysiłkiem i położył wolną rękę na pysku Pieprza. Nachylił się i jego twarz znalazła się tuż nad uchem psa. Pieprz zawarczał głucho, mocniej zaciskając szczęki na materiale. Wpatrując się ze złością w Marni, Francis z całej siły ugryzł buldoga w ucho.

Zaskoczony Pieprz pisnął i puścił rękaw. Próbował przekreślić głowę, ale Francis nadal trzymał go za ucho.

– Jezu, co pan robi?

Marni chwyciła Pieprza za obrozę i dopiero w tym momencie Francis zwolnił uścisk. Krzywiąc się, otarł usta wierzchem dłoni.

– Musi pani zaprowadzić tego psa na szkolenie, pani Mullins.

Pozbierał się z podłogi, starannie unikając odłamków potłuczonego szkła, po czym podniósł teczkę. Marni przeciągnęła potwora za obrozę przez cały sklep, wepchnęła za drzwi w głębi pomieszczenia i natychmiast je za nim zatrzaskała. Chyba dopiero wtedy zorientowała się, w jakiej ruinie są drzwi wejściowe. Zasłoniła usta dłonią.

– Bardzo mi przykro – powiedziała, kręcąc głową. – Nic się panu nie stało?

Francis dotknął potylicy, którą uderzył w szybę. Wymacał wybrzuszenie. Spojrzał na palce i zobaczył krew.

– No jasne – powiedział, unosząc rękę, żeby mogła ją zobaczyć. – Ma pani masę szczęścia, że nie skończyło się gorzej. A jeśli chodzi o garnitur: tego się nie da naprawić.

– Zwrócę panu pieniądze – zapewniła Marni szybko. Głos jej zadrżał.

– No ja myślę. A temu psu potrzebny jest kaganiec. A najlepiej, żeby się go pani pozbyła.

Marni pochyliła się i zaczęła zbierać z podłogi największe odłamki szkła.

– To pies stróżujący.

– A gdyby tu weszło dziecko?

Wyraźnie się zjeżyła.

– Mało prawdopodobne. To salon tatuażu.

– Czy mogę dostać szklankę wody? Ciągle mam w ustach smak psa.

Dała znak, żeby poszedł z nią do drugiego pomieszczenia. Kiedy zawahał się przy drzwiach, sprawiała wrażenie rozbawionej.

– Och, proszę się nie bać Pieprza. Nic panu nie zrobi, jeśli to ja pana

wprowadzę.

Francis wszedł czujnie do studia i rozejrzał się. Podobnie jak w poczekalni ściany pokryte były projektami: część stanowiły rysunki i akwarele, część powiększone fotografie tatuaży. W pomieszczeniu ledwie dało się ruszyć: w rogu stało biurko, na środku kozetka i wielki staromodny fotel fryzjerski. W narożnej przeszklonej szafce umieszczono kolekcję prawdziwych i kryształowych czaszek; część wymalowano jak meksykańskie cukrowe czaszki na Święto Zmarłych.

– Proszę siadać – powiedziała Marni, wskazując na fotel fryzjerski. – Whisky?

Francis pokręcił głową.

– W godzinach pracy nie piję.

Właściwie w ogóle nie pił, ale to akurat nie powinno jej obchodzić.

Gdy Marni telefonowała do kogoś z prośbą, by przyszedł zabić drzwi dyktą, Francis popijał wodę i przypatrywał się rozwalonemu pod biurkiem Pieprzowi. W odpowiedzi buldog obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, ale nie ruszył się z brudnego posłania. Kilkakrotnie potarł łapą ugryzione ucho. Wreszcie zwlókł się z legowiska i płaskim pyskiem trącił Francisa w nogę.

Kiedy Marni po zmierzeniu drzwi wróciła do studia, pies leżał na plecach z głową na stopie Francisa.

Spojrzała na nich podejrzliwie.

– Jest pan psiarzem?

– Nie.

Otworzył skórzaną teczkę i wyjął z niej wielką błyszczącą fotografię.

– Co może mi pani powiedzieć na ten temat? – zapytał, podsuwając jej zdjęcie.

To było powiększenie tatuażu zdjętego z ramienia Armstronga. Marni wzięła fotografię i uważnie ją obejrzała.

– To jest ten facet ze śmietnika, tak?

Francis skinął głową.

Przeniosła wzrok z powrotem na odbitkę.

– Polinezyjski tatuaż, co nie oznacza, że właśnie tam go wykonano. Mógł go sobie zamówić gdziekolwiek. Niezła jakość. Wie pan, kto mu go zrobił?

Skupiwszy uwagę na tatuażu, zdołała się uspokoić.

– Miałem nadzieję, że pani mi to powie. Zdjęcie dostaliśmy od jego rodziców, którzy jednak o jego tatuażach nie wiedzą dosłownie nic. Ani o jego życiu prywatnym, prawdę mówiąc.

Marni zmarszczyła brwi.

– Nie da się spojrzeć na tatuaż i zawyrokować z miejsca, kto go wykonał. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że na świecie są dziesiątki tysięcy artystów zajmujących się tatuazami?

– Wiem o tym, ale...

– I żaden z nich nie podpisuje swojej pracy.

– Nawet inicjałami?

– Może jeden czy dwóch, i to z gatunku tych, co im się w dupach przewracało. Ale nie, większość tatuażystów nie czuje potrzeby firmowania swoim nazwiskiem skóry obcego człowieka. Wystarczającym przywilejem jest możliwość pozostawienia rysunku na jego ciele.

– Ale pani wiedziała, że święty Sebastian jest autorstwa pana Mullinsa.

Marni podciągnęła się na rękach i usiadła na kozetce.

– Styl Thierry’ego znam wyjątkowo dobrze.

– Ale nie rozpoznaje pani stylu tego kogoś, kto zrobił to? Może to jakiś artysta stąd?

Jeszcze raz uważnie przyjrzała się zdjęciu.

– Nie, nie sędzę. Osobiście nie jestem entuzjastką wzorów plemiennych.

Zamilkła na chwilę.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytała.

– Co?

– Kto zrobił ten tatuaż. Czy to ma jakieś znaczenie dla sprawy?

Może. Prawdę mówiąc, Francis nie miał pojęcia. Sprawdzał wszystko w nadziei na jakiś trop.

– Na tym etapie dochodzenia nie mogę tego wykluczyć.

– Czy Thierry jest podejrzany?

– Nie mogę wchodzić w szczegóły tej sprawy.

I, cholera, naprawdę nie mógł, bo *nie miał* żadnych szczegółów. A skoro ona nie potrafiła mu pomóc, czas było się zbierać.

Wstał.

– Proszę mi to dać. Popytam. – Marni zeskoczyła z kozetki i wyjęła mu zdjęcie z rąk. – Czy tatuażysta będzie podejrzany?

– Przychodzi pani do głowy jakikolwiek powód, dla którego ktoś mógłby wycinać tatuaze z ciała ofiary? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Tak się robi?

Chciał zrozumieć, czemu w ogóle do tego doszło.

– Tak się robi? – Brwi Marni podjechały do góry. – Co ma pan na myśli?

– To jakaś forma kary w tatuażowym światku? Jakiś dziwaczny rytuał? Nie mam pojęcia, jak to u was jest.

– U nas? – Marni pokręciła głową. – Myśli pan, że jesteśmy jakąś sektą? Nie, kurwa, wycinanie ludziom tatuazy z ciała nie jest czymś, co „się robi”.

Podniosła głos i Pieprz nadstawił uszu.

– Niech pan posłucha. Może pan nie chceć sobie robić tatuazu, tatuaze mogą się panu w ogóle nie podobać. No i okej! – Spojrzała na niego gniewnie. – Ale naprawdę powinien pan coś zrobić ze swoim nastawieniem. Ci, którzy robią sobie tatuaze, nie są członkami jakiejś sekty. To zwykli ludzie, tylko tak się akurat składa, że mają tatuaze. I nic więcej ich nie łączy. A tak konkretnie: ludzie z tatuazami stanowią w tym kraju dwadzieścia procent osób dorosłych.

Francis uniósł rękę.

– Przepraszam. Nie miałem na myśli nic złego. Poruszam się trochę po omacku...

Dotknął czułej struny. Ktoś albo coś skrzywdziło Marni Mullins.

– Ależ owszem, miał pan. Inaczej by pan tak nie powiedział.

Pomiędzy nimi wyrósł mur. Francis rozejrzał się po studiu w poszukiwaniu natchnienia, ale nie miał się czego złapać, by odbudować porozumienie.

– Naprawdę, bardzo przepraszam.

Znów oparła się o kozetkę.

– No to proszę mi wyjaśnić: na czym polega pana problem z tatuazami?

– Nie mam problemu z tatuazami – powiedział powoli. Co nie było do końca prawdą, ale potrzebował jej pomocy. – Choć nie rozumiem tego fenomenu. To znaczy... Czemu miałbym pozwolić komukolwiek trwale oznakować sobie ciało w taki sposób? Dla mnie to niewyobrażalne.

– Autoekspresja – odparła po prostu.

Nie miał pojęcia, co mogła mieć na myśli.

– Moja matka zawsze mówiła... że tatuaze są widowym znakiem wewnętrznej skazy – wypalił jednym tchem.

Wyglądała na rozżłoszczoną. Ewidentnie nie to powinien był powiedzieć.

– Niemożliwe, żeby tak pan uważał.

– No nie... Ale w takim razie po co się je robi?

– One *mogą* być symbolem doznanej krzywdy... Ale zwykle są raczej czymś pozytywnym: oznaką mocy, nadziei, postanowienia, by się nie poddawać. – Zamknęła na chwilę oczy, po czym jeszcze żarliwiej wpiła się w niego spojrzeniem. – Straciłam dziecko. Tatuaz, który mam na plecach, jest jego upamiętnieniem. Sposobem na zatrzymanie go na zawsze.

– Przykro mi.

Poczuł się tak, jakby wściubiał nos w nie swoje sprawy.

– Ale częściej ludzie tatuują się po prostu ze względów estetycznych –

ciągnęła – albo dlatego, że wszyscy znajomi mają tatuaże, a czasem traktując to jako dowód szacunku lub miłości. Ludzie są różni, więc różne są powody, dla których to robią.

– No, to akurat rozumiem. Dotarło to do mnie na konwencji. – Spojrzał na nią potulnie. – To jak? Pomoże mi pani?

Spojrzenie miała chłodne.

– Zobaczę, co da się zrobić. Popytam. Ale na twoim miejscu nie liczyłabym na wiele, Frank.

– Francis – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Najwyraźniej i ona była kobietą niewolną od uprzedzeń. A przy tym jego jedyną przepustką do świata tatuażu. Potrzebował jej, o ile w tej sprawie cokolwiek miało związek z zaginionym tatuażem. Obdarte ze skóry ramię Evana Armstronga podpowiadało zdecydowanie, że tak. A teraz mieli jeszcze jedne zwłoki, wytatuowane równie mocno jak pierwsze.

Potrzebował jej, jeśli zamierzał rozwiązać tę sprawę, zanim ktoś zgłosi kolejną ofiarę.

V

Sława! Napisali o mnie w miejscowej gazecie. Naturalnie nie wiedzą, kim jestem ani jak się nazywam, ale moja działalność budzi poruszenie w mieście i nie jest to jedynie dreszczyk leciutkiej obawy, taką mam w każdym razie nadzieję. Ciekawe, czy Kolekcjoner o mnie czytał. Ciekawe, czy jest dumny...

Wiem, że niektórzy mordercy kokietują opinię publiczną, pisząc do prasy i przekazując wiadomości policji. Ale ja chyba tego nie zrobię. Moje zadanie jest wystarczającą nagrodą, a idioci zawsze trafiają za kratki właśnie przez te listy. Nie zamierzam ułatwiać roboty policji. Tymczasem po prostu poczytam sobie o swoich dokonaniach w „Argusie”.

Irytujące, że w tyłu szczegółach się mylą, choć z drugiej strony tylko ja wiem, co się stało z każdą z moich ofiar. Tymczasem oni mogą się jedynie domyślać, wypełniając białe plamy własnym lękiem i lubieżnością.

Ciekawe, czy ktoś kiedyś napisze o mnie książkę.

Oczywiście tylko ja mogę opowiedzieć swoją historię względnie dokładnie. Opowiedzieć, jak mój brat Marshall ukradł mi to, co należało mi się z urodzenia. Nie powinien być się urodzić, moja matka prawie poroniła. Jak tylko nauczył się chodzić i gadać, został błękitnookim syneczkiem. Młodszy ode mnie, ale sprytny. Nauczył się, że można mnie okiwać, zrzucić na mnie winę za własne przewinienia. Ciastko zabrane ze spiżarni. Atrament wylany na kremowy dywan. Obcięte główki róż i ozdobnego czosnku w ogrodzie matki. Tej cherubinkowej buzi łatwo było dać wiarę. A za plecami rodziców dręczył mnie i uprzykrzał mi życie.

Nastawił przeciwko mnie ojca, a potem przejął kontrolę nad rodzinną firmą Kirby – Wyroby Skórzane, założoną sto lat temu przez mojego prapradziadka. Powinna przejść na mnie. Znalazłaby się pod dobrym zarządem i dziś byłaby nadal w rękach rodziny. Ale nie. Przeszła na mojego brata. Ulubieńca tatusia.

A to dopiero początek mojej historii.

Rory

Jechało od gościa whisky na kilometr. Wyszłe szpony zacisnął na papierowym kubku z kawą, którą przyniósł mu Rory. Długie, szare z brudu paznokcie, skóra pożółkła tak samo jak białka oczu.

– Dzięki – wychrypiał.

Rory klapnął obok niego na wąskiej ławce przystanku autobusowego. Było już po drugiej, nieliczne nocne rzadko kursowały. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek się do nich przysiadł.

– Jak leci, Pete?

– Jak krew z nosa – odparł facet z piskliwym chichotem. – Wiesz, jak jest.

Rory skinął głową. Goście tacy jak Pete mieli niezmienną opowieść: szarpanina o pracę, o forszę, o wódkę.

– Nasłuchujesz, co tam w trawie piszczy?

Pete rozejrzał się podejrzliwie, choć nigdzie nie było żywego ducha.

– Chodzi o to...

– Przecież wiesz, że płacę, jak coś dla mnie masz.

Pete nie odpowiedział, ale na wzmiankę o pieniądzach błysnęło mu oko.

– Słuchaj, może mógłbyś nam pomóc. Wczoraj rano znaleziono zwłoki. Drobnny młody chłopak, więzienne tatuaże. Coś ci się obilo o uszy?

– A gdzie?

– Na plaży.

Rory nie chciał zdradzać zbyt wielu szczegółów. Przez Pete'a wszystko przelatywało jak przez durszlak i gdyby nadarzyła się okazja sprzedać informacje drugiej stronie, nie zastanawiałby się ani chwili.

– Słyszałem, że przez weekend mieli tam dobić parę transakcji. Gadają, że jedna coś nie wypaliła. Jakoś ci się to składa w czasie?

Rory wzruszył ramionami.

– A niby kto miał dobijać te transakcje?

Pete potarł kciukiem o palec wskazujący, rzucając wymowne spojrzenie.

Rory wiedział, że tak to się skończy, i miał przygotowany w kieszeni spodni zwitek banknotów. Wyłowił go i wyłuskał dwudziestkę. Pete spojrzał z niedowierzaniem. Dwie dychy nie załatwiały sprawy.

Rory pokręcił głową, nie wypuszczając banknotu z ręki.

– Potrzebne mi nazwiska.

Pete westchnął teatralnie.

– No to musisz się bardziej postarać.

Czterdzieści funtów przeszło z rąk do rąk i Pete wyrecytował litanie nazwisk miejscowych dilerów. Rory znał ich wszystkich i wiedział, że kilku z wymienionych odsiaduje wyrok.

– Daj spokój, Pete. Nie wciskaj mi kitu. Jakiś konkret albo zwrot gotówki.

Pete obronnym gestem uniósł szponiaste ręce.

– Okej, okej. Bracia Collins. Tam już od jakiegoś czasu jest nieciekawie.

– Ale między nimi a kim?

– Jakiś rumuński gang próbuje ich wykopać z rewiru.

Dla Rory’ego nie była to w sumie nowa wiadomość, ale mogła wyjaśniać obecność zwłok pod mołem. W drodze do domu umocnił się w przekonaniu o słuszności swojej teorii. Wojny terytorialne gangów narkotykowych trwały od lat i odpowiadały za sporą część brutalnych przestępstw w mieście. Nie była to informacja warta czterdziestu funtów, ale opłacało się mieć Pete’a po swojej stronie. Rzadko, bo rzadko, ale czasem się przydawał.

Następnego ranka w komisariacie Rory zaprezentował swoją teorię Francisowi, ale ten przyjął ją dość sceptycznie.

– To są po prostu domysły twojego informatora czy też mają jakieś solidne podstawy?

– No, nie można powiedzieć, żeby przestrzegał zasad postępowania dowodowego – powiedział Rory. – Ale jest to jakiś punkt zaczepienia. W końcu facet pokryty jest od stóp do głów więziennymi tatuażami. Można założyć, że jest w takim czy innym gangu i że to zabójstwo, czy nawet oba zabójstwa, związane są z gangami.

– Nie będziemy nic zakładać.

Ton Sullivana był ostry. Wcale mu się nie podobało, że Rory podsunął trop.

– No to sprawdźmy, czy ta babka od tatuaży nam podpowie, gdzie mógł je sobie zrobić.

Satysfakcja Rory’ego płynąca z tego, że ubiegł zwierzchnika, trwała krótko. Drzwi do centrum koordynacyjnego otworzyły się i do środka wszedł Hollins eskortujący Marni Mullins.

– Dziękuję, że pani przyszła – powiedział Francis, podchodząc się przywitać.

– A miałam wybór? – Tatuażystka sprawiała wrażenie zakłopotanej. – Naprawdę powiedziałam wam wszystko, co wiem.

– Rozumiem i jesteśmy za to bardzo wdzięczni – uspokoił ją Francis. – Zastanawiam się, czy gdybym pokazał pani kilka zdjęć tatuaży, potrafiłaby nam pani coś o nich opowiedzieć.

Wzruszyła ramionami.

– Jasne.

Zaprowadził ją do nieużywanego biurka na przeciwległym końcu sali i rozłożył przed nią zestaw fotografii: zbliżeń tatuaży rysujących się na bladej skórze, z której odpłynęła krew. Rory wywnioskował z tła, że zrobiono je w kostnicy.

– Tego człowieka znaleziono martwego we wtorek wczesnym rankiem. Podejrzewamy, że część tych tatuaży ma jakiś związek z gangami.

Marni pochyliła się nad zdjęciami. Przyglądała się im przez minutę, po czym przearanżowała je tak, że utworzyły coś na kształt ludzkiego ciała. Tors, ramiona i nogi były chaosem kiepsko wykonanych, rozmazanych czarnych tatuaży – symboli, numerów i czaszek.

– Zamordowano go? – zapytała Marni.

Francis skinął głową.

– Zdekapitowano.

Marni Mullins na nowo zaczęła się przyglądać tatuazom, po czym wskazała na jedno ze zdjęć.

– Niektóre z tych są bardzo interesujące. – W jej głosie nie słyhać już było nerwowości.

– To dość oczywiste, że był w gangu – wtrącił Rory. – Podejrzewamy, że poszło o jakąś nieudaną transakcję narkotykową. Jego odciski palców powinny zdradzić nam znacznie więcej niż te bazgroły.

Sullivan spiorunował go wzrokiem, po czym zwrócił się do Marni:

– Pani Mullins, czy któryś z nich ma jakieś szczególne znaczenie? Symbolizuje coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Marni wskazała na jedno ze zdjęć.

– Ten. To klasyczny symbol gangu.

Tatuaż przedstawiał pięcioramienną koronę.

– No i co? Nie mówiłem? – rzucił Rory.

Marni gwałtownie odwróciła głowę w jego stronę.

– Zna go pan?

– Gang to gang. W Brighton nie ma ich znów tak wiele.

Marni westchnęła.

– To nie jest tatuaż z miejscowego więzienia. To korona Latin Kings, gangu z centralą w Chicago. Pięć ramion symbolizuje przynależność do unii gangów

People Nation. Z tego, co mi wiadomo, żaden z nich nie ma komórki w Brighton. Kolejna rzecz: wykonano go za pomocą elektrycznej maszynki do tatuażu. Tatuaze więzienne wykonuje się zaostrzonym długopisem i pastą do butów.

Sullivan spróbował ukryć kpiący uśmiezek. „Cwany drań” – pomyślał Rory.

– Część z nich to robota amatora – powiedziała Marni, wskazując na kilka gorzej wykonanych prac. – Co nie oznacza, że zrobiono je w więzieniu. Kropki i numer czternaście to wszystko symbole amerykańskich gangów. Trzy kropki oznaczają *mi vida loca*, czyli „moje zwariowane życie”. Pięć kropek to czas spędzony w więzieniu, symbolizują cztery kąty celi i więźnia w środku. Liczba czternaście to dowód przynależności do gangu Nuestra Familia w północnej Kalifornii. – Odwróciła się twarzą do Francisa. – Chyba macie tu do czynienia z kiepskim naśladowcą, któremu wszystko się pomieszało. Obstawiam, że taki z niego członek gangu jak ze mnie. – Zwróciła spojrzenie na Rory’ego. – Innymi słowy, sierzancie, jeśli sądzi pan, że to jakieś gangsterskie porachunki, to goni pan nie tego króliczka.

„Co ona się tak mądrzy, do cholery?” – zirytował się Rory.

– A ten? – Sullivan wskazał tatuaż warczącego wilka na zewnętrznej stronie prawej łydki ofiary.

Marni przyglądała mu się przez kilka minut, wodząc palcem po obrysie.

– Och. To bardzo piękna praca. Musiało go to słono kosztować i na pewno nie ma nic wspólnego z więzieniem czy gangami. I zostało zrobione niedawno. W kwestii tatuaży ma coraz lepszy gust. Miał.

– Proszę mi powiedzieć – zaczął Francis – skąd pani wie, czy tatuaż wykonano ręcznie, czy maszynką?

– Łatwo rozpoznać amatorskie tatuaze wykonane w domu czy w więzieniu. Linie są grubsze, robota mało staranna. Zwykle są rozmazane na brzegach. Widzi pan, proszę spojrzeć na różnicę między tymi dwoma. – Wskazała koronę na torsie mężczyzny i słowo HATE wypisane na kostkach lewej dłoni. – Więzienne tatuaze są zawsze czarne, bo za kratkami nie ma dostępu do kolorowych tuszów.

Rory markował brak zainteresowania, zaskarbiając sobie paskudne spojrzenia szefa.

– To warto wiedzieć, sierzancie – rzucił Francis. – Tatuaze są elementem coraz większej liczby spraw.

– Tak jest – odparł Rory przez zaciśnięte zęby.

– Dziękuję, że pani przyszła – powiedział Sullivan. – Jestem pewien, że te

informacje okazały się bardzo przydatne.

Rory nie miał tej pewności. Nie dowiedzieli się absolutnie niczego, za to odstrzelili coś, co było znakomicie uzasadnioną hipotezą.

Marni przyglądała się, jak Francis zbiera zdjęcia.

– Do widzenia, pani Mullins – powiedział Sullivan, odprowadziwszy ją do drzwi.

– Marni. Panią Mullins nie jestem już od piętnastu lat.

– Dobrze, zatem Marni – przystał.

„Niedobrze się robi. Ale proszę, jak szef potrafi się uroczo zarumienić” – pomyślał Rory, przyczepiając zdjęcia do tablicy w centrum koordynacyjnym.

Francis

Francis obserwował Marni lawirującą tuż przed nim w tłumie na chodniku. Zbyt wiele osób próbowało jak najszybciej schronić się przed ulewą, by mogli iść obok siebie. Prowadziła go na spotkanie z tatuażystą Ishikawą Iwao, jej mentorem i historykiem tatuażu. Mieli nadzieję, że powie im coś więcej o tatuażu na ramieniu Armstronga. Bóg jeden wie, czy facet im w czymkolwiek pomoże, ale Francisowi skończyły się pomysły. Bradshaw wisiał nad nim przez całą przerwę na lunch i Francis poczuł, że musi jak najszybciej uciec przed kwaśnym tytoniowym oddechem przełożonego. Wróciwszy do swojego gabinetu, natychmiast zadzwonił do Marni i po raz kolejny poprosił ją o pomoc.

– To tu – powiedziała teraz przez ramię.

Schyliła głowę i skierowała się ku drzwiom prowadzącym prosto na schody. Sufit i ściany na klatce wymalowano na czarno, zaś chodnik był tak stary i wyświechtany, że Francis nawet nie próbował zgadywać, jaki mógł mieć pierwotnie kolor. Wszedł za Marni po schodach, które na półpiętrze gwałtownie zakręcały. Jakaś chuda dziewczyna ubrana w czarną mini wcisnęła się w kąt, żeby ich przepuścić.

– Pies – wysyczała mu w ucho, gdy ją mijał.

„Skąd, na miłość boską, to wiedzą?”. I to zawsze! Wydzielał jakiś zapach? Może to kwestia kroju garnituru? Miał w spojrzeniu coś, co go natychmiast zdradzało?

– Nie po ciebie przyszedłem, moja droga – mruknął, gdy zaczęła schodzić.

Marni obejrzała się pytająco, a on tylko uniósł brwi.

Schody wyprowadziły ich na wąski korytarz z drzwiami ciągnącymi się po obu stronach. W powietrzu unosił się kurz i ciężki zapach kadzidła i paczuli, na suficie świeciła pojedyncza czerwona żarówka. Grała muzyka, a zza którychś drzwi dobiegał głos kobiety śpiewającej wysokim, piskliwym głosem na jakąś wschodnią melodię. Burdel czy palarnia opium? Oczyma duszy Francis ujrzał Sherlocka Holmesa w złotej chmurze odurzającego dymu.

Marni zapukała do wybranych drzwi i nie czekając na odpowiedź, pchnęła je i weszła do środka, przywołując Francisą skinieniem ręki. Nie wiedział, czego się spodziewać, wyobrażał już sobie jakąś brudną ciemną norę.

Tymczasem nic z tych rzeczy: jasne, przestronne, nieskazitelnie czyste studio zalane naturalnym światłem. Długi rząd wysokich okien wychodził na pstrokaty patchwork zapuszczonych ogródków. Umeblowanie stanowiły eleganckie nowoczesne fotele i kozetki do tatuażu będące kosztownym połączeniem stali, skóry i drewna, zaś wyposażenie i oświetlenie nasuwało skojarzenia z luksusową kliniką.

Lecz nie to przykuło uwagę Francisa. Na jednym ze skórzanych foteli siedziało coś, co wpatrywało się w niego złośliwie zielonymi oczami. W pierwszej chwili pomyślał, że to wychudzone i posiniaczone gołe dziecko, co wstrząsnęło nim tak, że aż zadrżał. Stworzenie okazało się jednak kotem, całkiem bezwłosym i tak chudym, że widać było każdą kosteczkę. Najbardziej zaś niepokojące było to, że gdy Francis przyjrzał się bliżej siniakom, te okazały się tatuażami. Grzbiet, szyję, klatkę piersiową i nogi zwierzęcia pokrywały japońskie piktogramy wyrysowane granatowym tuszem. Kot zasyczał i odsłonił zęby.

Francis spojrział na Marni pytająco, po czym wyciągnął ku zwierzęciu rękę. Kot uniósł się na tylnych łapach i pacnął go, zadrapując mu z boku kciuk.

– Ożeż...

Francis urwał na dźwięk otwieranych drzwi. Wetknął krwawiący kciuk do ust, odwrócił się i zobaczył wchodzącego do studia smukłego Japończyka w granatowym płóciennym kimonie. Śnieżnobiałe, króciutko przystrzyżone włosy, lecz twarz niepomarszczona, przez co trudno było ocenić, ile właściwie może mieć lat. Nie sprawiał wrażenia zadowolonego z wizyty.

Skinął głową na widok Marni, lecz popatrzywszy na Francisa, spochmurniał jeszcze bardziej. Złożył głęboki ukłon, który Marni odwzajemniła, gestem nakazując Francisowi zrobić to samo.

– *Konnichiwa* – powiedział mężczyzna. Miał wysoki głos z wyraźnym staccato.

– *Konnichiwa, sensei* – odparła Marni.

Mężczyzna wyprostował się i zwrócił do Francisa.

– *Konnichiwa* – powiedział, znowu się skłaniając.

Francis odwzajemnił ukłon, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Gdy obaj się wyprostowali, mężczyzna zwrócił się do Marni i powiedział coś po japońsku. W uszach Francisa zabrzmiało to tak, jakby był rozgniewany, a jego słowa sprawiły, że Marni zmarszczyła brwi.

– Owszem, przyprowadziłam tu obcego – odparła po angielsku. – Wybacz mi, mistrzu. Potrzebujemy twojej pomocy.

– Nie pokazujesz się przez rok i przychodzisz dopiero wtedy, gdy czegoś

chcesz.

Francis nie potrafił zgadnąć, czy gospodarz się przekomarza, czy mówi serio.

– Przepraszam, Iwao – powiedziała Marni, kłaniając się lekko. – Przepraszam. Wiem, że powinnam przychodzić częściej.

– Powinnaś. Jesteś moim ulubionym płótnem i wciąż jeszcze masz niezapisaną skórę. Do tego musisz się jeszcze wiele nauczyć. – Jego twarz rozluźniła się w uśmiechu. – Jak Thierry?

Marni odwzajemniła uśmiech.

– Dobrze. Pracuje teraz nad czymś naprawdę niezwykłym.

– Przekaż mu, żeby niedługo wpadł się ze mną zobaczyć. Zanedbuje przyjaciół tak samo jak ty. No dobrze, przyprowadziłaś gościa. Przedstawisz mi go?

Skarcona Marni odwróciła się do Francisa.

– Iwao, to Francis Sullivan.

Przeszła na japoński i nastąpiła szybka wymiana zdań. W końcu oboje zamilkli i Iwao przyjrzał się Francisowi. Kot zasyczał ponownie, zeskoczył z fotela i sztywnym krokiem pomaszerował ku drzwiom, przez które wszedł Iwao.

– Jest pan z policji? – zapytał Iwao.

Francis skinął głową.

– Proszę się stąd zabierać.

Marni postąpiła krok naprzód i położyła dłoń na ramieniu Japończyka.

– Nie, Iwao, proszę. To ważne.

Strząsnął z siebie jej dłoń.

– To zły omen. Proszę wyjść.

Francis spojrzał na Marni, ale sprawiała wrażenie zupełnie bezradnej, więc zwrócił się do Iwao.

– Panie Ishikawa, pana wiedza w dziedzinie tatuaży pomoże nam w śledztwie dotyczącym zabójstwa. Proszę tylko rzucić okiem na kilka zdjęć, a nie będziemy pana dłużej niepokoić.

Iwao skrzywił się i wyszeptał coś do Marni po japońsku. Ona skinęła powoli głową i policzki jej zapłonęły.

– Proszę mi dać te zdjęcia – powiedział.

Francis otworzył teczkę i wyciągnął zdjęcie ramienia Evana Armstronga.

– Próbowujemy ustalić, kto wykonał ten tatuaż.

Iwao wyjął mu zdjęcie z rąk i podszedł do biurka, na którym panował nieskazitelny porządek. Podstawił zdjęcie pod jasne światło lampy i cmoknął

cicho, studiując je przez lupę.

Francis zaczął się przyglądać obrazom na ścianie. Jak można się było spodziewać, wszystkie były w stylu japońskim i nawet laik musiał się zorientować, że są wyjątkowe.

– Czy wszystkie namalował Iwao? – zapytał cicho Marni.

Skinęła głową.

– Zrobił mi też tatuaż na plecach.

– Wiem, kto jest autorem – powiedział nagle Iwao.

Odłożył zdjęcie na biurko i z pobliskiego regału zdjął katalog wystawy. Kartkował go przez chwilę i wreszcie znalazł to, czego szukał.

Francis mimowolnie wstrzymał oddech i zerknął na Marni, która zrobiła to samo.

– Tak. Tutaj. – Iwao położył otwarty na wybranej stronie katalog obok zdjęcia i przytrzymał go, by Francis i Marni mogli się przyjrzeć. – Te dwie prace są bardzo podobne i na pewno wykonane tą samą ręką. Widzicie te trójkąty tutaj, wszystkie lekko odkształcone w jedną stronę. Linie mają tę samą grubość, a wzór podobną skalę i ten sam poziom skomplikowania...

Francis przyjrzał się uważniej i dostrzegł podobieństwa, o których mówił Iwao.

– No więc? – przynagliła Marni.

– To dzieło Jonaha Masona. Włączyłem go do swojej wystawy... co było dla niego ogromnym zaszczytem. Ale jego prace są niezwykle.

– Tak myślałam, że to może być jedna z prac Jonaha, ale nie byłam pewna. Chciałam sprawdzić, czy ty też tak sądzisz.

– Nadal pracuje w zawodzie? – zapytał Francis.

Iwao wzruszył ramionami.

– Od piętnastu lat mieszka w Kalifornii, tam właśnie go poznałem, ale owszem, nadal jest płodnym artystą.

Zamknął katalog i odłożył go na półkę. Kiedy uniósł rękę, rękaw jego kimona zsunął się aż do łokcia i Francis widział przez chwilę ciemną farbę tworzącą na przedramieniu zawile wzory.

– Mówisz, że temu człowiekowi zdarto tatuaż z ciała? – zapytał Iwao, odwracając się do Marni.

– Przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego ktoś mógłby chcieć to zrobić?

Iwao wziął głęboki wdech i na chwilę zatrzymał powietrze w płucach. Przesunął szczupłymi palcami po zuchwie.

– Takie rzeczy zdarzają się czasem w Japonii, ale nie w ten sposób. Mówię

o ludziach, którzy mają *irezumi*, to zwykle jakuza.

– *Irezumi*? – powtórzył Francis.

– Tatuaż całego ciała. Czasem umierający członek jakuzy wydaje polecenie, by jego tatuaze zdjęto z ciała i zachowano dla potomności. Kilka takich eksponatów znajduje się na wystawie w Bunshin, muzeum tatuażu w Jokohamie. Wiem też, że kolekcję ma Uniwersytet Tokijski.

– Ale ludzi nie morduje się dla tatuażu?

Iwao pokręcił głową.

– Nigdy o tym nie słyszałem, ani w Japonii, ani nigdzie indziej. No a teraz już się zbierajcie.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł bez pożegnania.

Francis i Marni zeszli czarną klatką schodową i wyszli na ulicę. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Francis zapytał:

– Co on pani powiedział, kiedy poprosiła go pani, żeby spojrzeć na zdjęcia?

Marni umknęła wzrokiem i na policzki wypłynął jej rumieniec.

– Nic takiego. Chciał mi tylko o czymś przypomnieć.

Francis nie potrafił skonkretyzować swoich mglistych przypuszczeń, a nastrój nie pozwalał drążyć tematu. Ruszyli w milczeniu przed siebie.

Telefon zawibrował mu w kieszeni. Zerknął i przeczytał esemesa od Rory'ego:

Skąd Marni Mullins tak się zna na więziennych tatuażach? Bo sama siedziała.

VI

Mam na koncie wiele tatuazy. Wyprawiam je. Zostały zdjęte z różnych ludzi (wszyscy oczywiście są już martwi) i teraz znajdują się w różnych fazach procesu. Wyprawiam skóry od lat. Oczywiście nie ludzkie, bo to wciąż jednak nowość, lecz zwierzęce. Może się to wydawać zdumiewające, ale proces jest zasadniczo ten sam. Skóra ludzka niczym się nie różni od zwierzęcej, a wyprawiona nie ma sobie równych pod względem miękkości.

Przykładowo: skalp chłopaka moczy się teraz w mleku wapiennym, które rozbija włókna keratyny obecne we włosach i rozpuszcza tłuszcz. Śmierdzi, ale to ważna część procesu. Ten się wapnuje, ja tymczasem pracuję nad drugim. Za pomocą stępionego ostrza zeskrobuje włosy i gnijące mięso z eleganckiego tatuazu ramienia. Pamiętam kobietę, z której został zdjęty. Moją pierwszą ofiarę. Kosztowało mnie to mnóstwo nerwów, ale po przystąpieniu do cięcia i zdejmowania skóry wróciła mi cała pewność siebie. Była miłą kobietą – pamiętam naszą pogawędkę tuż przed jej śmiercią – i nie straciła wdzięku nawet wówczas, gdy zorientowała się, co ją czeka. Dopiero gdy umierała, w jej oczach pojawił się strach. Dopiero wtedy dał się wyczuć zapach potu.

Praca ze skórami to najszcześniejsze chwile mojego życia. Dotarło to do mnie w okresie pracy dla Rona Dougherty'ego. To on dostrzegł moje wyjątkowe uzdolnienia. Możliwe, że w początkach mojego stażu u niego Ron był najlepszym w kraju preparatorem zwierząt, ale był niezmiernie szczęśliwy, mogąc przekazać mi pałeczkę, gdy podszlifował już nieco moje umiejętności. Najważniejsze było to, że stanowiliśmy zespół, a on był dla mnie jak ojciec.

Przejął kształcenie mnie w momencie, gdy przestał się mną zajmować mój ojciec, i w roli mentora sprawdził się o niebo lepiej od niego, w ogóle bez porównania. Tatuś wypchnął mnie z gniazda, nie doczekawszy się spełnienia własnych oczekiwań, a wtedy wkroczył Ron i poskładał to wszystko do kupy. Mnie poskładał. W ciągu kolejnych dziesięciu lat pozszywał mnie i wyuczył fachu.

Ron dał mi pracę i dom, a także coś znacznie ważniejszego. Ale wszystko zaczęło się od pracy dla niego w jego zakładzie.

Najpierw były myszy i szczury. Żywe można kupić wszędzie jako karmę dla węży albo zwierzęta doświadczalne, więc mieliśmy stałe dostawy. Nie są drogie, więc popełniane przeze mnie błędy – bardzo nieliczne, trzeba powiedzieć – nie miały znaczenia. Po opanowaniu podstaw zdejmowania skór, wyprawiania ich i wypychania zwierząt przyszedł czas na szlifowanie umiejętności na ptakach

i wiewiórkach, chomikach, a później kotach. Gdy moja praca nie budziła już zastrzeżeń, Ron pozwolił mi pracować na większych zwierzętach. Niewielu naszych klientów pytaliśmy, skąd je wzięli. Większą część zysków czerpaliśmy z wypychania ukochanych pupili, kucyków i nagradzanego bydła. Czasem proszono nas o przygotowanie dioramy. Ludzie chcieli mieć scenę z ulubionej książki albo filmu, w której bohaterów zastąpiłyby martwe myszy czy ptaki. W mojej ulubionej rolę Don Kichota odegrał szczur, który nacierał na wiatrak, jadąc wierzchem na jeżu. Praca powstała dla jakiejś leciwej damy z Brixham, która zapamiętała tę scenę z dzieciństwa.

Ron zmarł przed kilkoma laty. Szkoda, że nie żyje. Mam jego skórę, wyprawioną... Moje pierwsze doświadczenie z ludzką skórą. Zawsze noszę jej kawałek w kieszeni, a częściej przypięty do ubrania od wewnętrznej strony, żeby czuć go na własnej skórze. Tym sposobem jesteśmy zawsze razem. Nigdy się nie rozstajemy.

Ron był najlepszy. Dlatego musiał odejść.

A teraz, zdaniem Kolekcjonera, palma pierwszeństwa należy do mnie.

Francis

Francis Sullivan gapił się z niedowierzaniem na ekran swojego komputera i cichutko klął w pustkę. Nic. Ani jednej wzmianki o Marni Mullins w kartotekach policji hrabstwa Sussex. Może występowała tam pod innym nazwiskiem, zapewne panięńskim. Ale w takim razie skąd, do cholery, Rory wziął informację o jej odsiadce? Francis zapytał go o to wprost, ale ten tylko wymamrotał coś mętnie o niepotwierdzonych plotkach. Francis zachodził w głowę, za co ją wsadzili. Kradzież w sklepie? Drobnny handel narkotykami, jak w przypadku Thierry'ego, który kilkakrotnie dostawał ostrzeżenia? Może włamanie? Kobiety potrafiły się bardzo zręcznie włamywać. Będzie musiał rozszerzyć poszukiwania na kartoteki krajowe.

Wiedział jednak, że nie powinien. W sprawie zabójstwa Evana Armstronga ani przez chwilę nie brał pod uwagę winy Marni, a przy tym nie mieli żadnego konkretnego powodu, by to morderstwo wiązać ze zwłokami znalezionymi pod mołem. No dobrze, obie ofiary miały tatuaże, ale z tego, co zdołał się zorientować, nie różniły się pod tym względem od przynajmniej połowy młodych mężczyzn, którzy nadal mieszkali w tym mieście. Do tego morderca wybrał całkiem inny sposób działania. Dążenie do zaspokojenia niezdrowej ciekawości w przypadku Marni Mullins było nieprofesjonalne. Mógł to pozostawić swojemu pozbawionemu skrupułów zastępcy; nie wątpił, że Rory śpiewająco wywiąże się z tego zadania. Francis nie chciał się dopytywać, skąd wziął informację o tym, że Marni siedziała.

Brzęknęła nowa wiadomość w skrzynce odbiorczej i Francis skupił się na bieżących problemach. Wiadomość pochodziła od Angie Burton i zawierała wyniki znacznie ważniejszych poszukiwań. Francis poprosił ją, by przejrzała bazy SCAS gromadzące informacje o najpoważniejszych przypadkach złamania prawa pod kątem brutalnych przestępstw obejmujących obdzieranie ze skóry lub usuwanie tatuaży. Przebiegł wiadomość wzrokiem, pociągając łyk kawy.

Nic oczywistego nie rzucało się w oczy. Odnotowano obecność tatuaży u ofiar rozmaitego rodzaju przestępstw: napadów, bójek w pubach, przemocy domowej, ale większość spraw doczekała się rozwiązania, a SCAS w żadnej z nich nie oznaczył tatuażu jako głównego motywu. Lista opisanych w bazie

obrażeń ze skutkiem śmiertelnym była dość makabryczna, ale ani razu nie pojawiło się obdzieranie ze skóry; głównie pchnięcia nożem lub ciosy zadane tępym narzędziem. Jakiejś kobiecie odrąbano rękę, inną wepchnięto pod pociąg, jeszcze inną śmiertelnie postrzelono. Jakiegoś gościa dźgnięto w szyję maszynką do tatuażu, ale przeżył, chociaż igły wbiły się w tętnicę.

Francis przewinął do przedstawionej przez Angie analizy wyników.

...żadnych oczywistych związków ze śmiercią Evana Armstronga. Być może dokładniejsza analiza ujawni jakieś mniej czytelne powiązania. Będzie to jednak wymagać od zespołu znacznego zaangażowania czasowego...

Innymi słowy, Angie nie chciała tego robić. Francis nie mógł jej winić: analiza danych stawała się w tej robocie coraz istotniejsza, a większość ludzi nie z jej powodu wstępowała do policji. Interesowała ich praca w terenie, a nie siedzenie za biurkiem. Ale jeśli coś tam było, to w pierwszej sprawie, którą prowadził, nie mógł tego zlekceważyć.

Podniósł słuchawkę.

– Hollins, wpadnij tu na sekundę.

Dwie minuty później w drzwiach stanął Hollins.

– Czy to może chwilę poczekać, szefie? Angie ma urodziny i właśnie częstuje ciastem.

„Jasne. Mamy na wolności świra z nożem do filetowania, ale pewnie, przerwijmy poszukiwania, zjedzmy ciasteczko...”

– Oczywiście. – Podniósł się z biurka, ruszył za Hollinsem i wszedł za nim do centrum koordynacyjnego. – No to gdzie ta nasza jubilatka?

Dziesięć minut później, gdy już przyłączył się do chóru donośnie śpiewającego *Sto lat* i zjadł możliwie najcieńszy kawałek biszkoptowego tortu, Angie złapała go, gdy wracał do gabinetu, i zażądała żartem urodzinowego buziaka. Cmoknął ją w policzek, co wystarczyło, by zarumienił się jak piwonia. Zanim wrócił do biurka, udaremnił Hollinsowi próbę nałożenia sobie trzeciego kawałka tortu. Nic dziwnego, że tamtemu brzuszek zaczynał się wylewać ze spodni.

– Hollins, widzę cię w moim gabinecie.

Rory poszedł za nimi, oblizując się z resztek dżemu truskawkowego.

– Szefie? Na słówko?

Przy każdym słowie sypał okruchami.

Francis zmarszczył brwi.

– Za moment.

Odwrócił się do Hollinsa.

– Wysłałem ci raport SCAS uwzględniający charakterystyczne cechy zabójstwa Armstronga. Chcę, żebyś go przeczytał od deski do deski. Szukaj wszystkiego, co mogliśmy przeoczyć, zwłaszcza kawałków zdartej lub obciętej skóry. Porównaj lokalizacje i zwróć uwagę na osoby podejrzane i zamieszane w sprawę. Przed wyjściem przekaż mi listę wszystkich ewentualnych powiązanych spraw...

– Ale...

– Żadnych ale. Do roboty.

Hollins wycofał się z wyrazem przygnębienia na twarzy.

Rory przyglądał się temu z rozbawioną miną.

– Chciał panu powiedzieć, że Bradshaw już zlecił mu pracę nad czymś, co ma skończyć pod groźbą śmierci.

Francis uniósł brwi. Szef nad jego głową zlecał prace jego podwładnym?

– Nie ma lekko. A swoją drogą, gdzie Bradshaw? Widziałeś go dzisiaj?

– Środa. Golf z możliwymi tego świata. Mozolna wspinaczka na szczyt.

– No tak. Co tam masz dla mnie?

Rory klapnęła na pusty fotel przed biurkiem Francis'a.

– Po pierwsze, w recepcji siedzi Tom Fitz z „Argusa” i twierdzi, że nie wyjdzie, póki nie udzieli mu pan wywiadu.

Francis westchnął. Czy ten cholernik nigdy się nie odczepi?

– Powiedz oficerowi dyżurnemu, żeby go wywalił. Coś jeszcze?

– Tożsamość bezgłowego trupa. Miałem rację, faktycznie mieliśmy jego odciski w bazie.

– No i?

– Nie był tak do końca gangsterem, jak sądziłem. – Rory potrafił przynajmniej złożyć zgrabną samokrytykę. – Jedna przejażdżka kradzionym autem. Gość nazywał się Jem Walsh. Był stąd, uczył się na tatuazystę. Mało prawdopodobne, by mógł być zaplątany w jakieś gangsterskie porachunki.

– Cokolwiek, co wyjaśniałoby, co się tam mogło zdarzyć?

Rory umilkł na chwilę.

– Okazuje się, że miał tatuaż na głowie...

Francisowi żołądek podjechał do gardła.

– ...a głowę mu zabrano.

– Myślisz o tym samym co ja.

– Być może... ale powtarzam: może! ma to ze sobą jakiś związek.

Ich spojrzenia spotkały się nad stołem. Przed wyciągnięciem jakichkolwiek wniosków należało się temu uważnie przyjrzeć, ale Francis czuł, jak wali mu

serce.

- Wiemy, co przedstawiał tatuaż?
- Pajaka w sieci pokrywającej całą czaszkę. I nazwa: Bel-cośtam. Beliar?
- Szatan. Skąd to wiemy?
- Zdjęcia od rodziców, szefie.

Siedzieli nieruchomo po dwóch stronach biurka. Przez całe trzydzieści sekund panowała kompletna cisza, po czym obaj odezwali się jednocześnie.

– Ty pierwszy – powiedział Francis. Serce waliło mu młotem i nagle zrobiło mu się zimno.

– Myślisz...? – Rory szeroko otworzył oczy.

Pięciosekundowa cisza. Żaden nie chciał powiedzieć tego na głos.

Wreszcie Francis się przełamał.

– Jeszcze jedno i trzeba będzie przyznać, że mamy na tapecie seryjnego mordercę.

Rory

Nie mogli mieć pewności. Przez kolejną godzinę obracali na wszystkie strony zgromadzone informacje, bezlitośnie obalając własne teorie. Choć opinia publiczna miała obsesję na punkcie seryjnych zabójców, w praktyce zdarzali się niezwykle rzadko, więc wyciąganie pochopnych wniosków nie miało sensu.

– Głowa może jeszcze gdzieś wypłynąć – powiedział Rory. – To dwa oddzielne morderstwa, różne sposoby działania, różne przyczyny śmierci, brak znanych powiązań między ofiarami.

– Tego, szczerze mówiąc, jeszcze nie sprawdzaliśmy. Dopiero co zidentyfikowaliśmy Walsha – odparł Sullivan. – No i jakie jest prawdopodobieństwo, że dwaj zabójcy obrabiają w tym samym tygodniu to samo poletko?

– Seryjni zabójcy wolno się rozpędzają. A te dwa zabójstwa miały miejsce dosłownie jedno po drugim.

– To prawda. – Sullivan zamilkł na chwilę i wysunął szufladę biurka. – Może uznać tatuaż Evana Armstronga i głowę Walsha za trofeum?

Zatopiony w myślach, wpatrywał się w leżący na biurku notatnik. Rory wyjął z kieszeni czarnego e-papierosa. Ciche cmoknięcie towarzyszące zaciąganiu się wyrwało Francisca z zamyślenia.

– Proszę to odłożyć. Wiesz równie dobrze jak ja: żadnego popalania.

Rory skrzywił się z niezadowoleniem, wypuszczając wonny opar, lecz mimo to wcisnął gadżet z powrotem do kieszeni spodni. Nie znosił pracować dla służbistów, a wyglądało na to, że jego nowy szef jest podręcznikowym przykładem. Komisarz Sullivan nie przewidywał taryfy ulgowej.

– Za wcześnie, żeby to w ten sposób określać czy w ogóle formalnie łączyć te dwa morderstwa.

No i znów te regulaminy. Obaj, do cholery, wiedzieli, z czym mają do czynienia.

– No więc mamy działać tak, jakby to nie był seryjny zabójca, i tracić czas? Czy kiedykolwiek pracował pan, szefie, przy sprawie seryjnych zabójstw?

– To nie ma nic do rzeczy – warknął Francis. – Po prostu musimy posuwać się naprzód, jak daleko się da, traktując to jako dwie niezależne sprawy, póki

nie znajdziemy czegoś, co uzasadni zmianę podejścia.

– Albo kolejnych, kurde, zwłok.

– Należy porozmawiać z funkcjonariuszami na dyżurach. Uświadomić im, że mamy na wolności zabójcę. Albo dwóch. Musimy mieć więcej mundurowych na ulicach. Do obu zabójstw doszło w środku miasta...

Rozmowę przerwał natarczywy dzwonek telefonu komisarza.

– Bradshaw – wyartykułował bezgłośnie Francis, podnosząc słuchawkę. – Tak jest. – Skinął kilkakrotnie głową, minę miał poważną. – Już.

Rozłączył się i wstał zza biurka.

– Chodźmy, mamy się przejść na górę i złożyć mu raport z postępów.

– Długo to nie potrwa – burknął Rory, wychodząc za nim z gabinetu.

– W tym problem.

– Zamierza pan, szefie, wspomnieć mu o naszej teorii?

– Że to seryjny zabójca? Nie, póki nie będziemy mieli jakichś konkretów. Podnieci się, a ja na ten przykład nie chciałbym mu rozładowywać tego napięcia.

Sullivan mówił zdecydowanie do rzeczy.

Biuro nadkomisarza Bradshawa znajdowało się zaledwie piętro wyżej, lecz ta kondygnacja to był całkiem inny świat. Żadnych plam na wykładzinie, gabinet tak przestronny, że mieściły się w nim fotel, regał i kilka szaf na akta, które w sumie zajmowały więcej miejsca niż cała klitka komisarza.

Sullivan zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Rory wszedł za nim i obaj stanęli przed biurkiem Bradshawa, czekając, aż ten skończy rozmawiać przez telefon. Na blacie nie było żadnych papierów, tylko kilka oprawionych w ramki zdjęć, z których nie uśmiechała się dwójka dzieci, lecz sam nadkomisarz na rozmaitych polach golfowych. Rory ustawił się pół kroku za Francisem, nieco z boku. Zapowiadała się ciekawa wymiana zdań.

– Siadajcie – warknął Bradshaw.

Twarz miał zaczerwienioną, zapewne wskutek wiatru na polu golfowym, a jeszcze pewniej wskutek późniejszej wizyty w barze. Patrzył wyczekująco to na Rory'ego, to na Sullivana, którzy usiedli na krzesłach.

– Więc... – zaczął Sullivan.

– Sprawa Armstronga. Aresztowaliście już kogoś?

– Nie, nie aresztowaliśmy.

– Macie jakieś nazwiska?

– Nie, nie mamy.

– A co z tym Mullinsem? Sądziłem, że nam idealnie pasuje.

– Ma alibi – powiedział Rory. – Wystarczające.

– Siedzicie nad tym od czterech dni, a ja nie widzę żadnych postępów. Bo rozumiem, że nic więcej nie macie?

– Nie do końca – powiedział Sullivan.

Bradshaw spojrział na niego wilkiem.

– Zatem przejmie mnie oświećcie.

Były takie rzadkie chwile, w których Rory nie zazdrościł Sullivanowi stanowiska komisarza. Zdawanie sprawozdania Bradshawowi zdecydowanie się do nich zaliczało.

– Udało nam się zidentyfikować obie ofiary.

– To kim jest ten drugi? Czy jest między nimi jakiś związek, który mogłby wskazywać na seryjnego zabójcę?

– Badamy sprawę.

Bradshaw westchnął.

– Ale nie macie nic konkretnego, tak?

– Odciski palców zidentyfikowano dopiero pół godziny temu – wtrącił Rory.

– A więc ma kartotekę, tak? – powiedział Bradshaw. – Rozumiem, że wezwałeś do złożenia zeznań wszystkich jego znanych współsprawców?

– Cztery lata temu postawiono mu zarzut przejażdżki kradzionym samochodem – powiedział Sullivan. – Żadnych współników, a od tamtej pory żadnych konfliktów z wymiarem sprawiedliwości.

– Chryste Panie, drepczesz w miejscu, Sullivan. Masz na wolności zabójcę, a może dwóch, i nic o nim nie wiesz.

– Prawdę mówiąc, komisarz Sullivan ma pewną teorię – zaczął Rory.

Dostrzegł mięsień, który drgnął w twarzy Sullivana. Nie powinien był tego mówić.

– Wyrzuć to z siebie, Sullivan.

– Nie ma o czym mówić. Na razie to tylko przypuszczenia. Zdecydowanie za wcześnie na hipotezę.

Bradshaw spiorunował go wzrokiem. Sullivan poczerwieniał.

– To były bardziej luźne rozważania niż robocza teoria.

Spuścił wzrok. Taktyka uniku. Ale przecież będzie musiał puścić farbę. Podniósłszy oczy, napotkał nieporuszone spojrzenie szefa. Rory był pod wrażeniem.

– Evanowi Armstrongowi zdjęto z ciała tatuaż. Zdarto mu skórę... – zaczął Sullivan.

– Tyle wiem. Do rzeczy.

– Druga ofiara, Jem Walsh, miała tatuaż pokrywający większość czaszki.

Jego głowy wciąż nie odnaleziono. Tym sposobem mamy dwa zaginione tatuaże, co może sugerować, że nasz zabójca, o ile to jedna osoba, gromadzi trofea.

Bradshaw oparł łokcie na biurku i złożył dłonie w piramidkę. Zamknął oczy. Wyglądał, jakby się modlił albo medytował.

– Nie.

Nawet nie otworzył oczu.

– Proszę? – zdziwił się Sullivan.

Bradshaw raptownie otworzył oczy.

– To brednie, Sullivan. To nie jest seryjny zabójca gromadzący trofea. Wątpię, do cholery, że te zabójstwa popełniła jedna osoba. Nie marnuj mojego czasu i budżetu na bzdurne teoryjki. – Wstał, pałając świętym oburzeniem. – Czy ty źle widzisz? Masz dwie osoby pałętające się na obrzeżach zbrodni i mogę ci zagwarantować, że właśnie tam znajdziesz rozwiązanie.

– Staramy się nie zasklepiac w myśleniu i badać wszystkie możliwości – zaproponował Sullivan.

– I to was, kurna, gubi. Za dużo kręcenia, za mało skupienia. Sprawdźcie, z kim się ci ludzie zadawali, a dowiedcie się, czemu ich zabito. A potem pójdzie jak z płatka.

– Tak jest, panie nadkomisarzu.

– I nie wzbudzaj we mnie poczucia, że powinienem przydzielić do tej sprawy kogoś bardziej doświadczonego, Sullivan. Byłaby to klęska dla nas obu. A ja, tak ci powiem, nie robię w klęskach.

– Ja też nie – powiedział Sullivan cicho, odsuwając krzesło od biurka.

– Dorwiemy tego zabójcę – powiedział Rory. – Jednego albo dwóch.

Francis

Pierwszą rzeczą, którą spostrzegł Francis po wejściu do mieszkania siostry, była warstewka kurzu na lustrze w przedpokoju. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Mieszkanie Robin było zwykle wysprzątane na błysk, więc wyjaśnienie mogło być tylko jedno: kolejny rzut choroby. Nie odwiedzał jej od tygodni.

– To ty, Francis? Jestem w dużym pokoju.

Wszedł w głąb mieszkania i znalazł potwierdzenie swoich podejrzeń. Jego starsza siostra siedziała w swoim ulubionym fotelu z kocem na kolanach, lecz natychmiast dostrzegł oparte o krzesło kule. Pięć lat od niego starsza, bardzo zdolna i w jego oczach bardzo piękna Robin była dla niego wzorem, kobietą, która imponowała mu znacznie bardziej niż ich matka, Lydia. Dziś sprawiała wrażenie zmęczonej i osłabionej. Usta miała zaciśnięte.

– Robin, głupia gąsko, powinnaś była mi powiedzieć.

Pochylił się, by pocałować ją w policzek, i poczuł zapach choroby, którym przesiąkły ubrania okrywające jej drobną postać.

– Po co? Żebyś wpadł na herbatkę podlaną współczuciem? Ostatnie, czego mi trzeba.

– Tak swoją drogą to herbaty akurat bym się napił.

Wziął ze stojącego przed nią niskiego stolika tacę z resztkami posiłku, a potem, czekając, aż zagotuje się woda, posprzątał kuchnię.

– Widziałeś się z mamą? – zapytała Robin, gdy wrócił do pokoju.

Pokręcił głową.

– No wiesz, Fran! – Siostra westchnęła. – Mnie sobie możesz nie odwiedzać, mam mnóstwo znajomych, którzy o mnie dbają, ale mamy? Wiesz, że nikt inny do niej nie przychodzi.

Francis nie próbował się bronić. Zasłużył na wyrzuty.

– Praca – powiedział, nalewając herbaty do filiżanek.

– To żadna wymówka.

Nachyliła się po ciasteczko i wtedy zauważył, z jakim trudem bierze je z talerzyka. SM zaburzało małą i dużą motorykę, widzenie, a podczas szczególnie silnego rzutu także mowę. Nienawidził go całym sercem, ale nie był głupi, więc nawet o tym nie wspomniał.

- Wiem, że to żadna wymówka.
- Życia towarzyskiego zapewne również nie prowadzisz?

Wzruszył ramionami. Robin od zawsze wściubiła nos w jego życie osobiste i musiał to cierpliwie znosić.

– Jak nie będziesz zapraszał dziewczyn na randki, to nigdy nie znajdziesz sobie żony.

Skąd ta obsesja na punkcie ożenienia go?

– Praca jest ważniejsza. Próbuję umocnić swoją pozycję zawodową.

– No to mów.

Właśnie dlatego znalazł czas, żeby się z nią wreszcie zobaczyć. Zawsze potrafiła mu doradzić. Umiała myśleć niestandardowo i dostrzegała powiązania tam, gdzie on czy jego zespół nie zaczęliby nawet szukać. Popijając herbatę, wtajemniczył ją w szczegóły dwóch zbrodni. Gdy skończył, z rezygnacją oparł głowę na rękach.

– Zabrnąłem w ślepy zaułek, a to dla mnie naprawdę ważna sprawa.

– Każde morderstwo jest ważne.

– Wiem. Ale do tego mam szefa, który we mnie nie wierzy, i zespół, który uważa mnie za durnego karierowicza.

– Normalka. Niech pomyślę.

– Nie krępuj się.

– Tak na pierwszy rzut oka to nie jest seryjny zabójca – powiedziała Robin wolno, gdy już zjadła w milczeniu trzy herbatniki.

– Różne metody działania, zbyt krótki odstęp czasu. Oczywiście. To nie jest seryjny zabójca. Ale w obu przypadkach jest coś dziwnego. Żadnych związków ze zwykłą przestępczością, brak motywu rabunkowego czy seksualnego.

– To nie oznacza, że coś je łączy.

– Świetnie. A więc mam do złapania dwóch zabójców. Przy tej samej liczbie ludzi.

Robin puściła to mimo uszu i zamyśliła się nad zdjęciami, które przyniósł, żeby jej pokazać.

– To – powiedziała, wskazując obdarte ze skóry ramię Evana – zdecydowanie wygląda jak trofeum.

– A głowa Walsh'a nie? Miał na niej tatuaż.

– No wiem. Ale jeśli zabójca chciał po prostu zdobyć tatuaż, to na Walshu miał całą masę innych do wyboru, nie? Zdejmowanie tatuażu z czyjejś czaszki pewnie nie jest łatwą sprawą.

– No i dlatego właśnie musiał zabrać całą głowę.

– Zamiast, dajmy na to, tego wilka na nodze?

Francis poczuł się zbity z tropu. Wrócił do kuchni po resztę herbatników z otwartego opakowania.

– Rzuć okiem na to – powiedział, podając jej plik kartek.

– Co to jest?

– Wyniki z SCAS, sekcji analizy najpoważniejszych przestępstw. Porównanie szczegółów różnych zbrodni.

– Dostajesz w ten sposób możliwe punkty styeczne dwóch zabójstw, tak?

– Teoretycznie. Ale nie opisano tu żadnych morderstw, w których pojawiłyby się element brakującego tatuażu.

Robin przestudiowała raport.

– A więc w świetle takiej analizy twoje dwa morderstwa nie miałyby ze sobą nic wspólnego, tak? W jednym brakuje tatuażu, w drugim brakuje głowy. Czy mogłabym dostać jeszcze herbaty, Fran, byłbyś tak dobry?

Napełniając czajnik i wyjmując herbatę, Francis myślał o tym, co powiedziała Robin. Morderstw Evana Armstronga i Jema Walsha nie wskazano by jako tych, które łączył podobny sposób działania zabójcy, a przecież coś je łączyło.

– Pokaż mi ten raport – powiedział, stawiając na stoliku świeżo zaparzoną herbatę.

Robin podała mu dokument i Francis klapnął na kanapę, by po raz nie wiedzieć który przebiec tekst wzrokiem.

– Czego szukasz? – zapytała Robin.

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Ale tu musi coś być.

Coś, po czym już pięć razy prześliznął się wzrokiem. Wrócił na początek i jeszcze raz zaczął czytać opisy zbrodni.

I wtedy to dostrzegł.

– Tak! Jest!

– Co?

Wyszarpnął z kieszeni telefon.

– Rory? Rory, otwórz ten raport SCAS i sprawdź Giselle Connelly: kobietę, którą znaleziono martwą na polu golfowym. Nie miała ręki i mimo intensywnych poszukiwań nigdy jej nie znaleziono. Dowiedz się, czy na tej odciętej ręce miała tatuaż. Zadzwoń, jak tylko się dowiesz.

– Francis, jesteś genialny.

– Nie byłbym tego taki pewien. Jeśli nie będzie tatuażu, to jesteśmy w punkcie wyjścia. Ale gdyby był, to być może mamy do czynienia z seryjnym

zabójcą z obsesją na punkcie tatuaży.

– A wówczas pozostaje ci tylko dojść do tego, kim on jest.

– A zabiorę się do tego w jaki sposób?

– Dochodząc, czemu je zabiera, oczywiście.

Oczywiście. Wszystko było całkowicie jasne. Ale czy na pewno?

Marni

Marni stała przed Tatouage Gris i zadawała sobie pytanie, co tu właściwie robi. Czy naprawdę potrzebowała pomocy Thierry'ego w zidentyfikowaniu wytatuowanego rękawa, którego zdjęcie właśnie przekazał jej Francis, czy też była to zwyczajna wymówka, żeby się z nim zobaczyć? Dlaczego w ogóle pomagała Sullivanowi? Chciała mu zaimponować? Nie umiała sobie na te pytania odpowiedzieć, więc nie było sensu sterczeć na chodniku.

Pchnęła drzwi i zupełnie się nie zdziwiła, gdy powitał ją strumień francuskich bluzgów.

– *Merde!* Mogłabyś zostawić mnie w spokoju, *connasse?*

Nawet z wykrzywioną ze złości twarzą Thierry jakimś cudem był nadal przystojny.

– Też cię kocham, T – powiedziała obojętnie.

Studio, w którym pracował Thierry razem z Charliem, Noa i stale się zmieniającymi ponętymi stażystkami, było znacznie większe od jej własnego i nie dzieliło się na poczekalnię i gabinet. Wydawałoby się jeszcze większe, gdyby nie to, że wszystkie ściany pomalowano na czarno, a wewnątrz podzielono sięgającymi do połowy wysokości przepierzeniami na pojedyncze stanowiska. W kącie stał częściowo rozebrany motor, przy którym od niepamiętnych czasów majstrował Charlie.

Rzadko tu sprzątano i w ciężkim od zapachu kadzidła powietrzu zawsze unosiło się wiele znajomych woni. Curry. Papierosów. Trawy. Środka do dezynfekcji.

– Marni! – Siedzący pod przeciwległą ścianą Noa dosłownie wyśpiewał jej imię, po czym zerwał się i wziął ją w objęcia.

Kiedy pochylił się, żeby ją ucałować, jego szorstka broda otarła się o jej policzek, ale w jego ciepłym uścisku Marni poczuła się tak, jakby wróciła do domu.

– Za długo cię nie było – wyszeptał jej do ucha. – Kiedy będę mógł cię stąd wreszcie porwać?

Marni się roześmiała. Zawsze się tak droczyli, robiąc aluzje do romansu, który nigdy się nie urzeczywistnił.

Kiedy Noa wrócił do rysunku, nad którym pracował, Charlie pomachał do

niej znad nagich piersi, które właśnie tatuował.

– Hej, Charlie – powiedziała i skinęła mu głową.

Zignorowała stażystkę robiącą remanent tuszów na stanowisku Thierry’ego, która wyglądała jak uczennica z zamiłowaniem do punk rocka. Nie warto było zapamiętywać ich imion: jeśli miały choć odrobinę talentu, szybko podkupywało je konkurencyjne studio, które lepiej płaciło. Czasem zwyczajnie same się zwalniały po zerwaniu z którymś z chłopaków. Marni nie zwracała sobie nimi głowy.

Thierry przywitał ją miazdzącym spojrzeniem, ale przywykła już nie traktować tego poważnie. Powiesiła torbę na oparciu krzesła i wyplątała się z kurtki.

– Po co żeś przyszła? – zapytał Thierry. – Czy ja cię muszę codziennie oglądać?

– Policja nas prosi o pomoc.

– Nas? – zdziwił się Noa.

– Francis wysłał mi zdjęcie tatuazu, rękawa. Próbują się dowiedzieć, czyja to robota. No więc kogo mają pytać jak nie nas?

– Francis? – upewnił się Thierry. – Facet, który mnie aresztował? Już jesteście na ty?

– Oj, wszystko jedno.

Czując, że się rumieni, choć nie wiedząc właściwie czemu, Marni zanurkowała do torby i wyciągnęła zwiniętą w rulonik odbitkę. Rozwinęła ją i rozłożyła na nieużywanej kozetce. To było typowe zdjęcie, jakie robi się w studiu. Przedstawiało ramię kobiety ozdobione spektakularnym biomechanicznym tatuażem.

– Spójrzcie. Tę kobietę zamordowano pół roku temu. Odcięto jej ramię. I do tej pory go nie znaleziono.

Noa podszedł rzucić okiem i nawet Thierry mimowolnie wyciągnął szyję, by przyjrzeć się fotografii, po czym zagwizdał cicho. Marni obserwowała go uważnie, starając się ocenić jego reakcję na zdjęcie, lecz on zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Bomba. Znałem gościa, który miał coś podobnego, tylko do tego jakby ciało poszarpane na krawędziach – powiedział Noa.

– No nie, to chore. – Thierry się wzdygnął. – To nie była czasem robota Seamusa Byrne’a?

– O, właśnie! On robi dużo takich rzeczy.

– Ale przecież nie to? – wtrąciła Marni. – To nie wygląda na jego dzieło.

– Daj popatrzeć.

Zaintrygowany Charlie odłożył maszynkę, zdjął rękawiczki i podszedł do stanowiska Thierry'ego. Dziewczyna leżąca na jego kozetce skorzystała ze sposobności, żeby się przeciągnąć i napić wody.

Gdy Charlie oglądał zdjęcie, stażystka przerwała pracę i wsunęła się za Thierry'ego. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do jego barku. Thierry odwrócił głowę i pocałował ją w usta. Marni spojrzała w inną stronę. Nikt nie miałby ochoty patrzeć, jak jego eks się lize. Zabolało ją, ale w końcu Thierry zawsze był niewrażliwym draniem.

– Ej, ludzie – powiedział Noa, uzmysławiając sobie niezręczność sytuacji.

Thierry spojrzał na Marni, a potem na dziewczynę.

– Później, skarbie – mruknął.

Marni zacięła się, czy on w ogóle wie, jak jej na imię.

– Ile ty masz lat? – zapytała uszczypliwie.

Dziewczyna miała wygląd sarny oślepionej reflektorami samochodu.

– *Putain*, Marni. Daj jej spokój.

Charlie i Noa wymienili spojrzenia. Charlie uniósł zdjęcie.

– Niezła robota – powiedział. – Naprawdę niezła.

– Zabójca ma gust, co? – rzucił Thierry.

Marni z wysiłkiem skupiła się na tym, po co przyszła, odsuwając od siebie natrętne pytanie, kiedy ostatni raz całowała się z Thierryem. Kiedy to mogło być? Jakiś rok czy dwa lata temu, po pijanej nocy na którymś z konwentów?

– To prawda. Armstrongowi tatuaż zrobił Jonah Mason. Jeden z najlepszych speców od czarnych wzorów plemiennych.

– Znałem Evana – powiedział Charlie. – Gość był w porządku.

– Jasne – skwitował Thierry. – Dlatego zwiął bez płacenia.

– Ale przynajmniej była z nim kupa śmiechu – wtrącił Noa. – I wyciągnąłbyś od niego tę forszę, tylko ci się po prostu nie chciało.

– A ja myślę, że zapłacił ci ziołem – rzuciła Marni. – Nie on jeden w tamtych czasach.

Thierry pokręcił głową, ale dobrodusznie.

– Policja naprawdę sądzi, że coś jest na rzeczy? W sensie, że jest jakiś morderca, który zdiera ludziom tatuaże? – zdziwił się Noa. – Jakoś tego nie kupuję.

– Wiesz, że ludzką skórę da się wyprawiać tak samo jak zwierzęcą? – powiedziała Marni. – W Japonii tak robią z tatuażami jakuzi.

– Ohyda – jęknęła stażystka.

– To ja się już może zabiorę do roboty. – Charlie wrócił do swojej klientki.

– Ale tak serio, wicie, czyja to może być praca?

– Czyja?

– Jest taki gostek z Polski, Bartosz coś tam. Robi podobne rzeczy.

Thierry podszedł do biurka i otworzył przeglądarkę.

– Bartosz? B-A-R-T-O-S-Z?

– No – odparł Charlie, wciągając nową parę czarnych lateksowych rękawiczek.

– Bartosz Klem – potwierdził Thierry po kilku sekundach. – No, faktycznie, bardzo podobne.

Marni stanęła za jego krzesłem i wbiła wzrok w monitor. Miała przed sobą cały ekran tatuaży, w większości motywów biomechanicznych, bardzo podobnych do tatuażu na ramieniu kobiety.

– Powiedziałabym, że to prawie na pewno to – wymamrotała.

– Ale po co policji informacja, kto je robił? – zapytał Charlie. – Myślą, że artyści mają jakiś związek z zabójstwami? To nie jest tak, że każdy z tych tatuaży zrobił ktoś inny?

– Pojęcia nie mam – powiedziała Marni, wzruszając ramionami. – W ogóle mało w tym sensu, ale wiesz, tonący brzytwy się chwyta.

– W każdym razie jest podejrzenie, że to ma coś wspólnego z tatużami, tak? – upewnił się Noa.

Marni znów wzruszyła ramionami. Zwinęła odblisk.

– Dzięki, chłopaki. Przekażę to Sullivanowi, a on niech już sobie rozkminia, czy to ma jakieś znaczenie dla sprawy.

– Francisowi. – Głos Thierry’ego ociekał sarkazmem.

– Spadam – ucieła Marni.

Nie zamierzała dać się podpuścić. Nic by w ten sposób nie zyskała, za to on miałby satysfakcję, że wciąż potrafi ją rozdrażnić.

– Chodź do pubu, *chérie* – zaproponował Noa.

– Nie dziś, mój miły.

Marni puściła drzwi i pozwoliła im się za sobą zatrzasnąć. Fajnie byłoby się napić z Charliem i Noa, ale niedoczekanie, żeby miała patrzeć, jak Thierry migdali się w kącie ze swoją stażystką. Czasem rozważała, czy nie wyprowadzić się z miasta, by przerwać ten niekończący się cykl przyciągania i odpychania, ale wszystko zawsze sprowadzało się do jednego: to nie byłoby w porządku wobec syna. Odkąd Alex skończył sześć lat, Thierry i tak był ojcem z doskoku, a teraz chłopak wchodził w wiek, w którym ojciec – nawet tak walnięty jak Thierry – stawał się najważniejszy.

Nie było jeszcze całkiem ciemno, lecz gdy słońce schowało się za horyzontem, powiał zimny wiatr. Marni opatulila się szczelniej kurtką,

zastanawiając się, czy naprawdę ktoś w tym mieście czai się na wyjątkowe tatuaże. W tym tkwiło sedno sprawy. To wszystko były bardzo dobre prace. Znała tych dwóch, których udało im się zidentyfikować: Jonaha Masona i Bartosza Klema. Francis pokazał jej jeszcze jedno zdjęcie: tatuażu z pająkiem na głowie ostatniej ofiary. I w tym przypadku litery wyglądały znajomo.

Minęła studio tatuażu przy St James's Street i zajrzała do środka. Było zamknięte na głucho, ani śladu Mandy'ego czy Pepego, tatuażystów, którzy tam pracowali. W witrynie przyklejono wyblakły i zszargany plakat reklamujący ostatni konwent. Mogliby to już zdjąć, pomyślała, ruszając spieszenie do domu.

Przez całą drogę nie dawała jej spokoju jedna myśl. Jak połączyć te kropki? Pomijając tatuaże, co te trzy ofiary miały ze sobą wspólnego, że morderca wziął je na cel?

Nie chciała jednak angażować się w to bardziej, więc nie miała powodu się nad tym zastanawiać. I tylko ta dręcząca wątpliwość. Czy mogło ją z tą sprawą łączyć coś więcej niż odnalezienie jednego ciała?

Rory

– Zrobiliśmy pewne postępy – powiedział Sullivan. – I nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy się na nich oprzeć.

„Wygląda na to, że definicje postępów jego i szefa nieco się od siebie różnią”.

Był czwartek rano i cały zespół zgromadził się w centrum koordynacyjnym na codzienną odprawę.

Sullivan wskazał na tablicę.

– Obecnie mamy na tapecie trzy morderstwa, z których jedno to stara sprawa, sprzed pół roku. Giselle Connelly. Związek łączący te trzy sprawy jest bardzo wątpliwy, ale jeśli się potwierdzi – a tego „jeśli” absolutnie nie można pominąć – będzie to oznaczało, że prawdopodobnie mamy do czynienia z seryjnym zabójcą.

Słowa „seryjny zabójca” wywołały wyraźne poruszenie, zwłaszcza wśród młodszych funkcjonariuszy. Ostatecznie właśnie z tego powodu większość z nich zatrudniła się w policji. Przypomniało to Rory’emu pierwszą sprawę seryjnych zabójstw, przy której pracował. Był wtedy zwykłym funkcjonariuszem wydziału śledczego, ale miał już za sobą wiele spraw, a inspektor prowadzący tamto dochodzenie zbliżał się do emerytury i widział w życiu niejedno, lecz nawet tak doświadczonemu zespołowi rozwikłanie tej sprawy zajęło kilka miesięcy. Może i Sullivan zdawał śpiewająco egzaminy, ale zagadki tych morderstw nie rozwiąże.

Przygłębiła go ta myśl, więc skupił się z powrotem na tym, co Francis akurat mówił.

– Musimy albo dowieść związku łączącego te trzy morderstwa, albo go wykluczyć. Na razie nie wydaje mi się, żeby istniała jakaś relacja między tymi trzema ofiarami. Evan Armstrong pracował w branży informatycznej, brak przeszłości kryminalnej, żadnych znanych wrogów, hetero, ale nie miał dziewczyny. Giselle Connelly, prawniczka z wykształcenia, w chwili jej śmierci jej chłopak był za granicą. No i Jem Walsh, uczył się tatuażu. Wątpię, czy kiedykolwiek się spotkali.

– Ale jeśli to faktycznie seryjny zabójca – powiedział Hollins – może wybierać sobie ofiary całkiem przypadkowo.

Sprawił wrażenie usatysfakcjonowanego swoim odkryciem. Rory już wcześniej zauważył, że Hollins ma apetyt na awans.

– Oczywiście. Większość seryjnych zabójców tak robi. Ale mam na myśli związek łączący te wszystkie zbrodnie. Rose Lewis ze swoim zespołem sprawdza pod tym kątem zebrany materiał dowodowy. Wy z kolei porównacie wszystkie dane, jakie udało nam się zgromadzić na temat ofiar: jak zginęły, gdzie zginęły, co robiły przed tym, nim zostały zaatakowane... Wszystko. Każde odkryte powiązanie posuwa nas do przodu. Jeśli nie ma żadnego powiązania, nie ma seryjnego zabójcy. A jeśli mamy trzech oddzielnych zabójców, to będziemy musieli pracować trzy razy ciężiej.

„Innymi słowy: wiemy, że nic nie wiemy”.

Zadzwoił telefon Rory’ego. Bradshaw.

– Na chwilę do mnie, sierzancie – warknął szef i rozłączył się.

Wchodząc po schodach, Rory poczuł ucisk w piersiach. Cholerne szlugi. Drzwi do gabinetu Bradshawa były otwarte. Rory wśliznął się do środka i czekał, aż zwierzchnik skończy rozmawiać przez telefon.

– Ha, Mackay. Nie zabiorę ci dużo czasu.

– W czym mogę pomóc, panie nadkomisarzu?

– W cztery oczy – rzucił Bradshaw przyciszonym tonem.

Rory zamknął drzwi i Bradshaw z aprobatą skinął głową.

– Chciałbym, żebyś był moimi oczami i uszami w centrum koordynacyjnym, Mackay.

Rory przetrwał przez chwilę to, co usłyszał.

– Co ma pan na myśli? Codziennie składamy raporty.

Bradshaw spojrzał na niego wymownie.

– Potrzebuję zaufanego człowieka. No wiesz, kogoś, kto się orientuje, jak się sprawy mają. Jak Sullivan sobie radzi. Jest stosunkowo niedoświadczony i chyba potrzebuje życzliwego nadzoru.

A zatem jego przełożony chce, by szpiegował Sullivana.

– Oczywiście, panie nadkomisarzu. Będę informował o wszystkich jego poczynaniach.

Bradshaw z powagą skinął głową, jakby wspólnie podjęli ważną decyzję.

– Dziękuję, Mackay. No dobrze, idź już... Na pewno masz mnóstwo roboty.

Godzinę później Rory i Tony Hitchens zdzierali sobie zelówki w drodze do kolejnych pubów, które podobno regularnie odwiedzał Jem Walsh. Tak w każdym razie twierdził jego brat.

– Tak, jest tu stałym klientem – powiedział właściciel Mucky Duck, opierając łokcie na solidnym drewnianym barze. – Zwykle wpada parę razy

w tygodniu. A co, szukacie go?

– Niestety nie – odparł Rory.

Pokazali mu zdjęcia Armstronga i Giselle Connelly.

Właściciel pubu pokręcił głową.

– Nie przypominam ich sobie, ale wpada tu sporo turystów i przypadkowych gości. Nie zapamiętuję twarzy wszystkich klientów.

Powtórzyło się to i w innych odwiedzonych przez nich pubach. Nikt spośród tych, którzy znali Walsha, nie znał pozostałej dwójki, a kiedy policjanci przeszli się później po miejscach odwiedzanych przez Evana, uzyskali takie same wyniki. Tylko w jednym hostelu w centrum miasta barman przypomniał sobie zarówno Jema, jak i Evana, choć nie widział ich nigdy razem.

– A Giselle nawet nie mieszkała w Brighton, prawda? – zapytał Hitchens, gdy znużeni wracali na komisariat.

– Nie. W Littlehampton. – Rory zmarszczył brwi. – Nigdy nie odwiedziłem na sucho tylu pubów.

W drzwiach komisariatu natknęli się na wychodzącego Hollinsa.

– Masz coś? – zapytał Rory.

Hollins pokręcił głową.

– Guzik. Nie pracowali razem, nie chodzili razem do szkoły, nie mają wspólnych przyjaciół, a tej nocy, gdy ich zaatakowano, każde robiło co innego. Armstrong był w klubie, Walsh zabalował u kumpla w mieszkaniu, a Connelly pracowała do późna. Idę pogadać z właścicielem firmy, która zatrudniała Walsha, a potem wpadnę do dyrektora jego dawnej szkoły.

Rory'emu nie umknął lekko pogardliwy uśmiezek, którym Hitchens skwitował takie zaangażowanie Hollinsa.

– Czyli wygląda na to, że koniec końców seryjny zabójca odpada – powiedział Hitchens, kiedy wchodzili po schodach.

– Niekoniecznie. Jeśli wybiera przypadkowe ofiary, to nie ma powodu, dla którego coś miałyby je łączyć. Lub też coś mogło je łączyć z zabójcą, ale nie ze sobą nawzajem.

Hitchens rzucił mu sceptyczne spojrzenie.

– No wiem – odparł Rory. – Przydałby się jakiś, kurde, przełom. I lepiej, żeby to nie były kolejne zwłoki.

– Twitter buzuje od podejrzeń – powiedział Hitchens. – Może należałoby rzucić na to okiem?

– Ja pierdołę, Twitter? Przecież to ściek, wymarzone miejsce dla wszelkiej maści świrów!

– A jeśli zabójca tam był?

– Dobra. Sprawdź, czy ktoś nie ma tam jakichś informacji, których jeszcze nie upubliczniono. Ale założę się, że jeśli na kogoś takiego trafisz, prędzej to będzie funkcjonariusz z za długim jęzorem niż zabójca.

Rory ruszył do gabinetu Sullivana, by donieść mu o kompletnej porażce i braku jakichkolwiek postępów.

– Przykro mi, szefie, ale ofiar nic nie łączy.

– Ani zbrodni. Tak w każdym razie twierdzi Rose – powiedział Francis. – Nie znalazła nawet cienia dowodu. Nic, co mogłoby sugerować wykorzystanie tej samej broni, żadnego pasującego DNA, włosa czy kłaczka. Żadnych odcisków palców. Zero.

– A więc wykluczamy seryjnego zabójcę?

– Na to wygląda. Chyba jednak mamy tu różnych zabójców i różne motywy. A cała ta sprawa z tatużami to fałszywy trop.

Marni

Jak, u licha, mogło do tego dojść? Jeszcze wczoraj był dzieckiem, a dziś leży pijany na kanapie i chrapie sobie w najlepsze. Wyjęła spod zlewu plastikową miskę, nalała wody do szklanki, po czym przesunęła stopy Alexa, by móc usiąść obok niego. Popukała go w goleń przez dżinsy, żeby go obudzić.

– Jak ostatni egzamin? – zapytała, gdy zaczął się kręcić.

– Co?

Potaął oczy i zobaczył szklankę wody.

Poczekala, aż wypije do dna.

– Ostatni egzamin. Pamiętasz? Dziś rano? Z ekonomii?

Odstawił szklankę i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

Kiedy się uśmiechał, by tak podobny do Thierry'ego, że aż bolało ją serce.

– Śpiewajaco.

– Poważnie?

Na szczęście nie sprawiał wrażenia zalanego w pestkę.

– Podeszły mi pytania, więc na luzie.

– Bóg mi świadkiem, że nie masz tego ani po ojcu, ani po mnie. Żadne z nas nie zdało matury.

– Ale przecież tata ma *baccalauréat*, nie?

Thierry był ostatnią osobą, o jakiej chciała rozmawiać. W ostatnich dniach widywała go zdecydowanie zbyt często, co wzbudzało w niej całą masę sprzecznych uczuć, które próbowała wytłumić.

– A jak poszło Martinowi i całej reszcie?

– Chyba też nieźle. Liv trochę jęczała, ale ona zawsze jęczy, a potem dostaje najlepsze oceny.

Liv była siostrzenicą Marni, chodziła do tej samej szkoły co jej syn.

Alex czknął.

– Która godzina? Muszę się z nimi zobaczyć.

– Minęła czwarta. Ale moment, chyba się nigdzie nie wybierasz? Przecież już jesteś pijany.

– Mamo! – Skrzywił się. – Wcale nie jestem pijany. Po prostu wypiliśmy butelkę szampana zamiast lunchu, tak dla uczczenia. Ale jeszcze masa ludzi miała egzaminy po południu, więc główna impreza jest wieczorem.

Marni westchnęła. Samotne rodzicielstwo. Musiała być złym i dobrym policjantem w jednej osobie.

– Zrobię ci makaron, zanim wyjdiesz. Chodź, potowarzyszysz mi w kuchni. Kiedy nastawiała czajnik, zadzwonił telefon.

– Marni Mullins?

– Z kim rozmawiam?

– Nazywam się Tom Fitz, z „Argusa”. Czy to pani znalazła ciało...

Marni się rozłączyła. Jeśli komukolwiek ufała jeszcze mniej niż policjantom, to dziennikarzom. Cholera. Skąd gość się dowiedział, że to ona znalazła zwłoki? I skąd miał jej numer?

Nim makaron się ugotował, napięcie między matką a synem zniknęło. Prawdę mówiąc, Alex nigdy nie należał do trudnych nastolatków, z jakimi wojowała część jej znajomych.

– Opowiedz, jak ci minął dzień – poprosił, gdy już usadowił się na taborecie przy barku i zaczął wsuwać spaghetti. – Kogo dziś trwale okaleczyłaś?

Marni się roześmiała. Nie było szans, żeby Alex przejął rodzinny interes. Do wszystkiego, co związane z tatuażem, czuł pogardę, co Marni akurat odpowiadało, bo wiedziała, jak to boli Thierry’ego.

– Tylko jedną nieszczęsną kobietę, której zabrakło rozumu, by pojąć, że tatuaż zrujnuje jej życie – rzuciła ironicznie.

– Mamo, jesteś potworem. Powinnaś była ją ostrzec. Teraz może się na nią zacząć ten zabójca od tatuaży. Właśnie powiększyłaś pulę potencjalnych ofiar.

– A co ty o tym wiesz?

Alex wzruszył ramionami.

– Cała szkoła huczy od plotek. Za każdym razem, jak robisz komuś tatuaż, szykujesz świrowi kolejną zdobycz.

– Nie widzę powodu, dla którego miałby zamordować kogoś noszącego jeden z moich tatuaży.

„Więc w jaki sposób wybiera swoje ofiary? Czym się kieruje?”

– Nie widzę powodu, dla którego miałby tego nie robić. Twoje tatuaże są lepsze od wielu innych. Gdybym zabijał ludzi dla tatuaży, chciałbym mieć którąś z twoich prac.

– Bardzo miło z twojej strony, kochany, ale ty masz wypaczone spojrzenie. W każdym razie nie wydaje mi się, żeby autorstwo tatuażu miało tu jakieś znaczenie.

– Ale powiedziałaś, że ten twój policjant jest zdania, że zabójca może traktować tatuaże jak trofea, więc nie jest całkiem od rzeczy zakładać, że

chciałby mieć coś porządnego, a nie jakieś gówno wydziergane podczas upojnej nocy w Magaluf.

Marni wstawiła talerz Alexa do zmywarki. Wiedziała, że to niewłaściwe, powinna kazać mu po sobie posprzątać, ale wtedy ten talerz nigdy by się w zmywarce nie znalazł.

– To prawda. Faktycznie nie połaszczył się jeszcze na nic kiepskiego. Wszystkie były bardzo dobre.

Alex rzucił się na miseczkę lodów, jakby od tygodnia nic nie jadł, tracąc zainteresowanie rozmową.

Na ścianie za jego plecami wisiał plakat reklamujący wystawę tatuaży. Prezentował sfotografowaną od tyłu nagą kobietę, której całe plecy pokrywał fantastyczny japoński wzór. Plakat wydrukowano przed pokazem *Alchemia tuszu i krwi*, który odbył się w zeszłym roku w galerii Saatchi. Żeby go zobaczyć, pojechali razem z Alexem do Londynu. Jej syna to w gruncie rzeczy nie interesowało, ale zabrał ją w ramach prezentu urodzinowego. Obok nagiej kobiety na plakacie widniała lista dziesięciu nazwisk: dziesięciu artystów tatuażu, których prace prezentowano na wystawie.

Rick Glover
Jason Leicester
Ishikawa Iwao
Gigi Leon
Jonah Mason
Polina Jankowski
Vince Priest
Bartosz Klem
Petra Danielli
Brewster Bones

Była to lista dziesięciu rzekomo najwybitniejszych artystów tatuażu na świecie. Marni uważała ten wybór za głupio subiektywny, ale przypomniała sobie, jak urażony był Thierry, że go w tym gronie nie uwzględniono, jak się wściekał, kiedy zobaczył plakat. Jeszcze raz przeczytała wszystkie nazwiska.

– Wielkie nieba – wyszeptała i wyjęła telefon.

Francis

Co mogło być takie pilne?

Maszerując energicznie George Street w kierunku skrzyżowania z St James's, Francis jeszcze raz odtworzył sobie w głowie nagranie z poczty głosowej. Marni Mullins wezwała go, nie podając przyczyny, ale niecierpliwość w jej głosie była bardzo wymowna. Czego Marni się dowiedziała? Co odkryła? Dziś wieczorem miał się zobaczyć z Robin, ale wizyta u siostry musiała poczekać do następnego tygodnia. Gryzły go wyrzuty sumienia, że perspektywa spotkania z Marni ekscytuje go znacznie bardziej niż wieczór z siostrą.

Jakiś bezdomny złapał go za nogę.

– Masz może drobne, szefie?

Francis spojrzął na mężczyznę i natychmiast zorientował się, na co ten przeznaczy pieniądze.

– Mogę panu kupić jedzenie.

Kilkanaście metrów wcześniej minął sklep spożywczy.

– Daj mi po prostu pieniądze.

Na twarzy bezdomnego odmalowała się wrogość.

Mimo to Francis poszedł do sklepu i kupił mu kanapki, kilka batonów i butelkę wody. Przykucnął, by mu je podać.

– Przy kościele świętego Piotra jest noclegownia. Dostanie pan łóżko i ciepły posiłek.

Mężczyzna wziął kanapki, mamrocząc podziękowanie. Jego ciemne oczy wyglądały jak puste łupiny.

Sto metrów dalej Francis zobaczył bar z tapas, o którym wspomniała w swojej wiadomości Marni, i kilka sekund później wszedł do środka. Było tu ciepło i dość ciemno. Gołe deski podłogi, odsłonięte cegły na ścianach i masywne drewniane meble stwarzały rustykalny klimat. Sullivan zajrzał w głąb sali i dostrzegł siedzącą przy stole pod ścianą Marni. Przed nią stała otwarta butelka czerwonego wina, jeden z dwóch kieliszków był do połowy napełniony.

– Czemu tu? – zapytał Francis, przysiadając się do niej. – Czemu nie przyszedł na komisariat?

– Przyszłam. Ale nie chcieli mi powiedzieć, gdzie jesteś.

To by się zgadzało: Francis był w prosektorium i wrócił z John Street zaledwie kilka minut przed tym, jak otrzymał wiadomość od Marni.

– Z kim rozmawiałaś? Z Rorym?

Pokręciła głową.

– Nie. Z jakąś kobietą. Niezła suka, swoją drogą. Zachowywała się tak, jakbyś był jej własnością.

Zastanowił się, kto to mógł być. Angie? Rzeczywiście, momentami potrafiła zadzierać nosa.

– Poza tym musiałam się napić.

Przyjrzał się jej uważnie. Sprawiała wrażenie nieco wstrząśniętej.

Nim zdążył ją powstrzymać, naląła mu wina do drugiego kieliszka. Nie tknął go.

Spotkali się wzrokiem. Chciał przytrzymać jej spojrzenie, ale odwróciła oczy.

– Mów, co tam masz – powiedział trochę zmieszany.

– To – powiedziała, dotykając czegoś, co leżało na stole, a czego siadając, nie zauważył.

Ujął błyszczący katalog i ustawił pod kątem tak, że oświetliło go światło świecy stojącej na środku stołu. Na okładce znajdowało się zdjęcie pleców kobiety, na których wytatuowano wspaniałego chińskiego smoka; roziskrzony kolor kontrastował z gładkim czarnym tłem. Katalog wyglądał znajomo i Francis uzmysłowił sobie, że był to ten sam, po który sięgnął Iwao, by pokazać im pracę Jonaha Masona.

– *Alchemia tuszu i krwi* – przeczytał na głos. – Współcześni mistrzowie starożytnej sztuki.

Marni skinęła głową, a w jej jasnych oczach odbił się płomień świecy.

– To była wystawa, w zeszłym roku, w galerii Saatchi. Zajrzyj do środka.

Zdziwiony Francis przekartkował katalog. Zdjęcia tatuży w różnych stylach. Znalazł fotografię, którą pokazał im Iwao.

– Jonah Mason. Tatużysta Armstronga.

– Zgadza się.

– No i?

Wyjęła mu katalog z rąk.

– Popatrz na to.

Przerzuciła kilka stron i wskazała kolejne zdjęcie. Biomechaniczny wzór bardzo podobny do tatużu z odciętego ramienia Giselle Connelly.

– Bartosz Klem – przeczytał Francis.

– Tak. Kiedy pokazałam zdjęcie współpracownikom Thierry’ego, jeden z nich rozpoznał jego styl. I to.

Odwróciła kartkę; na następnej stronie zamieszczono zdjęcia kilku tatuaży z ozdobnym gotyckim liternictwem.

– To są prace Ricka Glovera, który pracuje tu za rogiem. Jestem prawie pewna, że to on zrobił napis *Beliar* i pajęczą sieć – powiedziała i umilkła wyczekująco.

Francis wziął od niej katalog i zamyślił się nad zdjęciami.

– No i? – zapytał po kilku minutach.

– Nie chwytasz? – zniecierpliwiła się. – Chciałeś znaleźć związek między tymi morderstwami. To jest właśnie to poszukiwane ogniwo. Wszystkie ofiary miały tatuaże wykonane przez artystów prezentowanych na wystawie w Saatchi. Wystawie najlepszych tatuażystów na świecie. Ktoś tu coś kolekcjonuje.

– Związek czy przypadek?

Marni wytrzeszczyła na niego oczy i wychyliła do dna swój kieliszek wina.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Ależ mówię. To mój obowiązek. – Francis zwinął leżącą na stole dłoń w pięść. – Jasne, ci artyści mogli zrobić tatuaże Jema Walsh’a i tej kobiety, choć to trzeba jeszcze potwierdzić. Ale nawet jeśli wszyscy byli prezentowani na tej wystawie, to co z tego? Przecież poza nimi... – przekartkował katalog – ...było tam co najmniej pięciu innych artystów, a brakuje nam denatów, którzy by im odpowiadali. Co oznacza, że nie masz dla mnie nic nowego.

– A co ty masz?

Grając na zwłokę, Francis pociągnął łyk wina.

– Pijesz.

– Nie jestem na służbie.

– Ale nadal w pracy.

Do ich stolika zbliżył się niepewnie młody kelner. Marni wyrecytowała listę przekąsek i kelner sobie poszedł.

Francis uniósł brwi.

– Będziemy jeść?

– Jedzenie podtrzymuje czynności życiowe.

Nie sposób było jej nie lubić. Nie owijała w bawełnę, jej awersje i upodobania były absolutnie czytelne. „Za co, do cholery, siedziała w więzieniu?”. Ugryzł się w język, żeby nie zadać tego pytania na głos. Nie zamierzał wyciągać odpowiedzi od Rory’ego, by nie zdradzić się z zainteresowaniem Marni, do którego nie bardzo chciał się przyznać nawet

sam przed sobą.

– A więc w myśl twojej hipotezy ktoś obejrzał wystawę, a teraz tworzy własną kolekcję? Myślisz, że mamy do czynienia z łowcą tatuaży?

– Tak. Właśnie to próbuję ci przekazać. Z łowcą tatuaży.

– Ale nie potrafimy nawet dowieść, że te trzy morderstwa cokolwiek ze sobą łączy.

Otworzyła szeroko oczy.

– Nie rozumiesz? Właśnie *to* je ze sobą łączy.

– Wątpię.

– Dobra, możesz wierzyć lub nie, ale nie zaprzeczysz, że jest to wspólne ogniwo. A na razie nie masz żadnego innego.

– A więc sądzisz, że będą kolejne ofiary i że będą miały tatuaze wykonane przez tych artystów?

– O ile moja hipoteza jest słuszna. I o ile wcześniej nie złapiesz zabójcy.

– Od jak dawna jesteś tatuażystką?

Kelner postawił przed nimi pieczywo i talerzyk z oliwkami. Marni wsunęła sobie jedną do ust.

– Od dziewiętnastu lat – odparła, jedząc.

– Musiałaś bardzo młodo zacząć.

– Terminowałam u Thierry'ego już jako osiemnastolatka. Nauczył mnie dosłownie wszystkiego, co potrafię.

– Jak go poznałaś?

Marni spochmurniała.

– Latem pracowałam we Francji jako kelnerka, ot tak, żeby złapać trochę słońca. Kilka razy umówiłam się z jego bratem, a potem...

Jej słowa zawisły w niezręcznej ciszy.

Francis nie chciał być wścibski, scenariusz wydawał się raczej jasny, więc skierował rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Jak myślisz, ilu osobom zrobiłaś tatuaze w ciągu tych dziewiętnastu lat?

Przełknęła ślinę i zamknęła oczy, licząc w myślach. Wreszcie wzruszyła ramionami.

– Tysiącom.

Francis urwał sobie kawałek chleba, tymczasem kelner przestawiał im naczynia na stoliku, by zrobić miejsce na kolejne przekąski.

– Mamy jeszcze siedmiu tatuażystów z wystawy, których prace nasz łowca tatuaży mógłby chcieć włączyć do swojej kolekcji. Rozumiem zatem, że nasza pula potencjalnych ofiar jest spora?

– Mało powiedziane.

- Jakoś nie mam pewności, czy to nam choć odrobinę pomaga.
 - Nam – powtórzyła Marni i zanim wzięła kolejny łyk wina, po jej wargach przemknął uśmiezek zadowolenia.
 - I czy w ogóle można to nazwać hipotezą...
 - Owszem, to *jest* hipoteza. Ale w końcu atakowani są moi ludzie, moje środowisko. Musisz to potraktować poważnie.
 - Jeszcze wczoraj nie chciałaś się w to mieszać. A dziś, jak widzę, już masz misję.
 - Nie lubię patrzeć, jak umierają ludzie. Ludzie, których może akurat znam. Francis dalej przerzucał kartki katalogu. Wrócił na pierwszą stronę.
 - Patrz – powiedział, pokazując wstęp.
 - Co?
 - Kurator. Twój przyjaciel, Ishikawa Iwao.
 - Wiem. Byłam nawet na wernisażu.
- Francis zamilkł. Przypomniawszy sobie prychnącego nań wytatuowanego kota. Jeśli Marni nie myliła się co do tego łączącego zbrodnie ogniwa, to on i jego zespół będą mieli niełatwe zadanie. Lecz przynajmniej zyskają jasno wytyczony kierunek.
- Jedz, Frank – zachęciła Marni. – A potem opowiedz mi, dlaczego zostałeś policjantem.
 - Francis – mruknął.
 - „Jeśli ty, Marni Mullins, opowiesz mi, jak weszłaś w kolizję z prawem”.

VII

*Raz i dwa, tatuaż już ma
Trzy i cztery, obedrę ze skóry,
Pięć i sześć, jak zdoła to znieść,
Siedem i osiem, zarżnę jak prosię.*

Moja praca wymaga najostrzejszych noży pozwalających uzyskać maksymalną precyzję. Ostrzę je tylko ręcznie za pomocą ceramicznych kamieni szlifierskich – nigdy nie używam elektrycznej ostrzałki – i mruczę sobie przy tym tę prościutką rymowankę dla utrzymania rytmu. W efekcie otrzymuję narzędzia ostre jak brzytwa, wygładzone i bezlitosne. Trzymam je w gotowości na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja, by ich użyć. Nigdy nie wiadomo, kiedy to się stanie, więc dbam o nie regularnie niezależnie od tego, czy ich używam, czy nie. Tępe ostrze na nic się nie zda.

Wszystkie noże leżą rozłożone we właściwym porządku na jednym z moich stołów roboczych. Krótkie ostrza do cięcia i dłuższe, wygięte, do skórowania. Kamienie szlifierskie tkwią osadzone pod właściwym kątem w zaciskach na krawędzi stołu, tak że szybko mogę przechodzić od jednego do drugiego. Każdemu ostrzu poświęcam mniej więcej godzinę, mrużąc sobie przy tym swoją pioseneczkę i w tej powtarzalności potrafię się całkiem zatracić.

Prawdziwa terapia.

Tak jak zdejmowanie skóry.

To była zawsze moja ulubiona część preparacji. Zdejmowanie skóry w jednym idealnym kawałku. Spore wyzwanie, a sukces sam w sobie jest nagrodą. Ron mnie tego nauczył. Nauczył mnie wszystkiego, co wiedział o preparowaniu zwierząt i wyprawianiu skór. I co nieco o życiu. Moją rolą było chłonąć to wszystko jak gąbka, aż w końcu nic już dla mnie nie miał.

Została mi po nim jego skóra i jego klienci. Tak właśnie doszło do spotkania z Kolekcjonerem. Kolekcjonował wypchane zwierzęta, a ja i Ron byliśmy najlepsi w branży. Zaspokajając jego oczekiwania, dochodziliśmy do granic swoich umiejętności. Jeśli chodzi o poziom wykonywanych dla niego prac, to nie mam sobie nic do zarzucenia. Czasem obserwuje mnie przy robocie. Fascynuje go sama procedura. Ma ogromną wiedzę. I jest bardzo inteligentny. Kogoś takiego łatwo podziwiać, więc to dla mnie zaszczyt, że Kolekcjoner spędza ze mną czas. Że interesuje go to, co mogę mu pokazać.

Pod tym względem bardzo różni się od mojego ojca i brata, którzy nigdy nie przejawiali zainteresowania moją pracą. Wszystko kręciło się wokół nich. Wokół tego, co osiągnęli. Co planowali. Moje pomysły i opinie zbywano. Ron był lepszy, interesował się tym, co robię, ale to dlatego, że mnie uczył. Chciał zobaczyć, co udało mi się przyswoić. Tymczasem Kolekcjoner podziwia moją pracę. A ja podziwiam jego. Ma zmysł piękna i ogromne wyczucie tego, co stanowi o wartości artystycznej dzieła. To nas łączy.

Nie ma takiej rzeczy, której nie warto byłoby zrobić dla Kolekcjonera. Nie ma.

Wystarczy, by mnie poprosił...

Auć! Zacinam się w palec. Kropelka krwi nabrzmiewa, po czym spada na drewniany blat. Plama, którą trzeba będzie wypiąskować. A może nie.

Zapach własnej krwi uzmysławia mi, jak bardzo potrzebuję znów zabić. Już czas.

Rory

Ósma rano w biurze Bradshawa. Tak brzmiało polecenie Sullivana, które wysłał poprzedniego wieczoru. Rory był na miejscu. Bradshaw był na miejscu. Nie było tylko Sullivana.

– No więc jak on sobie radzi?

Rory na moment zawiesił spojrzenie na resztkach pianki do golenia, która została Bradshawowi na uchu.

– Rory?

– Przepraszam, panie nadkomisarzu. O co chodzi?

– Jak praca z Sullivanem? Miałeś mnie informować na bieżąco.

– Jest bez wątpienia bardzo inteligentny.

– Ale?

– Ta sprawa... czy te sprawy... To skomplikowane. Jeszcze nie wiemy, czy mamy do czynienia z jednym, czy z kilkoma zabójcami. Nie mamy nic, co by ich łączyło i...

– Mów dalej.

Rory westchnął.

– Po prostu nie mam pewności, czy ktoś taki jak on, stosunkowo niedoświadczony, jest właściwą osobą do prowadzenia tej sprawy.

Bradshaw przez chwilę przetrząsał jego słowa.

– Dziękuję ci za szczerość, Mackay.

„Koronkowa robota. A jeszcze głupol sam się podkłada tym spóźnieniem”.

– Oczywiście, panie nadkomisarzu, nie chciałbym w ten sposób powiedzieć...

Rozległo się pukanie i Rory urwał, obejrzawszy się na drzwi.

Wszedł Sullivan. Garnitur miał odprasowany starannie jak zawsze, lecz nie sprawiał wrażenia szczególnie wyspanego. Wbił w Rory'ego spojrzenie przekrwionych oczu, jakby domagał się wyjaśnienia, dlaczego tak nagle przerwano rozmowę.

„Co on robił zeszłego wieczoru?” – pomyślał Rory.

– Dzień dobry, panie nadkomisarzu. Przepraszam za spóźnienie. Cześć, Rory.

Gdy siadał, Bradshaw burknął coś krytycznie, zerkając na zegarek.

- Cześć, szefie – odpowiedział Rory.
- Zakładam, że zrobiliście jakieś postępy w tej sprawie – zaczął Bradshaw, utkwivszy spojrzenie w oczach Francisa.
- Czy sierżant Mackay przekazał już panu, na jakim jesteśmy etapie?
- Nie. Dyskutowaliśmy z Rorem na temat składu zespołu, ponieważ Granger idzie na urlop macierzyński.
- Sullivan najwyraźniej nie uwierzył.
- Mamy pewien postęp, panie nadkomisarzu – powiedział. – Poprosiłem o analizę SCAS pod kątem możliwych punktów styczności z innymi nierozwiązanymi sprawami i mamy prawdopodobne dopasowanie.
- Bradshaw skinął głową.
- W zeszłym roku znaleziono na polu golfowym zwłoki kobiety bez ręki. Okazało się, że to prawniczka z Littlehampton, Giselle Connelly. Dwadzieścia sześć lat, mężatka...
- Bradshaw mu przerwał.
- Chcesz mi powiedzieć, że teraz zamiast dwóch niewyjaśnionych morderstw mamy trzy? Nie nazwałbym tego postępem. Nie mówiąc o tym, że to nie nasze podwórko.
- Ale pole golfowe, na którym ją znaleziono, już owszem. Ona...
- No właśnie. Ofiara jest kobietą. Obie tutejsze ofiary, których na razie nie udało ci się w żaden sposób połączyć, to mężczyźni. Seryjni mordercy, o czym chyba powinieneś wiedzieć, Sullivan, nie przerzucają się w środku roboty z jednej płci na drugą. Jak już mówiłem, hipoteza seryjnego zabójcy po prostu nie znajduje oparcia w faktach.
- Panie nadkomisarzu – powiedział Francis tonem nieco bardziej stanowczym, czym w sumie zaimponował Rory'emu – na odciętej ręce kobieta miała tatuaż, tak zwany rękaw. I tej jej ręki nigdy nie odnaleziono.
- Tatuaż przedstawiający co?
- Nie wiem, czy akurat to, co zostało wytatuowane, ma jakiegokolwiek znaczenie, ale to były motywy biomechaniczne.
- Bio co?
- Biomechaniczne. To taki tatuaż, który sprawia, że nosząca go osoba wygląda jak cyborg, coś jakby miała maszynę pod skórą.
- Szef zaczynał sprawiać wrażenie, jakby naprawdę znał się na tym, o czym mówi. Może znów widział się z Marni Mullins?
- Dobry Boże! – Bradshaw przewrócił oczami. – I prawniczka miała coś takiego?
- Chodzi o to, że wszystkie ofiary: Evan Armstrong, Jem Walsh, a teraz

Giselle Connelly, która przypadkiem zginęła kilka miesięcy przed tymi dwoma... wszystkie ofiary miały tatuaże, których brakowało w momencie znalezienia ciał. Nie możemy liczyć na to, że znajdziemy skórę zdjętą z Evana, ale ktokolwiek zabrał głowę i rękę pozostałej dwójki, musiał jakoś pozbyć się kości i czaszki.

– W ogóle tego nie kupuję – zachnął się Bradshaw. – Dałeś się ponieść wyobraźni, Sullivan. Te tatuaże to zwykły zbieg okoliczności. W morderstwie tej kobiety nie ma żadnej analogii do dwóch niedawnych zabójstw, a i w ich przypadku, prawdę mówiąc, nie widzę żadnych podobieństw. – Odsunął fotel od stołu, jakby dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. – Masz trzy oddzielne zabójstwa, które nie są w żaden sposób powiązane, za to nie masz czasu, który mógłbyś tracić na próby ich powiązania. Marnujesz zasoby, które powinieneś poświęcić na rozwiązywanie każdej z tych spraw z osobna na podstawie faktów.

– Ale gdybyśmy dowiedli tego związku, pchnęłoby to nas na właściwy trop – zaproponował Sullivan.

– Zostaw to. Rory, do czego jeszcze możesz zaangażować zespół?

Rory odchrząknął i zaczął mówić, ale Francis mu przerwał.

– Panie nadkomisarzu, myślę, że powinien pan to zobaczyć. – Wyciągnął z teczki katalog. – Wszystkie zaginione tatuaże zostały wykonane przez artystów prezentowanych na tej wystawie.

Bradshaw wziął katalog z ręki Sullivana.

„Co to jest, u diabła? Dlaczego tego wcześniej nie widziałem?” – zirytował się Rory. Wyciągnął szyję, żeby zobaczyć to, na co patrzył Bradshaw.

– Podsuwa nam to możliwy związek łączący ofiary, choć bez wątplenia jest to wątpla poszlaka – ciągnął Francis. – Oczywiście nie zamierzam na niej oprzeć całego dochodzenia, ale myślę, że nie powinniśmy jej tracić z pola widzenia. Wysłałem ludzi, by przesłuchali znajomych i współpracowników zarówno Evana Armstronga, jak i Jema Walsha. Wydaje się, że tych dwóch nie łączy żadna działalność przestępcza, ale sam fakt, że coś nie rzuca się w oczy, nie oznacza, że nie istnieje.

– A zatem nie udało ci się dowieść żadnego związku łączącego ofiary – prychnął Bradshaw, odrzucając katalog na bok i zupełnie tracąc nim zainteresowanie.

Rory pochylił się, żeby go podnieść. Nietrudno było zgadnąć, skąd się wziął: szef widział się z Marni Mullins. Ciekawe, co pomyślałby o tym Thierry Mullins. Z tego, co Rory zdążył spostrzec, rozwiedziona para nadal była sobie bliska.

– Wypytałiśmy obie rodziny o znajomych i zwyczaje Armstronga i Walsha. Burton i Hollins rozpracowują znajomych, a Hitchins i ja wybraliśmy się do kilku pubów, w których bywali. Hitchins i Hollins odwiedzą dziś ich miejsca pracy, a Angie przyjrzy się sprawie Connelly i sprawdzi wpisy wszystkich ofiar w mediach społecznościowych.

Bradshaw prychnął na wzmiankę o Giselle Connelly.

– A zaginiona głowa?

– Rose nie podała nam jeszcze żadnych konkretów, ale wysłała patrole z psami tropiącymi na przeszukanie całej plaży. Psy podjęły trop Walsha na parkingu przy Madeira Drive, niecałe sto metrów na wschód od mola, i zeszły za nim na plażę. Oczywiście najwyraźniejszy trop był w miejscu, w którym znaleźliśmy ciało. Prowadzi również do wody, co może sugerować, że głowę wrzucono do morza. Nie natrafiliśmy jednak na żaden ślad podczas odpływu. Posłałem nurków jeszcze dalej w morze, kierując się schematem działania prądu powrotnego, ale nic nie znaleźli. Jeśli głowa trafiła do wody, to myślę, że szanse na jej odnalezienie są znikome.

– Nie wypłynie za kilka tygodni przy Selsey Bill? – rzucił Bradshaw.

– Może. A może nie. Straż przybrzeżna podała mi informacje na temat pływów, ale nie są w stanie określić, jak odcięta głowa będzie przemieszczać się po dnie. Raczej nie da się przeprowadzić symulacji czegoś takiego.

– Czyli zero postępów na wszystkich frontach. No i co teraz, kurwa, zrobicie? Mackay?

– Tak jak powiedziałem, panie nadkomisarzu, rozpracowujemy współpracowników, miejsca pracy, Giselle Connelly.

– Nie zidentyfikowano żadnych pojazdów w okolicach miejsca któregoś z zabójstw?

– Mamy fragmenty tablic rejestracyjnych. Pracujemy nad tym.

Bradshaw zmarszczył brwi. Dla niego wszystko zawsze działo się zbyt wolno.

– Sullivan?

– Porozmawiam jeszcze raz z Ishikawą Iwao. Był kuratorem tej wystawy. Chcę się dowiedzieć, co sądzi na temat tych trzech morderstw.

– Nie masz co robić? Powiedziałem, żebyś to zostawił!

Sullivan nie zorientował się jeszcze, jak obchodzić się ze swoim zwierzchnikiem, co w policji było umiejętnością podstawową.

– Panie nadkomisarzu, to jest wiarygodna hipoteza, choć w tym momencie jedynie hipoteza. Muszę ją sprawdzić, by przynajmniej zorientować się, czy powinienem ją wykluczyć, czy jednak ma jakieś podstawy.

– I ten Ishikaka czy jak mu tam ma ci niby w tym pomóc?

– Tak uważam.

Zapadło niezręczne milczenie.

– To jest ten facet, co tatuuje koty, tak? – zapytał Rory, właściwie nie po to, by coś wniesć do dyskusji, ale by przerwać ciszę.

Bradshaw wybałuszył oczy.

– To legalne? Zgłosiłeś to towarzystwu opieki nad zwierzętami?

Francis pokręcił głową.

– Przepraszam. Rory, niech Hollins albo Hitchins sprawdzą, jak wygląda sytuacja odnośnie do tatuowania zwierząt.

Bradshaw wciągnął powietrze, nozdrza mu się zwięzły.

– Powinieneś wezwać go na przesłuchanie, Sullivan.

– W sprawie kota?

– W sprawie morderstw, ty barani łbie.

– Okrucieństwo wobec zwierząt – dorzucił Rory. – Tak zaczyna cała masa popaprańców.

– Wezwij go.

Bradshaw powiedział to tonem nieznoszącym sprzeciwu, co jednak nie powstrzymało Francisa.

– Nie mamy absolutnie żadnych danych sugerujących jego udział. Lepiej, żebym porozmawiał z nim nieoficjalnie, ocenił sytuację, nie wzbudzając podejrzeń.

Nie należało się odzywać. Ale teraz już było za późno.

– Powiedziałem ci, że masz go wezwać!

– Ja to zrobię, panie nadkomisarzu. Dziś po południu – wtrącił Rory.

Kątem oka zauważył, jak wściekły Francis zaciska leżące na kolanach dłonie.

– Nie wtrącaj się, Rory. – Sullivan ze złością wypuścił powietrze. – Panie nadkomisarzu, być może będziemy mieć tylko jedną szansę, aby formalnie go przesłuchać. Zachowajmy ją do momentu, gdy zechcemy zadać temu człowiekowi konkretne pytania.

Francis Sullivan właśnie odmówił wykonania wydanego wprost polecenia. Efekt był godny pożałowania. Bradshaw zmarszczył brwi i poczerwieniał, po czym wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. Rory natychmiast poszedł w jego ślady.

– Wezwiesz go natychmiast. To jest rozkaz, Sullivan. Może i dochrapałeś się rangi komisarza, ale niech ci się w dupie nie przewraca.

Francis bez słowa wypadł z gabinetu. Odważnie, ale niepolitycznie.

– Proszę się nie martwić, dopilnuję tej sprawy, panie nadkomisarzu – powiedział Rory i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Francis

Ishikawa Iwao skłonił się Francisowi, kiedy ten wszedł do pokoju przesłuchań. Okropnie zażenowany, jako że tuż za nim pojawił się Rory, Francis odwzajemnił ukłon. Tym razem tatuażysta nie miał na sobie kimona, lecz dzinsy – nieprzyzwoicie wąskie, a przy tym sprawiające wrażenie strasznie drogich – i błękitną koszulę z grubej bawełny podkreślającą muskularną klatę. Nie ulegało wątpliwości, że Ishikawa Iwao dba o swoje ciało i Francis natychmiast zobaczył go oczyma duszy na treningu jakichś sztuk walki.

„Stereotypy rasowe. Natychmiast przestań” – skarcił się w duchu.

– Dziękuję panu za przybycie, panie Iwao – powiedział Francis. – To mój współpracownik, sierżant Mackay.

– Proszę mi nie dziękować. Nie pozostawiono mi wyboru – odparł Iwao. Nie zwracając uwagi na Rory’ego, utkwiał wściekłe spojrzenie we Francisie. – O czym chciałby pan ze mną porozmawiać?

– Proszę usiąść – powiedział Francis.

On i Rory zajęli miejsca po przeciwnej stronie stołu. Iwao jakby się zawahał, ale kiedy Francis ponownie skinął głową, odsunął krzesło i usiadł. Siedział sztywny, jakby kij połknął, ze złączonymi kolanami i stopami ustawionymi na podłodze równo jedna obok drugiej. Dłonie oparł na udach i wyczekująco spojrzał na policjantów.

– Będę nagrywał tę rozmowę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu – powiedział Francis, naciskając na dyktafonie przycisk nagrywania.

– Zatem rozumiem, że kopia tego nagrania zostanie dostarczona do biura mojego adwokata. Chciałbym również dowiedzieć się w pierwszej kolejności, dlaczego uważa pan to za konieczne i w jakiej dokładnie roli występuję w tej sprawie. Czy podejrzewacie mnie o popełnienie przestępstwa?

– Pana adwokat może złożyć wniosek o kopię nagrania – powiedział Rory, notując coś w swoim notesie.

– Występuje pan w roli świadka udzielającego nam pomocy w śledztwie – powiedział Francis. – Poinformujemy pana, jeśli będziemy mieli jakiegokolwiek podstawy zmienić pana status.

Iwao zmarszczył brwi.

– A zatem nie ma żadnego powodu, by nagrywał pan tę rozmowę.

– W porządku – powiedział Francis. – Skoro pan sobie nie życzy.

Iwao najwyraźniej znał swoje prawa.

Francis i Rory w oczekiwaniu na wprowadzenie Iwao omówili już strategię przesłuchania. Zamiast zacząć łagodnie od pytań o wystawę tatuaży i prezentowanych na niej artystów, postanowili zacząć od drugiej strony: od morderstw, a konkretniej od alibi Iwao na czas, kiedy popełniono każde z nich.

– Czy może mi pan dokładnie powiedzieć, co robił pan w niedzielę dwudziestego ósmego maja między północą a szóstą rano?

Iwao wyglądał na zdezorientowanego.

– Proszę powtórzyć datę.

– Niedziela dwudziestego szóstego maja. Zeszła niedziela.

– Oczywiście – powiedział Iwao, otrząsając się ze zdumienia. – Między północą a szóstą rano? Zapewne leżałem w łóżku.

– Nie ma pan pewności?

– W łóżku lub rysowałem w swoim studiu. Zwykle kładę się między północą a godziną drugą, większość wieczorów poświęcam rysowaniu. W sobotni wieczór ani w niedzielę rano nigdzie nie wychodziłem. – Wzruszył ramionami. – A zatem w tych godzinach byłem albo w studiu, albo we własnej sypialni.

– Czy ktokolwiek może to potwierdzić?

– Mieszkam sam.

Rory i Francis wymienili szybkie spojrzenia. Jako alibi nie nadawało się to do niczego, choć brzmiało wiarygodnie.

– A w zeszły wtorek wieczorem między północą a piątą rano?

– To samo.

– W domu, sam?

Iwao skinął głową.

– We wtorek wieczorem byłem w domu, sam. – Nieruchome brązowe oczy wytrzymały spojrzenie Francisca. – Jestem pewien, że w razie potrzeby zdołacie sprawdzić moje miejsce pobytu, lokalizując mój telefon komórkowy.

– Wychodząc z domu, ludzie nie zawsze zabierają ze sobą telefon – powiedział Francis, nie spuszczając z niego oczu.

– Ja zawsze zabieram go ze sobą.

Francis zapisał sobie w pamięci, żeby złożyć wniosek o zgodę na przejrzanie billingów Iwao.

Rory odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

– Proszę nam opowiedzieć o tym pana kocie. Tym z tatuażami. Czy nie

zastanawiał się pan nad tym, że tatuowanie kota można uznać za przejaw okrucieństwa, a do tego prawdopodobnie za złamanie prawa?

– Mam dwa takie koty – powiedział Iwao i poruszył się na krześle. – Sprowadziłem je z Japonii już wytatuowane.

– Ale uznaje pan to za akceptowalne?

– Zostały wzięte ze schroniska. Nie jest to coś, co sam zrobiłbym zwierzęciu, to oczywiste, zwierzę nie może wyrazić zgody. Nie tatuuję nikogo i niczego, o ile nie wyrazi na to zgody.

Francis poczuł w kieszeni wibracje telefonu. Pod stołem zerknął na ekran. Nieodebrane połączenie od Marni Mullins. Odłożył aparat.

– Czy może pan dowieść, że koty były wytatuowane, zanim do pana trafiły?

– Rory zachowywał się jak terier, który wyczuł szczura.

– Tak, na pewno mam w plikach jakieś zdjęcia wysłane mi przez personel schroniska, zanim zaoferowałem się je wziąć.

– Mimo to będziemy musieli zgłosić pana koty do towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Iwao gapił się na niego wzrokiem bez wyrazu.

Francis wyczuł, że cała ta rozmowa zmierza donikąd. Podsunął Iwao katalog wystawy.

Tatuażysta zawiesił wzrok na okładce, ale nie wziął katalogu do ręki.

– Uważa pan, że to wszystko ma coś wspólnego z moją wystawą?

W kieszeni Francisa zawibrował telefon. Znów Marni Mullins. Będzie musiała poczekać.

– Dlaczego pan o tym nie wspomniał, kiedy przyszedłem do pana z panią Mullins? – zapytał Francis.

Brwi Iwao podskoczyły do góry.

– Dlaczego miałbym to robić? Zapytał mnie pan o jeden tatuaż. Sama wystawa nie wydawała się wówczas szczególnie istotna.

– Uważamy, że może istnieć pewien związek.

– Między wystawą a czym konkretnie?

– Liczbą zabójstw.

Francis nieomal zobaczył tok myślowy odbijający się na twarzy Iwao. Pytanie o jego miejsce pobytu, pytanie o jego koty, potencjalny związek z ofiarami. Twarz wykrzywiło mu niedowierzanie.

– Uważacie, że mogę mieć z tym coś wspólnego?

– To pan opowiedział mi o tatuażach jakuzi zdejmowanych po śmierci na pamiątkę.

Iwao odsunął nieco krzesło od stołu, skrzyżował nogi i założył ręce na

piersi. Klasyczna pozycja obronna.

– Chcę rozmawiać z prawnikiem. Nie powiem nic więcej bez adwokata.

Telefon wibrował natarczywie.

Francis wyszedł na korytarz i wybrał numer Marni.

– Ty draniu – wysyczała natychmiast po odebraniu. – Zaufałam ci, przedstawiłam cię przyjacielowi, a ty go aresztowałeś?

– Marni...

– Najpierw Thierry, teraz Iwao? Pocięło cię? Nie możesz sobie poszukać jakiegoś własnego podejrzanego?

– Nie ja wpadłem na pomysł, żeby go przesłuchać.

– W dupie mam, kto to wymyślił. Zadzwoiłam już do prawnika Iwao, zaraz powinien do was dotrzeć. Ten człowiek muchy by nie skrzywdził, jest praktykującym buddystą. Mogłabym zasugerować, żebyście go puścili i skupili się na znalezieniu prawdziwego zabójcy? Zamiast ciągać niewinnego człowieka na przesłuchania, powinniście ostrzec ludzi z tatuażami wykonanymi przez tych artystów, że na wolności grasuje morderca.

I rozłączyła się. Spalił właśnie swój jedyny kontakt w środowisku tatuażystów, a zaczynał mieć coraz silniejsze poczucie, że te zabójstwa są w jakiś sposób powiązane z tatuażami ofiar.

Tuż przed nim pojawił się Rory.

– Na recepcji jest adwokat Iwao. Bóg raczy wiedzieć, jakim cudem zjawił się tak szybko.

– Środowiskowa poczta pantoflowa. Znana również jako Marni Mullins.

Godzinę później byli już w gabinecie Bradshawa, odprowadziwszy uprzednio Iwao i jego prawnika do drzwi wyjściowych.

Bradshaw kipiał z wściekłości.

– Mieliśmy jednego podejrzanego, a wyście go wypuścili!

– Nie było podstaw do zatrzymania – powiedział Francis.

– Miał alibi?

– Nie. Ale...

– Więc nadal bierzemy go pod uwagę?

– Teoretycznie tak. Ale nie wierzę, że to on.

Bradshaw przewrócił oczami.

– Boże, uchronij nas od gliniarzy, którzy ufają intuicji.

– Nie natknęliśmy się na nic, co mogłoby go łączyć z którymkolwiek z tych dwóch zabójstw albo wcześniejszym, które mogło mieć z nimi jakiś związek.

„Facet był dziwny, ale to nie robi z niego zabójcy”.

– To prawda, panie nadkomisarzu – powiedział Rory. – I ma łebskiego

adwokata. Nie warto się w to motać.

– No to co teraz? – zapytał Bradshaw. – Jesteśmy w punkcie wyjścia, jak rozumiem?

– Chciałbym zasugerować zwołanie konferencji prasowej, panie nadkomisarzu – powiedział Francis. – Musimy ostrzec ludzi, że na wolności jest morderca, który wziął sobie na cel osoby z tatuażami konkretnych artystów.

– Absolutnie nie.

– Jak to?

– W imię jakiejś niesprawdzonej hipotezy chcecie poinformować mordercę, że jesteśmy na jego tropie? Nawet jeśli coś w tym jest, po konferencji prasowej natychmiast się przyczai, a my stracimy resztki inicjatywy.

„To mamy jakąś inicjatywę?”

– W ciągu tygodnia zabił dwie osoby.

– I może już planować kolejne morderstwo – dodał Rory. – Zgadzam się z komisarzem, że powinniśmy wydać ostrzeżenie.

– A ciebie ktoś pytał o zdanie, Mackay? Cała ta hipoteza seryjnego zabójcy kupy się nie trzyma. Nie przekonaliście mnie.

– Wydaje się równie prawdopodobna jak trzy oddzielne morderstwa, panie nadkomisarzu.

– Dobra, zapomnijcie o hipotezach i weźcie się do zbierania dowodów. Musimy mieć jakieś tropy, zanim dojdzie do kolejnego morderstwa.

– Jezu... – mruknął Rory, gdy wychodzili z biura Bradshawa. – Wiesz, na kogo zwali winę, jak ktoś zginie...

Mięsień zuchwy Francisa drgnął bardzo wymownie.

Marni

– Siedzisz jak stary!

Marni wygłosiła gładko swoje ulubione kłamstwo, gdy Steve starał się nie wiercić pod czubkami jej igieł. Uzmysłowała sobie, że jest odrobinę zbyt uszczypliwa, i wzięła głęboki wdech, by się uspokoić. Wściekła się z powodu tego, co się wydarzyło. Ale to nie była wina Steve'a.

Pracowała właśnie, podczas ich trzeciej sesji, nad chryzantemami tworzącymi tło obejmującego całą rękę tatuażu przedstawiającego stylizowanego japońskiego tygrysa. Do końca została jej co najmniej jeszcze jedna sesja.

– Dobra, na dziś wystarczy. Skończyłam ten kawałek, więc za jakiś tydzień czy dwa możesz wrócić na zrobienie ostatniego fragmentu.

Steve usiadł na kozetce, spuszczać nogi na jedną stronę, i poruszył barkami, by przywrócić krążenie.

– Wielkie dzięki – powiedział, wpatrując się z rozanielonym uśmiechem w świeżo wykonany wzór.

Marni rozłożyła maszynkę do tatuażu, umieściła zużyte igły w pojemniku z ostrzami, zdjąwszy folię samoprzylepną ochraniającą go przed przypadkowymi kropelkami krwi. Kiedy taką samą folią owijała Steve'owi ramię, zastanowiła się, ile lat mógł mieć jej klient. Był praktycznie łysy, ale twarz miał jeszcze młodą, a oczy widoczne za grubymi szklami jasne i przejrzyste. Wydawał się stosunkowo stary jak na swój pierwszy tatuaż, ale ostatecznie ludzie robili sobie dziś tatuaże w każdym wieku.

– Gotówka? – zapytał.

– Bardzo proszę. To były trzy godziny, z dokładnością prawie do minuty.

Kiedy Steve odliczał banknoty, Marni zdjęła lateksowe rękawiczki i umyła ręce. Miała za sobą długi dzień, a zatrzymanie Iwao wytrąciło ją z równowagi. W co, do cholery, pogrywał ten cały Sullivan? Przecież chyba nie sądził, że Iwao może być w jakikolwiek sposób zamieszany w te zabójstwa? Zamordowanie kogokolwiek przez Iwao było jeszcze mniej prawdopodobne niż udział Thierry'ego. Znacznie mniej prawdopodobne, prawdę mówiąc. O Thierry'ego trochę się martwiła...

Zabrzączał dzwonek przy drzwiach wejściowych. Żołądek podjechał Marni

do gardła. Cholera, była pewna, że je zamkneła, zanim wzięła się do tatuowania Steve'a. Wyrzała ze studia i zobaczyła podchodzącego do kontuaru Sullivana. Jego widok wcale nie poprawił jej nastroju. Czy teraz zamierzał aresztować ją?

– Czego chcesz? – zapytała bez wstępów.

Za jej plecami Steve ostrożnie wsuwał świeżo wytatuowane ramię w rękaw kurtki. Francis stanął w drzwiach i omiół studio spojrzeniem.

– Mogę poczekać, aż skończysz.

– Steve, to jest komisarz Frank Sullivan. Frank, to Steve, jeden z moich ulubionych klientów.

W tym momencie zrobiłaby wszystko, żeby go dodatkowo wkurzyć. Zauważyła z satysfakcją, jak skrzywił się, gdy nazwała go Frankiem.

– Cześć – powiedział Steve, wyciągając rękę.

Sullivan ujął ją tak, jakby była czymś przywleczonym przez kota.

– Jest pan policjantem, tak? Tym, co prowadzi śledztwo w sprawie tych morderstw z tatuażami?

Francis ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Nie do wiary, że to Marni znalazła ciało – ciągnął Steve. – Złapaliście już kogoś?

– Na razie same niewłaściwe osoby – warknęła Marni, nie przerywając sprzątaniam.

„Kiedy, do jasnej cholery, zamierzają złapać właściwe?” – pomyślała.

– W gazecie pisali, że to ma coś wspólnego z tatuażami. To prawda? Rzeczywiście ma z nimi coś wspólnego?

Francis wyglądał tak, jakby trajkotanie Steve'a sprawiało mu fizyczny ból. Spojrzał wymownie na Marni. Nie zwróciła na niego uwagi.

– Jakby pan mógł... – zwrócił się Francis do Steve'a. – Chciałbym porozmawiać z panią Mullins.

– Jasne. Przepraszam.

– Nie zaniedbuj higieny tatuażu, Steve.

Gdy zatrasnęły się za nim drzwi wejściowe, Marni przestała się krzątać i powiedziała:

– Nie mam ci nic do powiedzenia, Frank. To, co zrobiłeś, było oburzające.

– Chcę porozmawiać z tobą o czymś innym.

– A dlaczego miałabym z tobą rozmawiać? – Odwróciła się do niego plecami i zaczęła zakręcać plastikowe butelki z farbą.

– Marni, w zeszłym tygodniu zamordowano w Brighton dwie osoby. Są powody przypuszczać, że te morderstwa miały jakiś związek z ich tatuażami.

Zdajesz sobie z tego sprawę.

– A więc uwierzyłeś wreszcie w moją hipotezę? – powiedziała Marni i spojrzała na niego przez ramię. – Ale uważasz, że daje ci to prawo do kompletnego nieliczenia się z tutejszą społecznością? Zatrzymujesz ludzi bez żadnych podstaw.

Francis westchnął.

– Jeszcze nikogo nie aresztowałem. Ale potrzebujemy informacji, więc muszę przesłuchiwać osoby, które w mojej opinii będą w stanie nam pomóc. Z tobą włącznie.

– Potrzebujesz pomocy, mojej, nas wszystkich, i tak się do tego zabierasz? Zrażasz do siebie ludzi! Przecież chyba nawet przez chwilę nie sądziłeś, że ja, Thierry czy Iwao możemy być zamieszani w morderstwa.

– Muszę zbadać każdą możliwość.

Marni walnęła o stół butelką płynu do dezynfekcji. Na kogo była zła? Na niego czy na siebie z powodu własnych podejrzeń? A może to strach kazał jej tak zareagować?

– Powinieneś ostrzec innych: oto, co powinieneś zrobić. Jeśli na wolności grasuje zabójca polujący na ludzi z tatuażami, to przynajmniej mogliby się o tym dowiedzieć. Ani w prasie, ani w telewizji nie widziałam żadnego apelu o zachowanie ostrożności. Dlaczego?

– Mój szef...

– Twój szef? Sądziłam, że w tej sprawie to ty jesteś szefem.

Skrzywił się.

– Nie pracuję w próżni. Prowadząc tego rodzaju sprawę, człowiek zderza się z pewnymi oczekiwaniami.

– Statystyki. Nie musisz mi tłumaczyć. Już się z tym zetknęłam.

„We Francji – pomyślała. – Zresztą tutaj też. Idą po linii najmniejszego oporu”.

Przerwała wreszcie to, co robiła, i odwróciła się do niego twarzą.

Wyglądał na rozwścieczonego.

– Nic nie rozumiesz. Pojęcia nie masz, pod jaką jestem presją, żeby jak najszybciej przedstawić wyniki dochodzenia. Do tego prasa depta mi po piętach.

– Umiejętność pracy pod presją chyba należy do zakresu twoich obowiązków, nie? Cholera, jestem całym sercem za osiągnięciem wyników i ocaleniem kolejnego człowieka przed śmiercią. Na początek może być opublikował ostrzeżenie, że coś wisi w powietrzu?

– Nie mogę. Mogłaby wybuchnąć panika.

– Jeśli tego nie zrobisz, porozmawiam z Tomem Fitzem. A on napisze artykuł, w którym ostrzeże ludzi. Do tej pory miał jedynie kilka ogólnikowych informacji na temat znalezionych ciał. I marzy o jakimś mięsie, które mógłby sprzedać czytelnikom.

Francis westchnął.

– Trzymaj się od niego z daleka, Marni. Proszę. Pozwól policji zdecydować o tym, jaka informacja pójdzie w świat i kiedy. Miasto i tak huczy od plotek.

– No to zrób coś. I to szybko.

Postawiła sprawę jasno. Nie odpowiedział. Usiadł na rachitycznym drewnianym krześle w kącie studia. Potarł oczy rękami, wyraźnie zmęczony i zestresowany. Nie wzbudził jej współczucia. Widziała na własne oczy, co się dzieje, kiedy policja goni za szybkimi wynikami śledztwa. Była ofiarą może nie pomyłki sądowej, ale z pewnością działania wymiaru sprawiedliwości nieliczącego się z faktami.

– Może kawa? – zaproponował.

W małej kawiarni pięćdziesiąt metrów dalej znaleźli sobie stolik w kącie i zamówili on czarne americano, ona potrójne macchiato.

– No to jakie masz do mnie pytania? – Marni nie starała się ukryć wrogości w głosie.

– Powiedz mi, skąd wiesz, że Iwao tego nie zrobił?

Marni pokręciła głową.

– Nie, Frank. To ty masz udowodnić, kto to zrobił. Nie do mnie należy udowadnianie, kto tego nie zrobił. Nie przekona cię nic, co powiem: ja po prostu znam Iwao. On zwyczajnie nie jest zdolny do takiego czynu.

– Ale Thierry owszem, prawda?

– Pierdol się.

Wstała.

– Marni! – Nuta wściekłości w jego głosie kazała jej ostrożnie usiąść z powrotem. – Nie twierdzę, że moim zdaniem to zrobił – podjął Francis. – Ale muszę dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Zgodnie z tym, co mamy w aktach, został skazany za handel narkotykami i ciężkie uszkodzenie ciała. Powiedz mi coś więcej.

– Handlu narkotykami chyba nie muszę ci tłumaczyć. To nie było nigdy nic wielkiego, taka tam działalność uboczna podczepiona pod studio. Jak Alex się urodził, było krucho z kasą. Przez kilka miesięcy nie mogłam pracować.

Frank ze zrozumieniem skinął głową.

– Złapali go kilka razy. No i tak – dokończyła.

Nie zamierzała mu mówić, że dilowanie było jedną z przyczyn, dla których

rozwiódła się z Thierrym. Jedną z wielu. Jak inne kobiety. I awantury po pijaku, które za często przypominały jej Paula. Sullivanowi nic do tego, jak wyglądał ten okres jej życia.

– A to drugie?

– Pobił jakiegoś kolesia w pubie Heart and Hand. Dawno temu.

– Dlaczego?

Marni zwlekała chwilę z odpowiedzią, popijając zimną kawę.

– Coś tam się ukazało w gazetach i ten gość, właściwie go nie znaliśmy, z czymś tam do nas wyskoczył.

– Ukazało się coś o skazaniu za handel?

– Nie. Coś o mnie. Przyczepił się z jakimiś durnymi komentarzami i Thierry go sklepał.

– I to tyle?

– Tyle.

Marni chciała zmienić temat. Rozpaczliwie. Ostatnie, czego potrzebowała, to Sullivan węszący w jej przeszłości. Jej albo Thierry'ego.

Francis wypił do końca kawę i milczał przez kilka minut.

– Marni, mogę cię o coś zapytać?

– Jasne.

„Nie”.

– Nie chodzi o Thierry'ego.

– Dawaj.

„Proszę, nie drąż”.

– Siedziałaś kiedyś w więzieniu, prawda?

Jedyna rzecz, o której Marni naprawdę nie chciała rozmawiać.

– Tak.

– Ale w policyjnych bazach danych nie ma na ten temat ani słowa.

Wyraźnie się zjeżyła.

– To było we Francji.

– Rozumiem. Co zrobiłaś?

– A to ma jakieś znaczenie?

– Nie, ale...

– Dźgnęłam człowieka nożem.

Brawura Marni skłęsała, gdy przed oczami stanęło jej jak żywe wspomnienie. Matowy połysk ostrza. Krew, morze krwi. Policyjne syreny o świcie. Policjant mówiący po francusku zbyt szybko, by mogła coś zrozumieć. Z trudem wciągnęła powietrze w płuca i odzyskała głos.

– Słyszałeś, co powiedziałam? Dźgnęłam człowieka nożem.

Francisowi krew odpłynęła z twarzy. Wyglądał jak człowiek, który żałuje, że nie może cofnąć pytania.

VIII

Czy kiedykolwiek zastanawialiście się nad tym, jak to jest: obdzierać człowieka żywcem ze skóry? Pewnie nie. A ja często o tym myślę. Kiedy robię coś innego. Kiedy leżę nocą w łóżku. W takich spokojnych chwilach jak ta. Kiedy czekam w samochodzie, aż następny z mojej listy skończy pracę. Kolekcjonuję jego nawyki, by zrozumieć jego osobowość i ułożyć plan. Ten akurat jest wysoki i często chodzi na siłownię. Prawie codziennie. Nie mogę się doczekać, aż zdejmę skórę z jego ciała, obiorę go z tatuażu. To trochę jak obieranie jabłka.

Choć właściwie wcale nie przypomina obierania jabłka. Skóra żywego człowieka jest elastyczniejsza niż obierki. I całkiem inaczej się to robi. Najtrudniej zacząć, kiedy już ma się wycięty kontur płata skóry, który chce się zdjąć. Podważam odciętą krawędź czubkiem ostrza i przesuwam go na boki, by stworzyć kieszonkę między uniesioną skórą i zbitą białą powięzią pod spodem, a w przypadku niektórych ludzi podskórną warstwą tłuszczu. Kiedy już uda mi się uchwycić uwolniony płat skóry, zaczynam go zdzierać, delikatnie podważając ostrzem, by oddzielić go od leżących niżej tkanek.

Zależnie od tego, która to część ciała, krwi może być niewiele lub mnóstwo. W żaden sposób nie staram się jej tamować. Po co? Ofiary i tak na końcu umierają, a najważniejsze jest usunięcie tatuażu w nienaruszonym stanie. Nic nie może się równać z satysfakcją płynącą z ostatniego cięcia uwalniającego płat skóry, nad którym pracuję. Mogę go wtedy wziąć do ręki, jeszcze ciepły i mokry, może wręcz parujący, o ile jesteśmy na zewnątrz, a noc jest zimna, mogę zobaczyć, jak to będzie wyglądać, gdy skóra zostanie wyprawiona.

Nie każdy ma szczęście tak jak ja kochać swoją pracę. Myślę, że można by ją określić mianem pracy moich marzeń. Płaca jest niezła, ale szczerze mówiąc, wynagrodzenie jest tu bez znaczenia. Kolekcjoner mógłby mnie poprosić dosłownie o wszystko, ale na szczęście doskonale wie, na czym polegają moje wyjątkowe umiejętności, więc ta praca zaspokaja potrzeby obu stron. Ogromnie podobało mu się to, co do tej pory ode mnie dostał. Tworzymy razem kolekcję jedyną w swoim rodzaju.

Mężczyzna, którego obserwuję, wychodzi z biurowca, w którym pracuje, i rusza w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu. Do pracy wkłada tani czarny garnitur, więc nie widać jego tatuażu. Wątpię, czy ludzie z jego biura w ogóle wiedzą, że jest wytatuowany. Sprzedaje ubezpieczenia przez telefon i ogłupiającą robotę rekompensuje sobie nieroztropną nocną aktywnością. Wiem, bo nietrudno

go podpatrzeć. Popisywał się w klubach tatużami i układami tanecznymi, kupował narkotyki w toaletach i znikał w ciemnych zaułkach z innymi przegrywami szukającymi zapomnienia. Albo tandetnej zgrywy.

Kiedy przyjdzie ten moment, będzie łatwym łupem. Dojrzałym owocem, dojrzałym do przepołowienia i obrania. I wtedy go z niego zdejmę, cal po calu, w dwóch wielkich płatach. Tatuż pokrywający całe ciało. Boże, ależ on będzie krwawił. Prawie czuję ten zapach.

Już niedługo.

Francis

Wiedział, że powinien się modlić, ale wciąż jeszcze kręciło mu się w głowie. „Marni Mullins pchnęła nożem człowieka”. Mówiła o tym niechętnie, a to, co powiedziała, nie trzymało się kupy. Zakładał, że zrobiła to w samoobronie, ale dała mu do zrozumienia, że wcale nie. Poza tym przecież właśnie za to ją zamknęli. Rozpaczliwie chciał się dowiedzieć czegoś więcej, lecz wszystko to było bardzo mętne. „Kto? Dlaczego? W jakich okolicznościach?”. Spróbował skupić się na modlitwie, jednak natrętne myśli nie dawały o sobie zapomnieć.

Poddał się, wstał z kolan i usiadł obok Rory’ego w twardej drewnianej ławce stojącej w ostatnim rzędzie. Nie należał do parafii świętego Piotra, ale znał dobrze ten kościół i bywał tu już na nabożeństwach. Siedzący obok niego Rory wiercił się w zakłopotaniu, zapewne nieczęsto chodził na msze, ale udział w pogrzebach i nabożeństwach żałobnych należał do ich obowiązków. Zespół śledczy musiał okazać rodzinie ofiary szacunek – a przy okazji przyjrzeć się uczestnikom ceremonii pogrzebowej.

Kościół świętego Piotra był zaprojektowaną przez Charlesa Barry’ego wielką neogotycką budowlą o wysmukłych filarach i oszłamiających witrażach w prezbiterium. Francis go uwielbiał i gdyby nie lojalność względem księdza Williama, która trzymała go w świętej Katarzynie, chętnie zmieniłby parafię. Ponieważ było to nabożeństwo żałobne, a nie pogrzeb, nie wystawiono trumny, lecz jedynie duże zdjęcie Evana Armstronga, stojące na podpórce na stopniach ołtarza i przyozdobione wiązkami kwiatów. Ludzie przechodzili przed nim w milczeniu i choć przez okna wlewało się do kościoła słońce, atmosfera była ponura.

– Jak myślisz, jaki procent zabójców chodzi na pogrzeby swoich ofiar? – wyszeptał Rory, zasłaniając usta dłonią.

Biorąc pod uwagę, że większość morderców dobrze zna zamordowanych, odsetek był zapewne dość wysoki. Francis położył palec na ustach i skupił uwagę na rodzinie i znajomych Armstronga.

Rodzice siedzieli w pierwszym rzędzie wraz z młodą kobietą, która jak domyślił się Francis, musiała być siostrą zmarłego. Nikt z nich nie był ubrany na czarno, choć Dave włożył stonowany granatowy garnitur. Sharon z kolei miała na sobie jaskrawy, fioletoworóżowy płaszcz kontrastujący z białą,

wymizerowaną twarzą poraną zmarszczkami głębszymi, niż zapamiętał to Francis z ich pierwszego spotkania zaledwie przed tygodniem. Przeszła krótkim przejściem pomiędzy ławkami, ciężko wspierając się na ramieniu Dave'a, który troskliwie pomógł jej usiąść, jakby żona nie mogła się utrzymać na nogach. Ich córka, pochlipująca bezgłośnie w kłęb zmiętych chusteczek, ubrana była w kilka warstw w kolorach ziemi; spod długiej rdzawej spódnicy wystawały brązowe zabłocone botki. Wyglądała jak ktoś, komu przerwano pracę w ogrodzie. Francis upierał się, że na pogrzeby należy ubierać się na czarno, w końcu każdy ma dziś w szafie coś czarnego, ale odnosił wrażenie, że Armstrongowie nie należeli do rodzin szczególnie religijnych.

Przepaść między bliższą i dalszą rodziną Evana a jego znajomymi aż kłuła w oczy. Tych pierwszych ulepiono z tej samej gliny co Sharon i Dave'a: zwykli ludzie, których życie brutalnie zakłóciła strata krewnego. Wielu z nich wychodziło naprzód, by objąć Sharon i uścisnąć dłoń Dave'owi, po czym przysiadło gdzieś z boku w pełnym szacunku milczeniu.

Z kolei znajomi Evana zgromadzili się tuż przy wejściu do kościoła, jakby nie chcąc wchodzić do środka i mierzyć się ze śmiercią kogoś, kogo znali. Wielu z nich, jak zauważył Francis próbujący wyrobić sobie opinię na ich temat, bez trudu wtopiłoby się w tłum na konwencie tatuażu: czarne ciuchy, ogolone głowy lub jaskrawo ufarbowane włosy, nadmiar kolczyków i – mimo powagi uroczystości – wyeksponowane tatuaże. Byli też znacznie głośniejsi: dziewczyny płakały donośnie – jakby chciały się wzajemnie zagłuszyć, pomyślał Francis – a mężczyźni rozprawiali o czymś gorączkowym półgłosem. Gdy zagrały organy, przemieścili się stopniowo w głąb kościoła i usiedli w ławkach.

Sullivan dostrzegł Marni i Thierry'ego Mullinsów, którzy przyszli w towarzystwie dwóch mocno wytatuowanych mężczyzn rozmawiających z Thierryem po francusku. Rory trącił go w bok, sygnalizując, że też ich widzi. Gdy usiedli, Marni odwróciła się i rzuciła Francisowi niechętnie spojrzenie. Nieznacznie skinął głową, ale ona już zdążyła się odwrócić. Do kościoła wszedł Iwao w dyskretnym czarnym garniturze. Usiadł na końcu ławki Marni. „Znał Evana?” – zdziwił się Francis. Japończyk spojrzał na niego z goryczą, po czym wyszeptał coś do Marni.

Ostatni maruderzy wypełnili ławki na końcu kościoła, a Francis i Rory zmuszeni byli przesunąć się nieco w swojej, by zrobić miejsce solidnie zbudowanej kobiecie ubranej od stóp do głów – włącznie z rękawiczkami i kapelusikiem z woalką – na czarno. Nawet na siedząco przewyższała Francis'a o głowę. Uznał ją za jakąś ciotkę, która zabłądziła lub nie znalazła na

czas miejsca do zaparkowania. W chwili, w której wyartykułowała w ich stronę bezgłośnie podziękowanie, pastor zaczął mówić. Do kościoła weszło na palcach jeszcze kilkoro spóźnialskich, którzy do końca krótkiej uroczystości stali z tyłu.

Francis słuchał pastora kierującego do bliskich zmarłego słowa pociechy i zastanawiał się, kiedy znajdzie się na kolejnym pogrzebie lub nabożeństwie. Pogrzeb jego matki będzie wyglądać całkiem inaczej; już przed kilkoma laty zaplanowała wraz z nim całą uroczystość. Miała się odbyć w wiejskim kościółku, do którego uczęszczała co niedziela jako mężatka i gdzie Francis odkrył w dzieciństwie własną wiarę. Czy dzięki temu siostrze i jemu łatwiej przyjdzie się z nią pożegnać? Właśnie w tym kościele jego rodzice się pobrali, ale Francis wątpił, czy ojcu zechce się pofatygować. Zatopiony w myślach nawet się nie zorientował, że nabożeństwo dobiegło końca. Z zamyślenia wyrwał go pastor przechodzący nawą główną.

Przed kościołem dwa plemiona bliskich Evana zachowały dzielący je dystans, choć paru znajomych podeszło zamienić kilka słów z rodziną. Francis i Rory stanęli z boku, przypatrując się im w milczeniu. Francis kazał Hollinsowi zaparkować naprzeciw kościoła, po drugiej stronie ulicy, i filmować całe zajście przez teleobiektyw. Wziął sobie do serca uwagę Rory'ego, że zabójca może się pojawić na nabożeństwie, i zamierzał analizować nagranie tak długo, aż zidentyfikuje wszystkie występujące na nim osoby i określi związki łączące je ze zmarłym. Jego ambicje podzielał prawdopodobnie Tom Fitz, który krążył wśród żałobników i trząsał jedno zdjęcie po drugim.

– Nadal szuka pan swojego zabójcy? – U boku Francisa zmaterializował się Ishikawa Iwao. – A jak go pan zobaczy, to po czym go pan pozna?

I ulotnił się, zanim Francis zdążył odpowiedzieć.

Spojrzenie Francisa wędrowało mimowolnie raz za razem ku Marni Mullins. Akurat rozmawiała z niskim mężczyzną, który na prawym ramieniu miał jaskrawy, świeżo wykonany tatuaż tygrysa; mężczyzną, którego zeszłego wieczoru poznał w jej studiu. Nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o słowach nieustannie odbijających mu się echem w głowie: „Słyszałaś, co powiedziałam? Dźgnęłam człowieka nożem”. Marni, jakby usłyszała jego myśli, przerwała rozmowę i spojrzała mu prosto w oczy. I nie było to przyjazne spojrzenie. Odwrócił się i przeszedł przez ulicę, by zamienić słowo z Hollinsem, który nagrywał, szczególnie się z tym nie kryjąc, przez otwarte okno po stronie kierowcy.

– Dopilnuj, żebyś miał wszystkich na nagraniu, Kyle.

- Jasne, szefie – odparł Hollins, nie odrywając wzroku od wizjera.
- Zwłaszcza całe to wytatuowane towarzystwo.
- Nie spuszczam ich z oka.

Czując, że ktoś puka go w ramię, Francis obrócił się na pięcie.

Marni Mullins dzierżyła swoją furię jak broń.

– Filmujesz nas? W ogóle nie powinno cię tu być! Nie znałeś Evana Armstronga!

– A ty?

Robiła wrażenie zaskoczonej. Przez chwilę mełła słowa w ustach, po czym odpowiedziała:

– Był jednym z klientów Thierry’ego i przez jakiś czas kolegował się z Charliem i Noa. Mam prawo tu być. W przeciwieństwie do ciebie.

– Odniosłem wrażenie, że Thierry nieszczególnie za nim przepadał, była mowa o jakimś niezapłaconym rachunku. Ja też mam prawo tu być. Próbuje wyśledzić zabójcę.

– Tutaj, na nabożeństwie żałobnym? Okazalibyście trochę szacunku.

– To osoby, które Evan znał.

– Jeśli nie liczyć twoich ludzi – prychnęła.

– Myślałem, że jesteśmy po tej samej stronie, Marni.

– A po której ty jesteś stronie, Francis?

– Po stronie sprawiedliwości. Po właściwej.

Słowa zdawały się sugerować coś, czego wcale nie chciał powiedzieć. Marni aż zmrużyła oczy, po czym odwróciła się i pomaszerowała do Thierry’ego, który stał pogrążony w rozmowie z siostrą Evana.

Francis spojrział za odchodzącą, żałując, że podszedł do samochodu, zwracając w ten sposób uwagę na jego obecność. Czuł się urażony jej złością i wstrząśnięty agresją, ale przyglądając się, jak rozmawia gorączkowo z Thierryem, dostrzegł jej czuły punkt, którego dotąd nie zauważał. W jej przeszłości były jakieś ciemne karty, nie miał co do tego wątpliwości. Ale co z teraźniejszością? Czy to możliwe, że klucz do tej sprawy trzymała w ręku właśnie Marni?

IX

Jestem na nabożeństwie żałobnym. Są tu wszyscy, którzy znali biednego Evana, a jak się dobrze rozejrzeć, to chyba i całkiem sporo takich, co nie znali. Kilku policjantów. W końcu kto zakłada adidasy do garnituru? Szukają oczywiście mnie, tyle że nie wiedzą, kogo i czego wypatrywać. Trochę mi ich żal.

Tym sposobem oni mnie nie obserwują, a ja ich tak. Mamy tu do czynienia z ciekawą dynamiką. Starszy, który w pierwszej chwili wydawał się szefem, tak naprawdę nim nie jest, bo najwyraźniej przyjmuje polecenia od młodszego. Z kolei młody rudzielec może i wygląda na świeżaka, ale wprost paruje inteligencją. Nie należy go lekceważyć.

Co nie zmienia faktu, że w poszukiwaniu zabójcy porusza się całkiem po omacku.

Rodzina sprawia wrażenie załamanej i duma mnie rozpieszcza, że to wszystko moje dzieło. Całe to zebranie jest wynikiem mojej pracy. Jestem przyczyną wszystkich też spływających po twarzy tej biednej kobiety i drżenia dłoni jej męża, który wyciąga rękę, by ją podtrzymać. Mój ostry nóż zadał im rany równie głębokie jak nacięcia w skórze Evana. Ich ból jest hołdem złożonym mojej pracy. Żałuję, że nie ma tu Rona, który doceniłby moje dokonania: obecne i dotychczasowe. W pewnym sensie żałuję też, że nie ma tu mojego ojca. Oczywiście byłby wstrząśnięty, ale i zdałby sobie sprawę, że jednak mam pewien talent. Myśl o nim napętnia mnie goryczą, więc żeby ją od siebie odsunąć, zaczynam przyglądać się przybyłym.

Artyści i rzemieślnicy środowiska pracującego w skórze, wszyscy zebrani w jednym miejscu i czasie. Udają, że zapomnieli na chwilę o drobnych zawiściach i wojnach podjazdowych. Udają, że im smutno, bo zginął ktoś, kogo prawie nie znali. Wszystkie te młode fanki szlochające w czarne chusteczki, jakby faktycznie było im przykro. A tak naprawdę to tylko pretekst, by urznąć się później w pubie.

Ale nie Marni Mullins, która oczy ma suche, co zauważam, gdy mija mnie przy wyjściu z kościoła. Jest piękna, lecz jej ciało wibruje powstrzymywanym gniewem. Ciekawe, na kogo się tak złości i czemu. Zobaczymy.

Wiele się można dowiedzieć, podpatrując ludzi na nabożeństwie żałobnym: niektórzy mają nerwy na wierzchu, są emocjonalnie odsłonięci, niektórzy zaś odgrywiają spektakl, spełniają oczekiwania innych. Interakcje przybierają na sile, a po podlaniu alkoholem na stypie...

Patrzę i się uczę.

Marni Mullins rozmawia z młodym policjantem. Chłopak się czerwieni. To nie

jest przyjazna wymiana zdań. Ona odchodzi rozżłoszczona, a na jego twarzy maluje się tylko żal. Czego on może żałować w związku z Marni Mullins? Patrzy za nią jak szczeniak.

Nie trzepocz się, moje serce. Jest tu Kolekcjoner.

Marni

Stypa odbyła się w pubie Heart and Hand, najwyraźniej ulubionym wodopoju Evana. Wszyscy ci ludzie, którzy przyszli po nabożeństwie, ledwo się w nim zmieścili i wkrótce z kieliszkami w dłoniach wysypali się na róg ulicy. Jak na ironię ten sam pub zapewnił Thierry'emu alibi w sprawie morderstwa Evana, co nie uszło uwadze Marni. Francis opowiedział jej o dziewczynie z wytatuowaną syreną i Marni nie miała wątpliwości, że suka na pewno dziś się pojawi. Gwałtownie wciągnęła powietrze i przygryzła dolną wargę. To nie w porządku. Rozstali się lata temu, więc czemu miałyby się przejmować, z kim jej eks chodzi do łóżka? Problem w tym, że się przejmowała.

Z dala od powagi kościoła stypa nabrała lżejszego, bardziej imprezowego charakteru. Nie wypuszczając z dłoni kieliszków, znajomi Evana ze środowiska tatuażu wymieniali się plotkami i opowieściami o wszystkim, co zdarzyło się od ostatniego spotkania. Prezentowano sobie, chwalono i wykpiwano nowe tatuaże, dzielono się historiami z ostatnich konwentów. Dziewczyny, które ledwie przed chwilą zalewały się łzami, teraz śmiały się tak głośno, że Marni zrobiło się zwyczajnie przykro, choćby z powodu stłoczonej w rogu sali rodziny Evana.

Rozejrzała się chmurnie po zatłoczonym barze, zastanawiając się, czy Thierry przyjdzie z syreną, czy ze swoją nową stażystką. Na odpowiedź nie czekała długo. Thierry siedział wciśnięty w kąt i szeptał coś na ucho swojej podopiecznej. Marni odwróciła się, czując, jak ściska ją w gardle.

– Jest pełnoletnia – powiedział jakiś głos nad jej uchem. – Chociaż ledwo, ledwo.

U jej boku zmaterializował się Noa, pytając wymownym gestem, czy ma ochotę na jeszcze jednego.

Czemu nie, u diabła? Nie przyjechała autem, nie miała żadnej roboty ustawionej na popołudnie, więc mogła się jeszcze napić. Wątpiła, czy przeżyje tu jeszcze godzinę czy dwie tak na trzeźwo.

– Pewnie. Dzięki.

Gdy czekała na powrót Noa, podszedł do niej Iwao.

– Znałeś go? – zapytała.

– Evana? Nie. Ale o tym, co się stało, rozmawiałem z Jonahem Masonem,

który poprosił mnie, żebym go zastąpił.

– Jest w Kalifornii?

– Tak. Przekazałem rodzinie Evana kondolencje. Jonah strasznie się gryzie myślą, że to jego tatuaż mógł być przyczyną śmierci Evana. Zastanawia się, czy nie wyznaczyć nagrody za informację, która mogłaby doprowadzić do schwytania zabójcy.

– Serio? Przecież to nie jego wina, że jakiś psychol postanowił zdjąć tatuaż ze zwłok Evana. Równie dobrze koleś mógł sobie zabrać każdy inny.

Iwao zacisnął wargi.

– Nie, o ile twoja hipoteza dotycząca wystawy jest słuszna, Marni, a ona sugeruje, że zabójca wybiera konkretne tatuaże. A zatem i konkretne ofiary.

Marni spojrzała nad ramieniem Iwao i zobaczyła podchodzącego do nich Sullivana.

– Cholera! Nie do wiary, że policja cały czas tu węszy! Co za brak szacunku.

Iwao obejrzał się i skrzywił.

– Po prostu wykonuje swoją robotę, Marni. Wybaczysz, że się ulotnię.

Wymknął się zręcznie i w tym samym momencie do Marni podszedł Noa z kieliszkiem wina. Wyjął jej z ręki pusty i odstawił na bar.

– Proszę, skarbie. A teraz opowiedz, co u ciebie.

Pocałowała go w policzek.

– Sekundkę, Noa. Poślę tylko tego komisarza w diabły.

Ciągle wchodził jej w drogę, co wkurzało ją do szaleństwa. W nijakim garniturze wśród całej tej wytatuowanej braci wyglądał kompletnie od czapy. Mógł przynajmniej zdjąć krawat i marynarkę. Co za sztywniak!

– Ależ ty masz tupet – powiedziała.

– Wszyscy byśmy sobie życzyli, żeby zabójcę złapano, prawda, Marni?

Nawet nie miał kieliszka w ręku, w żaden sposób nie próbował się wtopić w tłum.

– Są rzeczy święte.

Francis rozejrzał się po zatłoczonym barze i omiótł spojrzeniem ludzi zajadających paszteciki i osuszających kolejne kufle, ale nic nie powiedział.

Marni wzięła spory łyk wina. Zaczynała żałować, że mu pomagała. Wyglądało na to, że zamiast szukać rzetelnych dowodów, komisarz ochoczo przylepi etykietkę zabójcy pierwszej lepszej osobie z tatuażem. A przecież zadanie policji polegało na szukaniu dowodów, które mogłyby doprowadzić śledczych do zabójcy, prawda? A nie na wybieraniu sobie zabójcy i szukaniu dowodów potwierdzających jego winę!

– Ilu tu jest tatuażystów z wystawy Iwao?

Marni przełknęła wino.

– Jest sam Iwao. Reprezentuje Jonaha Masona, który przebywa teraz w Kalifornii. Widziałam jeszcze Ricka Glovera, ale poza nim już chyba nikogo z pozostałych.

– To on wykonał tatuaż Jema Walsha, tak?

– Owszem.

– Możesz mnie przedstawić?

Marni zaczerwieniła się ze złości.

– Żebyś mógł go jutro aresztować? Bo chyba tak to działa, prawda?

Francis westchnął.

– Marni, przyglądamy się wszystkim, którzy mogą mieć jakikolwiek związek z tą sprawą, po czym staramy się wyeliminować ich z dalszego dochodzenia.

– Czyli chcesz, żebym cię przedstawiła, żebyś mógł sprawdzić jego alibi na tę noc, kiedy zginął Jem. Chyba cię pojebało, Frank.

– Słuchaj, a może byś tak zeszła na ziemię i popatrzyła bardziej pragmatycznie? Mamy zabójcę, który wziął sobie na cel twoje środowisko.

– Masz rację. Nie chcę, żeby ktoś jeszcze zginął – odparła cicho. – A nie rozpowszechniając informacji, które masz, narażasz nas wszystkich. Proszę, wydaj przynajmniej oficjalne ostrzeżenie.

– To może wpłynąć na działania zabójcy.

– To może ocalić ludziom życie. Przepraszam, chciałabym jeszcze porozmawiać z kilkoma osobami.

Jak grochem o ścianę.

Przepchnęła się do baru, czując tętniącą w uszach krew. To nie było w porządku i nie zamierzała stać bezczynnie i przyglądać się, jak ginie kolejna osoba.

– Noa, przynieś mi krzesło, co?

Wskazała to, na którym siedziała właśnie stażystka Thierry’ego.

– Jasne. Przepraszam! – powiedział Noa, bezceremonialnie przesadzając stażystkę na kolana Thierry’ego i chwytając oparcie krzesła.

Spódniczkę miała tak krótką, że Marni dosłownie widziała jej majtki. Dziewczyna zmarszczyła brwi, ale Thierry tylko się roześmiał i oplótł ją ramieniem w talii. Na ten widok Marni rozgniewała się jeszcze bardziej.

– Gdzie ci je postawić? – zapytał Noa.

– Tu, przy barze, dzięki.

Wdrapała się na wysokie krzesło i rozejrzała po gwarnym pubie. Szukając

czegoś, co pozwoliłoby jej przyciągnąć uwagę zebranych, sięgnęła po widelec i zastukała nim w kieliszek.

– Ej, uciszcie się na chwilę! – krzyknął Noa dudniącym basem. – Marni chciała coś powiedzieć!

Wszystkie twarze zwróciły się na nią, a ona dostrzegła zaskoczone spojrzenia Sharon i Dave’a Armstrongów.

– Cześć wszystkim – powiedziała, kiedy wrzawa umilkła. – Większość z was mnie zna, ale dla tych, którzy mnie nie znają: nazywam się Marni Mullins, prowadzę studio Niebiańskie Tatuaze. Przyznam, że nie poznałam Evana, ale przyszłam ze względu na znajomość z wieloma osobami, które go znały. Mam wam wszystkim do powiedzenia coś ważnego... I chciałabym, żebyście przekazali to znajomym, których tu dzisiaj nie ma.

Odstawiła kieliszek i widelec na bar za sobą. Wszyscy utkwili w niej wyczekujące spojrzenia. Na twarzy stojącego nieco dalej Sullivana odmalowało się rozczarowanie. Stojący obok niego sierżant był wyraźnie wściekły.

– Marni, proszę, nie rób tego... – zaczął Francis.

Jego słowa utonęły w rozgwarze podnieconych szeptów.

– Słuchajcie! – podjęła Marni. – Policja jest zdania, że człowiek, który zabił Evana, mógł popełnić również dwie inne zbrodnie. W ich przypadku również z ciał zdarto tatuaze i wszystkie miały jedną wspólną cechę: zostały wykonane przez artystów biorących udział w wystawie *Alchemia tuszu i krwi*. – W głębi sali dostrzegła Ricka Glovera, który sprawiał wrażenie wstrząśniętego. – Istnieje spore prawdopodobieństwo, że seryjny zabójca poluje na ludzi z tatuazami autorstwa wspomnianych artystów, konkretnie Ishikawy Iwao, Jonaha Masona, Bartosza Klema, Brewstera Bonesa, Poliny Jankowski, Ricka Glovera, Gigi Leon, Jasona Leicesterera, Vince’a Priesta i Petry Danielli. Chcę was ostrzec, bo policja tego nie robi. Jeśli macie tatuaz wykonany przez któregokolwiek z tych artystów, zachowajcie szczególną ostrożność, wychodząc wieczorem z domu. Nie wychodźcie sami. Boję się. I wy też powinniście.

Pociągnęła łyk wina i odetchnęła głęboko, gdy lista nazwisk powoli docierała do zgromadzonych. Większość kręciła głowami, ale kilka osób zaczęło się naradzać przyciszonymi, podnieconymi głosami, pokazując sobie tatuaze kogoś z listy. Dostrzegła jednego ze swoich klientów, Dana Cartera, który z lękiem w oczach wychylił do dna prawie pełny kufel piwa. Nigdzie nie udało jej się wypatrzeć Sullivana i Mackaya. Pewnie wymknęli się w kluczowym momencie, żeby ustalić, co teraz, skoro ich pilnie strzeżony

sekret wyszedł na jaw.

– Evana Armstronga i Jema Walsha zabito tu, w Brighton, w ciągu ostatnich kilku tygodni – ciągnęła.

– Jema Walsha? – zdziwiła się dziewczyna stojąca obok krzesła Marni. – Jem nie żyje?

– Niemożliwe! – rzucił ktoś inny, a w tłumie tu i ówdzie rozległy się zdumione westchnienia.

Najwyraźniej mimo artykułów w miejscowej prasie do kilku żałobników ta wiadomość nie dotarła. Trzasnęły drzwi, gdy ktoś pośpiesznie wyszedł.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Marni.

Dziewczyna, która zapytała o Jema, osunęła się na stojącego obok niej mężczyznę, który w ostatniej chwili podtrzymał ją, by nie upadła.

– Ale o co w tym wszystkim chodzi? Policja coś robi w tej sprawie? – krzyknął ktoś z tyłu.

Ludzie zaczęli zasypywać Marni pytaniami i rozpętało się istne pandemonium. Thierry pomógł jej zejść z krzesła. Wykonała już swoje zadanie.

– Czegoś się wyrwała? – warknął. – Teraz Sullivan przypieprzy się do ciebie.

– To jego wina. Mam nadzieję, że ocaliłam komuś życie. A jeśli Frank ma do mnie pretensje, to wiesz, gdzie je sobie może wsadzić.

– Nie powinnaś była tego robić. Teraz weźmie na celownik nas wszystkich, węsząc, gdzie nie trzeba. – Pomagając jej zejść z krzesła, ujął ją za rękę i do tej pory nie puścił. – Szkoda, że się wplątałaś w tę sprawę, Marni. Martwię się.

Zmarszczył brwi, gdy się od niego odsunęła.

Dlaczego Thierry'ego niepokoiło to śledztwo i jej w nim udział? Tyle sprzecznych komunikatów... Widać było, że temat za każdym razem podnosi mu ciśnienie, ale bardziej chyba niepokoił się o nią niż o siebie. O co tu mogło chodzić?

„Naprawdę chcę to wiedzieć?”.

Rory

Rory w życiu by nie podejrzewał, że jego szef przyjdzie do pracy złachany gorzej niż poprzedniego ranka. A jednak. Francis zjawił się wcześniej, za to w wymiętym garniturze i z przetłuszczonymi włosami. Gdy Rory wszedł do jego gabinetu, Sullivan ślęczał już z wielkim kubkiem kawy nad rozłożonymi na biurku notatkami.

– Wszystko dobrze?

Rory spróbował podejść na tyle blisko, by zorientować się, nad czym szef pracuje. Francis podniósł głowę, dopiero teraz go zauważając.

– Wiemy, gdzie jest Bradshaw?

– Nie tu w każdym razie. Jakieś zebranie wyższego szczebla z paroma innymi nadkomisarzami.

– Wiesz gdzie?

– Hollingbury Park.

Ulubione pole golfowe.

– No i dobrze.

Po czym wrócił do studiowania notatek.

Rory czekał na dalsze wyjaśnienia, ale szef nie zwracał już na niego uwagi. Tym lepiej. I bez tego Rory miał dość roboty. Jednak pięć minut później, nim zdążył się do czegokolwiek zabrać, Sullivan wezwał go z powrotem.

– Słuchaj, pół nocy nie spałem, bijąc się z myślami. Chcę być uczciwy względem pracodawcy, ale nie tylko tym chciałbym się w życiu kierować.

„Do czego on zmierza?” – pomyślał Rory i poruszył się niespokojnie na krześle.

– Po obwieszczeniu Marni ludzie wpadli w panikę, całe miasto huczy od plotek. Jeśli zabójca znów uderzy, a my będziemy siedzieć bezczynnie, ta krew spadnie na nas. Musimy przejąć inicjatywę i trochę uspokoić sytuację.

– Jaki wobec tego mamy plan?

– Zwołać konferencję prasową.

– Ale Bradshaw wyraźnie tego zabronił. Jak zrobimy mu wbrew, powiesi nas za jaja.

Francis wzruszył ramionami.

– Zdaję sobie z tego sprawę... Ale nie mogę dopuścić, żeby zginęła kolejna

osoba, bo ja nie miałem siły przebicia. Nasza hipoteza i tak jest już powszechnie znana, o co zatroszczyła się Marni, ale mimo to musimy ją oficjalnie potwierdzić. Marni ma rację: ludzie mają prawo wiedzieć i się chronić.

„Chryste. No to będziemy tu mieli niezły armagedon”.

– Zrozumiem, jeśli wolałbyś w tym nie uczestniczyć, Rory. Masz rodzinę, nie możesz ryzykować utraty pracy.

– Ale wtedy pan, szefie, zaryzykuje utratę swojej.

– Co poradzisz.

Oczywiście szef miał rację. Skoro mogło to ocalić czyjeś życie, mieli obowiązek działać. Tyle że stało to w sprzeczności z wyrażonym wprost rozkazem zwierzchnika. W ten sposób Sullivan mógł nie tylko stracić tę sprawę, ale i wylecieć ze służby, gdyby Bradshaw naprawdę się wściekł. Rory wyszedł na klatkę schodową, poza zasięg wzroku i słuchu siedzących w centrum koordynacyjnym, wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer Bradshawa.

Konferencje prasowe organizowano zawsze w największej sali na parterze komisariatu przy John Street, ale nawet ona nie zdołała pomieścić bezprecedensowej liczby dziennikarzy, którzy stłoczyli się w środku, ściskając w dłoniach rozmaite urządzenia i ogryzione ołówki do notowania oficjalnej wersji zdarzeń. Dwóch morderców w ciągu tygodnia to była nie lada gratka: de facto podwojenie liczby zabójstw, do których doszło w mieście w tym roku. Gdy zaczęły wyciekać, jak zawsze, makabryczne szczegóły, do grona miejscowych pismaków dołączyli ci z prasy krajowej.

Stojący pod tylnymi drzwiami Rory objął salę spojrzeniem, po czym wycofał się w głąb korytarzyka, jeszcze raz próbując się dodzwonić. Nadkomisarz nie zareagował na wiadomość, a w komisariacie nie było nikogo innego, kto byłby władny to wszystko odwołać. Rory wszedł z powrotem do sali.

Francis postarał się o nieco mniej wymięty wygląd. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli, której jakoś szczególnie to nie pomogło, zwilżył i przygładził włosy. Popukał w mikrofon stojący przed nim na stole, żeby sprawdzić, czy działa. Przejęci dziennikarze zaczęli się nawzajem uciszać.

– Dzień dobry – powiedział Francis, testując głośność.

Odpowiedziało mu kilka wymamrotanych pozdrowień.

– Komisarz Francis Sullivan, mój zespół prowadzi dochodzenie w sprawie dwóch morderstw, które miały niedawno miejsce w Brighton. Zwłoki Evana

Armstronga, trzydziestotrzyletniego mężczyzny z Hove, znaleziono w parku w niedzielę dwudziestego ósmego maja. Dwa dni później pod mołem odkryto ciało Jema Walsha. Ofierze odcięto głowę.

– Czy próbuje pan powiązać te dwa morderstwa? – zapytała młoda kobieta z pierwszego rzędu.

– Na pytania odpowiem po wygłoszeniu oświadczenia – odparł Francis.

– Słyszałem, że zdziera z ciał tatuaże.

To Tom Fitz. Nawet jeśli nie był świadkiem przemowy Marni na stypie, na pewno ktoś mu ją później streścił. Tego rodzaju informacje natychmiast stawały się tematem dnia we wszystkich miejscowych pubach.

– Zdaję sobie sprawę z plotek krążących od wczorajszego nabożeństwa pogrzebowego Evana – ciągnął Francis – i dlatego właśnie zwołałem tę konferencję.

Drzwi na tyłach sali otwały się i Francis urwał. Do środka wszedł Bradshaw i stanął obok Rory'ego. Ubrany był w bladożółty sweter i niebieskie chinosy, nie zdążył nawet zdjąć golfowych butów. Minę miał wściekłą, ale słowem się nie odezwał.

Jego wejście na chwilę zbiło Francis'a z tropu. Milczenie przedłużało się, po sali przebiegł zniecierpliwiony szept.

– Mamy powody sądzić, że osoba odpowiedzialna za te zabójstwa rzeczywiście wycina wytatuowane fragmenty ciał ofiar i zabiera je ze sobą. Nie rozumiemy jeszcze motywów sprawcy, ale badamy kwestie wyboru ofiar i tatuaży.

– Marni Mullins wspomniała o niedawnej wystawie *Alchemia tuszu i krwi* – powiedział Tom Fitz. – Czy te zabójstwa łączą się w jakiś sposób ze sobą?

– Na razie mamy tylko podejrzenia i zachowałbym się nieodpowiedzialnie, sugerując, że jest inaczej. Brakuje nam solidnych podstaw, by zakładać istnienie takiego związku. Niemniej jest to jeden z powodów, dla których zwołałem konferencję. Jesteśmy zmuszeni ostrzec wszystkie osoby noszące tatuaże, niezależnie od tego, przez kogo zostały wykonane, by zachowały ostrożność. Unikajcie chodzenia nocą po mieście, nie odsłaniajcie publicznie swoich tatuaży, uważajcie na siebie i swoich znajomych.

Gdy skończył mówić, w sali zawrzało. Wydawało się, że wszyscy chcą zadać pytanie jednocześnie, dziesiątki rąk wystrzeliły w powietrze, dziennikarze z tylnych rzędów powstawali i zaczęli napierać na siedzących przed nimi. Bradshaw ruszył bokiem w stronę podwyższenia.

– Proszę o pytania – powiedział Francis.

– Czy macie już jakichś podejrzanych? – zapytał któryś z przyjezdnych.

– Mogę zapytać o nazwisko oraz dla kogo pan pracuje?

– Simon Epson, „Telegraph”.

Francis mógł z góry przewidzieć, jaki wydźwięk będzie miał jego artykuł.

– Czy macie już jakiegoś podejrzanego, komisarzu? – powtórzył dziennikarz.

– Przykro mi, ale w tym momencie nie mogę jeszcze omawiać z państwem szczegółów sprawy.

– Innymi słowy, nie ma pan pojęcia, kim jest ten łowca tatuaży.

– Bez komentarza.

– Lizzie Appleton, „Mirror”. Podobno aresztował pan organizatora wystawy, Ishikawę Iwao. Z jakiego powodu?

– Nikt w tej sprawie nie został aresztowany, pani Appleton. Ishikawa Iwao jest jedną z osób, które udzieliły nam pomocy w śledztwie.

Z perspektywy Rory’ego Ishikawa Iwao był nadal jedną z osób budzących zainteresowanie śledczych.

– Tak samo jak Marni Mullins?

– Tak jak powiedziałem, kilka osób służyło nam pomocą w śledztwie, ale nie mogę udzielić szczegółowych informacji na ten temat.

– Myślę, że na tym zakończymy, panie i panowie. – Bradshaw niemal odepchnął Francisa, po czym przejął mikrofon. – Dziękuję państwu za przybycie. Proszę o przemyślane relacje i niewzniecanie paniki. Chcemy, by mieszkańcy podejmowali rozsądne środki ostrożności, a nie żyli w strachu.

Zrozumiawszy, że nie ma co liczyć na smakowite kąski, dziennikarze rzucili się do wyjścia. Rory obserwował Francisa, który biały jak prześcieradło próbował wymknąć się chyłkiem, nim Bradshaw ucałował go za kołnierz; odwrócił się jeszcze na moment przy drzwiach i rzucił Rory’emu mordercze spojrzenie. Ten odczekał sekundę i również się ulotnił. Sullivan najwyraźniej wiedział, że to on zaalarmował Bradshawa.

Wchodził po schodach targany wyrzutami sumienia. Z moralnego punktu widzenia zwołanie konferencji prasowej było słuszne. Możliwe, że Francis właśnie ocalił komuś życie. No i trzeba było mieć jaja, żeby postąpić wbrew wydanemu wprost poleceniu służbowemu. Rory westchnął. Nie posunąłby się do stwierdzenia, że zaalarmowanie Bradshawa było niewłaściwe, ale czuł pewien niesmak.

Usłyszał za sobą szybkie kroki. Wiedział, że to Sullivan.

– Ty draniu!

Francis

Fakt, że Rory ewidentnie naskarżył Bradshawowi, kompletnie wyprowadził Francisę z równowagi. Bradshaw i tak by się o wszystkim dowiedział, ale to nie znaczy, że ten wszarz musiał lecieć z jęzorem, nim się cokolwiek wydarzyło. Nic dziwnego, że cała sprawa utknęła w martwym punkcie. Jak miał pracować bez wsparcia własnego zespołu? Gdy Francis wszedł do centrum koordynacyjnego, gwar ucichł i wszystkie oczy skierowały się na niego. Tuż po nim do środka wszedł Rory, a za nim rozwścieczony Bradshaw.

– Widzę was w moim gabinecie. W tej chwili. Obu!

Powiedział to znacznie głośniej, niż było to konieczne. I nie czekał na odpowiedź.

Francis spojrzał na Rory'ego, który tylko wzruszył ramionami.

– Gdybym siedział cicho, też bym dostał opierdół.

Nawet nie udawał, że przeprasza. A prawda była taka, że dzwoniąc do Bradshawa, raczej sobie nie zaszkodził.

– A więc dla ciebie to w porządku? Pozwolić, by potencjalne ofiary żyły w kompletnej niewiedzy? Na twoim miejscu nie spałbym po nocach.

Z zachowaniem bezpiecznego dystansu weszli za Bradshawem po schodach, Francis po dwa stopnie naraz, z uczuciem, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Cokolwiek go czekało, było zapewne zasłużone, lecz przynajmniej mógł spojrzeć na siebie w lustrze ze świadomością, że postąpił właściwie.

Wszedłszy do gabinetu, poczuł niemal namacalny chłód. Bradshaw z ciężkim westchnieniem opadł na fotel za biurkiem, ale żaden z jego podwładnych nie ośmielił się usiąść. Czekali na nieuchronne gromy. Bradshaw przez chwilę przenosił spojrzenie z jednego na drugiego i wreszcie utkwiał wzrok we Francisie.

– Coś ty sobie, na litość boską, myślał?

Francis zebrał się w sobie.

– Myślałem, że ocalimy komuś życie, panie nadkomisarzu.

– Rozmawialiśmy o tym. Nie wydałem zgody.

Nie było to pytanie, więc Francis nie odpowiedział.

Bradshaw zwrócił się do Rory'ego.

– Dzwoniąc do mnie, postąpiłeś słusznie.

– Uznałem, że powinien pan wiedzieć, co się dzieje – odparł Rory, lecz wzrok miał nadal wbity w ziemię.

– Nie do ciebie należała decyzja o informowaniu opinii publicznej. – Bradshaw znów zwrócił się do Francisca. – Prawdopodobnie wywoła to panikę.

– Marni Mullins ostrzegła ich na stypie. Plotki krążyły od jakiegoś czasu, ludzie wystraszyli się już wcześniej.

Rory przewrócił oczami. Francis się najeżył.

– Obstawiam przy swoim zdaniu. Mam nadzieję, że ocaliłem komuś życie.

Bradshawowi najwyraźniej nie zaimponował.

– A nie przyszło ci do głowy, że wystarczyłyby plotki, by ludzie nie podejmowali niepotrzebnego ryzyka?

– Z całym szacunkiem, panie nadkomisarzu, ale wydawało mi się, że to my powinniśmy kontrolować przepływ informacji.

Bradshaw prychnął.

– Jedyne, co ci się udało, to poinformować zabójcę – o ile faktycznie jest to jeden człowiek – że rozpracowaliśmy jego system. Teraz się przyczai, a nasze szanse na przyskrzynienie go jeszcze się zmniejszą.

– Nie zgadzam się z taką oceną sytuacji.

– Wszechstronne doświadczenie podpowiada ci coś innego?

– Gruntowne wyszkolenie podpowiada mi, że seryjni zabójcy szukają poklasku. Jeśli – podkreślam słowo „jeśli” – te zabójstwa są ze sobą powiązane, jak podejrzewamy, publikacje w prasie mile połączą ego łowcy tatuaży. Nie każą mu się przyczaić, lecz przeciwnie: wywabią go z kryjówki. Zamierzam wysłać na miasto mnóstwo funkcjonariuszy w cywilu i monitorować na żywo obraz z kamer. Jest nadzieja, że złapiemy go, zanim zabije.

– W sensie: złapiemy na gorącym uczynku? – Bradshaw pokręcił głową. – To bardzo ryzykowny plan.

– Nie na gorącym uczynku. Teraz, gdy wszystkich ostrzeżono, nie będzie miał sposobności. Ludzie są czujni i ostrożni. Będzie musiał zaryzykować, a tym samym się zdradzi.

– Mam, kurwa, nadzieję. Pamiętaj o statystykach. Góra ciśnie na zmniejszenie liczby przestępstw, zwłaszcza tych z użyciem przemocy.

– Zmniejszymy ją dzięki wywabieniu zabójcy z ukrycia i aresztowaniu go.

Bradshaw ścisnął grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym, po czym ściągnął usta.

– Nie widzę tego. Wystawienie kogoś w roli przynęty... no, to mogłoby mieć jakiś sens, ale samo pozbawienie zabójcy okazji do zabijania nie pomoże

ci go złapać. Nie mam innego wyjścia, Sullivan, jak tylko odebrać ci tę sprawę. Mackay, zarządzasz dochodzeniem, póki nie ściągnę tu jakiegoś komisarza.

– Ale przecież komisarz Sullivan zwołał tę konferencję w dobrej wierze.

Francis gotów był się założyć, że Rory roni krokodyle łzy z premedytacją.

– Mam to gdzieś! Od tej chwili, Mackay, odpowiadasz za to śledztwo i raportujesz bezpośrednio do mnie. Od razu wsadź do pierdła tego japońskiego tatuażystę i dostarcz mi konkretnych dowodów, które utrzymają się w sądzie.

– Nie ma powodów sądzić, że to on.

– Zamknij się, Sullivan. A teraz wynoście się jeden z drugim.

– Nie może pan tego zrobić, panie nadkomisarzu – wydusił Francis przez zaciśnięte zęby.

– Mogę robić, co mi się żywnie podoba, Sullivan! Od teraz dowodzi Mackay.

Sprawa była zamknięta.

Na korytarzu Francis dał wreszcie upust wściekłości.

– Kurwa mać!

Odebrali mu sprawę. Bradshaw i Mackay podążają fałszywym tropem, co oznacza, że zabójca będzie robił swoje bez przeszkód. Francis uderzył pięścią w ścianę i całą rękę przeszył mu ostry ból.

– Kurwa mać!

X

Od początku było jasne, że cały projekt trzeba będzie realizować szybko. Kolekcjoner przekazał mi listę tatuaży, do mnie zaś należało ich zdobycie, zanim policja się połapie. Zgromadziwszy wszystkie prace z listy, wykonam kontrolowany odwrót i nie będą mieli pojęcia, gdzie mnie szukać. Najryzykowniejszym etapem projektu jest gromadzenie tatuaży.

Kolekcjoner i jego lista. Ma niezwykle wyczucie piękna eksponowanego na ludzkim ciele i tworzy prywatną kolekcję, o jakiej świata się nie śniło. Taksydermia i tatuaze to zaledwie początek. Wiem, że ma inne pomysły. Gdy rozmawialiśmy ostatnio, zastanawiał się, czy możliwe jest zdjęcie człowiekowi twarzy. Moim zdaniem absolutnie tak. Gdy doprowadzę ten projekt do końca, być może powierzy mi następny. Zdobędę jego zaufanie. Kolekcjoner zrozumie, że mogę być jego prawą ręką, że może na mnie polegać. Przecież z pewnością docenił już moje oddanie sprawie. Im większy sukces odniosę, tym większym uznaniem mnie obdarzy. Tym większą uwagą. Sposobem, by to osiągnąć, jest wykorzystanie w tym zleceniu niebagatelnych umiejętności, którymi mogę się poszczycić. Myślę, że czas, by Kolekcjoner pochwalił moje dotychczasowe dokonania.

Robię postępy. Dzisiejszy wieczór powinien przynieść kolejną zdobycz, o ile tylko cel zachowa się w typowy dla siebie sposób. W ciągu kilku ostatnich tygodni dawał się obserwować w Victory Inn na rogu Duke Street i Middle Street. Przesiadawał tam z grupą znajomych do zamknięcia, po czym wszyscy się rozchodzili. Trzykrotnie udało mi się niepostrzeżenie pójść za nim. Wraca do domu zawsze tą samą drogą, przecinając labirynt dzielnicy The Lanes, by dojść do Old Steine, a potem do Kemptown. Dziś nie idę za moją ofiarą. Czatuję.

The Lanes znakomicie odpowiada moim celom. Wąskie uliczki są pogrążone w ciemnościach i o tej porze dosłownie bezludne. Ten cały Dan Carter czuje się najwyraźniej na tyle pewnie, by chodzić tędy na skróty. Słysząc tu jeszcze śmiechy i gwizdy pijaków awanturujących się na North Street, ale nie oznacza to, że nas usłyszą. Nie słysząc człowieka, któremu ktoś od tyłu zastoni usta, przyciskając do nich szmatkę nasączoną chloroformem.

Wybór miejsca wymagał namysłu. Uliczka jest wąska, ale na lewo od bramy, w której stoję, znajduje się kuta furka prowadząca na wydzielone podwórko. Zamek nie stawiał oporu, więc mogę tam wciągnąć Cartera, a w środku da się pracować bez przeszkód przez kilka godzin. Cały potrzebny mi sprzęt spoczywa już ukryty w torbie. Tatuaż Cartera jest spory i nawet jeśli się pospieszę, to i tak

zdjęcie go zajmie mi dużo czasu. Ale kiedy skończę, będzie naprawdę piękny. Może najpiękniejszy ze wszystkich na liście. No, może z wyjątkiem...

Słyszę zbliżające się kroki. Jego kroki. Ich rytm zdążył mi się wyryć w pamięci. Każdy stawia stopy na swój sposób, na swój sposób przenosi ciężar ciała. Wylewam trochę chloroformu na szmatkę, którą trzymam w lewej dłoni, i przywieram plecami do muru. Kroki stają się głośniejsze i gdy Carter już prawie się ze mną zrównuje, zagradzam mu drogę i mocno popycham go ramieniem w pierś. Gdy się odwraca, żeby się odwinąć, zasłaniam mu nos i usta szmatką. Przez moment się szarpie, ale wystarczy kilka sekund, kilka wdechów, by się osunął na ziemię. Wciągam go przez furtkę na sekretne podwórko.

Teraz, gdy jest nieprzytomny, mogę się wziąć do roboty. Czas się zabawić, moje ukochane ostrza.

„Worpalny brzeszczot cielsko ciachnął”¹.

Uwielbiam ten wiersz. Czasem mam wrażenie, jakby Lewis Carroll napisał go specjalnie dla mnie. Bardzo odpowiada wykonywanej przeze mnie pracy. Mój worpalny brzeszczot...

Co jest? Słyszę głosy, całkiem blisko. Jakaś para szepcząca cikliwe nonsensy. A skoro słyszę te ich cikliwe nonsensy, to znaczy, że są za blisko. I blokują mi drogę ucieczki.

Cholera.

Cholera. Cholera... Cholera!

Francis

Francis uwielbiał kościół świętej Katarzyny nocą. Miał klucz do drzwi wejściowych i czasem, gdy w panującej nad ranem ciszy nie mógł zasnąć, otwierał je sobie, by spędzić godzinę czy dwie na modlitwie i kontemplacji. Wiedząc o wysokich rachunkach za elektryczność, zadowalał się miękkim blaskiem lampek do czytania zainstalowanych w stallach chóru. W przeciwieństwie do innych znajdował pociechę w pełgających cieniach.

Dziś jednak nic nie mogło podnieść go na duchu. Może modlitwy o powodzenie w nowej pracy były zbyt egoistyczne, a altruizm, który sobie przypisywał, to jedynie kamuflaż? Może przykra prawda była taka, że zwyczajnie marzył o uznaniu i zaspokojeniu własnych ambicji? No i tym sposobem jego modlitwy pozostały bez odpowiedzi, bo przecież było jasne, że swoją pierwszą sprawę kompletnie zawalił. Odebranie mu dowodzenia tak wcześniej było ciosem, po którym jego kariera mogła się już nie podnieść. W najlepszym wypadku zostanie odsunięty na boczny tor, w najgorszym poddany łagodnym i nieprzerwanym naciskom, by przeniósł się do innego wydziału, a może nawet znalazł sobie inny zawód. Co miał zrobić ze swoim życiem jako niewydarzony policjant? Po tak krótkiej karierze pozostawało niewiele możliwości.

Rozcierając posiniaczoną pięść, podniósł wzrok. Z krzyża spojrzął na niego smutny i rozżalony Chrystus.

No dobra. Był niewolnikiem próżności i trwonął czas na forsowanie swojej koncepcji. Walczył o sprawiedliwość dla zmarłych i ignorował żywych, potrzebujących go znacznie bardziej. Dwukrotnie zrezygnował z odwiedzin u matki, której zostawało coraz mniej czasu. Nie odbierał telefonów od siostry, a przecież wiedział, że choć Robin tego nie powie, jako brat jest jednym z filarów jej egzystencji. Te dwie kobiety żyły i potrzebowały go. Nie prosiły o wiele. Tylko o to, by był. A jego od dwóch tygodni nie było.

Jutro odwiedzi matkę i zadzwoni do siostry. Padł na kolana przed ołtarzem i pochylił głowę w modlitwie. W kościele unosił się zapach kadzidła pozostały po ostatnim nabożeństwie. Usłyszał cicho zamykające się drzwi i po chwili tuż obok niego przy barierce ukląkł ksiądz William. Francis ledwie dostrzegalnie skinął głową i wrócił do modlitwy. Przybycie księdza uznał za znak, że Bóg go

nie opuścił, lecz zesłał mu doradcę. Odmówił w duchu dziękczynienie.

– Zobaczyłem światło i domyśliłem się, że to ty – powiedział ksiądz William, gdy Francis usiadł w ławce.

– Bóg to księdzu powiedział?

Ksiądz William się roześmiał.

– Nie. Oprócz mnie klucze masz tylko ty i kościelny, a on nie zwłókłby się z łózka nawet dla umierającej zakonnicy.

Francis uśmiechnął się. Znał kościelnego, przemiłego człowieka, któremu nigdy jeszcze pobożność nie przeszkodziła w wypiciu z parafianami popołudniowej herbatki.

Ksiądz William położył obie dłonie na ręce Francisa opartej o barierkę.

– Powiedz mi, co sprowadza cię o drugiej w nocy do Domu Bożego? Może mógłbym udzielić ci odpowiedzi nieco bardziej pragmatycznych niż Ten na wysokościach?

Na moment podniósł wzrok na wiszący nad nimi krucyfiks.

Ksiądz William był człowiekiem wielkiej mądrości, z wieloletnim doświadczeniem w sprawach ludzkiego serca. Jeśli ojciec Francisa porzucił syna, to zapewne po to, by zrobić w jego życiu miejsce dla księdza Williama.

Mogąc wreszcie uwolnić się od ciężaru, Francis mówił w półmroku pustego kościoła przez prawie godzinę. Ksiądz William kiwał tylko głową, gdy on wyliczał swoje przewiny najpierw w odniesieniu do sprawy, później względem matki i siostry.

– Nigdy w życiu niczego tak nie pragnąłem jak złapania tego zabójcy. Czy to źle? Ale nie mam żadnych tropów, a skoro odsunięto mnie od sprawy, to właściwie nie mam szans go złapać.

– To nic złego, że chcesz osiągnąć sukces w tym, co robisz. Jeśli ci się uda, bez wątpienia ocalisz ludzkie życie. Naszym postępowaniem rządzi splot przeróżnych motywacji. Altruizm powiązany jest zwykle z poczuciem własnej wartości. Wszyscy odczuliśmy kiedyś grzeszną dumę z powodu uczynienia czegoś dobrego i słusznego.

– Rozumiem. I jestem przekonany, że jeśli odniosę sukces, nasze miasto stanie się bezpieczniejsze. Ale w tym momencie nie mogę zrobić nawet tego. Zabrnęliśmy w ślepej uliczce, a zabójca na pewno znów uderzy.

– Nigdy się nie poddawaj, mój chłopcze. Jeśli w głębi serca jesteś przekonany, że to, co robisz, jest słuszne, to rób to dalej, nie zastanawiając się, co świat sobie o tobie pomyśli. Bóg cię widzi i tylko to ma znaczenie.

– A więc robić swoje bez względu na wszystko?

– Właśnie tak. – Pewność w głosie księdza Williama dodała Francisowi

otuchy. – Przy okazji przekaż serdeczności siostrze. Jak zobaczę się jutro z twoją matką, to powiem jej, że niedługo wpadniesz.

Ksiądz William ukląkł na klęczniku, nie zdejmując dłoni z ręki Francisa.

– *Domine Iesu, dimitte nobis debita nostra, salva nos ab igne inferiori...*

„Zachowaj nas od ognia piekielnego”.

Francis poczuł, że teraz już się nie podda.

Rory

Przekazano mu dowodzenie. Sullivana odsunięto od sprawy. Po czym doszło do kolejnego ataku.

Tym razem się wywinęli. Ofiara uszła z życiem – chociaż ledwo, ledwo – a Rory kwitł teraz pod szpitalną salą, czekając, kiedy będzie mógł przeprowadzić rozmowę. Lekarze twierdzili uparcie, że stan mężczyzny na nią nie pozwala, ale Rory słyszał to już niejednokrotnie. Zdecydował się poczekać, choć teraz, krążąc po niedoświetlonym korytarzu, tracił powoli pewność siebie.

To był ten wyczekiwany trop. Człowiek, który przeżył atak, świeżutkie miejsce zbrodni, z którego przepłoszono zabójcę, pijana para w komisariacie przy John Street, która (Rory miał w każdym razie taką nadzieję) nie była na tyle odurzona, by nie pamiętać, na co się natknęła. By wycisnąć to szczęśliwe zrządzenie losu do ostatniej kropli, wyrwali z łóżek cały zespół. A teraz Rory przyznawał, choć bardzo niechętnie, że nie miałby nic przeciw temu, by wysłuchać opinii Sullivana.

Jedno było pewne: padła hipoteza, by sprawcą mógł być Iwao. Dwóch funkcjonariuszy warowało od zmierzchu pod jego domem i zgodnie zeznało, że aż do rana nie wychodził z budynku.

Rory napisał do Francis a esemesa i złapał go, gdy ten wychodził z kościoła.
„Mieszka tam czy co?”

Piętnaście minut później Francis siedział obok niego w bocznej poczekalni. Rory wrzucił do automatu z kawą kilka monet i podał byłemu szefowi papierowy kubek.

– W ogóle nie powinno mnie tu być, Rory. Jak Bradshaw się dowie... – Francis powiedział to ponurym tonem, w którym kryła się wyraźna sugestia.

– Nie dowie się. A co dwie głowy, to nie jedna.

Francisa odsunięto od sprawy przez Rory'ego, który teraz zastanowił się mimowolnie, jakiej pomocy sam udzieliby w takiej sytuacji Francisowi. Nie zdziwiłby się, gdyby po swoim esemesie usłyszał, gdzie może sobie te pytania wsadzić. Tymczasem Francis opadł na fotel tapicerowany czerwonym skajem i niewygodny już na pierwszy rzut oka, po czym wysłuchał cierpliwie wszystkiego, co Rory miał do przekazania.

– Mogę podzielić się z tobą swoimi przemyśleniami, to wszystko. Decyzję już sobie podejmuję sam. Co ci powiedział lekarz?

– Ofiara ma poważne obrażenia. To mężczyzna, nazywa się najprawdopodobniej Dan Carter i ma wstrząśnienie mózgu, a do tego szereg głębokich ran ciętych, które spowodowały znaczną utratę krwi. Okazuje się, że miał wytatuowane całe ciało, więc gdyby nasi pijani zakochani ździebko się spóźnili, moglibyśmy tu mieć niezłą rzeźnię.

– Brakuje kogoś z tatuaży?

– Lekarz powiedział, że cięcia są na całym obrysie...

– Identycznie jak w przypadku Armstronga.

– ...a zabójca zaczął zdejmowanie skóry od barków. Dowiedziałem się od lekarza, że musieli odciąć część tatuażu i zastąpić go skórą przeszczepioną z uda Cartera.

Francis skrzywił się dokładnie tak samo jak Rory, gdy chirurg wyjaśniał mu makabryczne szczegóły.

– Kiedy będzie można z nim porozmawiać?

– Lekarze woleliby, żeby w ogóle z nim nie rozmawiać.

Na korytarzu rozległy się kroki, drzwi otworzyła pielęgniarka.

– Są tutaj – powiedziała.

– Dziękuję – odparł kobiecy głos.

Do środka weszła Marni Mullins, potargana, z rozmazanym makijażem.

– A ta co tutaj robi? – zdziwił się Francis.

– Czarujące. Uważasz, że ucieszyła mnie pobudka o czwartej nad ranem, żeby wam pomóc? Szpitale nie należą do moich ulubionych miejsc.

Wyglądała na wytrąconą z równowagi.

– To ja ją wezwałem – wtrącił Rory. – Chciałem, żeby spojrzała na tatuaż ofiary. Zabójca chyba przyspieszył, więc musimy wydedukować, na kogo się zaczął w następnej kolejności.

– No cóż... Zatem dziękuję, że przyszłaś – powiedział Francis. Uzmysłowiło to Rory'emu jego własną obcesowość.

Komisarz wstał, gdy Marni weszła do poczekalni, a teraz zrobił krok naprzód i dotknął lekko jej ramienia. Atmosfera uległa ledwie dostrzegalnej zmianie, co zdumiało Rory'ego. Szybko zrelacjonował Marni przebieg zdarzeń.

– Ilu tatuażystów zaprezentowano podczas wystawy? – spytał Francis, na powrót zajmując miejsce.

– Dziesięciu.

Rory wyciągnął z kieszeni notes.

– Poda mi pani ich nazwiska?

Marni odliczała ich na palcach.

– Iwao, Bartosz Klem, Rick Glover, Gigi Leon, Brewster Bones, Jason Leicester, Polina Jankowski, Jonah Mason, Vince Priest i... – Potarła czoło, nie mogąc sobie przypomnieć ostatniego nazwiska. – Mam w domu katalog... Zaraz, to była jeszcze jedna dziewczyna. – Usiadła naprzeciw Francisca. – Mam. Petra Danielli. Włoszka, pracuje w Mediolanie.

– A czyje prace zabrał na razie zabójca?

– Jonah Mason tatuował Evana Armstronga – powiedział Francis. – Bartosz Klem wykonał tatuaż na ramieniu Giselle Connelly.

– Tatuaż Jema Walsha był autorstwa Ricka Glovera – dodała Marni.

– Co oznacza, że jeśli nasza hipoteza jest słuszna, tatuaż Dana Cartera zrobił jeden z pozostałych artystów – powiedział Rory, postukując ołówkiem w świeżo spisaną listę.

– A jeśli nie? – zapytała Marni.

Rory wzruszył ramionami.

– To wasza hipoteza się wali.

– Mamy w tym momencie dwóch świadków i osobę, która przeżyła atak – powiedział Francis. – Każdy z nich będzie wiedział coś, co przy odrobinie szczęścia pomoże nam dopaść drania.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna bez marynarki, ze stetoskopem na szyi. Przesunął spojrzeniem po twarzach zebranych. Wyglądał na równie zmęczonego, jak czuł się Rory.

– Kto tu dowodzi? – zapytał.

Francis wskazał głową Mackaya.

– Dobrze, zatem pan Carter odzyskał przytomność, choć jest jeszcze nieco zamroczony. Możecie porozmawiać przez pięć minut, ale potem musi odpocząć.

– Wyjdzie z tego? – zapytała Marni.

– Na to pytanie odpowie nam za jakiś czas tomografia mózgu. Wydaje się, że doznał lekkich obrażeń głowy, zapewne wskutek upadku. Jednak rany cięte nie okazały się aż tak głębokie. Zagoją się, chociaż po przeszczepie pozostaną blizny.

– Również psychiczne – mruknął Rory.

– No, to już nie moja działka – odparł chirurg. – Proszę za mną.

Dan Carter leżał w osobnej sali nieopodal poczekalni, w której przed chwilą siedzieli. W bladym świetle poranka wszystko wydawało się matowoszare, nawet białe prześcieradła i bandaże niedoszłej ofiary. Tatuażu nie było widać.

Jedna ręka, unieruchomiona temblakiem, spoczywała na piersi. Zszarzała twarz mężczyzny lśniła od potu.

Po wyjściu chirurga Marni podeszła bliżej łóżka.

– Cześć, Dan.

– Cześć, Marni. – Carter mówił wolno, otępiały od leków. – Co ty tu robisz?

– Pomagam tym facetom.

Przez ramię skinęła głową na Rory’ego i Francisa.

„Zna go? Jak mocno zintegrowane jest środowisko związane z tatuażem?”.

– Policja?

Marni skinęła głową.

– Możesz mi pokazać kawałek swojego tatuażu, Dan?

– Jasne.

Kiwnięciem głowy wskazał ramię, którego nie obejmował temblak.

Marni delikatnie podciągnęła mu szpitalną koszulę, odsłaniając jaskrawy tatuaż pokrywający całe ramię. Przyglądała mu się uważnie przez chwilę.

– Wspaniały. To Petra Danielli?

– Tak. Sto siedemdziesiąt godzin pracy. A teraz...

Urwał i skrzywił się.

Francis podszedł do łóżka z drugiej strony.

– Może nam pan dokładnie opowiedzieć, co się stało?

Dan Carter zmarszczył brwi, pozwalając, by rękaw szpitalnej koszuli opadł mu z powrotem aż do nadgarstka.

– Spróbuję. Byłem w Victory z paroma kumplami.

– Nazwiska? – przerwał Rory.

– Pete. Chyba był tam Pete. Nie, nie Pete...

Powieki opadły mu ciężko.

– Nic nie szkodzi – powiedział Francis. – Potrafi pan sobie przypomnieć, o której pan wyszedł?

– W ogóle nie pamiętam, żebym wychodził. Wszyscy staliśmy na zewnątrz... Zamykali bar. Pamiętam, że paliłem papierosa.

– Wracał pan z kimś?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Widział pan na ulicach innych ludzi?

Dan bezradnie wzruszył ramionami.

– Co się stało? – przynaglił go jeszcze raz Francis.

Dan pokręcił głową.

– Przepraszam. Kompletna pustka w głowie. Stoję pod Victory, a potem już nic.

– Lekarz powiedział, że jego zdaniem został pan odurzony, prawdopodobnie chloroformem, po czym uderzył pan głową o ziemię. Co pan pamięta po tym, jak już doszedł pan do siebie? – zapytał Rory stojący w nogach łóżka.

– Jakaś kobieta krzyczała, jakiś facet pochylał się nade mną i o coś mnie pytał. Nie miałem na sobie koszuli i wszystko mnie bolało. Było piekielnie zimno, krwawiłem... Czułem, jak ciepła krew spływa mi po ramieniu.

– W ogóle nie pamięta pan napastnika?

– Tyle, że zniknął. Ten facet kilka razy kazał się babce zamknąć. Wezwali karetkę, a ja chyba znów straciłem przytomność.

– I nie pamięta pan nic więcej?

Dan Carter zamknął oczy. Drzwi otworzyły się i do środka weszła pielęgniarka.

– Już wystarczy. Pan Carter musi odpocząć.

– Dziękujemy panu – powiedział Rory. – Jutro przyjdziemy jeszcze raz. Może do tego czasu coś pan sobie przypomni.

Dan otworzył oczy.

– Była jeszcze taka jedna rzecz. Chociaż nie wiem, czy sobie tego zwyczajnie nie wymyśliłem.

– No? – ponaglił Francis, a Rory usłyszał w jego głosie napięcie.

– Mam to w oczach... Ręce w białych lateksowych rękawiczkach, poruszające się tuż przed moją twarzą. Widzę coś przez te rękawiczki, jakby tatuaże na grzbietach dłoni. Duże ciemnoczerwone tatuaże. Coś jakby róże...

– Zapominając o zranionym barku, wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu.

– Proszę wyjść – powiedziała pielęgniarka. – Przyjdziecie jutro.

Marni

Róże. Jeden z najczęstszych motywów tatuowanych na wszystkich częściach ciała. Marni już dawno straciła rachubę, ile sama ich wykonała. Każdy tatuażysta, o ile nie był artystą specjalizującym się we wzorach plemiennych albo pracach wykonywanych wyłącznie w czerni, miał ich sporo na koncie. Jednak tatuaże na grzbietach dłoni były nieco mniej popularne. Osobiście nie znała nikogo, kto miałby takie róże, co pozwoliło jej odetchnąć z ulgą.

Czy miała jakiegokolwiek szanse odnaleźć mężczyznę z różami wytatuowanymi na grzbietach dłoni, szukając w internecie? Musiała spróbować. Dan Carter miał szczęście, ale kolejna zaatakowana osoba prawdopodobnie się nie wywinie. Skoro zabójcy nie udało się zdobyć tatuażu Dana wykonanego przez Petrę Danielli, to czy zapoluje na jakąś jej inną pracę, czy też przejdzie do następnego artysty? Marni wzdrygnęła się, czując na ramionach gęsią skórę.

Po wizycie w szpitalu aż do siódmej leżała z szeroko otwartymi oczami, próbując odpędzić lęk narastający w niej o świcie. Instytucje wytrącały ją z równowagi. Zapadając w drzemkę, wyobraziła sobie, że siedzi z powrotem w więziennej celi o napierających na nią ścianach i suficie wiszącym nad nią jak młot. Usiadła raptownie na posłaniu. Zamknęła oczy, lecz obraz nie zniknął. Sen, w który wreszcie zapadła, był głęboki, lecz nie przynosił orzeźwienia. Zbudziła się w południe, zmęczona i rozbita. Szczęśliwie była niedziela, więc nie musiała iść do pracy, ale utrzymujący się pod powiekami obraz jednej wytatuowanej dłoni dzierzącej nóż i tak zmusił ją, by poszła do studia. Ten człowiek krzywdził ludzi, których znała. Musiała coś zrobić, żeby go powstrzymać.

Sullivan i Mackay zabrnęli w ślepy zaułek, mieli niewiele dowodów i żadnego podejrzanego, ale ta nowa informacja mogła wiele zmienić. Marni nie umiała sobie przypomnieć żadnego miejscowego z różami na dłoniach, więc być może zabójca nie był stąd. Podczas konwentu zabił Evana Armstronga, a kilka dni później Jema Walsha.

Ulokowała Pieprza pod biurkiem razem z jego psim ciasteczkiem, po czym otworzyła laptopa. Kiedy się uruchomił, wpisała w wyszukiwarkę frazę „Konwent tatuażu Brighton 2017” i przełączyła wyniki wyszukiwania na

grafikę. Może zabójca był jednym z uczestników? Wydawało się to prawdopodobne. Jeśli tak, istniały spore szanse, że ktoś go sfotografował. W sieci były dosłownie tysiące zdjęć, więc gdyby ktoś, na przykład ona, poświęcił czas i się przez nie przegrzebał, to może udałoby się sukinsyna wytropić.

Szybko wysłała mail do Thierry'ego, Charliego i Noa, prosząc ich, by też się tym zajęli, ale była niedziela, do tego wczesne popołudnie, więc albo leżeli w łózkach i leczyli kaca, albo siedzieli w pubie i pracowali na następnego. Wszystko jedno. Zaczęła przewijać zdjęcia, szukając dłoni i róż. Tatuażysty pracowali w czarnych lateksowych rękawiczkach, ale ręce klientów były często dobrze widoczne, a i artyści zakładali rękawiczki tylko do pracy. Zastanowiła się, czy zabójca może być tatuażystą, czy też jest po prostu kolekcjonerem.

– Chryste, Pieprz, patrz, co znalazłam!

Pies zaburczał na dźwięk swojego imienia. Uwagę Marni przyciągnęło na moment zdjęcie tatuażysty, z którym w zeszłym roku kilkakrotnie umówiła się na randkę. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, ale był miłym gościem i nadal uważała go za kolegę.

– A to ja, przy pracy nad Steve'em.

Pieprz się nie zainteresował, ale Marni przez dłuższą chwilę wpatrywała się w fotografię. Przed jej stoiskiem stało kilkoro potencjalnych klientów, przyglądając się, jak pokrywa kolorem grzbiet tygrysa. Czy któryś z nich mógł być poszukiwanym przez nią mężczyzną? Czy zabójca przystanął przed jej stoiskiem i obserwował, jak pracuje? Dreszcz przebiegł Marni po plecach. Przyjrzała się widocznym na zdjęciu dłoniom, ale nie znalazła żadnych róż. Mimo to nagle się zdenerwowała. Zsunęła but i szukając otuchy, oparła stopę na łopatce Pieprza.

Po kilku godzinach wpatrywania się w ekran rozboleły ją oczy. Przerywała kilkakrotnie, by zaparzyć kawę, zrobiła sobie nawet dziesięciominutową przerwę, by zabrać Pieprza na spacer i wypalić papierosa. Widziała mnóstwo wytatuowanych dłoni, lecz na razie ani jednej róży. To była pogoń za cieniem. Łowca tatuaży pewnie w ogóle nie pojawił się na konwencji, a jeśli nawet, to próbowała wyłuskać go z tłumu siedmiu tysięcy ludzi na podstawie mało prawdopodobnego założenia, że został sfotografowany, a jeszcze konkretniej: że sfotografowano jego ręce.

Nigdy nie widziała tylu wytatuowanych dłoni. Ale większość tatuaży była przedłużeniem wytatuowanych rękawów albo wykaligrafowanymi na kostkach słowami: MIŁOŚĆ, NIENAWIŚĆ, DOBRO, ZŁO, SAMOTNY WILK,

A CO JEŚLI lub GDYBY TYLKO.

Przez cały dzień było pochmurno, wieczór zapadł szybko. Marni, wciąż pochłonięta przeglądaniem wszystkich zdjęć zrobionych podczas konwentu, włączyła stojącą na biurku lampę kreślarską. Pieprz westchnął przez sen, co w uszach Marni zabrzmiało uroczo i pocieszająco. Była już zmęczona, więc pracowała wolniej i łatwiej się dekoncentrowała, co czasem zmuszało ją do oglądania tego samego zdjęcia dwukrotnie. Jeszcze z godzinę, jutro też jest dzień, zajmie się tym od rana...

Nagle Pieprz wystrzelił spod biurka, a pierś zawibrowała mu warkotem. Szczekając, pobiegł w stronę drzwi wejściowych, a kiedy Marni do niego dobiegła, trząśł się na całym ciele. Panika skróciła jej oddech.

– Ej, Pieprz, co jest? Usłyszałeś coś?

Ulica za oknem wydawała się całkiem pusta. Padało i spływające po szybie krople wody zaczęły tworzyć strumyczki. Marni rozejrzała się, wypatrując czegoś, co mogłoby wyjaśniać zachowanie psa. Tam! Jakiś ruch w bramie po drugiej stronie ulicy, trzy domy dalej. Ciemna postać wtapiająca się w cień. Wpatrywała się w to miejsce tak długo, aż przed oczami zatańczyły jej mroczki, ale nie dostrzegła nic więcej. To były drzwi do sklepu, a sklep był o tej porze zamknięty. Nie paliła się żadna z lamp na elewacji, nic nie poruszało się w bramie.

Naprawdę coś zobaczyła czy tylko jej się zdawało? Była ostatnio taka roztrzęsiona... Cała ta sprawa całkiem wytrąciła ją z równowagi.

– Nic takiego, kochany – uspokoiła Pieprza. – Pewnie jakaś mewa nurkująca w śmieciach.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do biurka, ale Pieprz został tam, gdzie stał, drżąc przy wejściu do sklepu. Siadając przy biurku, wciąż słyszała, jak warczy i skomle. Nie należał do bystrzaków i nie powinna zwracać uwagi na jego durne urojenia, ale zdenerwowała się i ręce zdrząły jej na klawiaturze. Od chwili znalezienia ciała ta sprawa wciągała ją coraz głębiej. Czy postępowała mądrze? Zerknęła na zegarek: już prawie wpół do ósmej. Jeszcze z pół godzinki i pójdzie do domu.

I kiedy trzydzieści minut prawie dobiegło końca, wreszcie to zobaczyła. Przedramię w trakcie tatuowania. Zasłaniała je ręka artysty, więc trudno się było zorientować, co może przedstawiać tatuaż, ale to nie miało znaczenia, nie to zwróciło jej uwagę. Przestała przewijać stronę. Grzbiet dłoni klienta był mocno wytatuowany ciemną czerwienią. Marni zmrużyła oczy i uważniej przyjrzała się zdjęciu, próbując stwierdzić, czy to róża. Kliknęła, by powiększyć.

Tatuaż mógł pasować do opisu Dana Cartera, lecz wpatrując się w niego, uzmysłowiła sobie, że nie jest to jednak róża.
Zdecydowanie nie.

Francis

Bradshaw nie miał zwyczaju zjawiać się w komisariacie w niedzielne wieczory, więc już sam fakt, że teraz się zjawił, świadczył o tym, jak bardzo przejął się tą sprawą. Chciał pławić się w blasku chwały szybkiego aresztowania i był boleśnie świadomy, że jeśli sprawa prędko nie doczeka się rozwiązania, ucierpi na tym przede wszystkim jego kariera. Rory niechętnie wyznał Francisowi, że szef nieustannie go naciska, by wsadzał podejrzanych do aresztu i gromadził przeciw nim dowody.

– Zamiast szukać dowodów, wyciągaj wnioski, a potem bierz się do aresztowania – powiedział Francis. – Czy on zapomniał o wszystkim, czego uczą na studiach?

– Problem w tym, że dotychczasowy materiał dowodowy nic nam nie mówi – westchnął Rory. – Odrobina danych na temat ostrzy i zero tropów.

Zawarłszy chwiejny rozejm, siedzieli w centrum koordynacyjnym i popijali herbatę, roztrząsając wydarzenia ostatniej doby, kiedy do środka wpadł Bradshaw. Wyglądał na zaskoczonego komitąwą swojego nowego głównodowodzącego z poprzednim, którego dopiero co odsunął od sprawy.

– Co ty tu robisz, Sullivan? To już nie jest twoje dochodzenie.

Rory podniósł się, by stanąć z rozeźlonym przełożonym oko w oko.

– To ja go wezwałem. Nie jest aktualnie przypisany do żadnej sprawy i uznałem, że mógłby wspomóc mnie swoją wiedzą w analizie tego, co wydarzyło się zeszłej nocy. Nie ma sensu, by funkcjonariusz, który mógłby się przyczynić do rozwiązania sprawy, siedział beczynnienie.

Szczerze przypominało to chyba Bradshawowi, po co w niedzielny wieczór zjawił się w komisariacie.

– Chcę usłyszeć raport z dotychczasowych postępów, Mackay. Za pięć minut w moim gabinecie.

Kiedy już sobie poszedł, Rory usiadł i dopił herbatę.

– Chciałbym, żeby przydzielili cię z powrotem do tej sprawy, Sullivan.

Francis wzruszył ramionami.

– To gadaj z Bradshawem.

Rory zmrużył oczy.

– Nie. Pogadamy z nim obaj.

Francis zapukał do gabinetu Bradshawa i wszedł do środka. Serce waliło mu jak młotem. Tuż za nim wszedł Rory.

Bradshaw nie podniósł wzroku znad czytanego właśnie raportu.

– Siadaj, Rory – rzucił.

Francis odkaszlnął. To wystarczyło, by Bradshaw zorientował się, że Rory nie przyszedł sam.

– A ty tu po co? Prosiłem Rory’ego o raport na temat postępów. O tobie chyba nie wspominałem, prawda?

– Musi mi pan oddać dowodzenie, panie nadkomisarzu.

Rory ze złością obrócił głowę.

– Kurwa, co? Nie to miałem na myśli.

– W tym wydziale mam najwyższy stopień i to ja powinienem prowadzić tę sprawę. – Francis odwrócił się i spojrzał na Rory’ego. – Chcesz, żeby przydzielono mnie z powrotem do tej sprawy? To będziesz pracował dla mnie, jasne?

Bradshaw próbował się wtrącić, ale Francis nie oddał pola.

– Zeszłej nocy mieliśmy kupę szczęścia – ciągnął. – Para wracająca do domu po zamknięciu pubów spłoszyła napastnika przy pracy. Zdołał umknąć, lecz zostawił nam niedoszłą ofiarę i dwóch świadków. Niech ich zeznania się nie zmarnują.

– Rory wykorzysta te informacje bez twojej pomocy.

– Ofiarą napaści był niejaki Dan Carter, wytatuowany od stóp do głów przez pracującą we Włoszech artystkę, Petrę Danielli. Jej prace też prezentowano na wystawie w galerii Saatchi, co potwierdza hipotezę, że zabójca kolekcjonuje tatuaże wykonane przez grupę wybitnych artystów. Hipotezę, w którą ani pan, ani Rory specjalnie nie wierzyliście. Czas przyznać, że miałem rację.

Bradshaw zmrużył oczy, przenosząc wzrok to na jednego, to na drugiego.

– No dobrze, Sullivan, co tam jeszcze masz?

– Napastnik wyciął zarys tatuazu, posługując się, jak sądzimy, nożem o krótkim ostrzu. Następnie za pomocą innego noża zaczął zdejmować Carterowi skórę. Ostrza były zapewne podobne do tych, które wykorzystał w przypadku Evana Armstronga, choć nie sposób stwierdzić, czy były to te same egzemplarze. Schemat nacięć pozwala się domyślać, że napastnik zamierzał zdjąć skórę z całego ciała w dwóch kawałkach, przód i tył oddzielnie, o ile nikt by mu nie przeszkodził.

– Z całego ciała?

– Mówimy o tatuazu w stylu japońskim, pokrywającym w całości tułów,

ręce i nogi.

– Chryste.

– Carter niewiele umiał nam powiedzieć, ponieważ zaatakowano go od tyłu, pozbawiając przytomności. W chwilowym przebłysku zapamiętał jedną rzecz. Zabójca miał na sobie białe lateksowe rękawiczki i Carter zobaczył coś, co było przez nie widać: grzbiety obu dłoni wytatuowane ciemną czerwienią, najprawdopodobniej w róże.

– A więc macie być może cechę, która pozwoli go zidentyfikować.

– Za moją radą Mackay polecił Hollinsowi i Hitchinsowi przeszukać bazę zdjęć pod kątem ludzi posiadających tego typu tatuaże. Jutro odwiedzą wszystkie miejscowe zakłady tatuazu z pytaniem, czy ktokolwiek pamięta, by robił tatuaż odpowiadający opisowi Cartera. Jestem absolutnie przekonany, że wpadniemy na jakiś trop.

– Że Rory wpadnie na jakiś trop, Sullivan. Co z tą parą? Mieli coś do powiedzenia?

– Zapuscili się w jakiś zaułek The Lanes, szukając odrobiny prywatności. Nie zagłębiali w głąb, ale napastnik prawdopodobnie uznał ich za zagrożenie i uciekł biegiem, mijając ich po drodze. W tym samym momencie usłyszeli jęk i mężczyzna poszedł sprawdzić, o co chodzi. Właściwie ocalili Carterowi życie.

– A co z napastnikiem? Coś zauważyli?

– Niewiele. Niósł ogromną torbę, którą prawie przewrócił kobietę, i miał naciągniętą na oczy baseballówkę. Był wyższy od naszego świadka, co najmniej metr osiemdziesiąt. Żadne z tych dwojga nie usłyszało jego głosu, a było za ciemno, by mogli dostrzec kolor włosów albo oczu. – Francis wzruszył ramionami. – Natomiast informacja od Cartera powinna nas mocno posunąć naprzód.

Bradshaw złączył leżące na biurku dłonie w piramidkę.

– A więc uważasz, że powinienem przywrócić cię na stanowisko? Rory bez ciebie zupełnie przyzwocie sobie radził i twoja tyrada nic tu nie zmienia. Rory, jesteś gotów ustąpić? – zapytał wprost, nie bawiąc się w uprzejmości.

– Nie, panie nadkomisarzu – zaprotestował Rory. – W końcu to ja mam większe doświadczenie!

– Trudny wybór.

Nadkomisarz wyraźnie nie potrafił podjąć decyzji, co będzie korzystniejsze dla jego kariery, bo przecież nie chodziło o samo rozwiązanie sprawy. Francis poczuł, że nim gardzi.

Bradshaw podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, odwrócony do dwóch

policjantów plecami.

– Rory dowodzi. A ty do końca tygodnia masz wolne, Sullivan. W poniedziałek przydzielę ci robotę.

Nie umiał nawet spojrzeć im w oczy.

– Dziękuję, panie nadkomisarzu – powiedział Rory. – Podjął pan właściwą decyzję.

„Cwany wazelinarz”.

Francis nie miał nic do dodania.

– Skoro już wiemy, czyje prace zabójca sobie upatrzył, zapewne uda nam się wywabić go z kryjówki – zaczął Rory.

– Masz na myśli pułapkę – wtrącił Sullivan. – Wykorzystanie potencjalnej ofiary w roli przynęty.

– Zamknij się, Sullivan.

– To absolutnie nieetyczna metoda postępowania.

Bradshaw spiorunował go wzrokiem i Francis zastanowił się, czy nie posunął się za daleko. Jeśli tak dalej pójdzie, nigdy nie oddadzą mu tej sprawy.

– A więc twoim zdaniem powinniśmy oprzeć się wyłącznie na domysłach bazujących na niewyraźnym wspomnieniu Cartera, któremu zamajaczyła jakaś ręka? – Bradshaw wykrzywił się szyderczo.

– Śmiechu warte – dorzucił Rory.

Francis poczuł w kieszeni znajomą wibrację nieodebranego połączenia.

– To nasz najlepszy do tej pory trop.

– Mackay, rób, co uważasz za słuszne, i złóż mi raport.

– Tak jest, panie nadkomisarzu.

Znów wibracja w kieszeni Francisca.

– Jestem pewien, że jak już Rose skończy opracowywać miejsce napaści, będziesz miał mnóstwo danych do analizy. Na tym się skup.

– Tak jest, panie nadkomisarzu.

– No dobra, Mackay, ty i twój zespół macie dokładnie dwadzieścia cztery godziny na przyniesienie mi w zębach jakichś konkretów. Nie spieprzcie tego, sierzancie. Drugiej szansy nie będzie.

– Nie spieprzę, panie nadkomisarzu.

– A ty, Sullivan, nie pokazuj mi się na oczy, póki nie przypiszę cię do innej sprawy.

Gdy tylko wyszli z gabinetu, Rory bez słowa ruszył w stronę schodów. Francis, zbyt wściekły, by w ogóle z nim dyskutować, został w tyle i wyciągnął z kieszeni telefon, który znów zawibrował mu w rękę. Ktoś

bardzo, ale to bardzo chciał z nim porozmawiać.

Kilka wiadomości tekstowych. Wszystkie od Marni Mullins. Otworzył najnowszą i na ekranie pojawiło się zdjęcie. Dłoń. Wytatuowana dłoń.

Tatuaż nie przedstawiał róży.

Głęboka czerwień. Wyraziste czarne kontury.

Francisowi przetworzenie obrazu zajęło kilka sekund. I wtedy zobaczył. Ludzkie serce, poprawne anatomicznie i dosłownie pulsujące w oczach. Ociekające ciemnymi strumieniami krwi.

Czy była to dłoń zabójcy?

Marni

Kiedy Marni zjawiała się w komisariacie, do centrum koordynacyjnego zaprowadziła ją Angie Burton. Wchodząc po schodach, policjantka właściwie się nie odzywała, co wzbudziło w Marni niejasne poczucie, że tamta patrzy na nią z góry. Wszystko jedno, przywykła. Pewna część społeczeństwa ignorowała tych z tatuażami.

Rory Mackay wskazał jej puste biurko, na którym mogła postawić swojego laptopa.

– Francis powiedział, że znalazła pani zdjęcia, które mogą przedstawiać dłonie napastnika.

Marni rozejrzała się.

– Nie ma go tu?

– Nie powiedział pani?

– Czego?

– Wbrew poleceniom przełożonego zorganizował konferencję prasową, wskutek czego odsunięto go od sprawy.

– Widziałam tę konferencję. Powinna była się odbyć. Nie należało odsuwać go za to od sprawy.

– Tak, ale teraz prasa ma używanie. Podobno zabójcę ochrzczono mianem Łowcy Tatuaży. Szefostwo dostało szału. – Zmienił nagle temat. – Proszę pokazać te zdjęcia.

Marni przewinęła listę plików i otworzyła galerię zdjęć.

Rory gapił się na powiększone na ekranie zdjęcie tatuażu ludzkiego serca. Marni obserwowała policjanta. Wpatrywała się w to zdjęcie przez godzinę i naprawdę nie chciała już go więcej oglądać.

– Widziała pani już wcześniej coś takiego? – zapytał Rory, przestępując z nogi na nogę.

– Jasne. Ludzkie serca są popularne, przeważnie tatuuje się je na klatce piersiowej. Ale widywałam je tylko w miejscach wybieranych zwykle na te tatuaże. Nie przypominam sobie, żebym widziała je wytatuowane na grzbiecie dłoni.

– Myśli pani, że Dan Carter mógł widzieć przez rękawiczki napastnika właśnie to?

Marni wzruszyła ramionami.

– Może. Co nie oznacza, że nie znajdą się setki ludzi z różami, sercami czy czymkolwiek innym wytatuowanym na grzbietach dłoni.

– Czy ta praca wydaje się pani znajoma?

– Zupełnie nie, ale wysłałam to zdjęcie Thierry’emu, Charliemu i Noa, może oni coś skojarzą. Jakiś trop mógłby nam podsunąć gość, który go tatuował. Fotkę zrobiono podczas konwentu, co ogranicza nam listę tatuażystów do tych, którzy brali w nim udział.

– To znaczy ilu?

– Jakichś trzystu pięćdziesięciu.

– Świetnie.

– Ale prawie połowa to kobiety.

Rory jeszcze raz zerknął na zdjęcie. Marni miała rację: tatuażysta miał wielkie, muskularne ręce, z czarnych rękawiczek wyłaniały się potężne przedramiona. Twarz nie zmieściła się w kadrze, ale widać było T-shirt, który miał na sobie: koszulkę z trasy Iron Maiden; czarna bawełna wyblakła z czasem, zamieniając się w ciemną szarość.

– Angie, Tony! Chodźcie to zobaczyć.

Dwoje funkcjonariuszy podeszło i zerknęło na ekran, patrząc Marni przez ramię. Hitchins wydał długi, niski gwizd.

– Paskudne.

– Angie, skocz po pendrive’a, co? A potem spróbuj dopasować faceta, który tu tatuuje, do któregoś z artystów uczestniczących w konwencji.

– Jasne, szefie – powiedziała Angie i podeszła do swojego biurka. Chwilę później wróciła i nie pytając, czy Marni nie ma nic przeciwko, wetknęła pendrive’a w jedno z gniazd laptopa.

– Proszę je przegrać – poleciała.

Marni nie była zachwycona jej tonem.

– Szukamy igły w stogu siana – powiedział Hitchins.

– Więc im szybciej się do tego weźmiesz, tym lepiej. – Rory odwrócił się do Marni. – Dziękuję, że przyniosła pani te zdjęcia, pani Mullins. Skontaktujemy się z panią, jeśli będziemy potrzebowali czegoś jeszcze.

Angie wyciągnęła z laptopa pendrive’a z przegranymi zdjęciami i Marni uzmysłowiła sobie, że ją odprawiono. No i dobra. Ani ona, ani Francis nie byli im już do niczego potrzebni. Wydawało się dość niesprawiedliwe, że odsunięto go od sprawy tylko za to, że ostrzegł ludzi przed niebezpieczeństwem, ale Marni nauczyła się nie oczekiwać zbyt wiele od policji. Skoro nie potrzebują jej pomocy, nie będzie się im narzucać. Niech

tylko złapią tego świra, nim znów się na kogoś zaczał.

Kiedy wróciła do domu, Alex oglądał mecz. Było już po jedenastej, ale z tego, jak był ubrany – czarne spodnie z milionem klamer i suwaków, złachana koszulka z Bobem Marleyem – wywnioskowała, że wychodzi.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała, siadając obok niego na kanapie z kieliszkiem wina i paczką czipsów.

– Chłopak Liv urządza imprezę przed wyjazdem.

– Brzmi nieźle.

– Mogę wziąć piwo?

– A mamy jakieś?

Wzruszył ramionami, ale nie zainteresował się na tyle, by oderwać wzrok od ekranu i sprawdzić zawartość lodówki.

Sączyła wino, nie zwracając uwagi na mecz. Spędziła już dość czasu przed ekranem. Kiedy Alex pójdzie, zrobi sobie długą, rozkoszną kąpiel. Oparła się na poduszkach i zamknęła oczy.

– Mamo!

Usiadła gwałtownie, ochlapując winem siebie i poduszkę.

– Dzwonek do drzwi!

– To idź otwórz.

Spojrzał na nią ponuro, ale dźwignął się z kanapy. Wytarła rozlane wino rękawem, mając nadzieję, że w progu nie stoi Thierry.

– Do ciebie... Ten policjant! – krzyknął Alex z przedpokoju. – Dobra, ja wychodzę. Do zobaczenia rano.

– Zostajesz na noc?

– Pewnie tak. – Wetknął jeszcze na moment głowę do środka. – A nawet jak wrócę, to i tak będziesz pewnie spała.

Wstała i zdążyła jeszcze pocałować go w policzek, nim się odwrócił do wyjścia. W przedpokoju stał Francis Sullivan i z jakiegoś powodu to nieoczekiwane najście wytrąciło ją z równowagi. Gdy zatrzasnęły się drzwi za Alexem, zaprosiła policjanta do pokoju.

– Cześć – powiedziała. – Wchodź, wchodź.

Na jego widok Pieprz wydał podniecone szczeknięcie, po czym zwlókł się z dywanika, żeby obwąchać mu nogawkę. Francis go zignorował.

– Przepraszam za tak późne najście, ale Rory właśnie mi je wysłał i pomyślałem, że może chciałabyś rzucić okiem.

No wreszcie. Przynajmniej jedna osoba z tego zespołu doceniła jej wysiłki. W tym momencie przypomniała sobie, że nie Francis prowadzi już

dochodzenie.

– Rory powiedział, że odsunięto cię od sprawy.

Francis położył swojego laptopa na niskim stoliku.

– Formalnie tak. Ale ja wciąż uważam tę sprawę za swoją.

– Może wina?

Zawahał się.

– Lepiej nie – powiedział wreszcie.

Zlekceważyła jego odpowiedź i przyniosła mu kieliszek, po czym naląła sobie i jemu i usiadła obok niego na kanapie.

– Spójrz na to – powiedział. – To tatuażysta, który pracował nad mężczyzną, którego uznajemy za podejrzanego.

Marni przyjrzała się zdjęciom. Kilka ujęć muskularnego tatuażysty pracującego nad różnymi klientami. Na niektórych występował w spłowiałym T-shircie, eksponując potężne przedramiona z wytatuowanymi plemiennymi wzorami.

– No tak. Ta sama koszulka co na zdjęciu, które znalazłam. Szybko go namierzyliście.

– Rory zaangażował cały zespół. Korzyści z posiadania zasobów ludzkich na podorędziu. Nazywa się James Diamond. Słyszałaś o nim?

Marni pokręciła głową. Nie знаła ani nazwiska, ani mężczyzny ze zdjęcia.

– No i co teraz?

– Skontaktujemy się z nim i dowiemy się, kogo tatuował na konwencie. To powinno nas doprowadzić do zabójcy.

– Może. O ile to właśnie tatuaż serca Dan zobaczył przez rękawiczkę.

– Jasne. Bo jeśli nie, to jesteśmy w punkcie wyjścia.

– Gdzie on pracuje? – zapytała Marni.

– W studiu w Guildford. Masz ochotę przejechać się tam jutro rano?

– Myślałam, że nie prowadzisz już tego śledztwa?

– Bradshaw nie jest entuzjastą tego kierunku dochodzenia, a Rory skupi się na wątkach podsuwanych przez Bradshawa. Do tego dojdzie dopiero za dzień czy dwa.

– Poważnie?

– Możemy go ubiec. Nadal zależy mi na rozwiązaniu tej sprawy, a to może być ważny trop.

„Francis Sullivan chce coś udowodnić”.

– Jasne, pojedę z tobą. Zapuszkowanie zabójcy leży w moim interesie, zwłaszcza że prawdopodobnie znałabym połowę jego ofiar. – Upiła łyk wina i zastanowiła się chwilę. – Warto było spędzić tyle godzin na przeglądaniu

zdjęć.

– To podstawa dobrej policyjnej roboty. Sprawdzić wszystkie możliwe tropy aż do najdrobniejszego szczegółu.

– Nuda.

– Ale warto, gdy okazuje się, że właśnie udało ci się ustalić drobny szczegół, dzięki któremu cała sprawa zaczyna się nagle wyjaśniać. To może być włos należący do zabójcy lub ofiary, to może być odkrycie jednej klatki z nagrania monitoringu, która obala czyjeś alibi. Cokolwiek to jest, daje prawdziwego kopa.

– Doskonale to rozumiem. Czuję się tak samo, gdy robię bardzo szczegółowy tatuaż. Setki płatków, wszystkie właściwie takie same, ale gdy całość zostanie ukończona, wspaniale jest obserwować klienta, który po raz pierwszy ogląda się w lustrze.

– Zakładając, że podoba mu się efekt – powiedział Francis, uśmiechając się samym kącikiem warg.

Ten przebłysk humoru ją zaskoczył. Pierwszy raz Francis pozwolił sobie przy niej na żart.

– Czemu jesteś zawsze taki serio? – wypowiedziała tę myśl głośno.

– Co?

Wyglądał na szczerze zaskoczonego.

– Jesteś, jesteś. To pierwsza zabawna rzecz, jaką przy mnie powiedziałeś. No, powiedzmy: umiarkowanie zabawna.

– No tak.

Tym razem jego słowom towarzyszył pełnowymiarowy uśmiech i Marni nieoczekiwanie dla samej siebie zapragnęła zobaczyć go jeszcze raz.

„Hola, hola! Tam to się lepiej nie zapuszczaj”.

Przeciągnęła się i spojrzała na zegarek. Było już po północy i miała ochotę zapalić, a ze względu na Alexa nigdy nie paliła w domu.

– Idę zajarać na zewnątrz. Masz ochotę rozprostować nogi?

– Pewnie.

W ogrodzie zapaliła i zaciągnęła się głęboko, świadoma, że Francis ją obserwuje.

– Chcesz?

Wyciągnęła paczkę w jego stronę, po czym niemal ją upuściła, zaskoczona jego wyciągniętą dłonią.

– Nie paliłem od czasów szkoły – powiedział, biorąc powoli papierosa.

– To znaczy, że kiedyś paliłeś?

– Tylko raz – odparł, uśmiechając się ze skruchą.

– Więc tak naprawdę wcale nie masz ochoty.

– Zaciągając się, miałaś taką szczególną minę. Miks ulgi, zadowolenia i przyjemności. Chcę sprawdzić, co to było. Nazwij to pracą badawczą.

Kiedy Francis zaciągnął się drugim w życiu papierosem, bez wątpienia nie doświadczył ulgi, zadowolenia ani przyjemności. Podczas nieuniknionego napadu kaszlu upuścił papierosa na ziemię i zgiął się w pól. Przez moment Marni, tak samo obezwładniona śmiechem jak on kaszlem, pomyślała, że Francis zaraz zwymiotuje. Pieprz, który wyszedł na przerwę razem z nimi, zaczął szczekać i obiegać ogródek, jakby zobaczył kota.

– Smaczny, co? – rzuciła Marni, dopalając papierosa i gasząc go w małej doniczce z piaskiem stojącej na granicy patia.

Francis jeszcze kasłał, próbując usunąć dym z płuc.

– Obiecuj, że mnie powstrzymasz, gdybym chciał to kiedykolwiek powtórzyć.

Głos miał ochrypły i szorstki.

– Obiecuję. Zmarnował się dobry szlug.

Stojąc przed nim, odruchowo odsunęła mu włosy z czoła. Jej dłoń zawisła na moment przy jego skroni. Ich oczy się spotkały.

„Co ty wyprawiasz?” – skarciła się.

Francis jakby nachylił się w jej stronę i Marni poczuła podniecenie rozchodzące się w niej jak pożar. Chciała go pocałować. I on też wyglądał, jakby chciał, jakby miał to za chwilę zrobić. Na ziemię sprowadziło ich raptowne ostre warczenie Pieprza.

– Co jest, chłopaku? – zapytała Marni.

– Twój pies jest zazdrosny?

Marni pokręciła głową. Francis przynajmniej potwierdził to, co się przez chwilę niemal wydarzyło.

– Zwykle nie. To raczej nie to. Chyba się czegoś wystraszył. Wcześniej też dziwnie się zachowywał.

Francis rozejrzał się po ogródku na tyłach domu.

– Co jest za tym płotem?

– Uliczka dla śmieciarek z dojazdem do głównej drogi.

– Może zobaczył lisa albo kota. Chociaż ja tam nic nie widzę.

Czar prysł. Weszli z powrotem do domu. Zaproponowała mu kawę, ale odmówił.

– Powinienem się zbierać. Przyjadę po ciebie rano i pojedziemy szukać tego Jamesa Diamonda.

Widząc, jak wychodzi z jej domu, Marni znów poczuła chęć, by go

pocałować. Zdołała się opanować.

„Co tu się, do cholery, dzieje?”

Po jego wyjściu długo nie mogła zasnąć. Nie z powodu zwykłej karuzeli nocnych lęków, lecz dlatego, że nie potrafiła sobie przestać wyobrazać, jak by to było: całować się z Frankiem Sullivanem. I do czego by to mogło doprowadzić. Przekonała samą siebie, że to bez znaczenia. Jednego tylko obrazu nie potrafiła usunąć sprzed oczu: potarganych włosów opadających na czoło. I tego, jak naturalnie przyszło jej odsunięcie ich na bok.

XI

Nie mogę oddychać.

Słyszę w głowie głos ojca. Powtarza mi, że to wszystko moja wina. Powtarza to raz za razem. To zawsze moja wina. Nigdy mi nic nie wychodzi. A teraz Kolekcjoner mówi to samo, głosem mojego ojca. To się nie mogło zdarzyć. To się nie dzieje.

Brak mi tchu.

Proces. Muszę się skupić na procesie. Żeby nie zwariować. Nie będę tego ruszać, dopóki nie ochłonę na tyle, by spokojnie pomyśleć. Pomyśleć, co robić dalej.

Proces.

A przecież wszystko stracone. Wszystko SPIEPRZONE.

Biorę czysty nóż i szybko przecinam skórę na przedramieniu. Krew zalewa pajęczą sieć blizn. Tylko tak potrafię się uspokoić. Ból uśmierza niepokój. Koi gniew.

Bandażuję ramię. Mogę wrócić do pracy.

Skóra w moich rękach to skalp z tatuażem pajęczej sieci. W tej fazie pracy jest śliska, nieco gumowata, palce ślizgają się po powierzchni, gdy przesuwam ją na stole, badając uważnie cal po calu. Uwielbiam czuć ją pod palcami, miękką i elastyczną, wilgotną. Należało założyć rękawiczki – dopiero co opuściła pojemnik ze żrącym roztworem. Włosy i tłuszcz uległy częściowemu rozpuszczeniu, a odór zniknął pod silnym zapachem siarczku sodu i wodorotlenku sodu. Za ten brak rękawiczek przyjdzie mi zapłacić: czerwone i podrażnione ręce, wyschnięta i popękana skóra. Zastługuję na ból.

Moim zadaniem na dzisiejszy wieczór jest oczyszczenie skóry, usunięcie wszystkich włosów i resztek tłuszczu, żeby garbowanie przebiegło bez przeszkód. Większość włosów została już usunięta, ale pod koniec procesu wapnowania zawsze zostaje delikatny meszek. Usuwam go, ostrożnie skrobiąc skórę tępym nożem. To operacja wymagająca precyzji. Istnieje spore ryzyko zadrażnienia skóry, a wtedy wszystko byłoby do wyrzucenia. Najważniejsze to się skupić. Nawet na moment nie mogę się zdekoncentrować, dlatego ten proces ma na mnie tak terapeutyczny wpływ. Nie dopuszczając do siebie mrocznych myśli, będę mieć mnóstwo czasu, by się wyciszyć.

Próbuję się zatracić w pracy, ale umysł nie daje mi spokoju.

Ciągle słyszę w głowie krzyk tej kobiety. „On nie żyje! Nie żyje!”. Właśnie że żył, wcale nie wybierał się na tamten świat. Udało mi się podpatrzeć wszystko

z sąsiedniej bramy – przyjazd policji i karetki. Wynieśli go z maską tlenową na twarzy, cali zakrwawieni. Żyje i może to dla mnie dobrze. A może nie.

Cholera!

Nie powinno było do tego dojść. Gardzę tą parą. Gotowi gzić się na ulicy jak zwierzęta, pijani, owładnięci żądzą. Jedzie tym od nich na kilometr.

Nie! Czy ja tu widzę jakieś zadraśnięcie? Muszę się skupić na tym, co robię, inaczej wszystko będzie na nic.

Nie powiem Kolekcjonerowi, co się stało. Jeszcze nie. Ale kiedyś będzie trzeba. W gazetach napiszą, że udaremniono napaść łowcy tatuazy. Właśnie tak zaczęli mnie nazywać w prasie. Łowca tatuazy. Miasto żyje w strachu przed moim nożem. A przecież to prawie koniec. Jeszcze kilka nazwisk z listy i na powrót zginę w niebycie, odcisnąwszy swój ślad i dostarczywszy Kolekcjonerowi to, czego pragnie.

W sumie to dobrze, że Dan Carter żyje. Można chyba założyć, że nie powiedział policji nic pożytecznego. Jak już wyjdzie ze szpitala, będzie można zacząć się na niego jeszcze raz.

Jego nazwisko wciąż figuruje na mojej liście.

Marni

Szybko się zorientowała, że powodem, dla którego Francis Sullivan zaprosił ją na wycieczkę do Guildford, był jej samochód. Rano Francis przyszedł do jej domu piechotą i wyjaśnił, że jeździ autem służbowym i wykorzystanie go podczas takiego nieregularnego wypadu byłoby nadużyciem.

– No to chyba dobrze, że nie pożyczyłam samochodu Alexowi, prawda? – zapytała, zgarniając kluczyki z kuchennego blatu.

Francis jakoś nie docenił jej citroëna 2CV z kierownicą po lewej stronie. A może chodziło o jej nonszalancki styl jazdy. Tak czy siak, był kiepskim pasażerem. Ledwie wyjechali na Great College Street, Marni zauważyła jego zbiegające kostki i dłonie zaciśnięte na krawędzi siedzenia. Silnik strasznie hałasował, do tego można by pomyśleć, że auto w ogóle nie ma amortyzatorów, ale Marni sprowadziła je z Francji, kiedy razem z Thierryem przenieśli się do Anglii. Obraz tego, jak jechali wiejskimi drogami w szpalerach drzew, z koszem piknikowym na tylnym siedzeniu, podczas gdy Thierry podśpiewywał sobie do radia, był jedynym jej szczęśliwym wspomnieniem z Francji. Zdecydowana była jeździć citroënem, póki się nie rozpadnie.

– Ten samochód ledwo ciągnie. Jesteś pewna, że to bezpieczne?

– Absolutnie – odparła z szerokim uśmiechem i zmieniła temat. – Fajnie było wczoraj wieczorem, no nie?

Francis gwałtownie obrócił ku niej głowę.

– Znalazłeś tego tatuażystę, pamiętasz? – uściśliła.

„Sądził, że chodziło o niedoszły pocałunek?”.

Francis wyjrzał przez okno, ale widziała, że się zaczerwienił.

W Guildford mocno padało, więc gdy po dziesięciu minutach znaleźli studio tatuażu, Marni była absolutnie zde gustowana widokiem podwójnej żółtej linii wzdłuż chodnika.

– Znajdziemy parking – powiedział Francis, gdy szycowała się do nieprzepisowego parkowania.

– Jesteś policjantem. Chyba możesz usprawiedliwić parkowanie na

podwójnej żółtej dobrem śledztwa w sprawie o morderstwo?

Francis rzucił jej spojrzenie.

- Nie. To, że jestem policjantem, nie oznacza, że mogę ot tak łamać prawo.
- Nawet jeśli chodzi o zakaz parkowania na żółtej linii?
- Mógłbym w sytuacji awaryjnej, ale to nie jest sytuacja awaryjna, Marni.
- A ja myślę, że jest. Masz chodzącego na wolności zabójcę.

Francis zignorował ją, wskazując wjazd na wielopoziomowy parking. Marni zaparkowała naburmuszona na wolnym miejscu. Czekał ją dziesięciominutowy spacer w deszczu, którego mogłaby uniknąć, gdyby nie był takim sztywniakiem. Większość policjantów, z którymi się zetknęła, bez namysłu zaparkowałyaby na podwójnej żółtej.

Rozzłościła się jeszcze bardziej, gdy studio tatuażu okazało się zamknięte. Stali ponuro na deszczu, zaglądając do środka przez witrynę. Miłe miejsce z całą masą sprzętu do tatuażu poustawianego porządnie w schludnych rzędkach. Marni nie miała zaufania do zakładów, w których panował bałagan. Niechlujny tatuażysta mógł równie niefrasobliwie traktować kwestie higieny.

Francis załomotał w przeszklone drzwi, po czym nacisnął kilkakrotnie dzwonek obok nich.

– Spróbuj zatelefonować – powiedziała Marni.

Numer telefonu wypisano ozdobną czcionką na drzwiach.

Kiedy Francis dzwonił, otworzyły się drzwi po lewej stronie i w szparze pojawiła się głowa mężczyzny, który najwyraźniej właśnie się obudził. Na ręce przytrzymującej otwarte skrzydło wytatuowano polinezyjską opaskę.

– Człowieku, zamknięte jest. Przyjdź po południu.

Mówił z australijskim akcentem.

– James Diamond? – zapytała Marni.

– A jak myślisz?

– Nazywam się Marni Mullins.

Zrobiła krok w jego stronę.

Otworzył drzwi szerzej, a oni zorientowali się, że ma na sobie tylko T-shirt i bokserki. Ręce i nogi pokrywały mu czarne wzory.

– Znam twoje prace, niezłe są. Cześć.

– A to komisarz Francis Sullivan.

Francis wystąpił naprzód.

– Prowadzę dochodzenie w sprawie niedawnych morderstw w Brighton.

Diamond wytrzeszczył oczy.

– Chodzi o łowcę tatuaży?

– Tak. Możemy wejść i zadać kilka pytań?

– Słuchaj, przyjacielu, nie mam z tym nic wspólnego.

– Nie jesteś podejrzany – wtrąciła Marni szybko. – Chcemy tylko zapytać o jedno zdjęcie z konwentu. Próbujemy kogoś zidentyfikować.

Diamond odetchnął z wyraźną ulgą.

– Jasne. Ubiorę się i możemy pogadać w studiu.

Dwie minuty później stanął w drzwiach zakładu ubrany w dżinsy i czystą koszulkę. Weszli za nim do środka. Marni się rozejrzała. Nietrudno się było domyślić specjalności Diamonda: zupełnie jakby weszli do baru tiki z lat pięćdziesiątych, razem z jego rattanowymi meblami i ozdobami z wysp Pacyfiku na ścianach. Z góry gapiły się na nich polinezyjskie maski, całą jedną ścianę zajmowała galeria wzorów plemiennych.

Pokazali mu zdjęcie. Przez kilka minut oglądał je z namysłem.

Marni obserwowała Francisca rozglądającego się po studiu z zaciekawieniem, o które by go nie podejrzewała. Przyszło jej do głowy, że może Sullivan wreszcie zaczyna rozumieć ich subkulturę. Może za jakiś czas da się przekonać do zrobienia sobie tatuażu? Zastanowiła się, jaki wzór by sobie wybrał.

– Tak, pamiętam. To była dość dziwna wizyta.

– W jakim sensie? – zapytał Francis.

– Normalnie ludzie gadają, kiedy się ich tatuuje, a tu właściwie nic, monosylaby i jakaś taka nerwowość.

– A tatuaż? Co to było? – zapytała Marni.

– Symbol, z którym wcześniej się nie zetknąłem. Dostałem go wyrysowany ręcznie na kartce papieru. Pojęcia nie mam, co oznacza.

– Masz jakąś dokumentację?

James pokręcił głową.

– Na konwencie ludzie przychodzą z ulicy, nie obfotografowuje się prac. Tatuujesz i kasujesz.

– Nazwiska pewnie też nie pamiętasz? – zapytał Francis.

Diamond zastanowił się przez chwilę.

– Sam. Sam Kirby czy Corby, jakoś tak. Była mowa o tym, że mieszka za miastem przy Ditchling Road, w jakimś wiejskim domu...

Zawiesił głos i wzruszył ramionami.

W drodze powrotnej na parking Francis aż kipiał z podniecenia.

– Wreszcie. Wreszcie mamy porządny trop.

– Poważnie myślisz, że to nasz podejrzany?

– Bóg raczy wiedzieć. – Przepraszająco zerknął w niebo. – Zakładam, że nie jest to jego prawdziwe nazwisko, jeśli od początku zamierzał zwiąć. Ditchling

Road ciągnie się przez wiele mil. Mógł się też przeprowadzić. A tak w ogóle to może wcale nie być facet, którego szukamy, więc jak już go znajdziemy, może się okazać, że ma niepodważalne alibi. Ale przynajmniej sprawa się rozwija i jest się o co zaczepić.

Wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Angie, możesz mi sprawdzić pewne nazwisko przy Ditchling Road?

Marni dreszcz przebiegł po plecach. Rozgrywka weszła w nową fazę. Niech ją wszyscy diabli, jeśli pozwoli, by ten rzeźnik znów skrzywdził kogoś z jej środowiska.

Marni

Ditchling Road biegła od centrum Brighton w stronę leżącej osiem mil na północ wioski Ditchling. Za granicą miasta wspinała się stromo na wzgórze South Downs, gdzie wiktoriańskie wille ustępowały miejsca wiejskim domostwom otoczonym polami.

Kiedy wracali z Guildford, do Francisa oddzwoniła Angie Burton.

– Nie, nie wspominaj o tym Rory’emu. To całkowicie nieoficjalne.

Marni nadstawiła ucha, próbując dosłyszeć, co mówi Angie, ale bezskutecznie.

– Ale masz coś? Świetnie. Tak. Dzięki, Angie, jestem ci winny przysługę... Dobra, drinka.

– Masz ten adres? – zapytała Marni.

– Tak. Możesz mnie odwieźć na komisariat? Nie dam rady rozglądać się za podejrzanym, ciągnąc za sobą osobę postronną.

– Ale przecież do Brighton możemy wrócić przez Ditchling Road.

– Marni, to by było nieprofesjonalne. Twoja obecność mogłaby narazić na szwank całe dochodzenie. A gdybyśmy natknęli się na zabójcę... Nie ma mowy. Wykluczone. Nie narażę cię na niebezpieczeństwo.

– Zostanę w samochodzie. Nie ma czasu do stracenia. A jeśli Diamond zna tego Sama Kirby’ego czy Corby’ego i właśnie dzwoni do niego z ostrzeżeniem? Drań może zwać.

– Kirby’ego – powiedział Francis. – Angie znalazła adres Sama Kirby’ego.

Zamilkł na chwilę, po czym obrócił się w fotelu, żeby na nią spojrzeć. Zerknęła na niego z ukosa.

– No dobra, przejedziemy obok tego gospodarstwa i sprawdzimy, jak jest położone. Jeśli będzie wyglądało na to, że ktoś tam jest, zadzwonię do Rory’ego, żeby przysłał posiłki, żebyśmy mogli ptaszka aresztować. Ale cokolwiek się stanie, masz siedzieć w samochodzie.

– Będę siedziała.

„Jasne. Kamieniem”.

Wrócili z Guildford inną drogą, która doprowadziła ich aż do Ditchling. Przed

nimi ciągnęła się Ditchling Road, wijąca się wśród wiejskich zagród i pustkowi South Downs.

– Numer domu? – zapytała Marni, kiedy wyjechali z Ditchling.

Francis się roześmiał.

– Tu nie mają numerów. To gospodarstwo. Szukamy Stone Acre Farm.

Im bliżej byli Ditchling Beacon, trzeciego najwyższego wzniesienia w regionie, tym mniej widzieli gospodarstw. Szosa wiała się pod górę, aż wreszcie wyjechali spomiędzy drzew na szczyt. Przed sobą mieli długi zjazd do Brighton, po obu stronach szeregi gospodarstw odsuniętych nieco od drogi.

Minęli kilka domów, które chyba nie miały nazw, ale i nie wyglądały na coś, co mogłoby uchodzić za gospodarstwo. Następne zabudowania otaczały wiejskie podwórko i miały szyld: High Croft Farm.

– Zatrzymaj się – powiedział Francis. – Zapytam, gdzie jest Stone Acre Farm.

Staruszek idący przez podwórko z psem zatrzymał się, by dowiedzieć się, czego chcą.

– Szukacie Stone Acre? To następne gospodarstwo. Kiedyś należało do Toma Abbota.

– Zna pan Sama Kirby’ego? – zapytał Francis.

– Nie, nigdy o kimś takim nie słyszałem. Ale od śmierci Toma jego dzieci wynajmują dom różnym ludziom. Odkupiłem od nich pola, ale w domu w ciągu tych kilku lat było paru najemców. Dwieście jardów w tamtą stronę, skręćcie w boczną drogę w prawo i jakieś ćwierć mili prosto. Na pewno traficie.

Zastosowali się do jego wskazówek i od razu przy zakręcie zobaczyli drewniany drogowskaz z napisem „Stone Acre Farm”. Farba łuszczyła się i pękała, słupek stał krzywo. Kiedy wjechali na podwórko, stało się jasne, że nikt tu już nie gospodaruje. Wałaca się brama była otwarta na oścież, na wybetonowanym podwórku ze szczelin wybijały chwasty. Ogród był kompletnie zarośnięty, a każdy z rozrzuconych budynków domagał się remontu. Na utwardzonym miejscu postojowym obok domu nie stał żaden samochód, wszystkie okna były zamknięte i prawdę powiedziawszy, nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek tu mieszkał.

Francis wysiadł z samochodu, Marni została w środku. Odkręciła szybę. Na podwórku panowała cisza: w dolinie prawie nie wiało, a gęsty zagajnik tłumiał odgłosy aut przejeżdżających Ditchling Road. Marni ciarki przeszły po plecach. Coś tu było nie tak. Dobrze wiedziała, że takich przeczuć nie należy ignorować, i była szczęśliwa, że może siedzieć zamknięta w Citroënie. Na

przednią szybę spadła kropla deszczu, chwilę później lunęło jak z cebra.

Zza przesuwających się ze zgrzytem wycieraczek obserwowała Francis, który szybkim krokiem przeszedł przez podwórko pod daszek przy drzwiach wejściowych. Pociągnął za sznurek żelaznego dzwonka i Marni usłyszała odległe brzęknięcie. To miejsce przypominało jej tytułową farmę na odludziu Stelli Gibbons.

Nikogo nie było w domu, a w każdym razie nikt nie zareagował na dzwonek. Nie zwracając uwagi na deszcz, Francis wrócił do samochodu i stanął przy otwartym oknie Marni. Wyciągnął telefon.

– Rory? Jestem na Stone Acre Farm, milę od Beacon w stronę Brighton. – Słuchał przez chwilę. – Nie, nic konkretnego. Ale myślę, że powinieneś tu podesłać zespół. Zadzwoń, jak będę miał coś więcej.

Przeszedł przez podwórko w stronę trzech walących się budynków gospodarczych. Marni obserwowała go, czując, jak lodowaty powiew przelatuje jej po krzyżu.

Wszedł do pierwszego – szopy z blachy falistej dobudowanej do znacznie większej stodoły. Gdy zniknął jej z oczu, zaczęła się denerwować. Rozejrzała się po samochodzie za czymś, co w razie potrzeby posłużyłoby do obrony. Na tylnym siedzeniu nic nie znalazła, ale przypomniała sobie, że w bagażniku ma klucz francuski.

Gdy wysiadła z samochodu, wrócił Francis, rzucając jej pytające spojrzenie.

– Tu jest jakoś tak upiornie – powiedziała, otwierając bagażnik.

– Zostań w samochodzie. Chociaż w sumie nic tu nie widzę. Daj mi jeszcze chwilę.

Chwyciła klucz i wsunęła się z powrotem na siedzenie kierowcy. Z ciężkim metalowym narzędziem na kolanach poczuła się nieco pewniej.

Francis w poszukiwaniu wejścia do stodoły obszedł ją naokoło, pociągając nosem.

– Gdzieś tutaj coś naprawdę śmierdzi! – zawołał do Marni.

Wystawiła głowę z samochodu i głęboko wciągnęła powietrze. Deszcz musiał stłumić zapachy gospodarstwa, ale i tak w powietrzu unosiła się ostra woń, która aż drapała w gardle.

– Jak to na wsi – orzekła.

Zrobił kilka kroków w stronę samochodu.

– Ale tu nie ma zwierząt.

– W sensie, że są martwe?

– Może. Ale czuję coś jeszcze, jakby chemicznego.

Francis zniknął za rogiem stodoły i wrócił po kilku sekundach.

– Brama do stodoły jest zamknięta. Błyszcząca nowością kłódki.

– Ale chyba potrzebujesz nakazu, nie? – zapytała Marni.

Jego mina sugerowała, że wolałby nie czekać, jednak wewnętrzną walkę wygrała w nim praworządność, więc kolejne dziesięć minut spędził na telefonie z Bradshawem, tłumacząc mu, co tu robi, i przekonując do złożenia wniosku o nakaz.

Przyjechał Rory z kilkoma funkcjonariuszami, którym polecił na wszelki wypadek rozstawić się na obrzeżach gospodarstwa. Francis wysiadł z samochodu, żeby z nim porozmawiać. Marni przysłuchiwała się przez otwarte okno.

– Co ona tu robi, do cholery? – zapytał Rory, widząc ją za kierownicą citroëna.

– Towarzyszyła mi, kiedy zdobyłem nazwisko i adres Kirby’ego – powiedział Francis. – Nie chciałem marnować czasu, odwożąc ją najpierw do Brighton. Zostanie w samochodzie.

– Jezus zapłakał – westchnął Rory. – Pierwsza zasada w policji: żadnych osób postronnych na miejscu zbrodni. Możemy przez nią zawalić dochodzenie.

Francis nie rezygnował.

– Aktualnie odgrywa rolę biegłego. I tak jak powiedziałem, zostanie w samochodzie.

„Biegłego? Ja pierdołę!”.

Nie pierwszy raz Marni pożałowała chwili, w której jej wzrok spoczął na zwłokach Evana Armstronga, nie wspominając o późniejszym telefonie na policję.

Minęła godzina, zanim Hitchins dostarczył nakaz. Między Francisem i Rorym wyczuwało się silne napięcie. Od Mackaya, wciśniętego na tylne siedzenie citroëna, biła uraza. Został zmuszony do wypalenia swojego e-papierosa na deszczu.

Hitchinsowi polecono przynieść nożyce do metalu. Chwilę później zniknął wraz z Rorym i Francisem za stodołą, a Marni znów została sama. Tym razem miała dość. Otworzyła drzwiczki, modląc się, by nie zaskrzypiały, po czym z kluczem francuskim w garści podkrađła się do stodoły i wyjrzała zza węgła. Na jej oczach Rory uporał się z kłódką i drzwi otworzyły się z cichym zgrzytnięciem. Francis wszedł do środka, za nim dwaj pozostali.

Zapominając o zakazie, Marni pospieszyła ich śladem. Już prawie wchodziła do stodoły, gdy usłyszała, jak wstrząśnięty Rory wciąga ze świstem powietrze. W oczach Francis, który chwilę później pojawił się w drzwiach,

wyczytała strach.

– Wracaj do samochodu, Marni – powiedział na jej widok. Głos mu drżał.

Postąpiła jeszcze kilka kroków naprzód, gdy u boku Francisa pojawił się Rory. Pojawszy zamiar Marni, rozkrzyżował ramiona, zastępując jej drogę.

– To miejsce zbrodni – powiedział, nie pozwalając jej przejść.

Musiła zobaczyć, co znaleźli. Próbowwała zajrzeć mu przez ramię, dostrzec coś przez uchylone drzwi, gdy uderzył ją ohydny zapach zgnilizny.

Zapach śmierci.

I czegoś jeszcze gorszego.

Francis

Nigdy wcześniej Francis nie czuł takiej ulgi, opuszczając miejsce zbrodni. Obezwładniający smród, który uderzył ich tuż po otwarciu drzwi, był aż nadto wymowny. Francis natychmiast wyciągnął stamtąd Rory'ego. Trzy minuty później, ubrani w białe kombinezony, maski i ochraniacze na buty, byli już względnie gotowi.

Po wejściu do środka Francis na próbę wciągnął powietrze. Wnętrze maski wysmarował maścią mentolową. Opary szczypały w oczy, każdy wdech miał w sobie ostrą mentolową nutę. Rory, który zrobił to samo, zaniósł się kaszlem i łzy spłynęły mu po policzkach, zaparowując maskę od środka.

– No dobra, bierzmy się do roboty – rzucił Francis.

Zawahał się w progu, ogarnięty lękiem, a przy tym jakąś wewnętrzną potrzebą przekonania się, co znajdują. Rory wpadł na niego z tyłu, wpychając go mimowolnie do środka.

Na prawo od wejścia był włącznik. Francis pstryknął go dłonią w rękawiczce. Zwisające spod belek stropu gołe żarówki zalały wnętrze ostrym światłem. Od razu było widać, że wnętrze budynku, w przeciwieństwie do elewacji, niedawno wyremontowano.

Francis rozejrzał się po ogromnym pomieszczeniu. Pierwszą rzeczą, która zwróciła jego uwagę, był rząd białych plastikowych pięćdziesięciolitrowych beczek stojących pod lewą ścianą. Potem dostrzegł wiszące na ścianach powiększone zdjęcia tatuaży. „Co tu się działo, do cholery?”. Z trudem zebrał się na odwagę, by ruszyć po gładkiej betonowej podłodze w stronę beczek. Podszedł bliżej i zobaczył, że wszystkie są po brzegi wypełnione płynem. To on wydzielał tę cuchnącą woń. Francis oddychał z trudem. Bez zaglądania do środka wiedział, co tam znajdzie.

– Chryste – powiedział idący tuż za nim Rory. – Wiem, co to jest. W zeszłym roku zabrałem Liz z dziećmi do Marrakeszu i pokazywano nam garbarnie. Dokładnie ten sam smród.

– Ktoś tu garbuje skóry? – zapytał Francis.

Z trudem powstrzymał się, by nie ruszyć do drzwi i nie ulotnić się z tego piekielnego miejsca.

Postąpił ostrożnie naprzód i zmusił się, by zajrzeć do pierwszego

pojemnika. Dostrzegł unoszące się w ciemnym płynie blade kształty, coś jakby śnięte ryby w zanieczyszczonej wodzie. Jeden z nich obrócił się powoli, odsłaniając ciemny zarys tatuazu. Francis poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Musiał odwrócić wzrok.

– On wyprawia ludzkie skóry – powiedział.

Wszystko zaczęło mu się układać: dlaczego zabójca zdejmuje tatuaże i co z nimi robi.

Rory stanął obok niego.

– Ożeż kurwa...

Francis z zaciśniętymi zębami przyjrzał się zawartości pozostałych beczek. Były w nich różne płyny, lecz nie we wszystkich pływały kawałki skór. Trudno było orzec, z której beczki unosił się szczególnie nieznośny odór, zresztą może to była mieszanka wszystkich oparów. Technicy wysłaliby je do analizy chemicznej, ale konkretny charakter roztworów nie miał już właściwie znaczenia. Zbrodnia była oczywista.

Francis odwrócił się, czując, że robi mu się niedobrze. Pod przeciwległą ścianą stał blat, a na nim butelki i fiolki z jakimiś substancjami, ciemno zaplamione deski, stojak na noże i pojemnik z posortowanymi narzędziami chirurgicznymi. Kartonowe pudełko lateksowych rękawiczek. Rząd książek na temat taksydermii, a na jednym końcu wypchana wiewiórka. Na drugim znajdował się wielki kamienny zlew. Francisa zemdliło na myśl o tym, co nim spływało.

– Sullivan?

– Tak?

Rory stał u szczytu stołu.

– Powinieneś to zobaczyć.

Wskazał palcem płytkie naczynie. Francis podszedł bliżej.

Policjant widuje czasem rzeczy, które trwale zapisują mu się w pamięci, i Francis widział ich już całkiem sporo. Z czymś takim jednak nie spotkał się nigdy. Zmięta na szklanym talerzu, zabezpieczona przed wysychaniem samoprzylepną folią, leżała okrągła skóra, coś jakby sflaczały balon. Widniał na niej wyraźny tatuaz pajęczyny, choć sama skóra wydawała się blada i rozdęta. Rory przesunął naczynie końcem długopisu i tatuaz zatrzęsł się jak galareta.

– To chyba go mamy, co?

Francis pokręcił głową.

– Tu go nie ma.

Rory wyciągnął telefon.

– Hitchins, jak się pojawią technicy, niech przeryją całe to gospodarstwo cał po calu. Trzeba będzie przeprowadzić inspekcję kanalizacji. Wszelkie doły na nieczystości, ślady kopania czy grzebania... I dowiedzcie się, do cholery, kim w ogóle jest ten człowiek. – Żeby rozmawiać przez telefon, musiał zdjąć maskę, więc teraz przy każdym wdechu zasłaniał usta ręką. – Tak, mamy zatwierdzone nadgodziny. Wyślijcie tu natychmiast wszystkich wolnych ludzi z John Street.

Ewidentnie rozkręcał się jako głównodowodzący.

Rozłączył się i razem z Francisem zapatrzyli się na ścianę ze zdjęciami. Były tam fotografie tatuaży zdjętych z Evana Armstronga, Giselle Connelly i Jema Walsh. Zdjęcia obejmującego całe ciało tatuazu Dana Cartera. Duży plakat wystawy w galerii Saatchi. A wśród nich zdjęcia tatuaży, których Francis nie znał.

– Przyszłe ofiary czy zwłoki, których jeszcze nie znaleźliśmy? – zastanowił się Rory.

– Powinna na to spojrzeć Marni.

– Mowy nie ma. Jej obecność równa się zanieczyszczeniu miejsca zbrodni.

– Nie, o ile wystąpi w charakterze biegłego.

– Nie zgadzam się.

– Daj spokój, Rory. Trafnie odgadła powiązania między ofiarami i może nam udzielić ważnych informacji na temat tych nieznanymi tatuaży, a w efekcie ocalić czyjeś życie. Idę po nią.

Rory spojrzał wilkiem, lecz go nie zatrzymał.

Pięć minut później stała obok nich, przyglądając się uważnie przypiętym do ściany zdjęciom. Widoczna ponad maską twarz pobladła, ale Marni zachowała spokój, nawet gdy zdała sobie sprawę, że znajdują się w pracowni mordercy. Rory wyszedł na zewnątrz zadzwonić, a Francis mógł się tylko domyślać, z kim rozmawia.

– Wszystkie wyglądają na tatuaże artystów z wystawy – powiedziała Marni.

– Nasza hipoteza była słuszna.

– Twoja hipoteza – powiedział Francis.

Wzruszyła ramionami.

– A co z tymi, których wcześniej nie widzieliśmy? – zapytał. – To pewnie wytypowane ofiary. Gdyby udało się je zidentyfikować, moglibyśmy zapewnić im ochronę.

Marni przeszła wzdłuż rzędu fotografii.

– Rozpoznajesz któryś z nich? – zapytał.

– Mogę się domyślać, kto je zrobił, w końcu wiemy, kto uczestniczył

w wystawie. Ale ci ludzie na zdjęciach... – Wzruszyła bezradnie ramionami.

Wrócił Rory.

– No i? Co ma nam pani do powiedzenia?

W jego głosie czaiły się agresywne nuty.

Marni zignorowała go i nadal przyglądała się zdjęciom.

– Tutaj jest więcej tatuaży, niż było artystów – powiedział Francis. – Jakby stwarzał sobie możliwość wyboru.

– Pewnie niektórych łatwiej dopaść niż innych – odparła Marni. Przyglądała się wytatuowanej nogawce, zdjęciu fragmentu kobiecego ciała wykadrowanemu tak, że nie widać było reszty. – To jest zdecydowanie praca Iwao. On specjalizuje się w japońskiej mitologii.

– A to? – zapytał Francis, wskazując na plecy mężczyzny.

Szaro-czarny tatuaż przedstawiał upadek Lucyfera. Marni spojrzała i odwróciła wzrok.

– Przepraszam – powiedziała. – Przez tę maskę nie mogę oddychać.

Wyglądała tak, jakby ugięły się pod nią nogi.

– Ten jest piękny – powiedział Rory, stając obok nich.

Marni i Francis odwrócili się w jego stronę. Wskazywał tatuaż na plecach kobiety, w stylu japońskim, przedstawiający parę ogniście pomarańczowych karpki koi w stawie i postać klęczącej nad nim gejszy, której łzy kapały na powierzchnię wody. W lewym górnym rogu wyginała się w łuk gałązka klonu, z której spadały na ziemię charakterystyczne liście.

– To też Iwao? – domyślił się Francis.

– Frank, ja chyba zaraz zemdleję.

Złapał ją w ostatniej chwili.

XII

Mam złe przeczucia. Dręczą mnie przez całą jazdę Ditchling Road. Wierzę intuicji, nie lekceważę niczego, co zaburza wewnętrzną harmonię. Ostatnie wydarzenia, muszę przyznać, poważnie odbiły się na mojej psychice. To, co się stało na East Street, wytrąciło mnie z równowagi. Żeby ją odzyskać, muszę pobyć sam na sam ze swoimi skórami.

Nie mogę się pozbyć uczucia, że coś jest nie tak.

Bo coś jest nie tak. Z prowadzącej do mnie drogi wyjeżdża jakiś samochód. Natychmiast nabieram podejrzeń. Srebrne mitsubishi. Jedynym samochodem, który jeździ tą drogą – oprócz mojego – jest pocztowa furgonetka. Zwalniam, gdy mitsubishi mnie mija. Poznaję kierowcę. To jeden z policjantów, którzy byli na pogrzebie Evana Armstronga. I poznaję pasażerkę. To Marni Mullins. Co, do cholery, robili na moim terenie?

Mijam gospodarstwo i jadę w stronę Beacon. Ręce mi się trzęsą. Muszę wziąć proszek, więc zatrzymuję się na parkingu pod szczytem.

Wyłączam silnik.

Oddycham.

Pochyłam się do przodu i opieram głowę na klaksonie, by zagłuszyć ryk wściekłości, którego nie jestem w stanie dłużej tłumić.

Kiedy już czuję się lepiej, wydaję nóż z plecaka i lornetkę ze schowka na rękawiczki. Piętnaście minut spaceru przez pola i jestem na granicy gospodarstwa. Z najwyższego punktu widzę całe podwórko. Więcej samochodów: część to wozy policyjne, inne są nieoznakowane. Furgonetka. I ludzie, od których dosłownie się roi na moim terenie. Wchodzą do domu i wychodzą. Są też w stodole.

Czuję się, jakby mnie z czegoś odarto. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak powiem o tym Kolekcjonerowi.

Jest tam i człowiek, który mi to wszystko zrobił. Rudowłosy policjant stojący w samym środku, wydający polecenia i przyjmujący raporty. Jak pajak w sieci. Znam go. Wiem, czego chce. Ale tego nie dostanie. Nie tak łatwo mnie złapać. Moja praca jest zbyt ważna, by taki człowieczyzna mógł ją przerwać.

Moja krew tętni żądzą zemsty.

Rory

„Jak on śmie!”. Sullivan zachowywał się tak, jakby to on prowadził dochodzenie. Należało go wykopać z miejsca zbrodni, gdy tylko nadjechały posiłki. Jego i tę Marni Mullins. Tymczasem wpuścił Mullins na miejsce zbrodni, a ta zemdląca, wskutek czego Rory na kilka godzin stracił Hollinsa, bo przecież ktoś musiał odwieźć ją do domu. Co za porażka. Zawalił sprawę, dopuszczając Sullivana i Mullins do informacji, które doprowadziły ich do Diamonda i Stone Acre Farm. Nie miał wątpliwości, że to Sam Kirby jest poszukiwanym przez nich człowiekiem, a więc udało im się rozwiązać sprawę. W stodole było dość dowodów, by go skazać na dożywocie. Teraz trzeba tylko dopilnować, by to jemu przypisano to odkrycie. Jemu i Bradshawowi.

Rose Lewis zaparkowała furgonetkę przed wjazdem na dziedziniec. Francis i Rory wyszli jej na spotkanie. Podwórko stanowiło część miejsca zbrodni, technicy lada moment mieli się nim zająć. Policjanci zaprowadzili Rose do stodoły i przez kilka minut czekali w milczeniu, aż dotrą do niej rozmiary znaleźiska. Jeden z techników powoli obchodził wewnątrz stodoły, obfotografowując plastikowe beczki i blat.

– On tutaj wyprawia skóry, tak? – zapytał Francis, kiedy Rose zasygnalizowała wreszcie, że jest gotowa rozmawiać.

– To proces obejmujący więcej etapów, niż się ludziom wydaje – odparła. – Przeważnie wiążą się one z namaczaniem skóry w rozmaitych roztworach, aby usunąć tłuszcz i włosy, zneutralizować pH, oczyścić ją z poprzednich roztworów, ustabilizować białka...

– Ile czasu to wszystko zajmuje? – zapytał Francis.

– Zależy od roztworu i jakości wyprawianej skóry. Od kilku godzin do kilku dni.

– I proces wygląda tak samo niezależnie od tego, czy to ludzka skóra, czy zwierzęca?

Rory się skrzywił. Cały ten temat przyprawiał go o mdłości.

– Oczywiście. Jeśli chodzi o przetwarzanie, nie ma różnicy między skórą ludzką a zwierzęcą. Podejrzewam, że należałoby ją potraktować podobnie jak świńską.

– Ile mamy tu tatuaży? – zapytał Rory, który za wszelką cenę chciał zmienić temat.

– Na pewno skalp Jema Walsha, ale ani śladu ramienia Giselle czy tatuażu Evana – powiedział Francis. – Ale poszukiwania jeszcze się nie zakończyły.

Wszedł technik i przywołał Rose.

– Przepraszam – powiedziała i razem z nim wyszła na zewnątrz.

– No to jaki będzie twój następny ruch? – zapytał Francis Rory’ego.

– Musimy znaleźć i aresztować Kirby’ego. Mamy aż nadto dowodów, aby dostać nakaz aresztowania, a ja już przekazałem wiadomość na komisariat, żeby wydali za nim list gończy. Angie Burton próbuje zdobyć jego zdjęcie, żeby je wszędzie rozesać.

Teraz Sullivan wreszcie się dowie, jak załatwia takie sprawy doświadczony policjant.

– Myślisz, że spróbuje zabić jeszcze raz? – zapytała Rose, wchodząc z powrotem do środka.

Francis omiół spojrzeniem wiszące na ścianie zdjęcia.

– Zdecydowanie celuje w artystów z wystawy w Saatchi. Ale pewnie przyczai się, jak się zorientuje, że tu jesteśmy. Tymczasem musimy zidentyfikować sfotografowanych ludzi i zapewnić im ochronę. – Popatrzył na Rory’ego. – Może każ Hollinsowi skontaktować się ze wszystkimi artystami po kolei i sprawdzić, czy są w stanie określić, kogo przedstawiają te zdjęcia.

„A ten znów próbuje przejąć pałeczkę”.

– Rozmawiałem już o tym z Hitchinsem. – Rory zanotował sobie w pamięci, by zrobić to przy najbliższej okazji. – Byłeś w domu?

Francis pokręcił głową.

– Jeszcze nie.

W domu roiło się od techników robiących zdjęcia i posypujących wszystko proszkiem do zdejmowania odcisków. Gdy tylko Francis i Rory weszli do przedpokoju, podszedł do nich ubrany na biało sierżant.

– Na razie nie znaleźliśmy nic, co w jakiś oczywisty sposób wiązałoby się ze zbrodnią – powiedział. – Natomiast zdecydowanie ktoś tu mieszka. W kuchni są resztki z dzisiejszego śniadania. Wszystkie znalezione dotychczas papiery odnoszą się do Sama Kirby’ego. Opłaca rachunki, tu przychodzą wyciągi bankowe.

– Dziękuję. Nie znaleźliście może dziennika albo kalendarza?

Technik pokręcił głową i wrócił do swoich zadań.

– Zastanawiam się, gdzie on jest – powiedział Francis. – Mieliśmy pecha, że się z nim rozminęliśmy.

– Chciałeś powiedzieć: szczęście – sprostował Rory. – Przyjechałeś tu z Marni bez żadnego wsparcia. Niewiarygodny brak odpowiedzialności. Mógł ci otworzyć drzwi z nożem w ręku.

– Szefie! – Do środka wpadł umundurowany policjant.

– Co jest? – zapytał Rory.

– Na skraju jednego z pól dostrzeżono człowieka. Chyba obserwuje gospodarstwo.

– Chodźmy – powiedział Francis, ruszając prosto do drzwi. – To może być on.

– Mało prawdopodobne – odparł Rory, ale nie zamierzał rezygnować z pościgu.

Funkcjonariusz poprowadził ich na skos przez podwórko. Wyciągnął rękę w stronę pól, które pięły się ku Beacon i w tym momencie wysoki mężczyzna w ciemnym ubraniu poderwał się i zaczął biec niezgrabnie pod górę, szybko się od nich oddalając.

– Idiota – wymamrotał Francis. – Teraz tamten już wie, że go widzieliśmy.

Rzucił się w pościg skrajem zaoranego pola. Rory puścił się za nim, ale miał do Francisza piętnaście lat i dwadzieścia kilogramów straty, więc nie był w stanie dotrzymać mu kroku. I nienawidził biegania pod górkę. Już po piętnastu metrach poczuł ucisk w piersiach.

Francis zmniejszał dzielący ich dystans, ale nie zbliżał się do ściganej zwierzyny. Dotarł na skraj pola i Rory widział, że szuka jakiegoś sposobu pokonania żywopłotu, ale nie było żadnej furtki, a przełaz znajdował się w przeciwległym rogu pola. Podczas gdy Francis podejmował nieudane próby sforsowania ogrodzenia, mężczyzna, który ich obserwował, zniknął za szczytem wzniesienia.

– Cholera! – Francis wyciągnął telefon. – Nie ma tu, kurwa, zasięgu! – wybuchnął, kiedy wreszcie Rory się z nim zrównał.

Rory zgiął się wpół i dyszał ciężko, oparłszy ręce na kolanach.

– Chyba przydałby ci się sprawdzian kondycyjny – rzucił Francis i zaczął schodzić.

Rory zwlekał jeszcze chwilę, przeklinając pod nosem i z trudem łapiąc oddech. Coś błysnęło pod żywopłotem.

– Zaczekaj!

Francis odwrócił się. Rory pokonał płytki rów biegnący wzdłuż krzewów i wyciągnął rękę. Wymacał coś chłodnego, metalowego i ostrego.

– Au!

Cofnął rękę i przyjrzał się temu, co w niej trzymał. To był nóż z ostrzem tak

ostrym, że dotykając go, Rory zranił się w palec wskazujący koło środkowego stawu. Krew skapywała na rękojeść.

– Brawo – powiedział Francis.

– Dzięki.

Francis wyjął torebkę na dowody z kieszeni kombinezonu i podał ją Rory'emu, który ostrożnie umieścił w niej nóż.

– To nie były, kurwa, gratulacje. Właśnie zanieczyściłeś coś, co mogło być naszym najważniejszym dowodem.

Francis

Kwiaty ze stacji benzynowej nie załatwiały sprawy, ale Francis nie chciał się zjawiać z pustymi rękami. Zabrał Marni na miejsce zbrodni, naraził ją na stres, a teraz zamierzał zakłócić jej wieczór prośbą o przyjrzenie się zdjęciom. Ostatecznie zdecydował się na wódkę. Rzuciła kiedyś nazwę ulubionego gatunku, powinien go znaleźć w sklepie Asda, gdy będzie wracał z Ditchling do miasta.

Technicy przed chwilą skończyli pracę, którą zamierzali kontynuować nazajutrz. Francis rozstawił strażników, żeby przez całą noc obserwowali posiadłość na wypadek, gdyby Sam Kirby postanowił wrócić, po czym wsiadł do samochodu i zadzwonił do Rose. Była już w lodowym pałacu swojego prosektorium i badała częściowo wyprawiony tatuaż Jema Walsha oraz kilka innych kawałków wytatuowanej skóry, które wydobyli z pojemników z różnymi roztworami. Wysłała też do analizy DNA próbki tkanek, ale nikt z nich nie wątpił, że tym, co znaleźli, był skalp Jema Walsha. W zamrażarce odkryli również coś, co było prawdopodobnie jego głową – czerwoną, obdartą ze skóry, z otwartymi, wytrzeszczonymi oczami.

– Daj znać, jeśli czegokolwiek uda ci się dowiedzieć – rzucił na zakończenie i rozłączył się, parkując na wolnym miejscu kilka metrów od domu Marni.

Przez większą część popołudnia Rory wisiał na linii z Bradshawem i z tego, co Francis się zorientował, jego zwierzchnik sprawiał wrażenie raczej zadowolonego z postępów sprawy.

– Jego zdaniem szkoda, że nie poczekałeś, aż drań wróci do domu, nim zdecydowałaś się wejść do środka – doniósł Rory z drwiącym uśmiechem.

– A skąd mieliśmy wiedzieć, czy jest w domu, czy nie? – zdziwił się Francis. Typowy, kurde, Bradshaw.

Na piętrze domu Marni paliło się światło, ale nikt nie odpowiedział na pukanie do drzwi. Francis wybrał jej numer telefonu.

– Halo?

– Stoję pod drzwiami.

– Mam dom wyłącznie dla siebie i właśnie się kąpię, inspektorku. Idź sobie.

– Marni, nie zawracałbym ci głowy, gdyby to nie było ważne. Poczekam.

Dziesięć minut później otworzyła drzwi i zaprosiła go gestem do środka,

okutana w gruby wzorzysty szlafrok, z włosami ściągniętymi w mokry kucyk. Pachniała jakimś słodkim olejkiem do kąpieli.

– Przepraszam – powiedział, idąc za nią do kuchni. – Nie powinienem wprowadzać cię do tej stodoły.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nic się nie stało. To była bardziej kwestia maski, którą miałam na twarzy, niż tego, co mi pokazywałeś. Nie mogłam oddychać i dostałam napadu klaustrofobii.

– Mam coś dla ciebie.

Wyciągnął podarunek na zgodę, a Marni aż oczy się zaświeciły.

– Udzielam ci rozgrzeszenia. Chciałam zaproponować wino, ale po dzisiejszych przejściach może kilka głębszych będzie nie od rzeczy.

Francis zasadniczo starał się unikać alkoholu, ale to był długi dzień i zależało mu na dobrym nastroju Marni, ponieważ znów zamierzał prosić ją o pomoc.

– Pewnie, czemu nie?

Marni uniosła brew i wyjęła z szafki dwie lufki.

– Zapraszam.

Przeszli do dużego pokoju, który bardziej jeszcze niż jej studio przypominał sroczę gniazdo; przytulny hippisowski salonik sprawiał wrażenie, jakby sprowadzono go w kawałkach z Radżastanu, Katmandu i Cuzco. Francis zapadł się w stercie wyszywanych poduszek, którymi zarzucona była głęboka kanapa.

Marni zapaliła kadzidełko, po czym nalała im do pełna. Francis zauważył, że lekko drżą jej ręce. Może to, co znaleźli w stodole, wstrząsnęło nią bardziej, niż gotowa była przyznać? Podała mu kieliszek.

– Niczym nie rozcieńczasz? – zapytał i prawie się wzdrygnął.

– Niczym. Ale nie musisz wypijać na raz.

Nie miał zamiaru. Upił ostrożnie łyczek, spodziewając się palenia w gardle, ale smak okazał się zaskakująco łagodny. Marni pociągnęła ze swojego kieliszka; wyglądało na to, że alkohol przynosił jej ulgę.

– Sprowadzę cię na złą drogę, Franku Sullivanie.

– Myślę, że do tego nie wystarczy kieliszek wódki.

Spoważniała nagle.

– Powiedz, co znaleźliście w Stone Acre Farm.

Opowiedział jej o znaleziskach ze stodoły i dowodach uzyskanych podczas przeszukania gospodarstwa. Zbladła, gdy opisywał rozmaite pojemniki i ich makabryczną zawartość. Drżącymi rękoma nalała sobie kolejny kieliszek.

– Wygląda na to, że Sam Kirby obserwował nas przy pracy. Jeden z naszych zauważył mężczyznę na polu powyżej gospodarstwa.

– Może jakiś rolnik?

– Obserwujący nas z za żywoplotu przez lornetkę?

– No dobra, może faktycznie nie rolnik.

– Ścigaliśmy go, ale zwiął. Po drodze zgubił nóż.

– Myślisz, że zdołacie go jakoś powiązać z morderstwami?

Francis pokręcił głową.

– Prawdopodobnie nie zostanie dopuszczony jako dowód w sprawie, bo sierżant idiota podniósł go, w dodatku się zaciął i zalał go własną krwią.

– Rory? Ale nic mu nie jest, prawda?

– Ranka się zagoi, ale wstyd zostanie. – Wychylił kieliszek do dna. Tym razem faktycznie zapiekło, ale nawet przyjemnie. – Muszę jeszcze raz prosić cię o pomoc.

Marni naląła do pełna.

– Domyślam się. Te zdjęcia... Tatuaze, których jeszcze nie zdarł.

Francis wyciągnął z aktówki laptopa i otworzył go na niskim stoliku. Sfotografował każde ze zdjęć przyczepionych w stodole, a teraz chciał usłyszeć od Marni, czy rozpoznaje któryś z tatuazy.

– Marne szanse. Nawet artyści, którzy je zrobili, mogą nie przechowywać namiarów na swoich klientów.

– No dobra, ale i tak musimy je jakoś zdobyć, żeby móc zaproponować tym ludziom ochronę. Dopóki nie zapuszczujemy Sama Kirby'ego, musimy zakładać, że są zagrożeni.

– A jesteście na dobrej drodze?

– Rory organizuje obławę na wielką skalę. Zaangażował masę ludzi i sprawdza, czy da się namierzyć jego samochód. Trudno powiedzieć, gdzie mógł się ukryć, więc równie ważne jest namierzenie potencjalnych ofiar. Niestety, jedna z nich może nas doprowadzić prosto do niego.

Marni przez godzinę przeglądała zdjęcia, ale nikogo nie potrafiła zidentyfikować.

– Prześlij mi je mailem, roześle je dalej. Ktoś wreszcie coś skojarzy.

Francis zamknął komputer i wychylił kieliszek do dna.

– Będę się zbierał.

– A w ogóle jadłeś coś od rana?

– Nie.

Jeszcze przed chwilą nie czuł głodu, lecz teraz na wzmiankę o jedzeniu zaburczało mu w brzuchu.

– Makaron?

W domu Mullinsów najwyraźniej nie jadało się makaronu bez czerwonego wina, więc chociaż Francis wymawiał się ze wszystkich sił, Marni pozostała nieugięta.

– A gdzie twój syn? – zapytał, wciągając ze świstem spaghetti.

– Nocuje u znajomych.

– Nie zamierza kontynuować rodzinnej tradycji?

– Nie zrobił sobie nawet tatuazu – odparła Marni ze śmiechem.

– Na pewno jak dorośnie, to zmądrzeje.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie.

„Od czego by tu zacząć?” – pomyślał.

– Mama i siostra.

– Mieszkają w Brighton?

– Obie mają stwardnienie rozsiane. Mama mieszka w domu opieki w Saltdean, a siostra na osiedlu dla osób niepełnosprawnych w Hove. Ma zapewnioną samodzielność, ale w razie czego może liczyć na pomoc.

Marni skinęła głową.

– Przynajmniej na tyle blisko, że możesz je odwiedzać.

– Nie robię tego tak często, jak powinienem.

– A twój ojciec?

– Odszedł dawno temu.

– Przykro mi.

Marni dołała mu wina.

Pokręcił smętnie głową.

– Nie umarł. Zostawił nas, kiedy zdiagnozowano SM u mojej siostry. Oboje mieliśmy po kilkanaście lat. Chyba przerosła go konieczność zajmowania się dwiema inwalidkami.

Mimo upływu lat z trudem powstrzymał gorycz.

– I zostawił ten ciężar tobie?

– Nie są dla mnie ciężarem – warknął. – Nigdy ich nie zostawię i to ze względu na nie traktuję swoją pracę tak poważnie. Chcę mieć pewność, że dostają najlepszą możliwą opiekę, a to kosztuje.

– Przepraszam. Nie chciałam być uszczypliwa. Ale póki co odnosisz sukcesy, nie? Bardzo młodo zostałeś komisarzem.

Na to pytanie nie było prostej odpowiedzi.

– No wiesz, połowa John Street jest zdania, że awansowano mnie na wyrost. Na razie odsunięto mnie właśnie od pierwszej sprawy, więc możliwe, że to koniec kariery. Czyli „sukcesy” to chyba akurat nie jest odpowiednie

słowo.

– Ale dziś dzięki tobie doszło do przełomu. Bradshaw to chyba doceni?

– Wiedzieć, kim jest morderca, a wsadzić go za kratki to dwie różne rzeczy. Na razie gość zwiął, a teraz może się po prostu rozpuścić. Albo popełnić samobójstwo. Musimy doprowadzić go przed sąd. Jeśli się nie uda, zawaliliśmy sprawę. A jeśli się uda, Bradshaw i Rory pierwsi wypną pierś do orderu.

Nigdy z nikim (oprócz księdza Williama) nie rozmawiał o swojej rodzinie ani pracy. Dlaczego więc opowiadał to wszystko Marni Mullins? Ogarnęło go znużenie.

– Przepraszam, że cię tym zanudzam.

– Życie innych ludzi nigdy nie jest nudne. Gdybym uważała inaczej, nie mogłabym ich tatuować.

– Zwierzają ci się, kiedy ich tatuujesz?

– No pewnie. Dla niektórych to coś w rodzaju terapii.

– Tatuowałaś współwięźniarki?

Wyglądała na zszokowaną jego pytaniem.

– Przepraszam. Nie mój interes.

– Nie, nie, nic się nie stało. – Pokręciła głową. – Nie, nie tatuowałam nikogo w więzieniu. Nie byłam w stanie. Nie radziłam sobie i pozostałe kobiety traktowały mnie jak trędowatą. Byłam wstrętną wyspiarką, która ugodziła nożem Francuza... Nikt nigdy nie zapytał, dlaczego ani co się właściwie wydarzyło. Wiedzieli swoje.

– Ile siedziałaś?

– Niedługo... Parę tygodni. Byłam w ostatnim trymestrze ciąży bliźniaczej. Francis był zbulwersowany.

– Wsadzili cię do więzienia, choć wiedzieli, że urodzisz bliźnięta?

– Sędzia jakoś specjalnie się nie przejął.

– Wiedziałaś, że jesteś w ciąży mnogiej?

Kiedyś wspomniała, że straciła dziecko, ale Francisem wstrząsnęła wiadomość, że było to jedno z bliźniąt.

Kiwnęła głową.

– Napadły mnie pod prysznicem, jedno z dzieci tego nie przeżyło. Przenieśli mnie do szpitala, do końca ciąży byłam pod obserwacją. Kiedy urodził się Alex, odsiedziałam już większość wyroku i sędzia zdecydował o zwolnieniu. – Umilkła na chwilę. – To był fatalny okres w moim życiu.

– Strasznie mi przykro.

Rozmowa utknęła. Francis rozmyślał gorączkowo, jak w naturalny sposób

zmienić temat, Marni bawiła się papierową serwetką.

– Czy ty...?

– Czy wtedy...?

Zaczęli mówić jednocześnie i jednocześnie urwali.

– Ty pierwsza.

Marni pokręciła głową.

– Nie, ty.

Ale Francis zapomniał już, co chciał powiedzieć.

– Dobra, będę się zbierał. Dziękuję za wino i kolację.

Wstał i pochylił się, żeby zebrać brudne talerze. Zahaczył nogą o róg niskiego stolika i zachwiał się lekko.

– Ej! – Marni podtrzymała go; stali teraz twarzami do siebie.

Francis uśmiechnął się szeroko.

– Chyba jestem troszku pijany.

– Chyba jesteś nieźle wstawiony, Frank.

– Przestań nazywać mnie Frank. – Przyglądał się twarzy, którą miał przed oczami, uzmysławiając sobie nagle, jak bardzo mu się podoba. – Przepraszam.

Zwykle nie piję, stąd słaba głowa.

– Nie ma sprawy. Ale nie możesz prowadzić. Chyba powinieneś zostać.

Francis też był zdania, że to dobry pomysł. Tak dobry, że postanowił ją pocałować.

No i zrobił to. Odwzajemniła pocałunek. Francis uznał to za wstęp.

Wstęp do czegoś dobrego.

XIII

Każda krytyka ze strony ojca podsycala moją nienawiść do niego. W dzieciństwie chodziło zwykle o zadane lekcje, później o różne moje decyzje. Po rozpoczęciu pracy w rodzinnej firmie okazało się, że niczego nie potrafię zrobić dobrze. „Jak można było wysłać nie to zamówienie?“, „Jak można było wybrać tak paskudny kolor na tę torbę?“, „Trzeba było użyć innej skóry!“. Im częściej się złościł, tym szybciej moja miłość przeobrażała się w swoje twarde i gorzkie przeciwieństwo, aż wreszcie nic z niej nie zostało.

A teraz wścieka się na mnie Kolekcjoner. Nie dało się zataić tego, co się stało. W głosie dobiegającym z telefonu słycać było rozczarowanie, a później coś ostrzejszego. W oczach staje mi jego zmarszczone czoło, szyderczy uśmiech – i chcę już tylko zniknąć lub cofnąć czas. Oczywiście sprawa z Kolekcjonerem wygląda zupełnie inaczej. On ma prawo być na mnie zły. Mój błąd był niewybaczalny, więc Jem Walsh zginął na próżno. Jego cenny skalp, zamiast przepięknym dziełem sztuki, stał się zwykłym dowodem z numerem ewidencyjnym.

Policjant, który ponosi za to odpowiedzialność, nazywa się Francis Sullivan. Telewizja nadała jego konferencję prasową. Wszedł na mój teren, zbrukał jedyne miejsce zapewniające mi schronienie, a potem zaczął mnie ścigać. Zniszczył wszystko, co było istotą mojej pracy.

Pożaluje tego. Już ja się o to zatroszczę.

Widok jego samochodu pod domem Marni Mullins podsycala moją złość. Co robiła z policją w Stone Acre? Co Sullivan teraz robi u niej?

Posiedzę, poczekam, aż wyjdzie.

Ale światła na dole zgasły, a on nie wychodzi.

Przez otwarte okno słyszę śmiech. Jej śmiech.

Mogę poczekać.

Zgasły światła na górze.

Muszę poczekać. Nie mam wyboru. Lecz mój gniew pali się jasno i wkrótce trzeba będzie przejść do czynów.

Francis

Francis naciągnął sobie kołdrę na twarz. Czemu łóżko pachnie jakoś inaczej... jakby perfumami? Nadal pod osłoną kołdry, otworzył oczy. Był w samych bokserkach. W nie swoim łóżku. W nieznannej pościeli.

Coś wskoczyło ciężko na materac i wgramoliło się na kołdrę. Francis usiadł pospiesznie i znalazł się twarzą w pysk z Pieprzem. Pies zaszczekał podniecony i zaczął go lizać po policzku.

Wszystko mu się nagle przypomniało: wódka, spaghetti, czerwone wino. Usta Marni.

Skąd mu przyszło do głowy, że wódka to dobry pomysł?

Odepchnął Pieprza i spojrział na zegarek. Cholera. Powinien być już w komisariacie, a jeszcze będzie musiał skoczyć do domu się przebrać. Pieprz ponowił atak, a Francisowi ból głowy przewędrował w rejon potylicy.

Z jękiem opadł na materac. Wino z wódką! Nie żeby nigdy dotąd nie miał kaca. Jasne, że miał. Ale akurat dziś – akurat w tym tygodniu, tak konkretniej – było mu to wyjątkowo nie na rękę.

– Nie śpisz, Frank?

Otworzył oczy i zobaczył Marni wchodzącą do pokoju z łazienki. Była naga i zmierzała w stronę łóżka, bez dwóch zdań zamierzając wsunąć się z powrotem pod kołdrę. Nie umiał odtworzyć niektórych fragmentów zeszłej nocy, ale przecież gdyby cokolwiek zaszło, chyba by pamiętał? Tymczasem w głowie został mu tylko ten długi, niespieszny pocałunek. I nic więcej.

Marni usiadła w nogach łóżka twarzą do niego, a on próbował ze wszystkich sił nie gapić się na jej biust. Poniósł sromotną klęskę. Miała cudowne piersi, wywołujące potężne poruszenie pod kołdrą. Otworzył usta, lecz zanim zdołał cokolwiek wykrztusić, odezwał się dzwonek przy drzwiach.

– O tej porze? – zdziwiła się Marni.

Wstała i podeszła do drzwi sypialni, gdzie na wieszaku wisi kilka szlafroków.

Frank nie mógł oderwać od niej wzroku. Nie dlatego, że była całkiem naga, choć byłby to wystarczający powód, nie dlatego, że chciał zobaczyć, dokąd pójdzie, choć ten powód również należałoby uznać za wystarczający, lecz dlatego, że gdy odwróciła się do niego plecami, zobaczył wytatuowany na jej

plecach rysunek. Wiedział oczywiście, że ma na plecach tatuaż Iwao, ale nigdy nie wpadł na to, by ją o niego zapytać. Jej tatuaże były jej prywatną sprawą.

Ale nie ten.

Rozpoznał go natychmiast i serce w nim zamarło.

Widział go już wcześniej. W stodole mordercy.

Marni Mullins była potencjalną ofiarą.

Marni Mullins była na liście zabójcy.

Tatuaż na jej plecach był jednym z tych, których zdjęcia morderca przyczepił do ściany: ogniście pomarańczowe karpie koi wijące się w turkusowej wodzie stawu i płacząca gejsza w szkarłatnym kimonie i czarnym obi. Tyle że na żywo, gdy Marni szła przez pokój, poruszając się płynnie i swobodnie, robił znacznie większe wrażenie niż na fotografii ze stodoły.

Zabójca był wciąż na wolności i chciał zdjąć tatuaż z pleców Marni.

– Marni...

– Tylko sprawdzę, kto się tam dobija. A potem zrobię nam kawy.

Spróbował się opanować.

Narzuciła wzorzysty szlafrok, który miała na sobie poprzedniego wieczoru. Usłyszał skrzypnięcie stopni, po których schodziła na dół.

Dochodząc do siebie, rozejrzył się po sypialni i zobaczył swoje ubrania rzucone niedbale pod oknem. Ignorując łomot w czaszce, spuścił nogi na podłogę i ostrożnie wstał. Pokój zakołysał się i znieruchomiał, gdy Francis, wzięwszy głęboki wdech, odzyskał równowagę. Podszedł do sterty ubrań i z kieszeni spodni wygrzebał telefon.

Dwukrotnie wpisał błędne hasło, ale wreszcie udało mu się go odblokować. Znalazł zdjęcia, które zrobił dzień wcześniej w Stone Acre. Tak, miał rację. Obraz, który widział przed chwilą na plecach Marni, znajdował się na liście zabójcy. Nic dziwnego, że zemdląca, zobaczywszy zdjęcie na ścianie łowcy tatuaży. Jak mógł być tak głupi, żeby się nie zorientować? Ale dlaczego mu nie powiedziała, do cholery? Na myśl o tym, że Marni grozi niebezpieczeństwem, zalała go fala niepokoju.

Wybrał numer Rory'ego. Póki zabójca nie wyląduje za kratkami, należy jej zapewnić całodobową ochronę.

Nikt nie odbierał.

Francis miał dziś spóźniony refleks, ale gdy wreszcie dotarło do niego zagrożenie, wypadł z pokoju, próbując sobie przypomnieć, gdzie są schody. Pieprz zaszczekał i rzucił się za nim, płacząc mu się pod nogami tak, że każdy

krok groził upadkiem.

– Marni! Marni, poczekaj! Nie otwieraj drzwi!

Zeskakiwał po dwa stopnie, z psem wpadającym mu pod nogi.

– To może być...

Ale było już za późno. Marni położyła dłoń na zasuwce i otworzyła drzwi, zanim Francis zdążył wypowiedzieć słowo „zabójca”.

Na stopniu stał Thierry Mullins z torbą croissantów w objęciach i dwiema kawami na wynos. Objął ich oboje spojrzeniem, rejestrując fakt, że Francis jest tylko w bokserkach, po czym spojrzał Marni prosto w oczy.

– *Qu'est-ce qu'il fait ici, lui?*

Pieprz ustawił się przed Francisem i zawarczał głucho.

Marni

Marni przenosiła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Francis wyglądał tak, jakby zobaczył ducha. Zadyszany, zachwiał się i oparł o ścianę przedpokoju. Co się z nim działo, do cholery? Thierry miał mord w oczach, ale chyba Francis się go nie bał? Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, Alex przepchnął się obok ojca do przedpokoju. Pieprz podbiegł do niego, sapiąc i machając ogonem.

– Cześć, mamó – powiedział Alex, cmokając Marni w policzek.

No nie, przecież to wcale nie jest żenujące, obserwować, jak twój syn przechodzi między twoim eks a facetem, z którym właśnie spędziłaś noc. Miała ochotę powiedzieć: „Nie spałam z nim”, ale uznała, że byłoby to raczej niestosowne.

– Cześć, synek. – Objęła go. – Jak się bawiłeś?

Co innego mogła powiedzieć?

Alex cofnął się o krok i popatrzył na nią z niedowierzaniem. Spojrzał na Thierry’ego, na Francisa, wreszcie przeniósł wzrok z powrotem na Marni.

– Mamó?

W tym jednym słowie zawarł wszystkie pytania, na które nie chciała odpowiadać.

Nikt się nie odezwał. Sytuacja była niezręczna. Właściwie to mało powiedziane.

Mina Alexa wyrażała coś pomiędzy złością a dezorientacją.

– Chodź, Pieprz, nic tu po nas – mruknął wreszcie, po czym rzucił wypchany plecak na podłogę przedpokoju i wyjął ojcu z rąk kawę i croissanty. Śliniący się Pieprz podreptał za nim do kuchni.

Thierry patrzył na Francisa spod zmarszczonych brwi wzrokiem, który Marni znała aż zbyt dobrze. Zaciśnięte wargi powstrzymywały potok francuskich inwektyw. Francis przesuwiał się bardzo powoli w ciemniejszy załom korytarza, ale Marni widziała, jak płoną mu policzki.

Thierry wyprostował się na pełną wysokość i spojrzał na komisarza z góry.

– Właśnie w ten sposób ochraniaś moją żonę przed łowcą tatuaży? W jej łóżku? To nazywasz pełną ochroną?

Wreszcie miała okazję odpłacić mu pięknym za nadobne.

– Byłą żonę – powiedziała. – Co oznacza, że to nie twój interes, z kim śpię, do cholery.

Natychmiast pożałowała tych słów. Znała temperament Thierry'ego. Zawsze był zazdrosny, a przy tym nawet po rozwodzie obstawał przy tym, że jako katolik jest jej mężem, póki śmierć ich nie rozłączy. Oczywiście wtedy, gdy mu to akurat odpowiadało. Teraz dosłownie usłyszała, jak zgrzytnął zębami.

– Przypominam ci, że masz jeszcze syna.

Kiedy jednak przepchnął się obok niej do przedpokoju, poczuła, że miarka się przebrała.

– Thierry!

Staął przed Francisem z zaciśniętymi pięściami, gotowy do bójki. Ubrany tylko w bokserki Francis był na straconej pozycji choćby z perspektywy psychologicznej, nie wspominając o przewadze fizycznej wyższego i cięższego Thierry'ego.

– Sugeruję, żebyś opuścił mój dom. Inaczej cię z niego wykopię.

– To nie jest twój dom – powiedziała Marni z wściekłością.

Szarpnęła Thierry'ego za ramię, ale strząsnął ją jak natrętą muchę.

Francis obronnym gestem uniósł ręce. Wyglądał jak żywa ilustracja zasad fair play w boksie i Marni widziała gołym okiem, że w tej walce nie ma żadnych szans. Thierry nigdy nie grał czysto i nienawidził policji prawie równie mocno jak ona.

– Przestań! – wrzasnęła.

– Nie mieszkasz w tym domu i jako funkcjonariusz policji żądam, żebyś go opuścił – powiedział Francis ostro.

„O Boże, będzie źle”.

Pięść Thierry'ego przejechała po nosie i kości policzkowej Francis'a, który walnął głową o framugę drzwi. Aż przysiadł, gwałtownie chwytając powietrze i obiema rękami łapiąc się za nos. Marni patrzyła ze zgrozą na krew ciekącą mu między palcami.

– Fantastycznie, Thierry. Właśnie napadłeś na policjanta. Trafisz do pierdła.

Thierry masował sobie knykcie i raczył odpowiedzieć jedynie wściekłym burknięciem. To aż nadto typowe dla niego zachowanie przypomniało jej, czemu ich związek nie przetrwał.

– Alex! – zawołała. – Możesz przynieść papierowe ręczniki?

Uklękła obok Francis'a i delikatnie odsunęła mu dłonie od twarzy. Krew leciała mu z nosa ciurkiem, zaczynała też pojawiać się opuchlizna.

– Raczej nie jest złamany – powiedziała, biorąc garść chusteczek od Alexa, który momentalnie ulotnił się z przedpokoju. Podała je Francisowi, by

zatomował krwotok. – Chyba go nie aresztujesz, co?

– Nie, jeśli natychmiast stąd wyjdzie – powiedział Francis przez nos zatkany krwią i śluzem.

– Smacznego śniadania – powiedział Thierry, odwracając się na pięcie.

– Poczekaj. Muszę ci coś powiedzieć.

Thierry ruszył do drzwi, nie zwracając na nią uwagi.

– Thierry, jesteś na liście zabójcy!

Nuta hysterii w jej głosie zatrzymała Thierry'ego w pół kroku.

– O czym ty mówisz, do diabła? – Francis, kompletnie zaskoczony, wytrzeszczył na nią oczy.

– Łowca tatuaży, Thierry. Wytypował cię na ofiarę.

Siedzieli na kanapie obok siebie: ocierający jeszcze krew z nosa Francis i Thierry, któremu zdumienie odebrało mowę. Przywróciła mu ją dopiero wychylona jednym haustem whisky, którą postawiła przed nim Marni.

Wszedł cicho Alex z tacą zastawioną kubkami z kawą. Dwa podał ostentacyjnie rodzicom, trzeci postawił z hukiem przed Francisem. Powiało chłodem.

Marni ze zdenerwowania darła papierowe serwetki, czekając, aż dwaj mężczyźni pozbierają myśli.

Francis otrząsnął się pierwszy.

– Żeby dobrze zrozumiał: zobaczyłaś zdjęcie własnego tatuażu i zdjęcie tatuażu Thierry'ego na ścianie stodoły zabójcy?

Marni skinęła głową, przygryzając wargę.

– A który z nich jest tatuażem Thierry'ego?

– Upadek Lucyfera.

– A więc oboje jesteście celem. I dlatego zemdłałaś, tak?

– Tak.

– Ale nie uznałaś za stosowne o tym wspomnieć? Nawet kiedy pokazałem ci wszystkie te zdjęcia wieczorem? – Zachowywał spokój, ale w jego głosie słyhać było irytację. – Nie do wiary, że postanowiłaś to zataić. Tam gdzie czai się bardzo realny i bardzo sprawny zabójca. Czai się na *ciebie*.

Marni ścisnęło w żołądku.

Dlaczego mu nie powiedziała? Nie chciała się przyznawać nawet przed sobą? Myślała, że sama zadba o swoje bezpieczeństwo?

Thierry jęknął głośno. Ręce mu się trzęsły.

– Marni, dlaczego nie powiedziałaś mi od razu? Możesz mi to wyjaśnić?

– Ja... – Zabrakło jej słów.

– Mogliśmy zostać zamordowani oboje w łóżkach.

„Naprawdę to spieprzyłam”.

– Jasna cholera, Marni, zanim przyjechałem, siedziałaś tu zeszłej nocy sama – ciągnął Francis. – A gdybyś zastała w drzwiach nie mnie, tylko zabójcę?

– Nie otworzyłam. Wiedziałam, że to ty, bo telefonowałaś.

– Zaraz mnie szlag trafi – rzucił Thierry, ruszając w stronę kuchni.

– Siedź! – warknął Francis. – Muszę porozmawiać z wami obojgiem. W kwestiach formalnych. Potrzebujecie ochrony. Marni, zrób kawę, a ja się ubiorę.

„Cholerni faceci”.

Wszyscy uważali, że mogą się rządzić. To był jej dom, a on nie miał prawa wydawać jej poleceń. Potrzebowała nikotyny, więc zapaliła papierosa i wyszła wypalić go pod tylnymi drzwiami.

– Powiedz mi, co to za historia z tym gościem? – zapytał Thierry, wychodząc za nią i opierając się o framugę.

– Nie twój interes – odparła, wydmuchując chmurę dymu. – Na twoim miejscu zainteresowałabym się raczej tym, że jesteś na liście celów mordercy. Więc bardzo cię proszę, uważaj na siebie.

– Jak miło, że się o mnie troszczysz.

Otrząsnął się z szoku i teraz był już tylko zwyczajnie wściekły.

– Jesteś ojcem Alexa. Nie chciałabym patrzeć, jak cierpi, gdyby coś ci się stało.

Zanim Francis zszedł na dół, Thierry wyszedł i trudno było powiedzieć, czy komisarz czuje ulgę, czy złość. Marni naląła im obojgu świeżo zaparzonej kawy.

– Podaj mi jego adres domowy i adres miejsca pracy... Dopilnuję, żeby ktoś miał na niego oko, nim się to wszystko skończy.

– Dziękuję – powiedziała Marni, po czym przekrzywiła głowę. – Mnie potraktujesz tak samo? Przydzielisz mi policjanta?

– Oczywiście.

Zmarszczyła brwi.

– Mam Pieprza. Nie potrzebuję obstawy.

– Nie masz wyboru.

– To będziesz ty?

– Nie, to nie będę ja. Muszę prowadzić sprawę, a nie włączyć się za świadkami.

– A więc żadnej ochrony osobistej?

Tak łatwo dawał się podpuścić. Twarz mu spurpurowiała.

– Słuchaj, co się dokładnie wydarzyło tej nocy?

– Och, Frank, nie pamiętasz?

– Pamiętam, że cię pocałowałem.

Wyglądał, jakby wysał cytrynę.

„Czyli było aż tak beznadziejnie?”

– Nie zamartwiaj się. Do niczego nie doszło. Urwał ci się film, a ja, możesz mi wierzyć lub nie, nie mam w zwyczaju uprawiać seksu z nieprzytomnymi policjantami. Z przytomnymi też nie.

Frank gapił się na swoje stopy, na nowo oblewając się warem.

– Przepraszam.

– Nie musisz. Jestem pewna, że to dla ciebie ulga. Widziałam, że wpadłeś w panikę, kiedy Thierry założył, że ze sobą spaliśmy. – Jednym haustem wypila kawę do dna, zdecydowana nie okazywać emocji, skoro on chyba najchętniej cofnąłby czas. – A teraz, ponieważ wiem, że masz mnóstwo spraw na głowie, może byś tak naraił mi jakiegoś wielkiego, silnego goryla?

Szkoda, że nie powtórzą tego eksperymentu, bo Marni od miesiący nie spała tak głęboko jak przy pijanym Franku Sullivanie pochrapującym jej cicho do ucha.

Pozbierał swoje rzeczy i wyszedł bez słowa.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Marni walnęła pięścią w ścianę.

– Niech cię wszyscy diabli, Francisie Sullivan!

Rory

Rory większą część wieczoru spędził na blokadzie policyjnej na Ditchling Road, zatrzymując samochody nie tylko w nadziei pojmania zabójcy, lecz także by się dowiedzieć, czy ktokolwiek zauważył coś podejrzanego, a przy okazji ostrzec miejscowych, by mieli się na baczności. Gdy po północy ruch zamarł, Rory wrócił prosto na komisariat, by przejrzeć nagrania z monitoringu i spisać wstępną wersję oświadczenia dla prasy na potrzeby Bradshawa. Kiepsko mu szło. Komunikaty dla prasy były domeną Sullivana, ale ostatnią wiadomość dostał od niego przed północą. Wymknął się do domu na szybki prysznic i krótką drzemkę, a teraz był już z powrotem, zdeterminowany wytropić Sama Kirby'ego.

Sprawdził telefon po raz enty, odkrywając, że w drodze do domu nie odebrał połączenia od Francisa. Żadnej wiadomości. Żadnego esemesa. Oddzwonił, ale drzwi do centrum koordynacyjnego otworzyły się, nim doczekał się odpowiedzi.

– Możesz się rozłączyć, Rory, jestem tutaj.

Takiego Francisa Sullivana Mackay jeszcze nie widział. Włosy miał potargane, garnitur wymięty, jakby w nim spał, nos opuchnięty i wyraźnie przestawiony. Gdy szedł przez salę, Rory dostrzegł zapowiedź dwóch rozkwitających pod oczami czarnych krwiaków.

– Jezu, co ci się stało? Nie mów, że go znalazłeś?

Francis opadł na krzesło.

– Może najpierw kawa? – Jego głos brzmiał trochę niewyraźnie.

– Ktoś tu ma kaca.

Francis pochylił się do przodu i oparł głowę na rękach.

– I do tego brał udział w bójce.

Francis jęknął i Rory mimowolnie parsknął śmiechem.

– A ten drugi jak wygląda? I kto to właściwie był?

– Thierry Mullins.

Rory'emu przyszedł do głowy tylko jeden powód, dla którego Thierry Mullins mógłby walnąć Francisa pięścią w nos. Nie spodziewał się, że z Sullivana taki kobieciarz.

– Pójdę po kawę.

Nim Rory wrócił z kantyny, Francis najwyraźniej odzyskał panowanie nad sobą. Marynarkę powiesił na oparciu krzesła, przód koszuli miał opryskany wodą, a włosy mokre. Tymczasem zjawił się Hollins, który siedział teraz przy biurku, gapiąc się na Francisca.

Rory postawił na blacie dwie kawy i z kieszeni marynarki wyjął grzebień, który podał Francisowi.

– Dzięki.

– Hollins, przestań się gapić i bierz się do roboty.

– Tak jest, panie sierzancie.

Rory zdał Francisowi skrótową relację z przebiegu wieczoru.

– Dobra, zasadnicza sprawa to zapewnienie ścisłej ochrony Marni Mullins. Jest na liście ofiar sprawcy. – Francis wskazał na zdjęcia odpowiednich tatuaży przyklejone na tablicy. – A! Jak macie kogoś wolnego, to na liście jest też Thierry Mullins.

– Zajmę się tym – powiedział Rory. – Czy... chcesz postawić Mullinsowi zarzuty z paragrafu osiemdziesiątego dziewiątego?

Oczywiście usiłowałem dociec, co między nimi zaszło.

– Nie.

Rory uniósł brwi.

– Nie będę o tym rozmawiał – zakończył Sullivan.

Kiedy pochylił się nad dokumentami, drzwi do centrum koordynacyjnego się otworzyły i w progu stanął Bradshaw.

– Proszę, powiedzcie mi przynajmniej, że wiecie, gdzie jest ten Kirby. – Zlustrował ze wzgardą Francisca. – A ciebie co za cholera tu przyniosła?

Rory wystąpił krok naprzód.

– Zatrudniłem go przy tej sprawie – powiedział. – Liczy się każda para rąk.

Bradshaw się zjeżył.

– Właściwie to Sullivan ustalił tożsamość Kirby'ego, panie nadkomisarzu, i fakt jego zamieszkiwania na Stone Acre Farm. Potrzebuję go w tym śledztwie.

Choć Rory nie przepadał za Sullivanem, zaczynało do niego docierać, że jego szef jest inteligentny i wie, co robi. Poza tym gryzło go sumienie, że tak go wsypał z konferencją prasową.

– Co chcesz mi powiedzieć? Że Sullivan wykonuje twoją robotę lepiej od ciebie?

– Nie do końca – powiedział Rory, sprawiając wrażenie kogoś, kogo zaskakują własne słowa – ale faktycznie może niejedno wnieść do sprawy.

Sullivan rozdziawił usta, ale zaraz je zamknął.

Hollins, który podsłuchiwał ukradkiem, przewrócił stojącą na jego biurku kawę. Bradshaw na moment stracił wątek, po czym zwrócił się do Rory'ego:

– Nie tego od ciebie oczekiwałem, Mackay. – Spojrzał na Francisa. – Dobra. Zdrowy rozsądek podpowiada mi coś wręcz przeciwnego, ale przydzielam cię z powrotem do tej sprawy.

– W jakim charakterze?

– W tym zespole jesteś najstarszy stopniem, więc chyba oczywiste, że ty dowodzisz. Czy wam wszystko trzeba wykładać jak dzieciom?

– Nie, panie nadkomisarzu. Dziękuję.

– Podziękujesz, jak rozwiążesz tę sprawę. Co zamierzasz dalej?

– Będziemy nadal przesłuchiwać kierowców z Ditchling Road, do tego zespół przez okrągłą dobę przegląda nagrania monitoringu z całego miasta. Wyodrębniliśmy już nagranie z tego wieczoru, gdy zabito Evana Armstronga, mamy na nim osobnika w kapturze, który prawie na pewno jest zabójcą. Zidentyfikowaliśmy też dwa z wytypowanych przez zabójcę tatuaży, których zdjęcia wynieśliśmy ze stodoły Kirby'ego; mają je Thierry i Marni Mullinsowie i oboje objęliśmy ścisłą ochroną. Burton robi, co może, by zidentyfikować potencjalne ofiary z pozostałych zdjęć.

– A co z zarejestrowanymi na niego samochodami?

– Nie ma nic na jego nazwisko – powiedział Rory. – Ale najwyraźniej ma samochód, tyle że niezarejestrowany, nie otrzymaliśmy też żadnej informacji od ubezpieczycieli. Sprawdzamy ślady opon odcisniętych na Stone Acre, ale w ten sposób raczej nie uda nam się zawęzić poszukiwań.

– Kuźwa! Teraz to już szukaj wiatru w polu, gość może być wszędzie.

Francis się nie odezwał.

– Dobra, Sullivan, może i z powrotem objąłeś dowodzenie, ale od tego momentu uzgadniasz wszystko ze mną. Potrzebujesz kogoś doświadczonego przy sterze.

– Doskonale, panie nadkomisarzu – odparł Francis. Głos miał lodowaty. – Ma pan coś konkretnego na myśli?

– Musimy przejąć inicjatywę... Wyciągnąć zabójcę z ukrycia.

Rory zorientował się natychmiast, do czego zmierza zwierzchnik.

– Co pan proponuje? – zapytał Francis.

– To chyba oczywiste? Znamy tożsamość dwóch osób, których zabicie planował w następnej rundzie. Moglibyśmy podsunąć mu tę Mullins w charakterze przynęty.

Francis wytrzeszczył oczy.

– Nie sądzę, byśmy powinni to robić, panie nadkomisarzu.

- Nie? – Głos Bradshawa był ciężki od sarkazmu.
- Nie. Narażalibyśmy życie osoby cywilnej, konkretnie życie Marni. Nie po to zostałem funkcjonariuszem policji.
- Nie bądź śmieszny, Sullivan. Będziemy ją kryli. Nie ma mowy o jakimkolwiek ryzyku.
- Przykro mi, panie nadkomisarzu. Jeśli o mnie chodzi, to wykluczone. Twarz Bradshawa pociemniała.
- Nikt cię o zdanie nie pyta. Taką podjąłem decyzję i kropka.
- Zatem będzie pan musiał kolejny raz odsunąć mnie od sprawy. Nie wystawię Marni Mullins seryjnemu zabójcy.
- Rory miał już dodać, że równie dobrze mogą wykorzystać Thierry’ego, ale przerwał mu dźwięk telefonu. Dzwonił Hitchins.
- Mamy odpowiedź na poranny apel telewizyjny do potencjalnych świadków...
- Poczekaj. Przełączam cię na głośnomówiący.
- Zadzwoił jakiś człowiek. Widział kogoś, kto jego zdaniem może być Samem Kirby... W każdym razie był podobny do postaci z opublikowanych przez nas nagrań monitoringu.
- Gdzie? – przerwał mu Francis.
- Na przystani.
- Jedziemy.

XIV

Mój nóż. Mój nóż! Worpalny brzeszczot.

Wiem, gdzie upadł, ale nie mogę po niego wrócić. Nigdy nie wrócę do Stone Acre. Będą mnie wypatrywać. A gdyby nawet powrót był możliwy, to przecież go nie znajdę. Pewnie go już mają. Technicy są jak mrówki, rozpełzają się po całym moim świecie, rozbierają go na kawałki, oceniają moją pracę. Oceniają mnie.

Będą pod wrażeniem. Do diabła z nimi wszystkimi.

Mam inne noże. Oczywiście, że mam. Ale ten był wyjątkowy, ulubiony. Kolekcjoner przywiózł mi go z podróży do Japonii. Kilka miesięcy zajmie mi skombinowanie czegoś, co go zastąpi. Najpierw jednak muszę znaleźć jakieś miejsce do przyczajenia się. Kolekcjoner ma niedużą łódź zacumowaną na przystani, ledwie jedna mała kabina i śpiwór. To mi da trochę oddechu, kilka dni. Póki się nie dowie, że z niej korzystam. Chyba nie byłby zadowolony, choć przecież zyskam dzięki temu możliwość dalszej pracy nad jego zleceniem. Nadal bardzo mu zależy na skompletowaniu tej części kolekcji. Sygnalizował, że chce ruszyć naprzód ze swoim kolejnym projektem. Niezwykle ambitny człowiek – to jedna z cech, które najbardziej w nim podziwiam. Kiedyś coś mi opowiedział, historię ze swojego dzieciństwa. W szkole kolekcjonował karty Top Trumps. Miał oczywiście najwspanialszą kolekcję, ale brakowało mu jednej rzadkiej karty, szczególnie wysoko punktowanej. Kiedy okazało się, że zdobył ją jego przyjaciel, Kolekcjoner był naprawdę wściekły. Gdy kilka dni później wracali ze szkoły do domu, przerzucił przyjaciela przez balustradę mostu, jakieś dziesięć metrów nad szeroko rozlaną rzeką, i tak długo trzymał go za kostkę, aż chłopak zgodził się oddać kartę. Kolekcjoner zawsze dostaje to, na czym mu zależy. Nie wiem, czy więcej jest we mnie strachu, czy uwielbienia dla niego. Trzeba będzie uważać, by w trakcie rozmowy nie wymknęło mi się, gdzie śpię. Ale przede wszystkim muszę skończyć zadanie, które mi zlecił.

Przyjdę i skryje mnie cień, i znów zabiję, już niedługo. Aż świerzbią mnie palce.

Francis

Ściemniało się już, gdy Francis i Rory zaparkowali pod biurem ochrony przystani. W drzwiach stał umundurowany strażnik. Gdy wysiedli z samochodu, podszedł się przedstawić.

– Policja? – zapytał.

Francis skinął głową.

– Nazywam się Alan Chapman. To ja dzwoniłem.

Francis obszedł samochód i stanął na chodniku.

– Proszę nam opowiedzieć, gdzie go pan widział i dlaczego sądzi pan, że to był łowca tatuaży.

– Pokażę wam.

Gdy szli promenadą, mijając kolejne pomosty, opowiedział im wszystko ze szczegółami.

– Widziałem wasz apel w telewizji i nagranie z monitoringu. Zawsze zwracam uwagę na takie rzeczy, bo na przystani kręci się zwykle masa ludzi. Chociaż wcale się nie spodziewałem, że „wasz” człowiek zjawi się akurat tutaj.

Skręcił z promenady i poprowadził ich szerokim dwupoziomowym pomostem. Od dolnego pomostu odchodziły po obu stronach wąskie drewniane kładki, przy których zacumowano łodzie wszelkich rozmiarów. Na wyższym poziomie znajdowało się kilka dwukondygnacyjnych budyneczków z blachy falistej pomalowanej na żółto i białą.

– Co to? – zapytał Rory.

– Pysznice, toalety, pralnie samoobsługowe – odparł Chapman.

– Co pan zobaczył i gdzie? – indagował Francis.

– To było tutaj. – Ochroniarz wskazał jedną z węższych kładek. – Jestem prawie pewien, że to była ta, bo pamiętam tę dużą łódź na końcu. Cumuje tam na stałe. Byłem tutaj, patrzyłem w stronę brzegu i wtedy zobaczyłem człowieka w ciemnych ubraniach i bluzie z naciągniętym kapturem. Szedł szybko pomostem.

– Ale czemu nabrał pan podejrzeń?

– Jakoś tak szedł... Miał taki chwiejny krok, który skojarzył mi się z nagraniem z monitoringu, które puścili w wiadomościach. I ubrania miał

podobne do tego z waszego opisu. Rozejrzał się kilkakrotnie, jakby się bał, że ktoś go śledzi, albo nie chciał, żeby ktoś go zobaczył.

– Wszedł na którąś z łodzi?

Chapman wzruszył ramionami.

– Nie widziałem. Po drugiej stronie przybijała łajba, i to tak beznadziejnie, jakby kapitan robił to pierwszy raz w życiu. I jak znów spojrzałem w tę stronę, to już gościa nie było. Mógł wsiąść na którąś z łodzi albo zejść na ląd.

Rory potarł szczękę.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego uważa pan, że to mógł być nasz morderca. Bluzy z kapturem nie są rzadkością.

– Pracuję w ochronie od wielu lat. Człowiek zaczyna wyczuwać, kiedy ktoś jest skrępowany tym, co robi. Gdy wróciłem do biura, obejrzałem to wasze nagranie z monitoringu, tę niewyraźną postać na New Road. I tak jak mówiłem, facet miał podobny chód, podobne ubrania i było w nim coś takiego... Słuchajcie, pewnie, że mogę się mylić, ale założę się, że warto sprawdzić.

Poszli wąskim pomostem do końca i z powrotem, ale na wszystkich łodziach panował spokój, ani śladu właścicieli.

– Dziękujemy za zgłoszenie – powiedział Francis. Odwrócił się do Rory'ego.

– Ściągnij tu zespół... Niech sprawdzą wszystkie łodzie przy tym pomoście i przy dwóch sąsiednich. Może trafią na kogoś odpowiadającego opisowi.

Wrócili do biura ochrony.

– Może nam pan dostarczyć nazwiska i adresy właścicieli zacumowanych tu łodzi? – zapytał Francis Chapmana.

– Naturalnie.

– Macie monitoring na wszystkich pomostach?

– Nie, nie na wszystkich. Mamy kamerę przy wejściu na przystań, kilka wzdłuż promenady i kilka na parkingu.

– Możemy rzucić okiem?

Kilka godzin przeglądania nagrań z monitoringu oraz połączone wysiłki Hitchinsa i Hollinsa, którzy namierzali wszystkich właścicieli łodzi i sprawdzili wszystkie jednostki, nie dały absolutnie nic.

Francis nie wątpił w słowa Chapmana. Był wręcz pewien, że strażnik naprawdę widział to, co utrzymywał, że widział. Nie natrafili jednak na żaden ślad podejrzanej postaci w kapturze, a z samych oględzin miejsca nie sposób było wyciągnąć jakichkolwiek wniosków. Francis podrzucił Rory'ego na John Street, po czym wrócił tą samą drogą. Chciał się upewnić, czy pod domem

Marni jest obstawa.

Ucieszył się na widok policyjnego wozu. Zamienił kilka słów z dwoma funkcjonariuszami, którzy złożyli mu rutynowy raport. Gdy szedł już do swojego samochodu, otworzyły się drzwi domu Marni.

– Frank?

Podszedł do niej.

– Widziałam, że z nimi rozmawiałeś – powiedziała Marni bez wstępów, gdy stanął na najniższym z trzech stopni prowadzących do jej drzwi. – Proszę, odwołaj ich. Gdziekolwiek się ruszę, łażą za mną. Źle mi to robi na głowę.

– Poważnie? Siedzą tam, by ocalić ci życie. Myślałem, że poczujesz się pewniej.

Ostrożnie postawił stopę na drugim schodku, zastanawiając się, czy Marni zaprosi go do środka.

– Sama potrafię się o siebie zatroszczyć.

– Założę się, że Evan Armstrong był tego samego zdania. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt.

Marni westchnęła.

– Prosiłam, żeby mnie zostawili w spokoju, ale jak grochem o ścianę.

– Mówili mi, ale to moje, a nie twoje rozkazy wykonują.

– A ja nie mam tu nic do powiedzenia?

– No nie.

Zszedł z powrotem na chodnik.

Marni spojrzała na niego spode łba.

– Podziękujesz mi, kiedy już złapią zabójcę, którego jedynym celem jest zdjęcie ci z pleców tego prześlicznego obrazka. W tym momencie nie mamy pojęcia, gdzie jest. Sprawdzamy raporty o pojawieniu się podejrzanych osób w całym Brighton i wzdłuż południowego wybrzeża. Jakiemuś facetowi wydawało się, że widział go na przystani, inny zadzwonił godzinę później, że niby widział go w Shoreham. Ale dopóki gość nie trafi za kratki, ty będziesz miała ochronę.

– Mam psa i brałam lekcje samoobrony.

– Pieprz nie poradzi sobie z facetem uzbrojonym w nóż. Kilka zajęć z samoobrony też nie na wiele ci się przyda.

Marni wpatrywała się w niego z zaciśniętymi ustami. Zrobiła gest, jakby chciała zamknąć drzwi, ale się rozmyśliła.

– Chodziłam na zajęcia z samoobrony, bo byłam w niebezpieczeństwie. To nie był jakiś durny wymysł. Szkolił mnie były żołnierz wojsk izraelskich. Krav maga, ich system samoobrony.

- Jestem pod wrażeniem.
- Nie miałam wyboru. Chodziło o człowieka, który był dla mnie realnym zagrożeniem.
- To z jego powodu później siedziałaś?
Skinęła głową, twarz miała bladą i napiętą.
- Co się stało? – zapytał łagodnie.
Pokręciła głową.
- Nic szczególnego. Ot, facet, który dostał świra na moim punkcie.
- Gdzie teraz jest?
- W więzieniu. Siedzi za coś kompletnie niezwiązanego.
- Kto to jest?
- Brat bliźniak Thierry’ego. Zgwałcił mnie. A ja dziabnęłam go nożem. –
Spojrzenie miała bezlitosne i nieustępliwe. – A teraz, proszę, odwołaj swoje psy.

Marni

Człowiek bez twarzy niósł na ręku Luke'a, dziecko, które straciła. W drugiej ręce trzymał długi zakrzywiony nóż połyskujący oślepiającym światłem. Biegli. Czasem Marni biegła za nimi, czasem to oni ścigali ją. Alex wołał ją z oddali, ale choć biegła ze wszystkich sił, nie mogła się do niego zbliżyć.

Obudziła się zrana potem i wstała, żeby otworzyć okno. Na ulicy tkwił służbowy samochód, w środku kierowca popijał kawę z papierowego kubka.

Kawa jest dobra na wszystko. Marni zerknęła na radio z budzikiem przy łóżku. Była umówiona w studiu za pół godziny. Wizyty miała rozplanowane do wieczora i musiała wreszcie zarobić jakieś pieniądze. Kawa i prysznic.

Czterdzieści minut później zapukała w szybę policyjnego wozu.

– Skoro już tu jesteście, to może byście mnie podrzucili do pracy? – powiedziała, kiedy skwaszony policjant opuścił szybę. – I tak tam jedziecie, a ja jestem spóźniona.

– Wskakuj – powiedział bez cienia uśmiechu.

I właściwie nie mogła go za to winić. Co to za robota siedzieć w małym samochodzie osiem godzin bez przerwy i patrzeć, jak ktoś inny żyje swoim życiem.

Pierwszy klient czekał na nią przed drzwiami. Potem do końca dnia, mimo niepojawienia się jednej z umówionych osób, Marni nie wypuszczała z rąk maszynki do tatuażu. Dobrze się czuła, znów pracując. Ostatnie tygodnie były takie chaotyczne, a ze względu na to zamieszanie z policją musiała przepisać na inne terminy kilkoro stałych klientów. Miała nadzieję, że niedługo drania złapią i życie wróci do normalności. Stabilnej, spokojnej i pozbawionej nagłych zwrotów. Właśnie takiej, jaką lubiła.

Po południu była umówiona ze Steve'em, miała skończyć tygrysa, nad którym pracowała podczas konwentu. To będzie wspaniała praca – jak już ją wreszcie skończy – pomarańczowy tygrys na tle masy purpurowo-różowych chryzantem, z zębami i kłami ociekającymi krwią.

Steve przyszedł wcześniej i czekał dwadzieścia minut, zanim skończyła tatuować swojego poprzedniego klienta i przyjęła zapłatę. Niecierpliwie usiadł na kozetce.

– Myślisz, że dziś uda ci się skończyć?

– Możliwe – powiedziała Marni, wzruszając ramionami. Przyjrzała się uważnie wykonanej do tej pory pracy. – Zostało jeszcze jakieś cztery do pięciu godzin, więc zależy, ile wytrzymasz.

W pierwszej godzinie tatuowania Marni zwyczajnie się wyłączyła. Steve wyjaśniał jej, czym zajmuje się jego firma, jakieś najnowsze techniki programowania, którymi Marni była absolutnie niezainteresowana, nie mówiąc o tym, że miała marne szanse, by zrozumieć, o czym Steve mówi. Mimo to gadał dalej, właściwie na jednym wdechu, głównie o tym, jaka to rzekomo lepsza jest jego firma od konkurencji. Marni zanurzyła się w swojej sztuce i stres ostatnich dni zaczął ustępować.

– A co u ciebie, Marni? Jak się miewa Alex? – zapytał Steve, zakłócając tok jej myśli. Miała nadzieję, że się nie zorientował, że od początku nie słuchała.

– W porządku. Zdał właśnie egzaminy końcowe, więc życie jest jedną wielką imprezą.

– Fajne czasy, dobrze pamiętam. A co zamierza dalej?

– Mam nadzieję, że uniwersytet. Geografia.

– Geografia? Zawodowo to raczej kiepski wybór. Podeślij go do mnie, to pogadam z nim o pracy programisty.

– Pewnie – odparła Marni, próbując się skupić na robocie.

– A co u ciebie? Jakies doniesienia o łowcy tatuazy?

Ręka drgnęła jej lekko i Steve się skrzywił. W tym samym momencie zastukała klapka nad szparą na listy i Pieprz popędził do drzwi, ujadając wściekle.

– Poczekaj chwileczkę, Steve. Jak nie uratuję poczty, to Pieprz ją zje.

– Jasna sprawa.

W nosie miała pocztę, ale była to idealna wymówka, by nie omawiać z nim kwestii morderstwa.

Był tylko jeden list, który Pieprz przesuwiał po podłodze, próbując go jakoś złapać w pysk.

– Daj spokój, Pieprz. To nie do ciebie – powiedziała, schylając się.

Na widok francuskiego znaczka chwyciła się kontuaru recepcji. Strach ścisnął ją w gardle i podniósł włosy na głowie. Rozpoznała pismo nadawcy.

Kolejny list od Paula.

Nie mogła go przeczytać. Ledwie potrafiła znieść dotyk koperty. Spojrzała jednak na pieczętkę urzędu pocztowego. List nadano w Marsylii. Wiedziała, że właśnie tam Paul siedzi w więzieniu. Zastanowiła się, w jaki sposób zdołał przeszmyglować list za mury i kto go nadał. Pewnie posmarował jakimś strażnikowi. Poczwała, że brakuje jej powietrza, ale zmusiła się, by spokojnie

odliczać, stabilizując oddech. Odłożyła list na kontuar adresem do dołu i zamknęła oczy.

„Czego on chce? Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju?”

Zakreśliła jej się w głowie, więc otworzyła oczy i utkwiała wzrok w jakimś czarnym punkcie na podłodze.

– Wszystko w porządku?

Cholera! Zapomniała o Stevie.

– Tak, tak. Za moment będę.

Przeszła do studia i wsunęła list do torby. Pomogła duża szklanka zimnej wody i uważna ocena dotychczasowej pracy.

– Słuchaj, Steve, dziś raczej nie skończymy. Przepraszam, ale jestem zmęczona, chyba nie mam siły na długą sesję. Zarezerwuję ci termin za kilka tygodni, dobra?

Steve się skrzywił.

– Poważnie, Marni? – Spojrzał na swoje ramię. – Tu niewiele już zostało do zrobienia. Nie możemy skończyć dzisiaj? Zapłacę ekstra.

– Nie chodzi o pieniądze. Jeśli będę pracować zmęczona, efekt nie będzie taki, jak bym chciała.

Zmęczona i zestresowana. Musiała coś zjeść, spadał jej poziom cukru.

– No to zrób sobie przerwę. Wypij kawę, a potem popchniemy ten ostatni kawałek. Naprawdę chciałbym to skończyć.

– Dlaczego?

– Jest ktoś, komu chciałbym to pokazać.

To akurat mogła zrozumieć. Wszyscy, którzy robili sobie tatuaż, chcieli go skończyć najszybciej, jak się da. Była wyczerpana, ale nie lubiła odsyłać klientów z kwitkiem.

Była to ostatnia rzecz, na jaką miała teraz ochotę, ale z kawą jakoś się przemęczy.

– Dobra. Też chcesz kawę?

– Pewnie. Dzięki, Marni. Tatuujesz jak stara.

XV

Ma policyjną obstawę, psy siedzą w samochodzie pod jej studiem. Dzięki temu łatwiej się zorientować, gdzie akurat przebywa. Siedzieli pod jej domem zeszłej nocy. Przyjechali tam za nią z żółtą prędkością, kiedy szła z pubu, gdzie spotkała się ze znajomymi. Dyskretnie towarzyszyli jej już wcześniej, gdy pojechała odebrać syna z zajęć sportowych. Ale słowo daję, ich ciągła obecność naprawdę nie ułatwia mi życia.

Mam już zielone światło od Kolekcjonera. Zadzwoił, żeby mi powiedzieć, że zależy mu na popchnięciu sprawy naprzód. Szuka mi jakiegoś nowego miejsca, gdzie da się możliwie szybko znów uruchomić wyprawianie skór. Był znacznie spokojniejszy niż podczas naszej ostatniej rozmowy, bardzo rzeczowy, żadnego łajania. Wytypowaliśmy więcej tatuuaży, by zastąpić skóry zabrane przez policję, więc mam nową listę. Na pierwszym miejscu figuruje Marni Mullins. Kolekcjoner kazał mi odczekać z wycięciem jej tatuuażu, ale teraz uznał to za kwestię priorytetową. I trzeba powiedzieć, że sądząc po zdjęciach, jej tatuaz jest rzeczywiście niezwyklej urody.

Po tym jak znaleźli fotografie w Stone Acre, przydzielenie jej obstawy było nieuniknione. Ale policja siedzi pod studiem, a ona w środku. Od witryny i zamkniętych drzwi zakładu dzieli ich jakieś dziesięć metrów. Obserwuję ich, rozmyślając, jak sobie z nimi poradzić. Przechytrzyć ich czy zabić w pierwszej kolejności?

To wszystko kwestia oceny ryzyka względem przewidywanego zysku. Kolekcjoner zapłaci wielką sumę za tatuaz z pleców Marni Mullins, ale tu nie chodzi o pieniądze. Przynoszę mu rozczarowanie. Policja depcze mi po piętach, a ukończenie naszego projektu odsuwa się w czasie. Najważniejsze jest teraz to, by dowieść Kolekcjonerowi, że wciąż jestem właściwą osobą do wykonania tego zadania, że warto było powierzyć je właśnie mnie.

Mullins siedzi jeszcze w studiu, długo jak na nią. Obserwuję ją z zaułka na zapleczu ciągu sklepów. Rysuje, projektuje nowe tatuaze, które będzie mogła zaproponować klientom. Zupełnie sama w głębi studia, kiedy jej obstawa popija kawę i pali papierosy od frontu.

Nawet się nie zorientują, jak już przyjdzie co do czego. Za kilka godzin będą znudzeni i senni. A jeśli praca na dobre ją pochłonie, może uda się właśnie dziś.

Ciekawe, jak usilnie będzie walczyć. Jak mocno będzie krwawić.

Marni

Praca nad Steve'em przeciągnęła się do późna i teraz Marni marzyła tylko o powrocie do domu i gorącej kąpieli. Wiedziała jednak, że nieprędko zaśnie. Dręczyły ją gonitwa myśli i nerwowy ucisk w żołądku. Dlatego po szybkiej kolacji z Alexem wróciła do studia popracować nad rysunkami. Tylko w ten sposób mogła odzyskać tak potrzebny jej spokój. Poza tym był już czas doprowadzić sprawę do końca.

Przez godzinę próbowała skupić się na leżącym przed nią rysunku, a nie na czerni wypełzającej z kątów studia. Siedziała sama w niewielkim kręgu światła, odwrócona plecami do okna. Miała na sobie wiązaną na szyi bluzkę odsłaniającą górną część tatuażu, widocznego dla każdego, kto przechodziłby zaułkiem na zapleczu. Zrobiła to celowo, choć wieczór przyniósł lekkie ochłodzenie.

Frank Sullivan nie miał prawa mówić, co jej wolno, a czego nie. Czuła, że musi zrobić wszystko, co w jej mocy, by wyciągnąć zabójcę z jego nory. Zbyt często była w przeszłości ofiarą: przypominały jej o tym nieotwarte listy od Paula, które trzymała w komodzie. Teraz odzyska kontrolę nad sytuacją. Nie zamierzała dać się zastraszyć Paulowi i nie zamierza dać się zastraszyć łowcy tatuaży. Niech drań się do niej pofatyguje. Wyjdzie mu naprzeciw z podniesionym czołem.

A jeśli się okaże, że go zna? Przez moment doznała jakby przebłysku. Miała poznać tożsamość łowcy tatuaży, lecz bała się tego objawienia.

Rysunek. Pozwoliła myślom odpłynąć, tymczasem musiała się skupić. Nowa klientka poprosiła ją o zaprojektowanie rękawa w stylu japońskim, którego elementem byłyby ulubione kwiaty jej matki, więc jak zawsze w przypadku prac na zamówienie istotne było przeniesienie na papier oczekiwań klientki, a nie własnych pomysłów. Naszkicowała eksplozję przerysowanych peonii i oczyma duszy zobaczyła magentę i róż, skonstrastowane gdzieś ze szmaragdowymi liśćmi. Dodała kilka motyli na górze, a na dole ukryła wyglądającą spod liści żabkę. Minęła godzina, nim podniosła wzrok znad kartki.

Jej myśli zdryfowały ku śledztwu i listom nadchodzącym z Francji, ołówek zawisł nad kartką. Poczuła się nagle bezbronna.

Odłożyła peonie na bok i zaczęła od nowa na czystej kartce. Skoro tak trudno było jej się skupić, powinna przynajmniej pozostawić swobodę dłoni uzbrojonej w ołówek. Zaczęła od przecięcia strony kilkoma zamaszystymi krzywymi, po czym przyjrzała im się spod zmrużonych powiek, usiłując dociec, dokąd zmierzają.

„Ostre cięcie na wytatuowanej skórze. Wykwitający strumyczek szkarłatu”.

Szeroko otworzyła oczy i odwróciła wzrok od kartki.

Pieprz parsknął pod biurkiem, więc pochyliła się, aby podrapać go za uchem. Tu nic się nie wydarzy. W ciemnościach nie było nikogo zagląającego do środka.

Obróciła leżącą na biurku kartkę i dostrzegła w szkicu kształt przetaczającej się fali w stylu Hokusai. Ujęła ołówek i zaczęła rysować z większym przekonaniem; tym razem udało jej się wyciszyć dręczący ją niepokój. Mijały godziny, na brzegu biurka rosła sterta rysunków. Wyszła z Pieprzem na dwór, żeby zapalić, po czym zaaplikowała sobie insulinę i z kubkiem świeżo zaparzonej kawy wróciła do porzuconego wcześniej kwietnego wzoru. Była już prawie pierwsza w nocy i Pieprz zaczął się kręcić, chcąc wrócić do domu, ale Marni miała wenę.

Głośny trzask od strony tylnych drzwi momentalnie podniósł jej poziom adrenaliny. Ścisnęło ją w żołądku i włosy stanęły jej dęba.

– Halo? – zawołała, odsuwając krzesło od stołu i wstając z miejsca.

Pieprz warknął i wypadł ze swojego schronienia. Oboje wlepili wzrok w tylne drzwi studia, które otworzyły się z impetem. Do środka wpadła ubrana na czarno postać, Marni dostrzegła zbliżający się srebrny błysk. Całe jej ciało napięło się i skurczyło. Nie mogła złapać tchu, zebrać myśli. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie.

Nóż znajdował się w prawej dłoni napastnika, lewa ścisnęła zwiniętą w kulkę szmatę. Twarz skrywała kominiarka. Marni odruchowo przyjęła pozycję obronną. „Krótkie, proste, powtarzalne ciosy”. Cała ta mantra przebiegła jej przez głowę, gdy uniosła ręce, by odeprzeć atak.

Pierwszy w zwarcie wszedł Pieprz. Rzucił się w obronie swojej pani, szcękając ochryple, póki nie zacisnął szczęk na łydce mężczyzny. Marni wykorzystwała efekt zaskoczenia, próbując podciąć mu drugą nogę, ale nie była na tyle blisko, by uzyskać wystarczający impet. Mężczyzna błyskawicznie opuścił nóż i przejechał nim Pieprzowi po grzbiecie, dokładnie między łopatkami. Pies puścił łydkę, skowycząc z bólu i odwracając głowę, gdy mężczyzna cofał nóż, przez co cięcie zyskało dodatkowy rozmach i krew trysnęła na białą sierść Pieprza. Pies zwałił się ciężko i zacharczał, gdy

uderzenie o podłogę wypchnęło mu powietrze z płuc.

– Ty bydlaku! – wrzasnęła Marni.

Mężczyzna rzucił się na nią z nożem i poczuła, jak drasnął ją w ramię. Uchyliła się i zrobiła krok w tył, odnajdując w pamięci techniki samoobrony, których kiedyś się wyuczyła.

Już wiedziała, co robić. Kilka krótkich, mocnych ciosów wymierzonych w rękę, w której napastnik trzymał nóż, wybiło go z rytmu. Jeszcze jeden cios. Mężczyzna jednak cofnął się szybko i wyciągnął dłoń, w której trzymał szmatę. Rzucił nóż i obrócił się, zyskując przestrzeń, by przydusić jej szyję ramieniem. Marni zobaczyła szmatę zbliżającą się do jej twarzy. Nawet zmięta, zakryłaby jej nos i usta. Próbowwała odsunąć ramię, ale napastnik był silniejszy i prawie trzydzieści centymetrów wyższy.

„Gdzie, na miłość boską, podziewa się ta cholerna ochrona, kiedy jej człowiek potrzebuje?!”.

W nozdrza uderzyła ją dusząca woń. Szmata wylądowała na jej twarzy i Marni zrozumiała, że jeśli wciągnie powietrze, będzie to jej ostatni świadomy wdech. Mogła wstrzymać oddech na jakieś półtorej minuty, raczej mniej, jeśli będzie się szarpać. Rozluźniła się i oparła o mężczyznę, lekko nań napierając i zmuszając go do zrobienia kilku małych kroków w tył. Wyczuła, gdzie stawia stopy, i z całej siły nastąpiła mu na prawą.

Wrzasnął i w tym ułamku sekundy Marni zdołała wyśliznąć się z jego uchwytu. Odwróciła się twarzą do niego i zaczęli się mocować. Marni wciąż jeszcze czuła na twarzy resztki chloroformu, ich opary napędzały jej wściekłość. Miała tego dość. Wraziła facetowi kolano w pachwinę, ale nie rozluźnił chwytu na jej barkach.

Pieprz zacharczał i spróbował się poruszyć. Marni zerknęła w jego stronę. Leżał w plamie krwi, czarnej w półmroku i powiększającej się na podłodze. Korzystając z jej nieuwagi, mężczyzna podciął Marni tak, że przewróciła się na podłogę. Sekundę później siedział już na niej okrakiem, zbliżając do niej szmatę nasączoną chloroformem.

– Dlaczego? – wydyszała Marni, wijąc się pod jego ciężarem. – Dlaczego je zabierasz?

Mężczyzna miał twarz zasłoniętą kominiarką, lecz mimo to pochylił głowę i odwrócił ją na bok, jakby nie chcąc się odsłonić.

– Ty świrze!

Wściekłość nie pozwalała jej się poddać. Marni wiała się desperacko, rzucając głową, by nie dać się oszołomić chloroformem. Nie zamierzała do tego dopuścić. Nie umrze tu na podłodze. Nie teraz.

Ale mężczyzna miał przewagę. Wymierzył jej silny cios w głowę i pokój zawirował. Aż się zatchnęła, gdy jak przez mgłę zobaczyła zniżającą się nad nią rękę z nasączoną chloroformem szmatą.

– Nie... Neeee!!! – wrzasnęła ze wszystkich sił, a słowa przeszły w skowyt.

Gorączkowo szukała wyjścia, ale ręce miała unieruchomione pod ciałem. Mogła kopać, ale nie była w stanie zgiąć nóg na tyle, by zrobić facetowi krzywdę. Wiła się pod nim, ale była bez szans.

Kominiarka miała otwory na oczy i szparę na usta. Mężczyzna uśmiechał się szeroko, pochylając się nad Marni coraz niżej. Jej strach napawał go radością, widziała to w jego oczach i uśmiechu. Widywała wcześniej ten wyraz na słabych i okrutnych twarzach.

„Nie pozwolę, by był to ostatni widok w moim życiu”.

Wzięła głęboki wdech, napełniając klatkę piersiową, zacisnęła usta, gdy szmata opadła jej na twarz, po czym sięgając do ostatnich rezerw, poderwała głowę i z całej siły wyrznęła napastnika czołem w nos. Rozległ się chrzęst i mężczyzna szarpnął się w tył. Zabolało ją jak diabli, ale ostry, wysoki krzyk bólu był sygnałem, że jemu zrobiła większą krzywdę.

Mężczyzna złapał się rękami za nos, a chloroformowy gałgan spadł Marni z twarzy. Znów mogła oddychać. Poczowała, że napastnik nieco przeniósł ciężar ciała, więc wykorzystując jego chwilową nieuwagę, oswobodziła ręce. Przekreśliła się na bok, wytrącając go z równowagi na tyle, że udało jej się go zepchnąć.

Choć instynkt podpowiadał jej, by poderwać się i wiać jak najszybciej, wiedziała, że właśnie tego nie powinna zrobić. Dopadłby ją w trzy sekundy. Zwaliła się więc na niego i chwyciła za ręce, przygniatając leżącego twarzą do podłogi.

Oboje dyszeli ciężko i Marni uzmysłowiła sobie, że kiedy facet odrobinę ochłonie, podejmie bardziej skoordynowaną próbę ucieczki. Musiała działać szybko. Chwyciła go za kominiarkę na potylicy i walnęła jego twarzą o podłogę. Krzyk stłumiły deski. Zrobiła to jeszcze raz, po czym na wszelki wypadek trzykrotnie poprawiła.

No i dobrze. Walczyła o życie i jego ból nic dla niej nie znaczył.

Szamotał się z mniejszą zaciekleścią, ale nie poddał się całkowicie. Marni rozejrzała się, desperacko kombinując, co dalej. Coś błysnęło pod biurkiem. Nóż. Odetchnęła powoli, by uspokoić walące serce, i oceniła, czy zdoła go dosięgnąć, nie puszczając faceta.

„A potem co? Dźgnąć go?”.

Nagle rozległ się hałas przy drzwiach wejściowych i do środka wpadło

dwóch policjantów. Szybko przygwoździli napastnika i pomogli Marni się podnieść. Gdy jeden z nich zakładał mu kajdanki, Marni rzuciła się w stronę Pieprza, który leżał bez ruchu w kałuży krwi.

– Nie, nie, błagam... Pieprz, proszę, błagam, nie zdychaj.

Delikatnie pociągnęła go ku sobie i objęła jego głowę ramionami. Pierś psa unosiła się w rytm płytkich, nieregularnych oddechów.

– Błagam, wezwijcie weterynarza! – krzyknęła do jednego z policjantów.

– Za moment, słonko.

Kiedy już unieszkodliwiono napastnika, funkcjonariusze wezwali posiłki.

Marni zamknęła oczy. Nie potrafiła znieść myśli, że mogłaby stracić Pieprza. Otoczyła go drżącymi ramionami, oddychając ciężko i czując, że serce wali jej młotem, adrenalina jeszcze nie opadła. W ciągu kilku minut w studiu zaroilo się od policji.

– Marni? – To był głos Franka. – Co tu się dzieje? Cholera, masz rozciętą rękę!

– Nic mi nie jest – powiedziała roztrzęsiona, nie zerknąwszy nawet na ranę.

– Czy to on? Złapaliście łowcę tatuaży?

Jeden z mundurowych poderwał napastnika na nogi. Francis stanął przed nim. Mężczyzna był od niego znacznie wyższy i masywniejszy, mierzył sporo ponad metr osiemdziesiąt.

– Sam Kirby?

Gość nie odpowiedział. Francis szarpnięciem zdjął mu kominiarkę z głowy i zaskoczony wciągnął powietrze.

Wszyscy obecni zrobili to samo.

Łowca tatuaży był kobietą.

Francis

Sam Kirby. *Samantha*. Łowca tatuaży. *Łowczyni*. Francisowi nie mieściło się to w głowie. Od samego początku, odkąd Marni znalazła ciało Evana Armstronga, przez myśl mu nie przeszło, że zabójca może być kobietą. Ale właściwie dlaczego? Odpowiedź nasuwała się sama – te zabójstwa wymagały siły fizycznej. Bezwładne ciało jest ciężkie jak wór kartofli, a zabójca obezwładniał ofiary, przenosił je, odrąbywał im kończyny, zdierał im skórę, po czym je porzucał. Gdyby ktokolwiek wysunął przypuszczenie, że zabójcą może być kobieta, zespół śledczy zabiłby go śmiechem.

Oczywiście teraz Francis potrafił to sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę rozmiary Sam Kirby: wysokiej, masywnej i umięśnionej. Z pewnością była wystarczająco silna, by sprostać temu zadaniu, ale że w kobiecie może być tyle agresji? Seryjne zabójczynie zdarzały się stosunkowo rzadko, a większość udokumentowanych przypadków wiązała się z użyciem trucizny lub z mordowaniem dzieci bądź osób starszych. Nie potrafił sobie przypomnieć, by słyszał o przypadku zabójczynie atakującej i mordującej swoje ofiary tak, jak robiła to Sam Kirby.

Co więcej, Marni Mullins rozmyślnie zrobiła coś, o co jej nie prosił, i już samo to go rozwścieczyło. Jak mogła się tak narażać, o niczym mu nie wspomniawszy? Jak mogło jej w ogóle coś takiego przyjść do głowy? Było to niewiarygodnie nieodpowiedzialne i Francis z trudem się pohamował, by nie złapać jej za ramiona i nie potrząsnąć.

– A gdyby jej się udało?! – wrzasnął na nią w tych pełnych konsternacji minutach tuż po zdemaskowaniu zabójczynie. – Mogło tu dojść do morderstwa, a ja patrzyłbym właśnie na twoje zakrwawione, obdarte ze skóry plecy!

Później przeraził się swojej reakcji. Wydarzenia tej nocy potwornie nim wstrząsnęły. Nie mógł znieść myśli o tym, że Marni Mullins mogłaby stać się kolejną ofiarą łowczyni tatuaży. Dzięki Bogu funkcjonariusze odkomenderowani do ochrony Marni usłyszeli jej krzyki. Faktem jest, że zanim się pojawili, Marni odzyskała kontrolę nad sytuacją, ale przecież ta walka równie dobrze mogła się skończyć zupełnie inaczej.

W drodze do gabinetu Bradshawa Sullivan był jeszcze rozdygotany. Nie miał wątpliwości, że aresztowana przez nich kobieta jest łowczynią tatuaży.

Włamała się do studia Marni z nożem w rękę, a pod tylnymi drzwiami znaleźli torbę z zestawem noży, plastikową płachtą i zapinanymi plastikowymi torebkami wielokrotnego użytku. W jednej z bocznych kieszeni torby znajdowało się opakowanie leku z naklejką farmaceuty – beta-blockery przepisane Sam Kirby. Gdy zdjęli jej lateksowe rękawiczki, zobaczyli na grzbietach obu dłoni tatuaże zakrwawionych serc – ogniwo łączące ją z napaścią na Dana Cartera.

Rose Lewis będzie miała używanie, łącząc dowody zebrane z torby, z gospodarstwa i z poprzednich miejsc zbrodni.

Francis zapukał do drzwi gabinetu Bradshawa i wszedł do środka.

– Gdzie jest Mackay? – zapytał Bradshaw, nim Sullivan zdążył przekroczyć próg.

– Zaraz będzie. Chciał tylko dopilnować formalności związanych z aresztowaniem.

Bradshaw z zadowoleniem skinął głową.

– Dobra robota, Sullivan. Nie miałem wątpliwości, że w końcu złapiesz zabójcę. Widzisz, miałem rację, żeby użyć jednej z wytypowanych ofiar w charakterze przynęty. Wywabiła zabójcę z kryjóWKi. Dobra robota.

– Dziękuję, panie nadkomisarzu. – Francis zacisnął zęby, żeby mu nie odwarknąć, i usiadł naprzeciw biurka Bradshawa. – Ale tak naprawdę to zasługa Marni Mullins. My tylko przyszliśmy na gotowe. W życiu nie zatwierdziłbym takiego podstępu, gdyby go ze mną wcześniej omówiła.

Bradshaw uniósł brwi, ale Francis nie zamierzał mu niczego klarować.

– W każdym razie masz pewność, że ta kobieta jest zabójcą? Mnie się to wydaje dość wątpliwe. Ale jeśli tak, to czy nie sądzisz, że mogła mieć współnika?

– W tym momencie posiadamy bardzo silne dowody, że jest poszukiwaną przez nas osobą – powiedział Francis. – Po południu uzyskamy ostateczne potwierdzenie.

– A współnik? Uwzględniasz taką możliwość?

– Nie natknęliśmy się na nic, co sugerowałoby współudział.

– Ale kobieta działająca w pojedynkę...? To były zabójstwa wymagające dużej siły.

– To potężna kobieta, panie nadkomisarzu. Wysoka, silna i muskularna. Podejrzewam, że robi regularnie niezły trening siłowy.

– Hmm... – Bradshaw nie wyglądał na przekonanego. – Ani nagrania z tego wieczoru, gdy zginął Evan, ani zeznania świadków nieudanego napadu nie dają podstaw sądzić, że to była kobieta.

– Tak jak powiedziałem, ma bardzo męską budowę. Nagrania z monitoringu są niewyraźne, natomiast jeśli chodzi o zeznania świadków... Spodziewali się mężczyzny i mózg usłużnie podsuwał im taki obraz. – Francis wzruszył ramionami. – Jestem absolutnie pewien, że to ona.

Rory wszedł w trakcie jego wypowiedzi i kiwnąwszy im obu głową, usiadł.

– Wszystko w porządku?

– W najzupełniejszym. Jak tylko umyją jej twarz, zaprowadzą ją do pokoju przesłuchań.

– Nie potrzebuje pomocy lekarskiej?

– Już się nią zajął lekarz dyżurny. Złamany nos, ale chyba na razie poprzestali na worku z lodem. Jak za kilka dni zejdzie opuchlizna, to przyjrzą się temu uważniej. Dostała środki przeciwbólowe.

– No dobra, to może chodźmy tam. Sullivan, ty poprowadzisz przesłuchanie, a ty, Rory, będziesz na razie pełnił funkcję obserwatora. Będę się przyglądał, więc lepiej, żebyście tego nie spierdolili. To się musi skończyć konkretnym wyrokiem, więc jeśli narazicie dobro śledztwa...

Urwał. Wiedzieli, co by w takiej sytuacji zrobił, nie musiał mówić.

Francis wstał i wyszedł, a Rory za nim.

– Bradshaw uważa, że ona mogła mieć współnika – powiedział Francis, gdy już schodzili, zeskakując po dwa stopnie.

– Jakoś tego nie widzę – odparł Rory.

– Ja też nie. Ona wygląda na naprawdę twardą babę. Myślę, że mogła targać te trupy sama.

Kiedy dotarli na miejsce, Sam Kirby siedziała już w pokoju przesłuchań, skutymi rękami przykładając sobie do nosa woreczek z lodem. Krótko przystrzyżone siwe włosy miała potargane, poplamione krwią ubrania zastąpił bezkształtny szary dres. Siedziała rozkraczona jak mężczyzna i głośno oddychała przez usta.

– Możemy ją rozkuć? – zapytał Francis stojącego przy drzwiach oficera dyżurnego.

Sierżant podszedł do kobiety i zdjął jej kajdanki. Francis zwrócił uwagę na to, że Kirby nie starała się mu pomóc, choć przecież chodziło o jej wygodę. Roztarła nadgarstki i spojrzała spode łba na Francisa i Rory'ego. Oczy miała czerwone i załzawione, pod nimi zaczynały już wykwitać fioletowe kręgi.

Rory włączył dyktafon i wyrecytował datę, godzinę i nazwiska obecnych w pokoju osób. Odczytał Kirby jej prawa. Obserwowała go nieporuszona.

– Czy potwierdza pani, że nazywa się Sam czy też Samantha Kirby? – zaczął

Francis.

Zapytana wprost, Kirby wbiła wzrok w róg sufitu nad ich głowami. Francis powtórzył pytanie, choć podejrzewał już, że nie doczeka się odpowiedzi.

– Pani Kirby – powiedział, a twarz kobiety wykrzywił pogardliwy uśmiech.
– Prowadzimy śledztwo w sprawie pani napaści na Marni Mullins dziś w godzinach nocnych. Prowadzimy również dochodzenie w sprawie szeregu zabójstw oraz jednej próby zabójstwa, które miały miejsce w Brighton w ciągu kilku ostatnich tygodni. Współpraca z nami w trakcie przesłuchania naprawdę działa na pani korzyść.

Uśmiech wyglądał na jej posiniaczonych ustach jak grymas, ale był pierwszą oznaką, że Kirby w ogóle zauważyła ich obecność.

– Czy może pani podać miejsce swojego pobytu w podanych dniach i godzinach? Niedziela dwudziestego ósmego maja między północą a piątą rano, wtorek...

– To jeszcze nie koniec. Jeszcze nie – przerwała mu obcesowo. Miała chrapliwy głos.

Francis spojrzał na jej palce i dostrzegł przebarwienia od nikotyny.

– Proszę wyjaśnić, co ma pani na myśli.

Nie odpowiedziała, lecz podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Jeszcze raz potarła nadgarstki – grube, więc kajdanki musiały ją uciskać – po czym z powrotem utkwiała wzrok w suficie.

– Chce pani powiedzieć, że te zabójstwa jeszcze się nie skończyły? – zapytał Francis. – Dzięki zdjęciom znalezionym w stodole wiemy, że miała pani upatrzone inne cele. Ale przecież teraz nie zdoła ich pani zabić, prawda?

– To jeszcze nie koniec. Jeszcze nie. To jeszcze nie koniec. Jeszcze nie.

Francis potarł oczy kciukiem i palcem wskazującym.

Rory otworzył teczkę leżącą przed nim na stole. Pokazał kobiecie zdjęcie Evana Armstronga – to od jego rodziców, na którym prezentował swój nowy tatuaż.

– Rozpoznaje pani tego mężczyznę? – zapytał.

Kirby nawet nie spojrzała na zdjęcie.

– To jeszcze nie koniec. Jeszcze nie.

Rory zerknął na Francisę. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł oficer dyżurny.

– Mogę na słówko?

Na korytarzu sierżant przedstawił Francisowi łysiejącego, elegancko ubranego mężczyznę z kosztowną aktówką w ręce. Ciemne paciorkowate oczka szybko prześliznęły się po Francisie i jego otoczeniu.

– Pan Elphik – powiedział sierżant.

Francis uniósł brwi.

– Słucham.

– Jestem adwokatem pani Kirby – powiedział mężczyzna. – Chciałbym zobaczyć się z moją klientką i upewnić się, czy jest dobrze traktowana. Z tego, co mi wiadomo, podczas aresztowania została ranna.

Francis obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Nie w trakcie aresztowania. Pana klientka, być może pana o tym poinformuje, została ranna podczas napaści na panią Mullins, której na szczęście udało się obronić i obezwładnić panią Kirby.

– To pana interpretacja zdarzeń. Jestem pewien, że moja klientka ma do opowiedzenia zupełnie inną historię.

Prześliznął się obok Francisa do pokoju przesłuchań.

„Gdyby tylko zechciała się nią z nami podzielić”.

Rory włączył z powrotem dyktafon.

– Kontynuujemy przesłuchanie o trzeciej pięćdziesiąt nad ranem. W przesłuchaniu od tej chwili bierze udział również...

– George Elphik, adwokat oskarżonej – powiedział prawnik. Znał procedury.

Kirby, zauważył Francis, wyglądała w tym momencie na tak zadowoloną z siebie, jak tylko może wyglądać ktoś z rozciętą wargą i złamanym nosem.

– Kontynuuję przesłuchanie – powiedział Francis. – Czy zna pani lub kiedykolwiek spotkała Jema Walsha?

– To jeszcze nie koniec.

Elphick nachylił się ku swojej klientce i wyszeptał jej coś do ucha. Wzruszyła ramionami, a on energicznie pokiwał głową.

– Odmawiam składania zeznań – powiedziała.

I tyle. Zamiast „to jeszcze nie koniec” pojawiło się „odmawiam składania zeznań”. Francis wiedział, że dalsze próby są bezcelowe. Z adwokatem na karku nie wydebnią od Sam Kirby nic użytecznego. Co zresztą nie miało już znaczenia. Mieli mnóstwo dowodów znalezionych na miejscach zbrodni, a do tego – skoro już wiedzieli, że szukają nadzwyczaj wysokiej kobiety – pewność, że uda im się ją wyodrębnić na większej liczbie nagrań zrobionych w miejscach i porach zabójstw.

– Przesłuchanie zostaje zawieszono – powiedział i Rory wyłączył dyktafon.

Wstał i spojrzął z góry na Kirby, która wbijała wzrok w swoje ręce.

– Wiem już, gdzie panią wcześniej widziałem – powiedział. – Była pani na pogrzebie Evana Armstronga, prawda?

„No jasne”. Francisowi też coś mętnie świtało, lecz dopiero teraz zrozumiał. Widział ją już wcześniej i Rory miał słusność: na pogrzebie Evana Armstronga. To ona była tą ogromną kobietą, która siedziała obok nich w ostatniej ławce.

George Elphik wstał.

– Zanim zdąży pan zadać kolejne pytanie, domagam się wszechstronnego badania psychiatrycznego mojej klientki. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że nie będzie mogła uczestniczyć w procesie.

Zagranie prawnika nie było szczególnie zaskakujące, lecz mimo to drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadł Bradshaw.

– Panie Elphik, jeśli nabiorę choćby cienia podejrzeń, że utrudnia pan pracę funkcjonariuszy wykonujących swoje obowiązki, zostaną panu postawione zarzuty.

– Nie sądzę, by było to konieczne – powiedział Elphik. – Każdy sędzia przyzna, że badanie psychiatryczne leży w dobrze pojętym interesie mojej klientki. Dobranoc.

Wyszedł, nie odezwaawszy się do niej ani słowem, a jej było chyba wszystko jedno, czy zostaje, czy idzie. Kiedy jednak sierżant skuł ją z powrotem, by odprowadzić ją do celi, zaczęła się śmiać. I śmiejąc się, spojrzała wreszcie Francisowi prosto w oczy.

– Zmieniłam zdanie.

– W jakiej kwestii?

– Chcecie wiedzieć, kim jestem?

XVI

Oto mężczyzna, który mnie pokonał. Patrząc mu prosto w oczy, czuję przymus zbudowania z nim jakiejś więzi. Zabiję go. Kiedyś. W przyszłości. Ale najpierw musi zrozumieć, kim jestem. Zbyt wielu ludzi mnie nie rozumiało, nie doceniało mnie w przeszłości. Ale nie tym razem, nie on. Dam mu się poznać, tak jak powinnam była to zrobić, gdy mogłam jeszcze liczyć na uwagę mojego ojca. A może jeszcze wcześniej – gdy miałam jego miłość.

Wygląda na wstrząśniętego nagłą zmianą frontu. I oczywiście nic z tego nie rozumie.

Siadamy z powrotem w pokoju przestłuchań, tylko on i ja.

– No to proszę – mówi. – Proszę mi powiedzieć, kim pani jest.

I opowiadam mu moją historię. Oceniam jego reakcje na to, co mówię, i te reakcje pokazują mi, kim on jest. Poznaj swych wrogów, powtarzał mi zawsze Ron.

– Chce pan wiedzieć, co sprawiło, że jestem dziś tym, kim jestem?

Kiwa głową. W jego oczach widzę wyraz triumfu. Wydaje mu się, że usłyszy spowiedź. Ale nie sądzę, by dopuszczono to jako dowód w sądzie. Pan Elphik się o to zatroszczy.

– Moja rodzina zawsze pracowała ze skórami. Kirby – Wyroby Skórzane. Firmę założył sto lat temu mój prapradziadek. Powinna przejść na mnie, tymczasem przeszła na mojego brata Marshalla. Tatusisynka. Ma pan rodzeństwo, panie komisarzu?

Ledwie dostrzegalnie kiwa głową. Sprytny jest, nie chce dać się wciągnąć, ale i chce, żebym mówiła dalej. To taka nasza gierka.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

– O niej. Mam siostrę.

– Kocha ją pan, komisarzu?

Pytam o to tak, że twarz wykrzywia mu obrzydzenie.

– Proszę mi opowiedzieć o swoim bracie – mówi, a ja nie potrafię się oprzeć.

– Marshall ukradł mi prawo przysługujące pierworodnej. Nigdy nie powinien był przychodzić na świat. Wygryzł mnie z rodzinnej firmy, po czym doprowadził ją do bankructwa. Zmechanizował wszystkie etapy procesu produkcyjnego, kupował tanie skóry i źle je wyprawiał, ciągnąc zyski tak długo, aż wreszcie całą firmę trzeba było sprzedać za psie pieniądze.

– I co pani zrobiła?

– Zostałam wypchnięta z gniazda. – Przygnębia mnie już samo wypowiedzianie

tych słów. – Czy ojciec był dla pana wzorem?

Po jego twarzy przelatuje wyraz bólu. Nie musi nic mówić.

– A co było po tym, jak opuściła pani dom?

– Zaczęłam terminować u Rona Dougherty’ego. Miał pracownię preparatorską w Preston, tuż obok parku. Zna ją pan?

– Pamiętam ją.

Jego odpowiedź jest krótka i wyważona.

– Pracowałam w niej przez kilka lat jako asystentka Rona. Pod wieloma względami był dla mnie jak ojciec. Dał mi nie tylko dom i pracę, ale wiele, wiele więcej.

– Zajęła się pani wypychaniem zwierząt?

– Nauczył mnie wszystkiego, co powinnam umieć. Mogę chyba nieskromnie powiedzieć, że byliśmy najlepsi w branży. – Nudzi mnie już to wszystko. – Niech mi pan powie, czemu nienawidzi pan ojca.

– Nie nienawidzę go.

Kłamie. A ja się śmieję.

– Wie pan, że to jeszcze nie koniec.

Marni

– Marni? – Thierry wymówił jej imię tak, jak nikt go nie wymawiał.

Dźwięk jego głosu zdumiał ją i napełnił otuchą. Otworzyła oczy.

Leżała na szpitalnym łóżku. W sali stało jeszcze drugie, dokładnie na wprost niej – puste. Słońce wlewało się przez jasne, niepasujące do siebie zasłony i Marni zmrużyła oczy, próbując skupić wzrok. Po obu stronach jej łóżka siedzieli odwiedzający. Po jednej Thierry i Alex, po drugiej Francis. Do Marni stopniowo docierała panująca w sali atmosfera: tak gęsta, że można by ją kroić nożem.

Nagle wszystko do niej wróciło. Łowca tatuaży włamujący się do studia. Szamotanina. Zdemaskowanie wściekłej kobiety z tatuażami krwawych serc na grzbietach dłoni. Marni gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Nigdy ci nie wybaczę, że naraziłaś się na takie niebezpieczeństwo – powiedział Thierry.

Zignorowała go. Dramatyzował.

– Co z Pieprzem?

Thierry przysunął sobie krzesło do jej łóżka i ujął jej rękę.

– Nic mu nie jest. Zachowałaś się bardzo nieodpowiedzialnie.

Pogładził kciukiem grzbiet jej dłoni. Znajomy gest.

– Gdzie on jest?

– *Merde*. To tylko pies. Mogłaś zginąć. Tak się bałem, *chérie*.

– Daj mi spokój, Thierry. Jak widzisz, jestem stuprocentowo żywa. – Spiorunowała go wzrokiem i wyrwała rękę z uścisku.

Thierry, jakby nagle opuszczony, próbował chwycić ją jeszcze raz, ale wsunęła dłoń pod kołdrę.

Alex wpatrywał się w Marni niespokojnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

– Jak mogłaś to zrobić, mamó? Powinnaś była nam powiedzieć.

– Żebyście mnie powstrzymali?

– No właśnie, kurde, po to.

– Jak będę chciała zebrać ochrzan, to ci powiem – odcięła się cierpko. – Póki co to ja jestem twoją matką, nie na odwrót.

Ale od jego troski zrobiło jej się ciepło na sercu. I jednak dość głupio.

Francis odkaszlnął.

– W którymś momencie będę musiał spisać twoje zeznanie, Marni. Jak już będziesz w stanie je złożyć.

– Nie! Wpakowałaś ją w to bagno, to ją teraz zostaw w spokoju. Musi odpocząć. Nie wiem, co ty tu w ogóle robisz.

Thierry wstał i w jego postawie zarysowała się groźba.

Siedzący po drugiej stronie łóżka Francis zmarszczył brwi.

– Jest świadkiem w sprawie wielokrotnego zabójstwa.

– To twoja wina. To ty ją naraziłeś.

– Nie – powiedziała Marni. – Nie miał pojęcia, co planuję.

Thierry prychnął drwiąco. Opadł z powrotem na krzesło i spróbował raz jeszcze wziąć ją za rękę.

– Kiedy mogę wrócić do domu? – zapytała.

– To zależy od decyzji lekarzy – odparł Francis. – Mogłaś mieć lekkie wstrząśnienie mózgu.

Marni spuściła wzrok na swoje lewe ramię. Było owinięte bandażem.

– A to?

– Dziewięć szwów. Będziesz miała bliznę na rękawie – powiedział Thierry.

– Cholera! – Marni odwróciła się do Francisa. – Kiedy chcesz moje zeznanie?

– Kiedy będziesz czuła się na siłach.

– Nic mi nie jest. Jak dostanę kawy, mogę to załatwić od razu.

– *Non*. Musisz odpocząć. To jakiś absurd.

– Thierry, pozwól, że to ja zdecyduję, czy czuję się na siłach, czy nie. Odczep się z łaski swojej.

Thierry wstał raptownie.

– Dobra. Wiem, kiedy mnie nie chcą. Chodź, Alex.

– Przyjdiesz później?

Thierry spojrzał na nią wilkiem, ale skinął głową.

– Daj znać, jak on się stąd zabierze.

Przy drzwiach przystanął i zwrócił się do Sullivana:

– Możemy zamienić dwa słowa?

Francis wstał i wyszedł za nim.

Marni pękała głowa. Ostatnie, czego potrzebowała, to dwóch zręcznych się o nią facetów, zwłaszcza że żaden z nich szczególnie jej nie interesował. „A może?”. Nagle poczuła się do cna wyczerpana. Zamknęła oczy i świadomie rozluźniła mięśnie szczęki. Była bezpieczna. Zabójca znajdował się w więzieniu, nie miała się czego bać.

Drzwi otwały się i zamknęły.

– Marni? – Głos należał do kobiety.

Otworzywszy oczy, zobaczyła Angie Burton podającą jej kubek.

– Francis powiedział, że prosiłaś o kawę.

Podciągnęła się i oparła na poduszkach.

– Dzięki. A gdzie on jest?

– Na pewno przyjdzie, kiedy już będziesz gotowa – odparła policjantka, ale przyjazny uśmiech nie obejmował jej oczu.

Drzwi otwały się ponownie i do sali wszedł Francis.

– Dzięki, Angie – powiedział.

– Nie ma sprawy. Daj znać, jak będziesz jeszcze czegoś potrzebował.

Ewidentnie się do niego mizdrzyła. No cóż, Marni nie zamierzała stawać jej na drodze.

– Dobrze się czujesz, Marni? Potrzebujesz środków przeciwbólowych?

– Nic mi nie jest. Czego chciał Thierry?

– Zagrozić mi poważnym uszkodzeniem ciała, gdybym znów naraził cię na niebezpieczeństwo, nic wielkiego.

Marni prychnęła.

– Nie zwracaj uwagi. Głupie gadanie.

– Martwi się o ciebie. I słusznie. To była idiotyczna akcja.

Marni wyprostowała się na poduszkach.

– Ale doprowadziła do aresztowania łowcy tatuaży, tak?

– A przy okazji niemal do twojej śmierci.

– Może zamiast się wściekać, podziękowałbyś mi za to, że odwałam za ciebie robotę?

Francis zjeżył się, ale zmilczał. Wyglądał, jakby miał żabę w ustach.

– Wiesz co, pieprz się – powiedziała. – Jestem zmęczona i myślę, że pora na ciebie. Możesz się więcej nie fatygować.

XVII

Wywieźli mnie z Brighton. Wciśniętą do nędznej policyjnej furgonetki. Skutą przez całą drogę. Ten marny adwokacina nie powinien był do tego dopuścić. Śmierdzące więzienie w środku niczego. Niech mnie stąd, kurwa, wyciągnie. Kolekcjoner. Kolekcjoner musi mnie stąd wyciągnąć. Nie mogę oddychać. Zaraz się uduszę.

Nie radzę, żeby ktokolwiek próbował mnie dotknąć. Wszystko mi jedno, czy to będzie strażnik, czy jakaś więźniarka.

To się musi skończyć. WYPUŚĆCIE MNIE STĄD!

Gdzie on jest? Powiedział, że mnie ochroni. Jego prawnik powiedział, że wszystko załatwi, wydostaną mnie stąd. Nie mogę tu zostać, nie przeżyję tego.

Kolekcjoner mnie nie zawiedzie. Nie zawiedzie.

To wszystko wina Marni Mullins. Aż mnie palce świerzbią. Chciałabym jej pochlastać ten śliczny tatuaż. Pociąć jej plecy na kawałki. Obedrzeć ją ze skóry tępym nożem. Żeby poczuła. Słyszeć, jak krzyczy, gdy jej ciepła krew zalewa mi ręce.

Jeszcze się doczekam. Pokroję ją na kawałeczki. I ten rudy policjant. Dopadnę ich oboje.

To jeszcze nie koniec, jeszcze nie.

Gdzie jest Kolekcjoner? Gdzie on jest? Dlaczego nie przychodzi?

Marni

Lekarz był młody i przystojny, co uzmysłowiło Marni, że osiągnęła ten wiek, kiedy wszyscy pracownicy sektora publicznego zaczęli wyglądać młodziej od niej.

Gdy zaświecił jej silną latareczką prosto w oczy i obwieścił, że chciałby zostawić ją na obserwacji do następnego ranka, poczuła, że wcale go nie lubi.

– Poważnie? Czuję się całkiem dobrze.

– Ból głowy?

– Pomijając ból głowy.

Lekarz powoli zdjął jej opatrunek z ramienia. Skrzywiła się na widok długiego rozcięcia przymarszczonego w regularnych odstępach ciasno założonymi czarnymi szwami. Cięcie przechodziło przez sam środek dolnej połowy wytatuowanego rękawa, przepoławiając skrzydło anioła zemsty, które owijało się wokół jej przedramienia. To była praca Thierry’ego, pierwsza z kilku, które na niej wykonał; jej widok przywołał wspomnienia z okresu zakochania i Marni zastanowiła się, czy jeszcze kiedykolwiek zazna tak intensywnego uczucia. Lecz wraz z nimi napłynęły nieodłączne wspomnienia o Paulu, mrocznym trzecim wierzchołku trójkąta, i długim cieniu wszystkiego, co wydarzyło się później.

Doktor syknął z dezaprobatą.

– Trochę za mocno zaczerwienione jak na mój gust. – Dotknął skóry po obu stronach rozcięcia. – I gorące. Myślę, że wdało się zakażenie, ale dostała pani antybiotyki, więc wszystko powinno się uspokoić w ciągu doby. Przyślę pielęgniarkę, żeby założyła świeży opatrunek. Jutro rano przyjdę zobaczyć, jak to wygląda.

– A nie udałoby mi się przekonać pana do zmiany zdania?

– To dla pani dobra, pani Mullins. Przeżyła pani wstrząs, więc przez jakiś czas chcielibyśmy poobserwować u pani poziom cukru we krwi. Proszę zrozumieć.

Po jego wyjściu Marni przyjrzała się rozcięciu. Wygięła nadgarstek i poczuła ból promieniujący aż do barku. Rana wyglądała miejscami na bardzo głęboką. Dzięki Bogu na lewej ręce, nie na prawej.

Przysła pielęgniarka i zabandażowała jej ramię. Marni odczekała

cierpliwie, aż wyjdzie. Nadszedł czas, by wprowadziła w życie swój plan.

Stała ostrożnie i pokój zawirował; wiertarka udarowa w jej głowie reagowała na każdy ruch. Przez otwarte drzwi dostrzegła łazienkę. Zrobiła kilka ostrożnych kroków w jej kierunku, a kiedy wreszcie dotarła do drzwi, z ulgą uchwyciła się framugi. Potem przez kilka minut stała oparta o umywalkę, zanim ochlapała sobie twarz zimną wodą. W lustrze zobaczyła bladą, zmęczoną kobietę starszą o dziesięć lat: włosy w nieładzie, wczorajsza maskara rozmazana na policzkach.

Nie zamierzała tu siedzieć. Zabójcę aresztowano, a ona musiała wrócić do domu, wykąpać się i przespać we własnym łóżku. Tylko tak mogła wreszcie poczuć się lepiej.

Poczłapała z powrotem do sali i rozejrzała się za swoimi ubraniami. Leżały na krześle pod oknem. Bluzka i dżinsy były poplamione krwią, ale miała to w nosie. Poczowała się w nich lepiej niż w krótkiej szpitalnej koszulce wiązanej na plecach. Torebkę znalazła w szafce przy łóżku, na blacie stała fiolka ze środkami przeciwbólowymi. Przepisano je dla niej, więc wrzuciła je do torebki i zasunęła suwak.

Przy wyjściu ze szpitala nikt jej nie zatrzymywał, choć spodziewała się, że lada moment ktoś za nią zawoła. Po aresztowaniu łowcy tatuaży odwołano policyjną obstawę i nikt nie miał powodu jej pilnować. Na dole w holu przeszło jej przez myśl, czy nie zadzwonić po Thierry'ego, ale on pewnie próbowałby ją przekonać, żeby została tu na kolejną dobę. Przed wejściem do szpitala stały taksówki. Zanim Marni podeszła do jednej z nich, sprawdziła, czy ma w torebce pieniądze. Za kilka minut będzie w domu, a kiedy już zamknie za sobą drzwi, cały świat może jej skoczyć.

Lecz kiedy usiadła w taksówce i podała domowy adres, przeszedł ją dreszcz. Uzmysłowała sobie, że nie chce wracać do pustego domu. Alex był u Thierry'ego, a Pieprz w klinice weterynaryjnej.

– Przepraszam, czy mógłby mnie pan jednak zawieźć na Gardner Street?

– Pewnie – odparł taksówkarz.

Pojedzie do studia porysować. Tylko rysowanie pomagało jej uporządkować gmatwaninę emocji: napaść, to, co widziała na Stone Acre Farm, Pieprz, Frank Sullivan, Thierry, nieodstępne widmo Paula... To, co teraz się działo, nie miało nic wspólnego z jej przeszłością, ale gdzieś pod skórą nieodmiennie czaił się niepokój, który ujawniał się zawsze w chwili zagrożenia.

Dotarła pod studio, a ona już w chwili otwierania drzwi zorientowała się, że przyjazd tu był błędem. Musiała zedrzeć z drzwi policyjną taśmę, zresztą wcale nie była pewna, czy w ogóle ma prawo tu przebywać. Wróciły falą

wspomnienia zeszłego wieczoru i nagle Marni stanęła wobec wszystkich dowodów tego, co się wydarzyło – krew Pieprza, przewrócona kozetka, chaos na biurku, na wszystkich możliwych powierzchniach ciemne smugi proszku do zdejmowania odcisków.

Ale to była jej przestrzeń i po wszystkim, co się wydarzyło, nie zamierzała chować się w kącie.

Zmęczona zabrała się do sprzątanania. Zmyła z podłogi krew Pieprza, ze wszystkich sił starając się nie wdychać jej fetoru. Zdrową ręką dźwignęła kozetkę i starła zewsząd czarny proszek. Nie zdołała powstrzymać łez. Wzruszyła się na wspomnienie psiej odwagi, no i poczuła się dumna z siebie. Już kiedyś ją napadnięto, lecz tym razem nie dała się złamać. Wykorzystała zdobyte wcześniej umiejętności i ocaliła życie, może nie tylko swoje, skoro łowca tatuazy wylądował za kratkami. Gdy policja próbowała oskarżyć niewłaściwego człowieka, ona zrobiła to, co należało, by chronić członków swojego środowiska.

Sprzątananie zajęło jej kilka godzin. Gdy skończyła, huczało jej w głowie. Nie było szans, by mogła skupić się na rysowaniu. Chciała wrócić do domu, choćby całkiem pustego, i wczołgać się pod kołdrę.

I właśnie w tym momencie odezwał się jej telefon.

– Halo?

– Marni? Gdzie się podziewasz, do cholery?

To był Thierry.

– Jestem w studiu.

– A ja w szpitalu. Powiedzieli mi, że się wypisałaś.

– No... tak. Nie mogłam tam wytrzymać.

– Idiotka – warknął Thierry.

– Zadzwońeś, żeby mnie obrazić?

– Jadę po ciebie. Zawiozę cię do domu.

– Dziękuję.

Właściwie nie był taki zły.

Zabrała torbę i trochę materiałów plastycznych, upewniła się, czy tylne drzwi są zamknięte. Ktoś – na polecenie Francisa, jak mogła się domyślać – założył tymczasową kłódkę, by jakoś naprawić szkody wyrządzone przez Sam Kirby, która wywalila drzwi kopniakiem. Z założeniem nowego zamka tak bardzo się nie spieszy.

Wyszła frontowymi drzwiami i stanęła na chodniku, by zaczekać na Thierry'ego. Zapadał zmrok i większość pobliskich sklepów i kafejek była już zamknięta. W połowie Gardner Street z szyldu klubu komediowego wystawała

nad ulicą para gigantycznych nóg w czerwono-białych pasiastych pończochach; zawsze ją to rozśmieszało. Upolowała to studio po rozstaniu z Thierryem, kiedy musiała opuścić Tatouage Gris. Dziś nie potrafiła uwierzyć, że kiedykolwiek mogła chcieć pracować gdzie indziej.

Rozejrzała się za wiekowym jaguarem Thierry'ego. Przynajmniej wygodnie dojedzie do domu.

Ulicą przejechał jakiś samochód, świecąc reflektorami. To nie był jaguar, tylko biała furgonetka, więc Marni rozglądała się dalej. Na świeżym powietrzu ból głowy nieco zelżał. Tęsknie pomyślała o gorącej kąpieli z pianą i uśmiechnęła się. Poczowała się dumna z siebie i spokojnie wybiegła myślą w przyszłość. Coś sobie udowodniła i nie pozwoli sobie o tym zapomnieć. Nie była ofiarą.

„Nie jestem już niczyją ofiarą”.

Nagle tył jej głowy eksplodował tak potwornym bólem, że aż się zatoczyła. Złapało ją czyjeś ramię, coś przycisnięto jej do ust, a gdy w panice chwyciła powietrze, świat zgasł.

Francis

Msza nie podziałała na Francisca kojąco. Nie tak, jak miał nadzieję.

Nie pierwszy raz spotkał się z człowiekiem na wskroś złym. Oczywiście jego praca właściwie od samego początku w dużej mierze polegała na zatrzymywaniu zabójców, ale tym razem to było coś innego. Do tego przeciwnika miał stosunek bardziej osobisty, bo sam odpowiadał za dochodzenie, a przy tym nigdy wcześniej nie zetknął się z przypadkiem tak głębokiej demoralizacji. Obrzydzenie, jakim napełniło go wszystko to, co zobaczył na Stone Acre Farm... I ten uśmiech, którym obdarzyła go Sam Kirby pod koniec przesłuchania... Czuł się brudny.

W kościele świętej Katarzyny jak zawsze nieco się uspokoił, ale tego wieczoru nie przemawiały do niego ani modlitwy, ani czytania. W żaden sposób nie uśmierzały jego bólu i nawet dźwięczny głos księdza Williama nie przynosił pociechy. Pytanie było nieodmiennie to samo: jak mogło istnieć takie zło? Ludzkość parała się nim od wieków, a Bóg nigdy nie zdecydował się na to odpowiedzieć.

Myśli Francisca popłynęły ku siostrze, a potem ku matce. Nie miała mu za złe, gdy nie odwiedzał jej ze względu na pracę, ale siostra mówiła bez ogródek, co o tym sądzi. Oczywiście, że czuł się winny. W przypadku żadnej z nich nie starał się nawet w połowie tak, jak powinien. Przed mszą zabrał Robin w odwiedzinach do matki, ale wizyta wypadła fatalnie. Ich matka, prawie całkiem ślepa i przykuta do wózka, przepłakała większość czasu. Pytała, czy nie mieli jakichś wiadomości od ojca. Oczywiście, że nie. Odszedł dziesięć lat temu, a mimo to myśli matki cały czas koncentrowały się właśnie na nim. Przykro było na to patrzeć.

Robin wyrzucała mu, że zbyt rzadko odwiedza mamę, lecz za każdym razem, gdy ją opuszczał – samotną w jej własnym świecie, uwięzioną w czterech ścianach pokoju – czuł się koszmarnie, a to popołudnie nie było wyjątkiem. Mama coraz mniej interesowała się otoczeniem, a Robin szorstkością pokrywała własny strach przed tym, co przyniesie przyszłość. Gdy Francis całował matkę na pożegnanie, jej policzki były mokre od łez. Nie spodziewała się już od życia niczego.

Francis spuścił wzrok i pochylił głowę. Ksiądz William przytoczył fragment

Drugiego Listu do Koryntian. Francis poruszył się na klęczniku. Żałował, że nabożeństwo tak szybko dobiegło końca.

Kiedy nieliczni wierni wyszli z kościoła, odchylił się w ławce, kontemplując anioły namalowane za krzyżem. Nabożeństwo wieczorne odbywało się bez udziału organisty, więc panującą teraz w kościele ciszę przerywało jedynie szuranie stóp. Francis pochylił się, ukrył twarz w dłoniach i modlił się za Robin i matkę, modlił się o siłę, której potrzebował, by dobrze wykonywać swoją pracę, o wybaczenie za wszystkie te sytuacje, gdy pozwalał sobie na zwątpienie i rozczarowanie. Mijający go ksiądz William, który wracał właśnie nawą główną do ołtarza, lekko uściśnął jego ramię.

Nie był to odpowiedni moment na dzwonek telefonu, więc oczywiście właśnie w tym momencie zadzwonił. Ksiądz William odwrócił głowę. Na jego twarzy malowała się dezaprobata. Francis natychmiast wyłączył komórkę, ale wcześniej zdążył zerknąć na wyświetlacz. Thierry Mullins. Dzwoni, żeby znów mu grozić? Francis włożył telefon do kieszeni i pochylił głowę, zatapiając się w modlitwie.

Pół godziny później, gdy wreszcie wyszedł z kościoła, niebo zasnuły chmury i znacznie się ochłodziło. Kościół świętej Katarzyny stał na szczycie wzgórza, cmentarz parafialny schodził zboczem ku Dyke Road, a dalej North Street. Czując, że odrobinę mu lżej na sercu, Francis niespiesznie podążył wydeptaną brukowaną ścieżką i na samym dole wyszedł pod kamiennym łukiem na Wykeham Terrace. Podszedł do drzwi jednego z imponujących wiktoriańskich domów w neogotyckim stylu. Zawsze go uwielbiał, choć jako dziecko spędził w nim niewiele czasu. Biała i szara farba na elewacji, blankowana attyka – jako chłopiec widział w nim nieledwie zamek. Ojciec wyprowadził się z niego przed dziesięciu laty, więc gdy Francis zechciał się usamodzielnąć, postanowił tu zamieszkać tymczasowo. To było trzy lata temu i jeszcze nawet nie zaczął rozglądać się za czymś innym.

Wyciągnął telefon z kieszeni i go włączył. Zastanawiał się właśnie, co ma w lodówce na kolację, kiedy przyszła wiadomość.

Zaginęła Marni, zadzwoń.

To był Thierry, wiadomość wysłana dwie minuty po tym, jak telefon zadzwonił w kościele. I za chwilę kolejna.

Zadzwoń. To pilne.

A potem jeszcze dwie podobne.

Francis wybrał numer Thierry'ego.

– Wreszcie! – wykrzyknął tamten, gdy tylko odebrał. – Wypisała się ze szpitala i pojechała do studia. Miałem ją stamtąd odebrać, ale jej nie ma.

– Może nie chciała dłużej czekać i poszła piechotą? – zapytał Francis. Starał się, by jego głos brzmiał spokojnie.

„To jeszcze nie koniec”.

– Nie odbiera telefonu. Nie czekała długo, jechałem może z dziesięć minut. Sprawdziłem całą ulicę, nigdzie jej nie ma. Nie zdążyłaby dojść do domu, a poza tym czemu miałyby iść, skoro miała podwózkę?

– Co twoim zdaniem się stało?

– A skąd mam wiedzieć? – warknął Thierry. – Proszę, złóż raport o zaginięciu.

– Nie mówisz mi wszystkiego, prawda?

W głosie Thierry'ego było coś, co Francisowi kazało przypuszczać, że były Marni wie coś więcej.

– Myślę, że to bez związku, ale może dobrze, żebyś wiedział: mój brat bliźniak miał jakoś mniej więcej teraz wyjść z więzienia. Mają ze sobą na pieńku.

– To twojego brata ugodziła nożem, prawda?

– Powiedziała ci, co się stało?

– Ogólnikowo. Myślisz, że brat mógłby tu przyjechać? I co zrobić?

– Nie wiem... Chciałbym tylko wiedzieć, że jest bezpieczna.

– Spotkajmy się w studiu.

Dziesięć minut później Francis zajechał pod studio Marni przy Gardner Street, zupełnie nie przejmując się tym, że parkuje na żółtej linii. Thierry czekał na niego w środku.

– Drzwi były otwarte? – zapytał Francis, wchodząc pospiesznie.

Thierry pokręcił głową.

– Mam klucz. Czasem tu razem z nią pracowałem.

– Jest cokolwiek, co mogłoby nam podpowiedzieć, dokąd poszła?

– Nic.

Francis zajrzał na zaplecze.

– Musiała tu spędzić trochę czasu... Posprzątała cały bałagan z wczoraj.

– Ze szpitala wyszła chyba koło piątej.

Francis zerknął na zegarek. Było prawie wpół do ósmej.

– Kiedy rozmawialiście po raz ostatni?

– Koło siódmej. Ja byłem w szpitalu, a ona tutaj. Ale zanim przyjechałem,

już jej nie było.

To wszystko nie miało sensu. Łowca tatuazy siedzi. Marni nic nie powinno grozić. Francis chciał wierzyć, że postanowiła po prostu nie czekać na Thierry'ego. Ale w takim razie dlaczego nie odbierała telefonu?

– Twój brat Paul nadal siedzi we Francji?

– Z tego, co mi wiadomo, to tak.

– Na pewno?

– Gdyby wyszedł, matka coś by wiedziała.

Thierry pospiesznie wybrał numer, po czym wyrzucił z siebie parę zdań po francusku. Kiedy się rozłączył, na jego twarzy malowała się ulga.

– Paul nadal w więzieniu. Ma wyjść warunkowo, ale jeszcze nie teraz. Tyle powiedziała mi matka.

A więc nie Paul. Co niespecjalnie posuwało sprawę naprzód, bo Marni nadal nie było. Francis poczuł strach. Było mnóstwo możliwości. Znow wyciągnął telefon.

– Rory, zgłoś zaginięcie Marni Mullins. Zniknęła koło siódmej ze swojego studia przy Gardner Street. – Słuchał przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

– Tak, sądzę, że może być w niebezpieczeństwie. Nie dyskutuj.

„To jeszcze nie koniec...”.

Marni

Czy odważy się otworzyć oczy? Czy była z powrotem w szpitalu? Jakaś zimna, twarda powierzchnia... Marni leżała na podłodze na boku, a impuls przesłany z mózgu do kończyn przyniósł jej informację zwrotną, że nie może się ruszyć. Panika, fala adrenaliny. Próbowwała unieść prawą dłoń do twarzy, ale bezskutecznie: ręce miała skrępowane za plecami. Nogi też jej związane.

Chciała krzyknąć o pomoc, lecz tylko zachrypiała sucho.

Otworzyła oczy. Żadnej zmiany, jej świat był nadal czarny. Musiała mieć zasłonięte oczy. Potarła policzkiem o bark i wyczuła zamotany na głowie pas tkaniny; nie zdołała przesunąć go na tyle, by spojrzeć pod spodem. Za przepaskę nie docierała nawet odrobina światła. Marni nie widziała absolutnie nic.

„Nocne lęki spotęgowane milion razy”.

Mocniej zacisnęła powieki. Wydało jej się, że słyszy płacz dziecka... Luke. W oddali pojawił się Alex. Uciekał od niej, zabierając Luke'a, a ona nie miała sił, by za nimi pobiec. Przygryzła policzek od środka i ból pozwolił jej strząsnąć z siebie widziadła.

Nasłuchiwała. Cisza dzwoniła jej w uszach, syczała w ciemności, była jak uporczywa melodia pulsująca w rytm tętna. Jedyłą metodą, by się jej pozbyć, było skupienie się na oddechu. Musiała się ruszyć. Przewróciła się z boku na plecy, odgniatając sobie ramiona, a potem na drugi bok. Podłoga była zimna. Bolało ją biodro i ramię, na których leżała.

Przyciągnęła kolana do piersi i z trudem przeniosła ciężar ciała tak, by usiąść. Teraz mogła pochylić się do przodu i oprzeć głowę na kolanach. Wzięła kilka głębokich wdechów i poczuła się lepiej. Myślała już jaśniej. Jeśli zdoła przemieścić się na pośladkach, może zorientuje się, gdzie są drzwi.

Ta myśl nią wstrząsnęła... Jak szybko oswajała się z sytuacją, w której się znalazła. Gdzie mogła być, u diabła? Kto jej to zrobił? Strach przypominał zimny prysznic kłujących skórę igieł. Jej wrogiem nie były ciemność ani cisza. Była nim osoba, przez którą się tu znalazła.

I mogła być to tylko jedna osoba. Paul.

„Nie. Niemożliwe”.

Znów zaczęła wołać o pomoc i tym razem jej głos zabrzmiał czysto

i donośnie. Krzyczała przez minutę, po czym urwała, nasłuchując z nadzieją, że usłyszy kroki. Lecz jeśli to był Paul? Pożałowała, że tak się wydziera.

Ale jeśli to nie on, to kto, u diabła, mógł jej to zrobić? I dlaczego?

Było zimno. I ciemno. Strasznie chciało jej się pić. Była sama. Niedługo będzie potrzebowała zastrzyku insuliny i czegoś do zjedzenia, w odpowiedniej kolejności. Bardzo się bała. Wiedziała aż za dobrze, do czego Paul jest zdolny.

Przez godzinę przemieszczała się to tu, to tam, usiłując stworzyć sobie w myślach mapę tego więzienia. To był duży pokój, wpadała na jakieś meble, jedno czy dwa krzesła, ale były też przedmioty, których nie potrafiła zidentyfikować. Na jednej ze ścian wyczuła framugę i drzwi. Natrafiwszy na nie, zdołała odepchnąć się od podłogi i uklęknąć, po czym opierając się ramieniem o klamkę – podnieść. Odwróciła się i wymacała klamkę dłońmi. Nacisnęła ją i spróbowała pociągnąć, a potem popchnąć drzwi. Nawet nie drgnęły. Zamknięte.

Zalała ją fala rozczarowania. Pęcherz nie wytrzymał. Ciepły mocz popłynął jej po nogach i przesiąkł przez dzinsy, w nozdrza uderzył przykry zapach.

Opadła na podłogę i rozpłakała się.

Rory

Sullivan wpadł do centrum koordynacyjnego jeszcze bledszy niż zazwyczaj i zadyszany od biegu po schodach.

– Nic? – wysapał.

Rory pokręcił głową.

– Dopiero niedawno wydaliśmy komunikat o poszukiwaniu osoby zaginionej.

– Nagrania z monitoringu?

– Właśnie się do tego zabieramy.

– Cholera, Rory. Wiesz równie dobrze jak ja, że im dłużej jej szukamy, tym mniejsze mamy szanse ją znaleźć.

Rory doskonale to wiedział, podobnie jak to, że z każdą godziną zwiększa się prawdopodobieństwo, że znajdą ją martwą. Nawet jeśli dopatrzą się czegoś na nagraniach z monitoringu, dowiedzą się tylko, gdzie była, a nie, gdzie jest. Nie czuł jednak potrzeby wykładania tego szefowi, który i tak był w nie najlepszym stanie.

– Angie, dostałem tę listę numerów od Thierry’ego Mullinsa – powiedział Francis. – Przyjaciele, rodzina, ludzie, z którymi mogła się kontaktować. Dzwon i pytaj, czy ktokolwiek z nich ma pojęcie, gdzie ona się może podziewać.

Angie zaniósła listę na swoje biurko i zaczęła telefonować.

– A co z jej synem? – podsunął Rory. – Może on coś wie?

– Thierry wrócił do mieszkania, żeby go zapytać. Da nam znać.

– Jej siostra nic nie wie! – zawołała Angie, wybierając już kolejny numer z listy.

Rory włączył na ekranie obraz z kamery na Gardner Street. Francis przyglądał się nagraniu ponad jego ramieniem. Niestety, kamera ustawiona była pod takim kątem, że wejście do Niebiańskich Tatuazy znalazło się tuż poza kadrem.

– Cholera... Na tym nic nie dojrzymy.

– Zaczekaj, popatrzmy – powiedział Rory, zachowując spokój. – Jeśli poszła piechotą, to zobaczymy, jak nadchodzi z tej strony, a gdyby poszła w przeciwną, to pojawi się w jednej z dwóch pozostałych kamer, gdy wyjdzie

zza rogu na North Road.

Uruchomił nagranie. Zaczął od godziny siódmej, czyli od momentu, kiedy Thierry zadzwonił do Marni ze szpitala. Ulicą przeszło kilka osób, ale większość sklepów i kawiarnianych ogródków była już zamknięta. Od czasu do czasu przejechał samochód. To była jednokierunkowa uliczka, zbyt wąska, by można było na niej parkować, dzięki czemu mieli przynajmniej niezastłonięty niczym widok na chodnik i wejścia do lokali.

Francis przestępował z nogi na nogę za plecami Rory'ego.

Przejrzelili nagranie kilkakrotnie, wypatrując Marni wśród pieszych, ale jej nie dostrzegli. Zgodnie z przypuszczeniami Rory'ego nagranie nie dostarczyło żadnej przydatnej informacji.

– A co z North Road? Możecie ściągnąć nagranie ze skrzyżowania z Gardner Street? – zapytał Sullivan.

Przez następne pół godziny przeglądali to nagranie, rozpaczliwie próbując ją wypatrzeć.

– Jakby się rozplynęła w powietrzu – powiedział Francis.

– Może wyszła przez zaplecze?

– Nie, drzwi były od środka zamknięte na kłódkę. Wyszła od frontu. Przewiń od początku, Rory, i spisz numery rejestracyjne wszystkich przejeżdżających samochodów.

Minęło kilka godzin, a mieli wrażenie, jakby to była cała wieczność.

Francis krążył po centrum koordynacyjnym, wyszczekując pytania do swojego zespołu i wisząc na telefonie z Thierryem. Alex nic nie wiedział. Żadna z osób, do których zadzwonił Thierry, nie miała jakiegokolwiek informacji.

– Rory, powiedz mi, co mamy.

– Jeszcze nic konkretnego. Pierwsze trzy samochody... Sprawdziłem je w bazie danych. Wszystkie miejscowe, żadnych oczywistych powiązań.

Złota godzina już dawno minęła i jeśli Marni porwano, to z każdą minutą coraz bardziej topniały jej szanse na przeżycie.

– Szefie?

– Tak?

– Proszę spojrzeć – powiedział Rory, wskazując na małą białą furgonetkę. – Mamy informację, że jest zarejestrowana na wypożyczalnię.

– Jedziemy.

Francis wypadł pierwszy i nieomal staranował wchodzącego policjanta.

– Komisarz Sullivan?

– Tak?

– Właśnie dostarczono to na recepcję. – Uniósł dużą czerwoną torbę na

ramię. – Jakiś mężczyzna znalazł to po zamknięciu pubu w zaułku odchodzącym od Gardner Street. Wygląda na to, że należała do zaginionej kobiety.

Francis nie potrzebował tej informacji, od razu rozpoznał torbę.

Kiedy funkcjonariusz mu ją podał, ze środka dobiegł dźwięk dzwonka komórki. Francis rzucił torbę na najbliższe biurko i zaczął w niej grzebać w poszukiwaniu telefonu. Na wyświetlaczu pojawiło się imię Thierry'ego i Francis odebrał połączenie.

– Marni? Z kim rozmawiam?! – dobiegł ich spanikowany głos podszyty nadzieją.

– Tu Francis. Znalaziono jej torbę. Na Gardner Street.

– *Merde, merde!*

– Wpadliśmy na jakiś ślad. Mniej więcej o tej porze, gdy zaginęła, ulicą przejeżdżał samochód z wypożyczalni. Biuro wypożyczalni mieści się na Cannon Place. Otwierają o szóstej rano... Spotkajmy się na miejscu.

Już miał się rozłączyć, kiedy Thierry powiedział:

– Chwila!

– Co jest?

– Czy w torbie są jej leki?

– Leki? – powtórzył Francis i otworzył szeroko torbę, żeby zajrzeć do środka.

– Ma cukrzycę. Bierze insulinę.

– Nie miałem pojęcia, że ma cukrzycę.

– Chyba nie za dobrze ją poznałeś, co?

Na dnie torby Francis dostrzegł małą przezroczystą torebkę zawierającą leki i urządzenia stosowane w terapii cukrzycy. Wyciągnął ją.

– Co się stanie, jak nie weźmie insuliny?

– Jeśli nie będzie kontrolować poziomu cukru we krwi, choćby przez kilka godzin, zapadnie w śpiączkę.

Francis

Francis prowadził samochód, a Rory próbował się połączyć.

– Nie odbierają, jeszcze zamknięte.

– Próbuj dalej.

Odległość do pokonania była niewielka, ulice prawie puste. Francis docisnął gaz i włączył koguta.

– Potrzebuję szczegółowych informacji na temat tego, kto wypożyczył od was następującą furgonetkę... – Rory dodzwonił się wreszcie i wyrecytował numer rejestracyjny. – Policja. Podejrzewamy, że mogła zostać wykorzystana w celach przestępczych. – Milczał przez chwilę, po czym rozłączył się, rzucając przekleństwo. – Pieprzona ochrona danych osobowych. Potrzebujemy nakazu. Gość chyba oglądał za dużo kryminałów.

– I oczywiście, kurwa, ma rację – powiedział Francis. – Mam nadzieję, że nakaz go przekona.

Przejechał zbyt szybko Old Steine, na rondzie nie ustąpił pierwszeństwa. Torba Marni razem z jej lekami przejechała z jednego końca tylnej kanapy na drugi. Wściekły kierowca vauxhalla nadusił klakson, a Francis popędził Kings Road i dalej wzdłuż nadmorskiej promenady.

– Jakież wieści od Hollinsa?

Wyrwał go ze snu i kazał wypytać właścicieli pozostałych samochodów, które widzieli na nagraniu z monitoringu, choć wątpił, czy zdobędzie w ten sposób jakieś użyteczne informacje.

– Nie, szefie. Wyjechał z domu zaledwie dziesięć minut temu, a ma dalej od nas.

– Szlag! Nie mogę przestać o tym myśleć.

– O czym?

– No, o tym całym „to jeszcze nie koniec”.

– Ale Kirby siedzi pod kluczem. Nie znaleźliśmy nic, co wskazywałoby, że ma współnika. Nie widzę żadnego związku.

Francis pokręcił głową.

– Mam złe przeczucia, Rory.

W pędzie minęli biały przepych regencji Grand Hotelu, zapiszczały opony, gdy Francis skręcił ostro w Cannon Place. Biuro wypożyczalni mieściło się na

samym końcu drogi. Francis zatrzymał się z wizgiem, częściowo blokując wjazd na placyk, na którym zaparkowano należące do wypożyczalni samochody. Wskoczyli z auta i podbiegli do drzwi biura; ze środka dochodziły odgłosy awantury.

– *Putain!* Gadaj, komu wypożyczyłeś białą furgonetkę! – usłyszeli głos Thierry’ego z niepodrabialnym akcentem.

– Nie mogę.

Głos tego drugiego zabrzmiał tak, jakby ktoś go dusił.

Zaraz wyjaśniło się dlaczego. Thierry trzymał młodego człowieka z obu stron za kołnierzyk koszuli i dociskał nieszczęśnika do kontuaru, który sięgał mu do piersi.

Rory odciągnął Francuza i popchnął pod przeciwległą ścianę. Młody człowiek oparł się o kontuar po swojej stronie, dysząc ciężko. Plakietka na piersi informowała, że miał na imię Amit.

Francis wyciągnął z kieszeni legitymację służbową i podsunął młodemu człowiekowi pod oczy.

– O rany, szybcy jesteście. Przecież ledwie chwilę temu dzwoniłem – wysapał Amit.

Francis wymienił spojrzenia z Rorem.

– To my zadzwoniliśmy do ciebie.

– Przed chwilą wybrałem numer alarmowy. Ten koleś wszedł tu i zaczął mi grozić.

– Chciałem po prostu uzyskać informację, kurwa! – wrzasnął Thierry.

– A ja po prostu nie mogę panu tej informacji udzielić – powiedział Amit, już mniej przestraszony, skoro miał za sobą dwóch policjantów.

– Daj spokój – powiedział Rory do Thierry’ego. – Zostaw to nam.

Francis odwrócił się do Amita.

– Muszę wiedzieć, kto wypożyczył tę furgonetkę. – Położył na blacie kartkę z wypisanym na niej numerem rejestracyjnym. – Mamy powody przypuszczać, że wczoraj wieczorem mogła zostać wykorzystana do uprowadzenia człowieka.

Amit wbił wzrok w kartkę, jakby niepewny, co właściwie ma zrobić.

Francis jeszcze raz machnął mu przed oczami legitymacją służbową.

– To bardzo pilne. Tu chodzi o życie porwanej kobiety.

Thierry wyminął Rory’ego i stanął przy kontuarze obok Francisa.

– Tu chodzi o życie mojej żony.

– Jasne. Przepraszam – powiedział Amit. – Starłem się być w zgodzie z regulaminem firmy.

Francis rzucił Thierry'emu ostrzegawcze spojrzenie.

– W porządku. A teraz proszę udzielić nam informacji.

Amit wpisał dane do komputera.

– Mam. Wypożyczona przez firmę informatyczną Algorithmics. Jeżdżą nią od kilku tygodni.

– Adres? – zapytał Rory.

Przed biurem zawyły policyjne syreny i kilka sekund później do środka wbiegło dwóch mundurowych.

– No dobra, co się tu dzieje? Pan do nas zadzwonił? – zwrócił się starszy z policjantów do Amita, popatrując groźnie na Francisca, Thierry'ego i Rory'ego.

Francis po raz trzeci wyciągnął swoją legitymację.

– Komisarz Sullivan.

– Bardzo przepraszam – powiedział policjant. – Otrzymaliśmy zgłoszenie spod tego adresu. Groźby karalne.

– Sytuacja jest opanowana. Dzięki, że przyjechaliście, ale już sobie poradziliśmy.

– W porządku.

Policjanci wycofali się rakiem.

Amit podał wydruk Francisowi.

– Adres firmy.

Francis przeczytał go na głos.

– Gorse Avenue, East Preston. Gdzie to jest, u diabła?

– East Preston? Drogą na Littlehampton – powiedział Rory.

– Jedźmy – ponaglił Thierry.

– Dziękuję, Amit – powiedział Francis, kiedy szli do wyjścia.

– Mam nadzieję, że uratujecie tę panią! – zawołał za nimi tamten.

Kiedy Francis wsiadał za kierownicę, usłyszał, jak otwierają się za nim tylne drzwi. Obejrzał się i zobaczył, że do samochodu wsiada Thierry.

– A ty gdzie się pakujesz?

– Ja też jadę.

– Nie. Mowy nie ma. To sprawa dla policji.

– Nie ruszę się stąd. Jedź.

– Co trzy głowy, to nie dwie – powiedział Rory. – Kto wie, co tam zastaniemy?

– I to mnie właśnie martwi – mruknął Francis, wrzucając bieg.

– Nabrzeżem, a potem A dwieście pięćdziesiąt dziewięć – pilotował Rory. – Kogut?

– Kogut – przytaknął Francis. – I pasy.

Docisnął gaz do dechy i zmówił w duchu błagalną modlitwę. Oddałby wszystko, by znów zobaczyć Marni. Żywą.

Marni

Spała czy tylko wpadła w stupor? Trudno powiedzieć i nie miało to znaczenia. Teraz była już całkiem rozbudzona, podłoga gmiotła ją w biodro, ciężki koc zimnego powietrza ograniczał ruchy. Śmierdziała, oblepiały ją wilgotne dzinsy. Było jej niedobrze, a jednocześnie burczało jej w brzuchu z głodu, choć strach stłumił apetyt, gdy tylko go sobie uzmysłowiła.

Usiadła z trudem i natychmiast zakręciło jej się w głowie, a pod powiekami zawiązanych oczu zatańczyły żółte plamy. Straciła poczucie czasu i przestrzeni, nie umiała w żaden sposób powiedzieć, jak długo mogła tu być. Nie wiedziała nawet, czy to dzień, czy noc, ale potrzebowała wody i jedzenia. A jeszcze bardziej insuliny.

Wzięła głęboki wdech i ze wszystkich sił wrzasnęła o pomoc, przeciągając krzyk, jak tylko się dało. Wdech i powtórka. Wdech i jeszcze raz, aż zakręciło jej się w głowie i musiała się z powrotem położyć.

Zaczęła odpływać myślami, zupełnie przestawszy je kontrolować. Czy powinna obgryzać własne ramię, jak złapany w pułapkę szczur? Żuć włosy, gryźć od środka policzek? Wizja zapadnięcia w śpiączkę wydawała się kusząca i Marni starała się jej nie poddawać, ale też nie potrafiła sobie przypomnieć, na czym polegało zagrożenie i czemu się opiera. „Przecież chyba lepiej zasnąć?”.

Nagły hałas, po tych godzinach ciszy ostry jak wystrzał z broni, raptownie przywrócił jej przytomność. Otworzyły się drzwi, do środka wpadło światło, spod opaski dostrzegła cienką bladą linię.

– Pomocy! – wychrypiała.

Odgłos zbliżających się kroków.

– Pomocy. Muszę coś zjeść. Muszę się napić.

Próbowała usiąść. Wzdrygnęła się, czując na ramieniu dotyk ręki, która pchnęła ją z powrotem na podłogę.

– Ćśśś...

Próbowała ją odsunąć, ale nie miała siły.

Jakieś ramię otoczyło jej głowę, po czym ktoś przyłożył jej otwór plastikowej butelki do ust. Piła chciwie. Zimna, zimna woda, aż gardło bolało przy przełykaniu, ale Marni była tak spragniona, że prawie się rozszłochała

z wdzięczności. Napiła się do woli, ale butelkę nadal przyciskano jej do ust, więc wypła więcej.

Ale dlaczego ten człowiek jej nie rozwiązał, nie zdjął jej przepaski z oczu? Odwróciła głowę i usłyszała, że ten ktoś stawia butelkę na podłodze.

– Jestem chora na cukrzycę. Muszę coś zjeść. Muszę dostać insulinę.

Ramię, które ją podtrzymywało, opuściło ją z powrotem na podłogę, kroki się oddaliły.

„Czyje to ramię? Czyje kroki?”. Dziwnie się czuła pod opieką kogoś obcego o nieprzeniknionych zamiarach. „Czy to może być Paul?”.

– Dlaczego mnie nie rozwiążesz? Dlaczego mi nie pomożesz?!

Drzwi zamknęły się i dobiegły ją zza nich już tylko stłumione kroki. Paniczny strach podszedł jej do gardła. Bała się, że wymiotuje wodę, którą wypła. Kimkolwiek był ten człowiek, nie przyniósł jej ratunku. Gdy obróciła głowę, świat zawirował, ziemia zakołysała się i Marni zaczęła oddychać szybko i płytko.

Drzwi otworzyły się ponownie, znów zbliżyły się kroki. Mężczyzna – w jego chodzie było coś, co nasunęło myśl o mężczyźnie – podciągnął ją do pozycji siedzącej. Do ust przyciśnięto jej coś miękkiego i polukrowanego. Ugryzła mały kęs. Pączek? Był czerstwy, ale rzuciła się na niego żarłocznie, nie przejmując się ściekającą po brodzie marmoladą. Minie dziesięć albo piętnaście minut, nim glukoza dotrze do krwi, ale już teraz ogarnęła Marni fala ulgi.

Gdy skończyła jeść, mężczyzna oparł ją plecami o ścianę. Słyszała, jak kręci się po pokoju, ale nie umiała się zorientować, co robi. Co teraz będzie? Jakie miała szanse na ucieczkę? Czy powinna próbować nawiązać z nim jakieś porozumienie, błagać go, żeby ją wypuścił?

– Dziękuję – powiedziała, zlizując lukier z ust.

Nie odpowiedział.

– Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?

Nadal żadnej odpowiedzi.

– Proszę, wypuść mnie. Nie widziałam twojej twarzy. Nie wiem, kim jesteś. Proszę, nie rób niczego, czego mógłbyś później żałować.

Strach, który usłyszała we własnym głosie, nappełnił ją odrazą.

Ciszę przerwał dźwięk, który rozpoznała. Zgrzyt ostrza na kamieniu szlifierskim, spokojny i miarowy. Przerazenie chwyciło ją za gardło i skreśliło wnętrzności.

– Proszę...

– Marni, nie pożałuję ani jednej z tych rzeczy, które zamierzam ci zaraz

zrobić.

Powolne, leniwe przeciąganie samogłosek. Znajome. Męski głos. Słyszała go już, tylko gdzie? To nie był Paul. Nie miał francuskiego akcentu.

– Proszę, możesz mnie rozwiązać. Zabawiłeś się, dobra, ale teraz już powinieneś mnie puścić.

Odgłos ostrzenia noża nie stracił nic ze swojej miarowości.

– Czego ode mnie chcesz?

Ostrzenie ucichło. Marni wstrzymała oddech.

– Czego od ciebie chcę? Myślałem, że to oczywiste.

Ten głos!

Zbliżające się kroki.

– Ponieważ i tak żywa stąd nie wyjdiesz, to już nie jest potrzebne.

Zerwał jej opaskę z oczu. Marni jęknęła, bo razem z nią wyszarpnął jej kępkę włosów.

Po tylu godzinach w ciemnościach światło z początku ją oślepiło. Zacisnęła powieki, czekając, aż znikną powidoki, po czym uniosła je powoli, z opuszczoną głową, wpatrzona w dół. Podłoga błysnęła szlifowanym betonem. Marni skupiła nieostre spojrzenie na swoich stopach i łydkach, uświadamiając sobie, jak śmierdzą jej wilgotne dżinsy.

Zerknąwszy w bok, dostrzegła inne stopy. Nowe, prawie nienoszone sportowe buty, luźne, trochę za długie spodnie marszczące się wokół kostek. Powoli podnosiła wzrok: trochę iksowate nogi i nieco za duży brzuch wylewający się z obwisłych spodni. Czarna koszulka polo z firmowym logo, którego nigdy wcześniej nie widziała. Tatuaż na ramieniu. Tatuaż, który skończyła zaledwie przed kilkoma dniami! Mężczyzna uśmiechnął się, gdy ich spojrzenia się spotkały, a ona poczuła dreszcz przebiegający po plecach.

„Boże!”

– Steve...?

Steve! Informatyk z wytatuowanym tygrysem!

Cukier skoczył jej razem z adrenaliną.

– Piękna Marni. Cała dla mnie.

Odwrócił się od niej gwałtownie i podszedł do stołu, na którym dostrzegła nóż i osełkę.

Ze strachu zaschło jej w ustach. Nie potrafiła zebrać myśli. Spróbowała rozerwać więzy, lecz po chwili przestała. Porzuciła myśl o ucieczce, gdy rozejrzała się po pokoju i zaczęła sobie uzmysławiać, co widzi. Strach wziął górę nad racjonalnym myśleniem.

Pokój miał kształt dużego prostokąta, większego, niż to sobie wyobraziła,

czołgając się po nim, gdy miała przepaskę na oczach. Żadnych okien – może znajdowali się pod ziemią. Czarne ściany wyłożone czymś w rodzaju gumowanej okładziny technicznej. Coś podobnego widziała kiedyś w studiach nagraniowych. Dźwiękoszczelne. Mróz przeszedł jej po krzyżu. Sufit był industrialnym koszmarem aluminiowych rur i kabli. Na krótszej ścianie znajdował się biały ekran, a przed nim kilka głębokich sof tapicerowanych ciemnoczerwonym aksamitem.

Za sofami, zajmując całą środkową część pomieszczenia, stało w rzędzie siedem wypolerowanych na błysk cokołów ponadmetrowej wysokości. Marni zamrugła i skupiła wzrok, przenosząc go z jednego postumentu na drugi. Pałaca żółć podeszła jej do gardła. Na każdym z cokołów znajdowała się konstrukcja z grubego srebrzystego drutu lśniąca w ostrym świetle. Formy miały kształt rozmaitych części ludzkiego ciała: ramienia, nogi, torsu, głowy. Jedna, wyższa od pozostałych, miała kształt całego ludzkiego ciała. Na czterech niczego nie było, ale na trzech upięto kawałki miękkiej skóry. Wytatuowanej.

Kiedy Marni uzmysłowiła sobie, na co patrzy, zołądek podszedł jej do gardła.

To była ludzka skóra. Ramię Giselle Connelly z bogatym w szczegóły biomechanicznym tatuażem. Bark Evana Armstronga z polinezyjskim wzorem. Noga z zupełnie Marni nieznaną elegancką akwarelą pawia. Wyprawiona ludzka skóra, zakonserwowana i wyeksponowana.

Pokój zawirował i Marni przewróciła się bezwładnie na bok.

– Ach, widzę, że podoba ci się moja kolekcja. Niesamowita, prawda?

– Ty...? Ale to przecież robota Sam Kirby.

– Oczywiście. Ale to ja ją zamówiłem. Pracowała dla mnie.

To wszystko się nie składało. Marni nic z tego nie rozumiała.

– A ty, Marni Mullins... Ty będziesz z nich wszystkich najpiękniejsza.

Ruszył w jej stronę, a ona odsunęła się pod ścianę. Podszedł do niej, pochylił się i zbliżył ku niej twarz. Marni skuliła się i jęknęła, a wtedy delikatnie pocałował ją w usta, a potem przycisnął jej do twarzy złożoną szmatkę. Opary chloroformu podrażniły jej gardło. Świat z powrotem zgasł.

Rory

Rory wystarczająco często wyjeżdżał do nagłych wezwań, by nie denerwować się, siedząc na miejscu pasażera. Ale to było przed tym, zanim za kółkiem auta z włączonym kogutem usiadł Francis Sullivan. Ledwie wyjechali z Cannon Place, gdy skręcił z wizgiem opon, by wyminąć kierowcę furgonetki, który wyszedł zza otwartych drzwi swojego samochodu.

Siedzący na tylnym siedzeniu Thierry pospiesznie zapiął pas.

– Chryste, szefie, zdałeś test z zaawansowanych technik jazdy, prawda?

Francis zmarszczył brwi, zmrużył oczy i wbił spojrzenie w drogę. Niemal od razu ugrzęźli za minibusem. Francis włączył syrenę.

– No dalej! – krzyknął Thierry. – Wyprzedź go!

Syrena wyła i wreszcie kierowca minibusu zwolnił i zjechał na chodnik.

– No jedź! – niecierpliwiał się Thierry.

Francis docisnął gaz i błyskając niebieskim światłem, popędzili Hove, mając morze po lewej i budzące się miasto po prawej.

– Rory, spróbuj złapać Hollinsa.

Rory wybrał numer i przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w sygnał. Hollins spotkał się już z właścicielem pierwszego samochodu, który zobaczyli na nagraniu z monitoringu.

– Zwykły ojciec – zrelacjonował Rory po odłożeniu słuchawki. – Odbierał córki z treningu pływackiego. Twierdzi, że trener może zaświadczyć, że przyjechał po dziewczynki. Zdaniem Hollinsa to raczej nie on.

– A co z następnym?

– Hollins właśnie tam jedzie.

Francis wcisnął hamulec, gdy zajechało mu drogę jakieś bmw. Telefon upadł Rory'emu pod nogi, Thierry zaklął cicho po francusku. Znowu zawyła syrena i bmw zostało za nimi.

– Pewny jesteś, że jedziemy pod właściwy adres? – zapytał Thierry.

– Nie – odparł Francis. – Absolutnie nie. Ale nie mamy innego tropu.

– W sumie by się zgadzało – powiedział Rory. – Jak planujesz porwanie, to furgonetka jest na pewno lepsza niż zwykła osobówka. Pora też pasuje.

– *Merde!*

Rory nie wiedział, czy był to komentarz do stylu jazdy Sullivana, czy do

tego, że działali po omacku. Nie miało to jednak znaczenia. Liczyło się tylko to, by dojechać pod właściwy adres i znaleźć Marni.

Minęli most na rzece Adur, za którym droga poszerzyła się i pobiegła prosto jak strzała. Nie było ruchu. Nie wyłączając niebieskich świateł, Francis docisnął gaz do dechy.

– Daleko jeszcze? – zapytał Rory’ego.

Rory sprawdził w nawigacji na telefonie.

– Jakieś cztery, pięć mil, ale musimy przejechać przez środek Worthing.

Nadbrzeżne miasteczko zaczynało się budzić do życia, a drogę przelotową przecinały skrzyżowania. Napięcie w samochodzie wzrosło, gdy Francis umiejętnie pokonywał długi tor przeszkód.

– *Putain!* – Przekleństwa Thierry’ego przybrały na sile. – Gdzieś ty się nauczyłeś jeździć?

Niebieski kogut nad przednią szybą błyskał w najlepsze, a Francis od czasu do czasu włączał syrenę, by zasygnalizować innym kierowcom, że się zbliżają. Wreszcie najgorsze mieli już chyba za sobą, minęli Worthing i Goring i wjechali na dwupasmówkę.

– Na trzecim rondzie w lewo.

Zjazd poprowadził ich na południe, z powrotem w stronę morza. Kiedy Francis znów przyspieszył, Rory dostrzegł błyskające przed nimi czerwone światła. Rozdzwoniła się sygnalizacja.

– Przejazd kolejowy.

– Widzę.

– Zamyka się.

– Widzę.

– Nie zdążymy.

Francis mocniej docisnął gaz.

Szlabany przed nimi opadały.

– Frank! Stój! – W głosie Rory’ego zabrzmiała panika.

Zbielałymi dłońmi chwycił się deski rozdzielczej i zaparł się na siedzeniu.

– Ja pierdołę... – Thierry sprawiał wrażenie równie przerażonego.

– Nie przejedziemy, kurwa!

Szlabany opadły i wyglądało na to, że Francis zamierza je staranować.

Odruchowo, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, Rory chwycił za kierownicę i szarpnął ją ku sobie, drugą ręką zaciągając ręczny. Francis nie zdążył go powstrzymać, wzięty z zaskoczenia. Z ogłuszającym piskiem samochód obrócił się i wpadł bokiem na niski murek ogradzający parking przy stacji. Przed nimi przeleciał trąbiący pociąg. Rory puścił kierownicę

i opadł na siedzenie, uzmysławiając sobie nagle, że wybuchła poduszka powietrzna.

Spojrzał na Francisca, który próbował wygramolić się z nadętego balonu. Kiedy nie udało mu się wyszarpać jej z kierownicy, spróbował uruchomić silnik. Zaskoczył za pierwszym razem i Francis wrzucił wsteczny. Nadal błyskał niebieski kogut na ich dachu, nadal paliły się czerwone światła na przejeździe. Sygnalizacja dzwoniła wprost ogłuszająco.

Rory obrócił się na siedzeniu.

– W porządku? – zapytał Thierry’ego.

Thierry wyrzucił z siebie potok przekleństw, dla Rory’ego całkiem niezrozumiałych, ale najważniejsze, że żył i był przytomny. Tylko krew płynęła z rozciętej wargi.

Francis ustawił samochód przodem we właściwą stronę. Sygnalizacja na przejeździe przestała dzwonić. Zgasły czerwone światła. Szlabany się podniosły i Francis ruszył.

– Nigdy więcej nie mów do mnie Frank.

Marni

Dotarły do niej dwa odczucia: zimna i bólu. Ostre klucie przeszzywało jej barki i nadgarstki; miała wrażenie, jakby to na nich spoczywał cały jej ciężar. Coś się w nie wrzynało; ramiona uniesione wysoko nad głowę były nienaturalnie wykręcone. Ręce miała całkiem skostniałe, jakby odrętwiałe, za to długie cięcie na lewym przedramieniu wprost paliło. Głowa opadła jej bezwładnie w tył, nienaturalnie wygięty kark zapulsował bólem. Stała, do czegoś przywiązana, i kostniała z zimna. Czowała lodowate zimno na skórze. Na całej skórze. Uzmysłowiwszy sobie, że jest naga, otworzyła szeroko oczy, a strach momentalnie zagłuszył wszystkie inne doznania, zmuszając ją do podjęcia gwałtownej, beznadziejnej próby rozerwania więzów.

Nadal znajdowała się w podziemnym kinie Steve'a, przywiązana do krzyża świętego Andrzeja, zwrócona głową ku jednej ze ścian. Widziała tylko gumową okładzinę, zaledwie kilkanaście centymetrów od twarzy. Kiedy była nieprzytomna, Steve ją rozebrał i przywiązał do tej konstrukcji. Poczowała nieznaną jej kwiatowy zapach. Pachniała nim jej własna skóra i Marni zrozumiała, że jest jej tak dotkliwie zimno, ponieważ jest mokra. Chryste Panie, umył ją. Zniknął smród moczu, ale rzygać jej się chciało na myśl o tym, że jej dotykał.

Zakreśliło jej się w głowie. Dzięki pączkowi nie zapadła w śpiączkę, ale bez zastrzyku insuliny nie miała szans wykorzystać tej energii, którą powinien jej dać. Wiedziała, że niedługo znów mroczyki zatańczą jej przed oczami i znów straci przytomność.

I może tak byłoby lepiej.

W pokoju panowała cisza. Strach odbierał jej siły, lecz ból wyostrzał zmysły. Wspięła się na palce, by trochę odciążyć ramiona, i poczuła pocieszające mrowienie mięśni, które sygnalizowało, że dopłynęła do nich krew. Zastanowiła się, co wie na temat Steve'a. O ile naprawdę tak się nazywał. Poświęciła ponad dwadzieścia godzin na wytatuowanie mu ramienia, a teraz usiłowała sobie przypomnieć, o czym wtedy rozmawiali. Na pewno był bardzo zainteresowany tatuażami i samą techniką tatuowania, ale w żaden sposób nie wyróżniało go to spośród jej klientów. Ból znosił nie najlepiej, ale i nie najgorzej. Sporo mówił o sobie, choć jak teraz o tym

myślała, nie przypominała sobie żadnych konkretów. Pracował w informatyce – nuda – a cała reszta to były już tylko poglądy: co myślał o tym, tamtym i siamym i dlaczego jego opinia liczyła się bardziej niż innych. Aż nią zatelepało, gdy przypomniała sobie, jak zapytał ją o zwłoki Evana Armstronga, podczas gdy od początku musiał wiedzieć, co się z nim stało.

Nigdy podczas rozmowy z nią nie wyraził współczucia dla kogokolwiek. Chociaż wtedy nie zwróciła na to uwagi. Dopiero teraz, analizując wspomnienia, uzmysłowiła sobie, jaki był egotyczny. Zawsze słuchała jednym uchem, o ile w ogóle, co do niej mówił, skupiając się głównie na pracy.

Jak mogła obrócić tę wiedzę na swoją korzyść? Jak mogła ją wykorzystać do skłonienia go, żeby ją puścił?

Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi i serce podeszło jej do gardła. Zbliżające się kroki, a potem on sam na skraju jej pola widzenia. Uśmiechał się, ale to nie był uśmiech, tylko obleśny grymas.

– Jesteś taka piękna, Marni, że aż szkoda zbeczcześcić to idealne ciało. Ale twój tatuaż będzie perłą w mojej kolekcji.

Marni krew zastygła w żyłach. Mimowolnie szarpnęła się w więzach.

Podszedł do niej i przejechał dłonią po jej kręgosłupie.

– Ćśśś...

Odezwał się tak blisko jej ucha, że aż zadrżała.

– Proszę, Steve...

– Proszę co?

– Proszę, wypuść mnie. Mogę cię dalej tatuować. Mogę ci zrobić fantastyczny tatuaż pleców. Nie musisz tego robić.

– Ależ muszę. Muszę ukończyć swoją kolekcję, bo ta idiotka nawaliła.

W jego głosie zabrzmiała nagle gniewna nuta, której Marni przestraszyła się jeszcze bardziej.

– S-Sam Kirby? – Powściągnęła drżenie w głosie.

– Miała zgromadzić wszystkie tatuaze, a potem zniknąć. Hojnie ją za to wynagrodziłem.

– Została aresztowana.

– Wiem. Opłacam jej prawnika.

Marni musiała sprawić, by nie przestawał mówić. Będzie mu trudniej ją zabić, jeśli zobaczy w niej człowieka. Ale położenie, w którym się znalazła, jasno dowodziło, że nie można oczekiwać od niego empatii. Musiała skupić się na nim. Przemknęło jej przez myśl, czy ktokolwiek próbuje ją uratować. Thierry miał ją odebrać, na pewno skontaktował się z policją.

Odsunęła od siebie tę nadzieję. Musiała zatroszczyć się o siebie sama. Czas

uciekał, znów spadał jej poziom cukru we krwi.

– A teraz muszę skończyć tę robotę za nią.

– Nie musisz. Wystarczy ci to, co już masz.

– To nie jest pełna kolekcja. Część zabrała ze Stone Acre Farm policja, a poza tym szczególnie zależy mi właśnie na *twoim* tatuażu. I Thierry'ego.

Marni krew zastygła w żyłach. Jeśli się z tego nie wykaraska, jeśli nie zdoła tego zakończyć tu i teraz, ten świr zapoluje na Thierry'ego. Pomyślała o Aleksie i poczuła, że pęka jej serce.

– A wiesz, jak to zrobić? Jak zdjąć ze mnie skórę, jak ją wyprawić? Czy to nie łowca tatuażu powinien tym się zająć?

Podejrzewała, że go to rozdrażni, i nie pomyliła się.

– Oczywiście, że mogę to zrobić sam. Obserwowałem, jak zdejmuje skóry. Przyglądałem się, jak je wyprawia. To żadna filozofia.

– Po prostu... skoro zamierzasz zabrać mi mój tatuaż, nie chciałabym, żebyś go zniszczył.

Zadrzała, gdy przystąpił do niej o krok bliżej. Ze strachu zapomniała o bólu nadgarstków, za które była przywiązana, lecz za każdym razem, gdy ten strach wybuchał z nową siłą, cierpiała coraz dotkliwsze katusze psychiczne.

Steve obiema dłońmi przesunął powoli po jej plecach. Marni przywarła do drewnianego krzyża, lecz od jego dotyku nie było ucieczki.

– Chyba powinienem ci coś wyjaśnić. Ludzkie ciało samo w sobie jest dziełem sztuki. Zwłaszcza twoje. Lecz gdy doda się do niego tatuaż, sztuka zostaje podniesiona na wyższy poziom. Żywe dzieło sztuki, ciepłe w dotyku. Żadna inna forma sztuki nie jest tak dynamiczna jak tatuaż.

– Ale przecież zabijasz. Czy to się nie kłóci z tym, co właśnie powiedziałeś?

– W chwili śmierci człowieka tatuaż umiera razem z nim. Gnije jak reszta ciała. Ja tymczasem ocalam wielkie dzieła sztuki. Właśnie tak postępują w Japonii z tatuażami jakuzi. Zachowana w ten sposób skóra staje się doskonalsza niż skóra żywego człowieka.

– Tyle że ty w tym celu zabijasz ludzi. W Japonii czekają, aż ci ludzie sami umrą.

– Sztuka jest ważniejsza niż człowiek. Wiedziałem o tym od dziecka. Ludzkie ciało jest najwyższą formą sztuki stworzonej przez naturę, a kiedy przyozdabiamy je własnymi dziełami, jego piękno zostaje spotęgowane. Sztuka trwa przez wieki w sposób dla człowieka niedostępny. Sztuka jest czysta i prawdziwa, człowiek jest występny, nieczysty i chełpliwy. Zachowuję to, co istotne, odrzucam to, co bez znaczenia. Tworzę ostateczną kolekcję sztuki. Na pewno to rozumiesz, Marni. Przecież sama jesteś wielką artystką.

Co za pretensjonalne brednie! – chciała krzyknąć, ale wiedziała, że musi wprawić go w dobry nastrój.

– Lecz jeśli mnie zabijesz, nikt więcej nie skorzysta z owoców mojej sztuki.

– To dodatkowa korzyść z twojej śmierci. Mój tatuaż stanie się tym samym rzadszy i cenniejszy.

– Mylisz się, Steve. A to, co robisz, jest złe.

Nie zobaczyła zamachu, za to poczuła cios. Pięścią w skroń. Gwiazdy stały jej w oczach.

Odszedł od niej na kilka kroków. Krew zatętniła jej w uszach. Nie słyszała, co robi Steve. Kończył jej się czas. Głębokie oddechy. Powoli, nie tak szybko. Żadnej hiperwentylacji. Z miejsca, gdzie dosięgła ją jego pięść, promieniował ból. Przygryzła mocno wargę, by go stłumić, poczuła na języku smak krwi.

To przecież nie mógł być koniec. Tyle miała jeszcze do przeżycia. Nie zamierzała pozwolić, by ten skurwysyn przeprowadził swój plan. Jakoś się z tego wygrzebie. Jakoś.

– Przykro mi, że cię zabolalo, Marni. – Znów stał za nią. – To powinno uśmierzyć ból.

Przycisnął do jej twarzy coś miękkiego, chłodną pieśczętę.

– Co... co to jest?

– To? – Pogłodził tym jej policzek. – To tatuaż Evana. Jego skóra.

Marni skurczyła się w sobie. W dotyku skóra przypominała najmiększą gienzę.

– Sam świetnie się sprawiła. Taka była utalentowana i wszystko na marne.

Zemdliło ją. Ślina napłynęła jej do ust. Wciągając powietrze, Marni poczuła zapach ludzkiej skóry, mocny, wiercący w nosie. Targnęły nią torsje, kwas zaszczypał w gardle. Zacisnęła zęby i wargi, zdecydowana zachować spokój.

– Twoja skóra, kiedy już skończę ją wyprawiać, będzie jeszcze miększa. Najmiększa. Przepiękna. Och, Marni, nie potrafię się zdecydować, czy bardziej pragnę ciebie, czy twojego tatuazu. Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym, jesteś artystką. Moje pozostałe ofiary obnosiły na sobie sztukę, lecz nie prezentowały jednej oryginalnej myśli. Ty zaś jesteś wcieleniem sztuki. Twórcą i żywym dziełem sztuki niezwykłej urody. Ale zdradzisz mnie, jeśli pozwolę ci żyć. I choć tak bardzo... nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę, mogę ufać tylko dziełu sztuki, które na sobie nosisz. – Chwycił ją za włosy i szarpnął głową w tył, by móc spojrzeć jej prosto w oczy. – Co oznacza, kochanie, że będziesz musiała umrzeć.

Francis

Pomimo sporego wgniecenia w karoserii po stronie pasażera Francis jechał tylko odrobinę wolniej niż poprzednio, pędząc przez wąskie, krzyżujące się pod kątem prostym uliczki East Preston. Siedzący z tyłu Thierry w milczeniu wysysał krew z wargi, natomiast Rory studiował mapę w telefonie, szukając najszybszej trasy do Gorse Avenue.

– W lewo w Vicarage Lane.

Wizg opon, gdy Francis za szybko wszedł w zakręt.

– W prawo w Fairlands... w lewo w Sea Road...

Dwie młode matki z wózkami rozmawiające na chodniku rozdziawiły usta, gdy minął je w pędzie samochód błyskający niebieskimi światłami. Na Sea Road Francis musiał nadusić hamulec, w ostatnim momencie unikając rozjechania kota.

– Chryste... – mruknął Thierry.

Wreszcie dotarli na Gorse Avenue.

– Wyłącz koguta – powiedział Rory. – I zwolnij.

Po obu stronach kończącej się ślepo Gorse Avenue stały okazałe duże domy. Były tu przeszklone dobudówki z ogrodami zimowymi, korty tenisowe i baseny. Ogrody domów po południowej stronie drogi wychodziły na plażę i bez trudu można było sobie wyobrazić luksusowy styl życia mieszkańców.

– Myślałem, że szukamy adresu firmy – powiedział Francis.

Rory wzruszył ramionami.

– Pewnie jakiś przedsiębiorca, który założył firmę z siedzibą we własnym domu.

Po wariackiej jeździe z Brighton powolne krążenie po zamożnej dzielnicy miało w sobie coś surrealistycznego. Nie minęli ani jednego samochodu, nie napotkali ani jednego pieszego, żaden z mieszkańców nie wyszedł do ogrodu.

– To tu – powiedział Rory. – Po prawej.

Wskazał na rozłożysty nowoczesny budynek zupełnie niepasujący do edwardiańskich i secesyjnych siedzib, które wcześniej mijali. Dom obłożony blachą falistą, składający się wyłącznie z kątów prostych, w ogóle nie miał okien, w każdym razie nie od strony ulicy. Francis zaparkował samochód na skraju drogi przed sąsiednim domem. Nie wjechał na podjazd, bo nie chciał

rezygnować z elementu zaskoczenia.

– Jaki mamy plan, szefie?

Francis westchnął i potarł twarz dłońmi.

– Zależy, czy kogoś zastaniemy. Nie mamy nakazu, więc musimy działać zgodnie z regulaminem. Thierry, ty tu zaczekaj.

– Akurat. Idę z wami.

– Nie. To sprawa dla policji.

– Marni jest moją żoną. I potrzebuje insuliny.

– Byłą żoną.

Co to za historia z tymi dwojgiem? Francis nie pierwszy raz zadawał sobie pytanie, czemu się rozwiedli.

Wysiadł z samochodu, a Rory i Thierry za nim. Thierry trzymał w ręku torebkę Marni z lekami.

– Dobra. Żadnych fajerwerków i melodramatycznych gestów. – Francis spojrzał znacząco na Thierry’ego. – Rozejrzyjcie się za samochodem, a potem chodźcie za mną.

Ruszyli ulicą – nie było tu chodnika, tylko starannie przystrzyżone trawiaste pobocze – i weszli na podjazd. Przed domem pysznił się błękitny Aston Martin.

– Chyba mu się nieźle powodzi – mruknął Rory.

Nie było ciężarówki, ale nieco z boku zobaczyli garaż. Drzwi były zamknięte. Francis wskazał palcem w jego stronę i wszyscy zgodnie zmienili kierunek.

Rory spróbował otworzyć bramę.

– Zamknięte.

Francis obszedł garaż dookoła. Ścieżka prowadziła do bocznych drzwi, w górnej połowie przeszklonych. Zajrzał do środka. Za rozebrany na części harleyem dostrzegł białą furgonetkę. Wyglądała tak samo jak ta na nagraniu z monitoringu, ale patrząc z boku, nie widzieli numerów rejestracyjnych.

Rory stanął za nim.

– To na pewno ten. Nie ma innej opcji.

– No dobra, czas przesłuchać pana... Jak on się nazywa? – zapytał Francis.

– Harrington. Steven Harrington – odparł Rory. Wpisał coś do swojej komórki. – Google wyrzuca go jako właściciela Algorithmics. Firmy, która wynajęła samochód.

Obeszli w milczeniu dom i podeszli do drzwi frontowych. Mała srebrzysta tabliczka z napisem „Algorithmics”, a pod nią przycisk domofonu. Francis go nacisnął.

– Przepraszamy, dziś nikt tutaj nie pracuje – odezwał się mechaniczny damski głos. – Aby z kimś porozmawiać, proszę wybrać numer znajdujący się poniżej.

Francis spuścił wzrok. Na metalowej tabliczce domofonu wytłoczony był jakiś numer.

– Dzwonimy? – zapytał Rory.

– Nie. Poczekaj tu na wypadek, gdyby ktoś się pojawił. Szybko się rozejrzę. I zadzwoń po jakieś posiłki, ale migiem.

Francis zaczął obchodzić dom, Thierry ruszył za nim. Gdy wyszli za róg budynku, zobaczyli ogród: nieokolony żadnymi rabatami trawnik schodzący na piaszczystą plażę jakieś piętnaście metrów dalej. Na poziomie gruntu rozciągał się pusty betonowy taras sprawiający wrażenie, jakby nikt go nigdy nie używał; nie było na nim żadnych ogrodowych mebli. Większy taras znajdował się jednak na pierwszym piętrze, choć na nim z kolei stało tylko jedno samotne krzesło obrócone w stronę morza. Tył domu, w przeciwieństwie do frontu, był w całości przeszklony, ani śladu metalu. Francisowi przywodził na myśl ogromne akwarium. Życie w szklanej kuli w wersji ekstremalnej, tyle że tu nie było nikogo, kto zagłądałby do środka przez ogromne okna. Zaciekawiał się, czy to prywatna plaża, czy też zwykły człowiek mógł sobie tu rozłożyć koc piknikowy i obserwować przez godzinę czy dwie, jak bogacze spędzają niedzielne popołudnie.

Zajrzał przez szybę. Cały parter był wielką niepodzielną przestrzenią. Na długich stołach ustawiono w półkolach barykady ekranów komputerowych, lecz wśród nich stało tylko jedno nowoczesne ergonomiczne krzesło biurowe. Czy w firmie Algorithmics pracowała zaledwie jedna osoba, osiągając zyski, które pozwalały na tak luksusowe życie?

– Thierry, sprawdź, czy nie są otwarte któreś z drzwi na parterze. Jeśli tak, to przyjdź po mnie, nie wchodź sam.

Francis zaczął się wspinać po stalowych schodach prowadzących na taras na pierwszym piętrze. Każdy krok odzywał się cichym brzęknięciem metalu, więc szedł ostrożnie, by go zminimalizować, nie chcąc się zdradzić na wypadek, gdyby jednak ktoś był w domu. Krzesło na balkonie bez wątplenia idealnie nadawało się do oglądania wschodów i zachodów słońca, lecz to widok wnętrza domu zaparł Francisowi dech w piersiach.

Przyłożywszy dłonie do szyby i osłoniwszy nimi oczy przed porannym słońcem, patrzył bez tchu. Nie potrafiłby tego nawet opisać. Instalacja artystyczna? Diorama? Wypchane zwierzęta. Całe masy wypchanych zwierząt. Nie w szklanych gablotach jak w Muzeum Historii Naturalnej, ale stojące

luzem. Zaaranżowane w coś jakby bitwę, zwierzę przeciw zwierzęciu, walczące ludzką bronią, tylko mniejszą, z zachowaniem skali, ubrane w miniaturowe ludzkie stroje. Okrągłogłowi przeciwko kawalerom. Koty przeciwko psom. Królik atakujący mangustę. Lisy walczące z węzami. Mocujące się wielkie koty. Zwierzęta ranione, przebijane, pozbawiane głów. Kły i pazury czerwone od krwi. Rozrzucone wśród tej rzezi części ciał.

Było to jednocześnie niezwykle i odpychające. Całą tę scenę bez wątplenia wykreował jakiś chory umysł. Serce Francisa забиło mocniej. Poczł strach. Nie o siebie. Mrozące krew w żyłach przerażenie na myśl o tym, że gdzieś tu może być Marni, zdana na łaskę potwora, który zbudował coś takiego dla rozrywki.

– *Putain!*

Thierry, który stanął właśnie obok Francisa, aż się zachłynał.

Francis przyłożył palec do ust, po czym nacisnął klamkę szklanych drzwi. Otworzyły się i Francis bez namysłu wszedł do środka. Thierry za nim.

W pokoju unosił się zapach stęchlizny, coś jak woń starego futra, nad podłogą polatywały mole. Francis miał jednak poczucie, bardzo silne poczucie, że nie są w tym domu sami. Wyczuwał niewyraźny zapach kawy, a otwarte gdzieś okno powodowało przeciąg. Nie schylając się, zdjął buty, przytrzymując pięty noskami. Przeszli przez pokój i doszli do podestu, z którego prowadziły schody na górę i na dół.

– Ty idź na górę, ja idę na dół – wyszeptał do Thierry’ego. – Krzyknij, jak będziesz potrzebował pomocy.

Thierry skinął głową.

– Musimy ją znaleźć. Musi dostać zastrzyk, teraz to już naprawdę pilne – powiedział i ruszył na palcach na górę.

Francis bezgłóśnie zszedł po schodach. I pierwszy raz w swojej policyjnej karierze pożałował, że nie ma broni.

Marni

Marni głęboko wciągnęła powietrze.

– Możesz mieć jedno i drugie, Steve.

Powiedziała to nieco chrapliwym głosem, od którego chciało jej się rzygać. Nie mogła uwierzyć, że bierze coś takiego pod uwagę, ale instynkt samozachowawczy okazał się silniejszy od wstrętu.

– Co masz na myśli? – zapytał, mrużąc oczy.

– Tak jak powiedziałaś, mój tatuaż to żywe dzieło sztuki. Zostaw mnie przy życiu, a będziesz mógł oglądać go codziennie. Będziesz mógł go dotykać i będzie ciepły. Będziesz mógł patrzeć, jak się porusza razem ze mną. Wyobraź sobie posiadanie w swojej galerii żywego eksponatu.

Steve nie odpowiedział. Najwyraźniej rozważał tę możliwość, bo jego oddech stał się szybszy. Znów pogładził ją po plecach, tym razem pozwalając ręce zbłądzić na nagą pierś.

Marni przygryzła mocno wargę, żeby nie targnęły nią torsje.

– Mógłbym cię trzymać tu w klatce. Moje własne małe zoo. Podoba mi się ten pomysł.

– Tak – odparła Marni, choć bardzo wiele kosztowało ją wyrzucenie z siebie tego słowa.

– Mógłbym się codziennie z tobą kochać.

Codzienny gwałt.

Czy to naprawdę lepsze wyjście niż śmierć?

– Sprytny pomysł, moja droga. Moglibyśmy popробować przez kilka dni, żeby zobaczyć, jak się sprawdza, nie sądzisz?

Westchnął, przywierając do jej pleców. Marni poczuła, jak jego dłoń zapuszcza się między jej uda, i szarpnęła się, uderzając biodrami o drewniany krzyż. Steve cofnął rękę i klepnął ją bezceremonialnie w pośladek.

– To by się nigdy nie sprawdziło – syknął – bo nie doczekałbym się chęci z twojej strony. Musiałbym cię pilnować jak jastrzęb, bo nigdy nie przestałabyś wypatrywać sposobności do ucieczki. Niewiele ma to wspólnego ze ślicznym obrazkiem, który próbowałaś mi tu odmalować, co?

– Ale jeśli pozwolisz mi żyć, pozostanę na zawsze twoją dłużniczką...

– Seks z poczucia obowiązku? Nie traktuj mnie jak kretyna, Marni.

Cofnął się o krok i odszedł.

– I straciłbym możliwość posłużenia się tym na twojej jedwabistej skórze.

Usłyszała, jak bierze coś i podchodzi do niej z powrotem. Bez patrzenia wiedziała, co to jest, ale on i tak zamierzał jej pokazać.

Metal zalśnił, gdy Steve obrócił narzędzie pod światło, unosząc zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Na zakrzywionym ostrzu wygrawerowano skomplikowane filigranowe wzory. Marni nigdy w życiu nie widziała takiego noża.

– Sam sporo mi opowiadała o nożach, o najlepszych ostrzach do cięcia i skórowania. To dwie zupełnie różne procedury, które wymagają, jak się domyślasz, zupełnie różnych narzędzi. Opowiem ci, jak zamierzam się do tego zabrać.

Marni zacisnęła powieki, żałując, że tego samego nie da się zrobić z uszami.

– Najpierw wyznaczę cięciem obszar skóry, który zamierzam zdjąć. W twoim przypadku będzie to tuż poza granicą wspaniałego tatuażu, który masz na plecach. Użyję do tego krótkiego, prostego ostrza. Potem sięgnę po to.

Podsunał jej nóż pod nos.

„Byle nie przestawał mówić”.

– Ale czy znasz cały proces wyprawiania skóry? – Marni ciarki przeszły po plecach. Ta rozmowa była nie do zniesienia, choć istniał cień szansy, że ocali jej życie. – Opowiedz mi o Sam i o tym, czego się od niej nauczyłeś.

– Sam jest utalentowaną preparatorką. Od wielu lat kupowałem od niej rozmaite prace... Zbieram wypchane zwierzęta.

Marni pomyślała o starym zakładzie taksydemii w pobliżu Preston Park. Czasem chodziła tam i zaglądała przez witrynę, zanim go ostatecznie zamknięto.

– Ale chciała rozwinąć swoje umiejętności i szybko odkryliśmy, że i ją, i mnie interesuje skóra. Pokazała mi, w jaki sposób wyprawia skóry zwierzęce, i zaczęliśmy rozmawiać o tym, czy da się wyprawić ludzką. Początkowo to były takie niezobowiązujące pogawędki, ale stopniowo zacząłem pojmować, że ona naprawdę chciałaby to zrobić. A kiedy napomknąłem, że chciałbym zacząć zbierać tatuaze, zgodziła się aż nazbyt ochoczo.

Marni zupełnie zaschło w ustach. Nie była w stanie wydobyć słowa.

– Niestety, ponieważ ją aresztowano, sam będę musiał doprowadzić pracę do końca. – Przesunął końcem ostrza po drewnianym krzyżu. Pozostawiło na lakierze cienką jasną linię. – Kiedy już zedrę tatuaż z twoich pleców, namoczę

go w solance, a potem po kolei w rozmaitych roztworach, które rozbijają białka i wypłuczają tłuszcz.

Marni zrobiło się tak niedobrze, że dostała zawrotów głowy. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje, cukier spadł jej do niebezpiecznie niskiego poziomu. Istniało realne zagrożenie, że jeśli straci teraz przytomność, już się nie obudzi.

Steve perorował dalej, ale Marni nie umiała się skupić na jego słowach.

– ...zmienia pH... tępe narzędzie do zdrapywania włosów... kazałem Sam pokazać mi na wszelki wypadek...

Ciemność zaczęła spowijać jej pole widzenia, ale Marni zdecydowana była się nie poddać. Ugryzła się w policzek i jęknęła z bólu.

– Ale najważniejszą rzeczą, której mnie nauczyła, jest prawidłowe ostrzenie noża. To bardzo istotne, by używać możliwie najostrzejszych narzędzi. Ten jest ostry jak diament.

Uchwycił jej chłodną, bezwładną dłoń i rozpostarł na belce krzyża. Zanim Marni zorientowała się, co się dzieje, przeciął nożem jej wnętrze. Dopiero po sekundzie poczuła bolesne pieczenie.

– Widzisz? Ostrzejszy od skalpela. I bardziej precyzyjny.

Marni załkała. Gorąca krew pociekła jej po ramieniu.

Steve patrzył na nią jak zahipnotyzowany. A potem zrobił krok do przodu, wystawił język i zlizął krew.

– Och, Marni... – Głos miał nabrzmiały pożądaniem. – Myślę, że czas zaczynać zabawę.

Francis

W domu było nienaturalnie cicho i spokojnie. Rory czekał przed drzwiami od frontu na posiłki, Thierry był gdzieś na górze. Francis poczuł się tak, jakby został całkiem sam, a jego bezgłośnemu przemieszczaniu się towarzyszył tylko cichy szum klimatyzacji. Z bijącym sercem zszedł na dół, by zbadać biurowy parter.

Większość monitorów była wyłączona, działał tylko jeden, emitując mdłą poświatę. Pokazywał obraz z monitoringu przed domem. Francis zobaczył Rory'ego na podjeździe, rozmawiającego przez komórkę. W przeciwległej ścianie znajdowało się kilkoro drzwi. Dwoje było zamkniętych, a jedne minimalnie uchylone, więc przycisnął ucho do szpary i nasłuchiwał. Gdy tylko to zrobił, ciszę rozerwał przenikliwy krzyk kobiety.

Marni!

Nie mógł mieć pewności, że to ona, ale ktokolwiek to był, potrzebował pomocy. Francis otworzył drzwi na oścież i znalazł się na szczycie kolejnych schodów. Usłyszał jęk kobiety, a potem zagłuszający go głos mężczyzny. Nie rozumiał słów. Przystanął. Potrzebował planu, ale jak miał coś wymyślić, nie wiedząc, co znajdzie niżej? Na dole dostrzegł na wpół otwarte drzwi. Zapewnią mu jakąś osłonę, dzięki czemu może zdoła się zorientować, co się dzieje, nim się ujawni.

„Nie trać czasu. No dalej!”

Zbiegł cicho po schodach, modląc się, żeby się nie zdradzić. Jedno skrzypnięcie mogłoby mieć katastrofalne następstwa, i to nie dla niego. Sama myśl o tym, że Marni zdana jest na łaskę szaleńca odpowiedzialnego za krwawe dioramy dwa piętra wyżej, przyspieszyła mu bicie serca i dodała sił. Pierwszy raz w życiu znalazł się w takiej sytuacji. Aresztowania, w których uczestniczył, były szczegółowo zaplanowane i odbywały się przy pełnej obstawie. Boże, miał nadzieję, że Rory już po nią zadzwonił.

Stanąwszy przed drzwiami, odmówił bezgłośnie modlitwę, przeżegnał się, po czym wśliznął się do pomieszczenia.

Jednym spojrzeniem objął cały obraz: rozkrzyżowaną Marni, której plecy były jedną czerwoną plamą, wyprawione tatuaże na drucianych konstrukcjach, mężczyznę stojącego do niego tyłem i operującego

zakrzywionym nożem ociekającym krwią.

– Stać! Policja!

Mężczyzna odwrócił się i zmierzył go wzrokiem.

Nigdy wcześniej Francis nie czuł się równie bezbronny. Gdyby tylko stali za nim Thierry i Rory. Rozdzielenie się było błędem.

– Frank, to ty?

To był głos rozpaczy, łamiący się i ochryply.

– Tak, Marni.

– Och, jakie to urocze, że się znacie. No cóż, Frank, nazywam się Steve, pamiętasz? Spotkaliśmy się w studiu Marni.

Rzucił się naprzód, wyciągając przed siebie zakrwawione ostrze. Francis spodziewał się napaści, więc uskoczył w bok za jeden z cokołów. Steve warknął i skręcił, by zająć go z drugiej strony. Francis huknął barkiem w betonową kolumnę, przewracając ją. Musnęła biodro Steve'a, lecz ten zdążył się cofnąć na tyle, że nie czyniąc mu szkody, runęła z hukiem na posadzkę. Srebrzysty stojak wraz z cennym eksponatem potoczył się po podłodze i uderzył w przeciwną ścianę.

Marni wyciągała szyję, by zobaczyć, co się dzieje.

– Pomocy! – krzyknęła.

Decydując się w ułamku sekundy, Francis, zamiast zmierzyć się ze Steve'em, pobiegł na pomoc Marni. Chwycił z niskiego stolika drugi nóż i zanim Steve zdążył podbiec, przeciął sznur mocujący jedną kostkę Marni do krzyża. Przynajmniej miał już jakąś broń. Wyprostował się i uniósł nóż przed sobą, uginając kolana w pozycji obronnej.

Steve znów się na niego rzucił, z rykiem wściekłości nacierając lewym ramieniem, z nożem w prawej ręce. Francis zrobił krok naprzód po skosie i pochylił się nisko, chcąc wytrącić Steve'a z równowagi. Zwarli się i poturlali po podłodze. Steve wypuścił nóż, ale natychmiast z całej siły kopnął Francis'a w brzuch, celując w pachwinę, żeby go obezwładnić. Policjant zamachnął się nożem i wraził ostrze głęboko w łydkę Steve'a, starając się zadać jak największe obrażenia. Ten zachłysnął się powietrzem i zaczął się cofać. Francis musiał wyrwać nóż, inaczej by go stracił.

Obaj dyszeli ciężko. Steve złapał swój nóż i dźwignął się na nogi. Z szaleństwem w oczach i rozdętymi nozdrzami rzucił się na przeciwnika, który, zadyszany, nie zdążył się podnieść z podłogi.

Mobilizując wszystkie swe siły, Francis przetoczył się na brzuch i ukląkł na czworakach. Steve runął na niego i Francis poczuł, jak nóż przecina mu kurtkę na plecach. Obrócił się gwałtownie i poderwał na równe nogi, stając

twarzą do Steve'a, który patrzył na niego zdezorientowany. Francis miał ułamek sekundy na decyzję. Zrobił krok naprzód, nie chcąc zostawić Steve'owi pola manewru, by ten nie mógł go dźgnąć w pierś, po czym przypomniał sobie, że ma nóż.

„Zrób z niego użytek. Posłuż się nim, do cholery!”

Nie był jednak dość szybki. Steve uprzedził jego manewr i jednym silnym ruchem wymierzył mu cios w obojczyk. Ostrze brzęknęło na podłodze przy akompaniamencie pękającej kości. Prawa ręka Francis'a opadła bezwładnie, ból sparaliżował ją aż do nadgarstka. Steve uśmiechnął się z satysfakcją i zaraz wykorzystał zdobytą przewagę: pchnął Francis'a na pusty cokół i przystawił mu nóż do gardła.

– Jakież ostatnie słowo?

Francis nie był jednak w nastroju na przemowy. Rzucił się naprzód i uniósł kolano, by trafić Steve'a w pachwinę. Cios nie był szczególnie mocny ani celny, ale przynajmniej Francis nie miał już noża na gardle. Steve krzyknął i zatoczył się w tył, stwarzając między sobą a policjantem dystans, który temu drugiemu pozwolił nieco ochłonąć. Steve spuścił wzrok na swoje zbroczone krwią spodnie i by powstrzymać krwawienie, przycisnął ręką ranę na łydce. Twarz mu poszarzała, utkwiał we Francisie wściekłe spojrzenie zaczerwienionych oczu.

Francis niezgrabnie ujął nóż lewą ręką i spróbował rozciąć więzy mocujące drugą kostkę Marni, po czym z nie mniejszym trudem przeciął sznury mocujące jej nadgarstki. Dzięki Bogu nóż okazał się naprawdę ostry. Z trudem chwytając powietrze, półprzytomna Marni osunęła się na podłogę.

– Nie dotykaj jej! – wrzasnął Steve. – Jest moja!

Francis rozejrzał się gorączkowo. Przełożył nóż do bezwładnej prawej ręki i wyciągnął telefon z kieszeni. Nie spuszczać Steve'a z oka, wybrał numer Rory'ego. Zajęte.

Cholera!

Francis był wyższy do Steve'a o jakieś dziesięć centymetrów, a to oznaczało, że miał większy zasięg ramion, choć niewielki był z tego pożytek, wzięwszy pod uwagę, że sprawna została mu tylko lewa ręka. Co gorsza, Steve był od niego masywniejszy i miał niżej położony środek ciężkości.

Jak grać na zwłokę do przybycia Thierry'ego? Przecież tamten powinien już zleźć z góry.

– Thierry?! – wrzasnął.

Steve podniósł się z podłogi i powoli, szerokim łukiem, zaczął się do niego zbliżać.

Gdyby Francis ruszył ku niemu, zostawiłby bez ochrony Marni. Gdyby jednak został przy niej i tam czekał na Steve'a, ona również znalazłaby się w niebezpieczeństwie. Powoli wysunął się naprzód. Czy zdoła odciągnąć Steve'a od Marni, czy też ona stanie się jego głównym celem?

Nawet nie drgnęła, odkąd minutę wcześniej upadła na podłogę. Nie słyszał, jak oddycha, ale nie mógł ryzykować spojrzenia, czy jej klatka piersiowa podnosi się i opada. Długie cięcia biegnące po obu stronach pleców i nad łopatkami wciąż krwawiły – kątem oka widział tworzącą się na podłodze kałużę. Potrzebowała natychmiastowej pomocy.

Zbyt późno zorientował się, co zamierza Steve. Wołając Thierry'ego, Francis zdradził, że nie jest sam. To był poważny błąd. Steve nie zamierzał uciekać, chciał się jedynie upewnić, że pomoc nie nadejdzie. Zatrzasnął drzwi, przekręcił klucz w zamku, po czym wsunął go do kieszeni.

– Twoje pojawienie się tutaj wszystko zmienia – powiedział. Stał oparty plecami o drzwi, oddychając ciężko. Odciążył nogę zranioną przez Francis'a, jeden but miał już cały przesiąknięty krwią. – Dziś miała zginąć tylko Marni. A teraz umrzesz i ty.

W ułamku sekundy Francis rozważył dostępne możliwości.

„Odciągnij go od drzwi. Obezwładnij. Zdobądź klucz. Jakie masz szanse powodzenia?”

– Chodź tu, ty skurwysynu!

To była ryzykowna strategia, która mogła się dla niego marnie skończyć. Pozostawała nadzieja, że wpływ krwi spowolni reakcje Steve'a.

Jednak nie.

Steve, z nożem połyskującym w dłoni, natarł na niego jak uosobienie furii. Francis uskoczył i schował się za jednym z cokołów. Steve upozorował atak z jednej strony, Francis przesunął się w drugą. Okrążali postument, aż wreszcie Francis rzucił się naprzód i mocno go pchnął. Ten rozbił się na podłodze, o włos mijając sprawną nogę Steve'a.

– Tania sztuczka – syknął Steve, cofając się za jedną z sof.

Francis pobiegł naprzód, odbił się nogą od oparcia sofy i wyskoczył w górę. Nie miał planu, ale wiedział, że jeśli czegoś nie zrobi, obaj z Marni za chwilę będą martwi.

Zderzyli się i runęli na podłogę. Francis usiłował obezwładnić Steve'a, ale gdy toczyli się po betonowej posadzce, Steve złapał prawą rękę Francis'a i szarpnął ją w tył. Przeszywający ból sparaliżował Francisowi bark. Sullivan błyskawicznie obrócił głowę i przejechał nożem po ramieniu Steve'a. Tamten go puścił, po czym wykorzystał swoją masę, by przewrócić go na plecy. Usiadł

na nim okraciem i przyszpilił go do podłogi, przyciskając mu kolanami barki, a przy okazji gruchocząc do reszty obojczyk.

Francis miotał się pod nim, próbując się wywinąć. Młócił bezradnie lewą ręką, próbując dosięgnąć przeciwnika.

Rozległ się łomot do drzwi i jakieś głosy za nimi.

Steve mocniej napał na klatkę piersiową Francisa. Przyłożył mu zakrzywione ostrze do gardła.

– Pretensje możesz mieć tylko do siebie. Złamałeś podstawową zasadę, przychodząc tu bez wsparcia.

Zaklekotała klamka u drzwi.

– Szefie, jesteś tam?

Francis chciał coś odkrzyknąć, ale Steve w jednej sekundzie przydusił go ramieniem, przyciskając mu tchawicę. Z ust Francisa dobył się tylko zdławiony jęk.

Z drugiej strony drzwi dobiegł głuchy łomot.

Zdekoncentrowany Steve opuścił na moment nóż na pierś Francisa, a ten poczuł w tym samym momencie, że ktoś wyciąga mu jego własny nóż z ręki. Podniósł wzrok i zobaczył Marni klęczącą za lewym ramieniem Steve'a, z palcem na ustach nakazującym milczenie. Była biała jak papier, twarz miała błyszczącą od potu i drżała na całym ciele, ale determinacja w jej oczach napełniła Francisa nadzieją.

Marni uniosła nóż i wyprostowała się. W tym samym momencie, wyczuwając jakąś zmianę w leżącym pod nim mężczyźnie, Steve obrócił się, podążając za jego wzrokiem.

– Nigdy nie sądziłam, że będę musiała to jeszcze kiedykolwiek zrobić – powiedziała Marni.

Nie wahała się. Ostrze zagłębiło się w piersi Steve'a, przecinając ją w poprzek. Rzucił się na podłogę, by przed nim umknąć, a Marni skoczyła mu na plecy i ugodziła go jeszcze raz. Zaczął się z nią mocować, tymczasem Francis spadł z góry na nich oboje. Chciał odepchnąć Marni od Steve'a, zanim ten zdoła ją dźgnąć. Cała trójka skłębiła się na śliskiej od krwi podłodze. Francis poczuł nagły ból. Marni krzyknęła. Rozległ się mdlący dźwięk ostrza szorującego o kość.

Drzwi otworzyły się na oścież i do środka wpadli Rory i Thierry. Podbiegli, ślizgając się w kałuży krwi, i rozdzielili walczących. Thierry wziął Marni w ramiona, tymczasem Rory tak długo tłukł ręką Steve'a o podłogę, aż ten wypuścił nóż.

Z trudem chwytając palący oddech, Francis spuścił wzrok i zobaczył, że

cały przód białej koszuli ma mokry od krwi. Oparł się o bok jednej z kanap. Marni leżała bezwładnie w ramionach Thierry'ego, oczy miała otwarte, białka wywrócone do góry. Steve trzymał się za szyję, krew tryskała mu spomiędzy palców.

– Szefie?

– Żyję – odparł Francis.

Marni

Pobudki w szpitalu zaczynały jej powoli wchodzić w nawyk. Paskudny, trzeba przyznać. Zamrugła i rozejrzała się wokół. Leżała w takim samym pokoju jak ostatnio, tyle że tym razem miała inny widok z okna. Thierry trzymał ją za rękę. Uśmiechnął się, gdy zobaczył, że nie śpi.

– Zabierzesz mnie do domu? – wychrypiała. Gardło bolało ją tak, jakby połknęła pakiet żyletek. Nieopakowanych.

– Bez szans, skarbie. I sama też stąd nie wyjdiesz.

Podniósł jej do ust plastikowy kubek z dzióbkiem. Woda była letnia i bez smaku, ale jej wydała się pyszna. Chciwie pociągnęła kilka łyków, zanim odjął jej naczynie od ust.

– Spokojnie.

– Od dawna tu leżę?

– Od dwóch dni. Przywieźli cię w śpiączce, z raną kłutą. Czubek noża zahaczył o śledzionę i rozerwał ją.

Po jego słowach Marni uzmysłowiła sobie, że boli ją całe ciało. Ostrożnie uniosła kołdrę, ale miała na sobie szpitalną koszulę, więc nie mogła obejrzeć swoich obrażeń. Czuła, że ma poharatane plecy, boleśnie rwało ją w lewej ręce.

– Operowali cię. Chyba niewiele brakowało, choć oczywiście mi tego nie powiedzieli.

Marni nie chciało się w to wierzyć, ale Thierry miał takie poważne spojrzenie. Wyglądał na wystraszonego. Zamknęła oczy.

– Mamo, jak się czujesz?

Nie zauważyła siedzącego w cieniu syna.

– Alex, podejdź tu.

Podszedł do łóżka i uściskał ją tak delikatnie, jakby była ze szkła. Skrzywiła się.

– Najchętniej przespałabym następny tysiąc lat.

– Więc tym razem nie zamierzasz stąd zwać? – zapytał Thierry.

Otworzyła oczy i pokręciła głową. Uśmiechnęła się do nich. Ich obecność podniosła ją na duchu. Nie było na świecie nic lepszego niż dotyk ciepłej dłoni Alexa.

– Mamo, martwiliśmy się o ciebie. Żadnego więcej dorywczego ścigania przestępców, dobra?

– Obiecuję.

– Głodny jestem – powiedział Alex. – Ale jak wrócę, to chcę usłyszeć od ciebie wszystko od początku do końca.

– Jasne – odparł Thierry. – Skoro już masz pewność, że twojej mamie nic nie grozi, możesz wrócić do naprawdę ważnych spraw. – Wyłuskał z kieszeni jakieś drobne. – Chyba widziałem automaty obok windy.

Marni odprowadziła syna wzrokiem i zaczęła, aż wyjdzie z pokoju.

– Nie ma mowy, żeby Alex poznał całą prawdę.

Thierry skinął głową.

– A co pamiętasz?

– Że mnie związał. Steve i Frank się pobili. Tyle krwi... – Słowa uwięzły jej w gardle. – Czy...?

– Francisowi nic nie jest. Steve ma się gorzej, ale żyje. Co ty masz z tymi nożami?

Uśmiechał się do niej tak jak kiedyś, zanim ich małżeństwo przeobraziło się w nawałnicę złości i wzajemnych oskarżeń.

Powieki jej zaciążyły, całe ciało wydawało się jednym wielkim bólem. Czuli się na tyle bezpiecznie, że z westchnieniem zapadła na powrót w ciepłe objęcia snu.

Na zewnątrz było już ciemno, kiedy się znów obudziła. W pokoju panował półmrok rozjaśniony tylko małym kręgiem światła rzucanego przez nocną lampkę stojącą na stoliku. Zrobiło jej się chłodno. Prawie zrzuciła kołdrę z łóżka, szpitalna koszula raczej nie chroniła przed zimnem. Marni podciągnęła się do pozycji siedzącej, by poprawić pościel, kiedy ostry ból w boku przeszył ją tak, że aż straciła dech.

W tym samym momencie uświadomiła sobie obecność ciemnej postaci pólężącej na fotelu w rogu pokoju. Ktokolwiek to był, jej krzyk wyrwał go ze snu.

Marni momentalnie zawładnęła panika.

„To nie może być...”.

– Thierry?

Postać wstała i zamajaczyła w nogach łóżka.

– To ja, Francis.

Zalała ją fala ulgi.

– Frank.

Podszedł i usiadł na krześle, które Thierry zostawił obok łóżka.

– Thierry powiedział, że się obudziłaś, ale zanim tu dojechałem, już znów spałaś. Nie chciałem cię budzić.

– Od dawna tu siedzisz?

– Jakoś od siódmej wieczorem. – Spojrzał na zegarek. – Właśnie minęła dziesiąta.

Ujął jej dłoń.

– Ocaliłaś mi życie, Marni. Gdybyś nie wyjęła mi z ręki noża i go nie użyła, Steven Harrington by mnie zabił.

Marni stanęły przed oczami fragmenty wspomnień.

– Nie, to ty ocaliłaś życie mnie. Kiedy się pojawiłaś, właśnie miał mi zedrzyć tatuaż z pleców.

– Zdążyliśmy w ostatniej chwili.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj. Zawiodłem na całej linii. Powinienem był się zorientować, że nadal grozi ci niebezpieczeństwo.

– Ale skąd miałeś wiedzieć? Sam Kirby siedziała za kratkami.

– Ale ona uprzedziła mnie wprost, że to jeszcze nie koniec.

Marni wzruszyła ramionami. Zabolało jak diabli.

– Zostanę oskarżona? – zapytała.

Wcale nie chciała znać odpowiedzi.

Francis uniósł brwi.

– O co?

– Zaatakowałam Steve'a nożem, nie? Co będzie, jak on umrze?

– Chryste, Marni, to była samoobrona. Oczywiście, że nikt cię o nic nie oskarży. Będiesz świadkiem w procesie i to wszystko.

– Zostanie osądzony?

– Przed przyjściem tu rozmawiałem z jego lekarzem. Są pewni, że z tego wyjdzie, więc owszem, zostanie postawiony przed sądem za współudział w morderstwie popełnionym wspólnie z Sam Kirby. Nawet jeśli sam nie zabijał, to zlecał te morderstwa, co oznacza, że zgodnie z prawem ponosi taką samą odpowiedzialność. Oboje nieprędko wyjdą na wolność.

– Rozwiązałeś tę sprawę.

– No jasne. A czego się spodziewałaś?

Oboje się roześmiali, po czym Francis, zupełnie nieoczekiwanie, uniósł jej dłoń do ust i pocałował. Marni ucichła. Ich spojrzenia się spotkały.

– Wiesz – zaczął Francis – jest takie stare powiedzenie, że jak ocalisz komuś życie, to ten ktoś należy od tej pory do ciebie. Nie wiem, skąd się wzięło,

ale...

– Więc teoretycznie należymy do siebie, tak?

Uśmiechnął się do niej.

– Może tak być.

– Serio? – zapytała Marni, zaciskając wargi. – Należysz do mnie?

– A ty do mnie.

– To miłe.

Odchyliła się na poduszki i zamknęła oczy.

– O czym myślisz, Marni Mullins?

– O tym, którą część ciała wytatuuję ci w pierwszej kolejności.

Francis rozdziawił usta.

– O nie, nie, nie, to tak nie działa.

– Ależ owszem.

– Nie ma mowy.

– Jesteś mój. I będę cię tatuować. I sama zdecyduję jak.

– Nie!

Marni zanurzyła igły w czarnej farbie. Ależ będzie miała uciechę. On raczej niespecjalną, ale cóż, taka jest cena posiadania tatuażu.

– Gotów, Frank?

– Już bardziej gotów nie będę.

Na białej skórze pleców wytatuowała mu pierwszą czarną linię i roześmiała się.

– Auć.

– Jakie to uczucie: być tatuowanym?

– Możesz już przestać. Pojęcia nie miałem, że to tak boli.

Z powrotem uniosła maszynkę.

– Spokojnie. Trzymasz się jak stary.

Podziękowania

Wielu osobom jestem ogromnie wdzięczna za wsparcie i pomoc udzieloną mi w trakcie pisania *Łowcy tatuazy*, lecz dwie spośród nich wyróżniły się szczególnie niezłomną wiarą w to, że trzyminutowe streszczenie fabuły może stać się zaczątkiem czegoś większego, i udzielały mi niesłabnącego wsparcia od pierwszej do ostatniej kropki. Były to: moja cudowna agentka Jenny Brown z Jenny Brown Associates, która dzięki swojemu zaangażowaniu w festiwal Bloody Scotland stworzyła mi szansę przedstawienia pomysłu na forum publicznym i zaproponowała, że będzie mnie reprezentować, choć mogłam jej zaoferować zaledwie obietnicę tego, co miało dopiero powstać, oraz druga z tych osób – moja cudowna redaktorka Sam Eades z Trapeze. Była obecna, gdy przedstawiałam pierwszy zarys pomysłu, i cierpliwie towarzyszyła mi w całym procesie twórczym: służyła radą, wydobywała ze mnie to, co najlepsze, i żądała więcej. Dziękuję. Umieszczając poprzeczkę tak wysoko, uczyniłaś ze mnie lepszą pisarkę.

Bardzo wiele zawdzięczam również organizatorom Bloody Scotland International Crime Writing Festival. Sposobność przedstawienia swojego pomysłu kapitule wydawców i agentów, gdy jest się nieznaną pisarką, jest absolutnie nieoceniona. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że ten trzyminutowy występ na scenie Bloody Scotland odmienił moje życie.

Podziękowania i wyrazy podziwu kieruję do mojej lojalnej redaktorki Sophie Wilson, która nigdy nie skarżyła się na konieczność zamiany tysięcy dywizów na półpauzy – zapewniam, że w następnym moim rękopisie nie będzie to konieczne. Pomogła mi również uniknąć rozmaitych katastrof, wskazując na luki w fabule i korygując najhaniebniejsze błędy. Dziękuję również mojemu przypadkowemu i tajemniczemu korektorowi o imieniu Mac – wychwycił wszystkie błędy, które inaczej z pewnością bym przeoczyła.

Dziękuję też wielu innym osobom. Jestem szczególnie wdzięczna mojemu niezwykle utalentowanemu tatuażystcie, Mattowi Gordonowi, który nie tylko wytatuował mi na ramieniu fantastyczną ośmiornicę, ale i w ciągu dwudziestu pięciu godzin tatuowania podzielił się ze mną całą masą informacji o tej sztuce i ludziach, którzy się w niej specjalizują. Proszę, by podziękowania przyjął również Woody z Brighton Tattoo Convention, i to nie tylko za pomoc w moich badaniach, ale i za przejrzenie rękopisu pod kątem autentyczności, a także za to, że nie miał mi za złe wykorzystania jego konwentu w mojej

opowieści. Jess Stocker ze studia tatuażu Chapter XIII w Brighton opowiedziała mi o tym, jak to jest być kobietą w branży zdominowanej przez mężczyzn i jak tatuażystki coraz bardziej zyskują na znaczeniu.

Jestem nieskończenie wdzięczna emerytowanemu nadkomisarzowi Davidowi Hammondowi z komendy policji Staffordshire, który dopilnował, by moje policyjne procedury nie zawierały poważnych błędów, a także doktorowi Jo Harrisowi z Imperial College School of Medicine za porady w kwestiach medycznych.

Podziękowania kieruję do Marion Urch z programu *Adventures in Fiction*, która jako moja mentorka podzieliła się ze mną ogromną wiedzą na temat procesu pisania i wydobyła ze mnie pisarkę, jaką jestem dzisiaj.

Przekazuję wreszcie wyrazy wdzięczności wielu kolegom i koleżankom po piórze, przyjaciółom i członkom rodziny. Dzielili się ze mną opiniami, czytali moje teksty, zagrzewali do pisania i dolewali dzinu, który był paliwem tego przedsięwzięcia. Szczególnie dziękuję mojej cudownej przyjaciółce Madeleine Mitchell za wielogodzinne dyskusje na temat fabuły, techniki narracyjnej i nie tylko oraz Crystal Hill Nanavati za czytanie powstającego tekstu i nieustające zachęty. Dziękuję też członkom i członkiniom mojego klubu książki za to, że zachęcali mnie do czytania lektur, na które wcale nie miałam ochoty, i za entuzjazm, z którym przyjmowali powstającego *Łowcę tatuaży*: wyrazy wdzięczności niech przyjmą Diana Barham, Amanda Hyde, Jo Harris i Sue Cunningham. Carol Ridler dziękuję za zaciszną pustelnię, w której mogłam się ukryć i pisać nieprzerwanie przez długą i mroźną zimę: dziękuję za dzin i słowa zachęty. Dziękuję też Caroline Wilkinson i Niamh Paris za przyjaźń i pomoc od początku do końca. Dziękuję wreszcie po tysiącokroć Markowi, Rupertowi i Timowi za ich niezachwiane wsparcie i niesłabnącą wiarę, że któregoś dnia wreszcie uda mi się skończyć.

Jeśli pominęłam kogoś, kto zasługiwał na wspomnienie, niech przyjmie wyrazy wdzięczności; obiecuję zaprosić go na drinka, o ile się do mnie zwróci!

¹ Lewis Carroll, *Dziaberliada*, przeł. Stanisław Barańczak, w: Stanisław Barańczak, *Fioletowa krowa. 333 najślawniejsze okazy angielskiej i amerykańskiej poezji niepoważnej od Williama Shakespeare'a do Johna Lennona. Antologia*, Poznań 1993, s. 286.

Cytaty z Pisma Świętego za *Biblią Tysiąclecia*.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Dorota Konowrocka-Sawa
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Berenika Wilczyńska

Projekt okładki: Joanna Strękowska
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Alexstand/Shutterstock; © Trevor Payne/Arcangels Images; © Selina Bailey/Arcangel Images

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7232-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo